

U. Kuciel
R e z a z i a Ż pierwszy
Życie mieszkańców wsi Zniesienie w latach poprzedzających
drugą wojnę światową.

I. Wstęp

Treść niniejszej książki stanowi zbiór bieżąco zachodzących zaszkoś-
ci w życiu i rodzinnych przeżyciach mieszkańców wsi Zniesienie. Spisane
zostały z opowiadań i w znacznej części bieżących zapisów wielu imien-
nie występujących w treści książki osób.

Opisywana wieś aktualnie od czasu niedługo powojennego (po 1945 roku)
nie istnieje. Zniszczona została bezpośrednimi działaniami tych, nielicz-
nych - lecz swoją bezwzględną barbarzyńską radykalnością postępowa -
nia, wielce niebezpiecznych dla każdego - uwiedzionych przez zewnętrznych
graczy wszelkiej maści, szczytnymi hasłami skrajnie nienawistnego ukrai-
ńskiego nacjonalizmu i szowinizmu. Oni to właśnie, wrogo przesiąknięci
nienawistnym jadem z całą bezwzględnością zwalczali i niszczyli wszyst-
kie najdrobniejsze nawet ślady elementów stanowiących sól wiary
i polskości ziemi tych okolic, dzięki którym ziemia ta - przez rzeczy-
pospolitą polską - obronione dla żyjącego tam ludu przed straszliwymi
pożogami najazdów tatarsko tureckich trwających ustawicznie przez
blisko czterysta lat. Bez tej obrony nie możliwa była by nie tylko bio-
logiczna kondycja rozwoju ludu tej ziemi, lecz nawet jego biologiczne
przetrwanie.

Książka niniejsza przypominająca fakty z zaszkości życia prostych
ludzi, napisana została ku pamięci wszystkich tych którzy te fakty
tworzyli, upamiętniając przez to wielowiekową przeszłość tych ziem
i wzajemnie życzliwą układność ludów tam zamieszkujących, mimo dość
dużej częstotliwości okresów wojennych plag i nieszczęść.

Władcy - ustroje - byłe i przemijały, a lud miejscowy w życzliwej
wzajemnie zgodliwości odradzał się i trwał przez wieki na przekór
wszelkim przeciwnościom.

Nieszczęścia wojenne dwudziestego wieku - zazachęcającym wsparciem
"uduchowionych wybrańców" nacjonalistów ukraińskich - przyniosły na
te ziemie i roznieciły straszliwą zarazę nacjonalistycznej nienawiści
i stwarzania "śmiertelnych" wrogów ze spokojnych od wieków rodowitych
mieszkańców tych ziem, prostych ludzi, Polaków.

Stałe podsycanie tej wrogości bez nieodzownej reakcji przeciwdzia-
łania tym zjawiskom miejscowych władz okupacyjnych hitlerowskich nie-
miec - bo przecież ich to był twór - a następnie w 1944 roku po odejś-
ciu Niemców, z doktrynalnej niechęci i braku skutecznego przeciwdzia-
łania temu władz związku radzieckiego, a także jakiegokolwiek przeciw-
działania tej tragedii na arenie międzynarodowej ze strony zasadni-
czych państw zachodnich - wojennych koalicjantów antyhitlerowskich

niemiec, doprowadziło do bestialskich morderstw bezbronnych, osamotnionych i opuszczonych niewinnych istot ludzkich - Polaków - bez względu na wiek i płeć. A w rezultacie do wymuszonego uchodzenia przez Polaków z życiem z tej od wieków rodzinnej ziemi. Czyli drogą morderstw, dokonywanie etnicznego oczyszczania opisywanych ziem, które pochłonęło około 300.000 do 400.000¹ istnień ludzkich Polaków bestialsko wymordowanych.

Napisanie niniejszej książki - ku wiecznej pamięci i przestrodze potomnych - jako nieodzowne, uznane zostało przez znaczną część żyjących po wojnie ostatnich pokoleń mieszkańców opisywanej wsi, bezpośrednio tam na miejscu uczestników opisywanych w treści książki zdarzeń, które są jedynie charakterystycznymi epizodami obrazującymi warunki życia Polaków w opisywanych okolicach, głównie w latach 1939 - 1945. Gdyż jedynie przez nich żyjących wówczas jeszcze, możliwym było przedstawienie tych na żywo zachodzących zaszłości. Nikt inny nie będzie już w stanie tego tak szczegółowo uczynić, ponieważ wszystko to jest już przeszłością - miejscowości już nie ma, a bezpośredni uczestnicy tych zaszłości w większości odeszli już na wieczną wartę.

III. Opis przyległości i usytuowania wsi Zniesienie.

Zabudowa wsi usytuowana była wzdłuż skrajów lasów:

W części północnej - lasów świerkowych zwanych Sośnina.

Był to las o kilkadziesiątletnim drzewostanie, gęsto wyrosniętych dorodnych świerków. Położony na ~~głównie~~ wznoszącym się - w zewnętrznej od wsi stronie, zboczu. Posiadający na swym szczycie buźdrzewną kycinę, na celi końca wsi, od strony wschodniej. Paszycie lasne nasycenie było igliwiem świerkowym, porośnięte przeważnie mchem. Las był - w znacznej części swaj przestrzeni - zasobny w różne gatunki grzybów jadalnych, a w całym swoim obszarze wyróżniał się zasobnością dorodnych szyszek świerkowych - nasiennych. Był też miejscem przebywania dość licznie - wiewiórek. Wiosną przysparzał swym wyglądem przepięknego widoku - kwiaty czerwieni kwieciste - w czasie kwitnienia świerków nie wspominając o świeżym powietrzu, wzmacniającym żywiołowym aromatem świerkowego kwiecista. Był to też miejsce wielu dziecięcych zabaw w pędzochy i chwytanie wiewiórek - tylko po to, żeby je zaraz po schwytaniu wypuścić. W miarę oddalania się od wsi, opisany wyżej las świerkowy - Sośnina, na dalszej części terenu przechodził w większy las liściasty zwany Zrębek. Był to kilkunastoletni gęsto wyrosnięty drzewostan, głównie grab i dąb oraz znaczna ilość oddzielnych starych dębów i sosn pozostałych, z tu będącego dawniej starego drzewostanu. Ta część lasu zasobna była w różne gatunki jadalnych grzybów, a wiosną w różnorodnie lasne kwieciste i różnych gatunków drobne ptactwo lasnego. Tą część lasu oddzielała - druga przesieka - od następnej wielkiej połaci lasu zwanego Gęstwina. Był to zwarty, wysoki wyrosnięty kilkadziesiątletni drzewostan grabowego lasu. Był to las, niemiernie zasobny w trawę należąca się do pasienia w nim bydła. W swym głębokim wnętrzu posiadał podkłą dolinę do której latem i jesienią schodziły się dziki na swe legowiska. Paszycie lasne zasobne było w różnych gatunków grzyby jadalne. Na granicy wschodniej części ~~gęstwiny~~ znajdowały się kamieniaki - zwane „w Rzawale”. Gęstwina graniczyła:

w swej części południowej ze Sołanką - była to duża połacie lasu o zwartym zalesieniu wysokie wyrosnięte starego drzewostanu liściastego, głównie grabów i dębów. Połacie lasu ciągnąca się w kierunku wschodnia, od skrajów opisanej wsi Zniesienie, na stromym zboczu na którym znajdowały się jeszcze rewy obrotne z czasów pierwszej wojny światowej. Ta część lasów była dość zasobna w różnorodnie runo lasne i trawę dla bydła, lecz ze względu na dużą stromiznę zbocza nie było możliwym wypasanie tej trawy przez bydło.

w części wschodniej Gęstwina graniczyła z lasem Słobudzkiem i lasem zwanym Peżarami. Natomiast w swej części północnej o dużą połacie pól uprawnych położonych pośród lasów - zwanych kopań

W części północnej zachodniej, opisywana wieś Zniszczenie graniczyła z lasami zwanymi - Grabina i Dębina. Był to zwarty wysoki wyrosnięty - około esiemdziesiąt latni - drzewostan, dużego kompleksu liściastych lasów, głównie - w grabinie grabów, a w dębinię dębów. Paszycie leśne tych parceli lasów były przebogate w różnego rodzaju runo leśne, a latem również w różnorodnie przepiękne kwiecie i stałe rozśpiewane ptactwo różnych gatunków, a także grzyby jadalne i dobrą trawę dla bydła. Było tam też wiele zwierzyny leśnej. Dębina w swej północnej części graniczyła z dużymi lasami liściastymi, zwanymi Mogielnicki. Były to lasy o różnym stopniu zalęśnienia i o różnym wzroście drzewostanu tych lasów. Były to lasy zasobne we wszystkie dobra o bogatym paszyciu i runie leśnym, trawie do wypasu bydła polowego, truskawek, różnych gatunków grzybów, jeżyn, a także drzew owocowych. Grabina natomiast w swej części północnej graniczyła z wospenianą już enklawą śródleśną pól uprawnych zwaną Kepan. Dębina w swej części południowej graniczyła z dużym kompleksem lasu zwanym Zbocze. Był to duży kompleks lasu - grab, dąb, brzoza, brzoza, lipa - z dość znacznymi kłocinami, rozciągającym się na stromym zboczu w kierunku południowym - dobrze porośniętym trawą i wszelakim niskorosnącym kwieciami, w tym również dzikimi truskawkami i jeżynami, a także krzewami róży, tarniny i głogu. Dalej w kierunku zachodnim - w odległości około trzech kilometrów od końca opisywanej wsi Zniszczenie - ten kompleks leśny graniczył z lasami Mogielnickimi. Natomiast w swej części południowej Zbocze graniczyła z drogą prowadzącą - obok gajówki (będącej w miejscu granicznym) podlegającej właścicielowi lasów Mogielnickich, dalej przez mogielnicki kamieniołom, lasami przez leśniczówkę, lasy i do pól zwanych parcelacją - przechodząc w rozgraniczeniu między drugimi, a trzecimi zagłębieniami parceli tych pól uprawnych, prowadzi dalej w kierunku wsi Mogielnica.

Od strony południowej wieś Zniszczenie niejako odgraniczona była potokiem Zgarka Rudka. Bezpośrednio za potokiem, w zewnętrznej od wsi stronie, wznosi się strome zbocze o dużym obszarze na którego powierzchni rośnie las zwany Budzanowszczyzna. Był to las kilkakrotny, głównie grab, brzoza, dąb, gęsty kłocin i nad którym w znacznym odległości względem siebie, górowały stare wieloletnie rozłożyste i wysokie dęby. Zbocze, opisywanego kompleksu lasu, sięgało swą pochylonością do wysokości około 200 - 300 m., a dalej na południe, las rośnie na terenie równinno-pogórkowym. Jego południowe skraje graniczyły z terenami gospodarzy miasteczka Budzanów. W kierunku zachodnim lasy te ciągnęły się dalej i przechodziły w wysoki zwarty las - zwany Kasewskim. W części południowej zachodniej znajdowały się kamieniołomy nazywane na Piaskach. Paszycie tych lasów były bardzo bogate w różnorodne runo leśne, trawę dla bydła. Były też zasobne w zwierzynę

w zwierzyne leśną. W lasach tych gnieździły się, wylęgały i przebywały wiele różnych gatunków ptactwa. Zdarzały się także krótkie okresy pobytu tam Orka Bielika.

Od wschodniej strony wsi Zniesienie - były prywatne pola uprawne, a w odległości około trzech kilometrów - za rzeką Seret - rozciągały się lasy zwane pod Bruczuchą, które łączyły się dalej z lasami Kobywkieckimi, a też kolei z Papiernickimi i ciągnęły się kilometrami i pokaciami dalej na wschód i południe (jabłonowskie).

Zabudowania wsi Zniesienie w swej większości koncentrowały się na przywyższonym terenie wzdłuż północnej części kotliny. Po środku wsi na równinnym terenie kotliny znajdowały się około czterech hektarów publicznej łąki zwanej Stawem, na której zbudowane w 1932 roku kościół dla wiernych wyznania rzymsko katolickiego. Tereny położone poza wsią - w części wschodniej rozciągały się w pola uprawne wzdłuż rzeki Seret do sąsiedniej wsi Słebutka Janewska. Natomiast tereny położone poza wsią w części zachodniej - polami uprawnymi do odległości, od wsi, około 5 kilometrów wydoływały kotlinę. Dalej przechodziły w tereny leśne rozgraniczone potokiem Zgniaka Rudka.

Wszystko to w panoramicznym połączeniu widoku koryta rzeki Seret i potoku Zgniaka Rudka stanowiło przepiękny i niepowtarzalny krajobraz wsi - zarówno latem, jak i zimą. Wieś służyła w ekscelencji z dorodnych kobiet i mężnych mężczyzn. Ludzi przestych, ambitnych, akremnych i uczynnych, zahartowanych twardą, szkodliwą codzienną walką życia, krótko pracujących i gospodarnych. Cechowała ich odwaga cywilna w sprawach społecznych. Była to wieś dobrych relników oraz dobrych fachowców w sztukaterskim rzemiośle kamieniarskim.

IV. Warunki bytowania mieszkańców wsi

Pod względem zasobności lasy mieszkańców wsi układały się różnie. Stosując częste używane określenie, w pełni odpowiadał by termin, iż była to wieś chłopsko-rebetrników. Indywidualna zasobność majątkowa ponad 80 % rodzin wsi, wyróżzała się posiadaniem gospodarstw o wielkości od 0,5 do 3 hektarów ziemi uprawnej, a zaledwie niewielka liczba rodzin posiadała gospodarstwa w granicach 4 - 7 hektarów. Zaznaczyć trzeba, że i ci gospodarze, te ludzie którym depisale zdrowie i ciężką pracę dorabiali się tych gospodarstw.

Wspomnieć również trzeba, że posiadane pola uprawne znajdowały się w większości w znacznym oddaleniu od wsi. Oddalenie

to sięgało w granicach 5, a w szeregu przypadkach nawet 8 - 10 kilometrów. Pola uprawne mieszkańców wsi Zalesionie, porozrzucane były pomiędzy polami mieszkańców wsi sąsiednich - głównie Skobutka Janowska, a także wsi Mogielnica i miasteczka Budzanów. Te wspólne sąsiedzko pola - to polacie pól uprawnych zwane: pomiarki, stawiska za garbem, długie zagony, w Kozach, za gościńcem, sady, pod mogiłą, mogielnickie, krótkie zagony, piadki, pożary, pod mogielnickim lasem, na parcelacji - w drugim zagonie, w trzecim zagonie, w czwartym zagonie, na Sawczukowej parcelacji. Krzemienna. Oprócz tego, mieszkańcy opisywanej wsi zagospodarowywali następujące polacie pobliskich pól - zwanych: sianożęty, szerokie niwy, kosa i kopani.

Znaczne oddalenie pól uprawnych stwarzało dodatkową trudność, szczególnie dla tych, którzy nie posiadali własnej siły pociągowej - a taką były wówczas w tych okolicach jedynie konie pociągowe.

Zasadniczym źródłem utrzymania mieszkańców wsi była praca zarobkowa, a wielce pomocnym w życiu jej mieszkańców były okoliczne lasy. Lasy te obfitowały w duże zasoby kopalinowe - wysokiej wartości kamienia łupanego, różnych rodzajów i odmian, który od wielu lat wydobywano w szeregu istniejących tam wówczas kamieniołomach. W kamieniołomach tych, wyrabiano różne wyroby kamieniarskie - od kamienia brukowego począwszy do okazałych liczbowo - w ciągłej produkcji - wysokiej klasy wyrobów sztukatorskich włącznie.

Prowadzono tam również produkcję wyrobów sztukatorskich dla zagranicy. Do największych należały kamieniołomy: na piaskach i mogielnicki. Ten ostatni w latach bezpośrednio przed wojną, lata 1937 - 1939, prawie zaprzestał produkcję. Natomiast - na piaskach - stale się rozwijał i poszerzał swoją produkcję, w tym i produkcję na eksport. Były jeszcze i mniejsze kamieniołomy, takie jak: nad potokiem, w diablej dolinie, rozwałkach, moczary. Produkcja w tych kamieniołomach prowadzona była okresowo. Kamieniołomy stanowiły zasadniczą bazę zatrudnienia i zarobkowania mieszkańców wsi.

Poza tym znaczna część mieszkańców - głównie kobiety, znajdowały sezonowe zatrudnienie przy pracach w majątkach ziemskich oraz w gospodarce leśnej. Zarówno kamieniołomy, jak też majątki ziemskie i lasy stanowiły własność prywatną. Z woli też właścicieli stosowana była odpowiednia, im wygodna polityka zatrudnienia, a także przez nich też określana była indywidualna wysokość zarobków pracowników tam zatrudnionych. Stosunkowo najwyższe zarobki były w kamieniołomach. Najniższe zaś przy pracach w majątkach ziemskich - wynosiły one tam z zasady 80 - 90 groszy za dzieńkę. To było bardzo mało, tyle, że niestarczało nawet na całodienne wyżywienie jednej osoby według najniższego standardu żywienia w ówczesnych warunkach wiejskich.

Mimo barażu ciężkich warunków pracy, zarówno w kamieniołomach jak też przy pracach pelewych i leśnych, ręk do pracy w tych okolicach w okresie przed drugą wojną światową nie brakowało. W opisywanym rejonie w zasadzie nie było innych źródeł zarabkowania poza wymienionymi

V. Praca w kamieniołomach.

Szczególne ciężką, a jednocześnie niebezpieczną była praca w kamieniołomach. W kompleksowym cyklu produkcyjnym, praca w kamieniołomach wykonywana była niejako w następujących działkach:

praca odkrywkowa - polegająca na odkrywaniu odkrywki, w ustalonych miejscach, warstw użytkowego złóża kamienia. A zatem nieodzownym było wykonanie ręcznie - przy użyciu zwykłej łopaty, kilofa i taczki - kotliny wyrębiska o głębokości nie rzadko sięgającej 10 - 20 metrów i średnicy 8 - 10 metrów. Mimo, że kotliny te w miarę zwiększania ich liczby były łączone, w warunkach jednak nie zabezpieczenia brzegów poboczy wyrębiska, stwarzało to znaczne niebezpieczeństwo dla pracujących w takim wyrębisku ludzi. Niebezpieczeństwo to nieodmiennie wzrastało w okresie wiosennych odwilży oraz latem podczas opadów deszczu. Pobocza obsuwały się powodując groźne wypadki. Prace te wykonywane były z zasady przez robotników nie wykwalifikowanych - nie przyuczonych do żadnych innych robót w kamieniołomach głównie przez młodzież. Pracowane tu przeważnie według stawek akordowych;

praca wydobywcza - polegała ona na wykonywaniu obmiarów i cięć na odpowiednio, stosownie do potrzeb, wielkości wymiarów bryły odkrytych warstw kamienia. Następnie wykonywane nieodzowną wstępną obróbkę każdej z tych porzeczonych brył kamienia i przetransportowywane je na plac obróbki całkowitej. Robota ta wykonywana była przez pracowników przyuczonych do wykonywania prostych prac kamieniarskich, pod bezpośrednim kierownictwem doświadczonych kamieniarzy. Prace wykonywane tu były przeważnie według stawek plac - od wykonanej sztuki. Rozcinanie odkrytych warstw kamienia, na mniejsze - stosownie do potrzeb - wymiarowe bryły, polegało przede wszystkim na:

- wykonaniu obmiaru i wykreślenia prostych linii obramowań obrysów bryły;

- wykucie wzdłuż wykreślonych linii - w odstępach, względem siebie, co najmniej 40 - 50 centymetrów - wzajemnie dokładnie symetrycznych wgłębień klinowych o wymiarach: głębokość wgłębienia 13 - 15 centymetrów; długość ścianek wzdłużnych 9 - 10 centymetrów; szerokość ścianek poprzecznych w swej górnej części 7-8 centymetrów;

- włożenie w wykonane otwory - specjalnych do tego celu - stalowych klinów. Po sprawdzeniu dokładności symetrii ustawienia tych klinów, psbijając każdy z nich kłosem o wadze co najmniej 1,5 kilograma, wzmacnić prawidłowość ich ustawienia. Po upewnieniu się o prawidłowym wgłębieniu dopasowaniu wszystkich klinów, powtarzamy do skut-

ku uderzeniami młotem, o wadze conajmniej 10 kilogramów, jednocześnie w każdy z nich - maksymalną siłą z męskiego wznachu - uzyskanie zamierzonego skutku, to jest pęknięcia kamiennej bryły wzdłuż wyznaczonej linii na całą jej grubość. Następnie uzyskane w wyrobisku położonym na głębokości 10-20 metrów, nieperęczne bryły przetransportowane ręcznie na odległość w granicach 80 - 100 metrów placu sztukatorskiej obróbki; praca dokładnej obróbki sztukatorskiej i prace szlifierskie - wykonywane były przez wyselekcjonowanych specjalistów w kamienioarskim rzemieśle sztukatorskim, zwanych tam wówczas majstrami. Pracewane tu według stawek plac od sztuki wykończonego wyrobu - były to prace najwyższych zarobków;

konwojowa niejakie działo - były prace związane z przetransportowaniem całej produkcji wytworzonej w kamieniołomach do wybranej stacji kolejowej, bądź bezpośrednio do ustalonego adresata. Prace te wykonywane były transportem z zaprzęgu konnym przez gospodarzy ekologicznych wsi - zwanych furmanami.

Produkcja kamieniołomów o których wspominałem, przewożona i ładowana była do wagonów kolejowych, głównie na stacjach: bądź Dereniówka - odległej około 10 kilometrów, bądź Kalinowoszczyzna - odległej około 20 kilometrów od kamieniołomów. Produkcja w kamieniołomach prowadzona była ciągle przez okres całego roku. Prace wykonywane były pod gołym niebem, zarówno latem jak i zimą na jednej tylko zmianie. Robotnicy narażeni byli na ciągłe - bezpośrednio - działania zjawiska atmosferycznych - deszcz, śnieg, wiatr oraz pyłu kamiennego. Większość robotników nie posiadała żadnego ubezpieczenia na wypadek utraty zdrowia - kalectwa lub śmierci. Bardzo ciężkie warunki pracy i niskie, w stosunku do nakładu pracy, zarobki były powodem wielu sporów z kierownictwem zakładu, a nawet strajków. Gwoli prawdzie wspomnieć również trzeba, że prywatni właściciele tych zakładów - w praktyce dnia codziennego - byli ostateczną wyrocznią we wszystkich sprawach pracowników dotyczących pracy. Poczynania dotyczące strajków, mimo opisanych wyżej warunków, nosiły raczej - w formie jawnej - charakter nieśmiały i były krótkotrwałe. Zasadniczą przyczyną tej "nieśmiałości" - niezłagodzenia była ciągła groźba, a stąd i obawa utraty pracy, co z kolei wiązało się z pozbawieniem zwolnionego i całej jego rodziny środków do życia.

VII. Podstawowe zajęcia w poszczególnych porach roku.

Oprócz kamieniarskich, część mieszkańców wsi zatrudniona była przy pracach polowych w wielkich folwarkach i w gospodarce leśnej. Prace leśne koncentrowały się głównie na wyrębie lasów, pielęgnacji młodego drzewostanu i zasadzaniu młodymi drzewkami nowych terenów leśnych, a także terenów po wyrębie starego drzewostanu.

Na dynamikę życia codziennego wsi i charakter wykonywanej pracy przez jej mieszkańców zasadniczy wpływ miały poszczególne pory roku — a zatem: wiosna, lato, jesień, zima.

Wiosna — ta pora roku następowała w opisywanych okolicach przeważnie w granicach połowy marca. Był to okres ożywienia i zwiększonego działania wszystkich mieszkańców. Wynikało to z wielu przyczyn, lecz najistotniejszymi były te, które decydowały w sposób zasadniczy o tem — na ile powiększy swoją zasobność każda rodzina w wyniku prawidłowego i intensywnego wykorzystania okresu lata i jesieni. Zasobność ta decydowała o poziomie bytowania indywidualnie każdej rodziny.

Była to pora roku z zasady wielkiej nadziei i przewidywań, a przede wszystkim dużego ożywienia w pracy — opełnionej pozornie uspokojonym zewnętrzeńnie okresie zimowym.

Ożywienie to wyrażało się w intensywnych pracach, które się spieszczały. Były to głównie — arki i wiosenne zasiewy pól uprawnych. Wymagały one terminowego i prawidłowego ich wykonania.

Mieszkańcy wsi na prace te byli wyczerpani w sposób szczególny, gdyż prawidłowe wykonanie z tej pory roku prace polowe decydowały o powodzeniu lub niepowodzeniu urodzaju.

Wspomnieć trzeba, że snawiana pora roku charakteryzowała się w brakach zasobności, głównie zasobności w produktach niezbędnych do żywienia inwentarza żywego i nie tylko inwentarza w każdym gospodarstwie.

Jak wspomniano, wieś znajdowała się w kotlinie leśnej. Rozwijały

się lasy, przy czym były to lasy o mieszanym drzewostanie, wiele zasobne w różnorodne runo leśne - w tym i nie mało drzew owocowych, a także bogata poszycie, z wnim moc kwiatów. Wszystko to nabrzmiało długotrwałym zimowym zastojem, kończącym się zazwyczaj krótkim okresem intensywnych roztopów zwiastujących prawdziwą wiosnę, rozwijało się, stawało się zieleńią i kwiatem - wzmacnianą charakterystycznym aromatem i świeżością rozrastającej się części bogatego w żywicę lasu śwerkowego. Odbiciem tych zmian, wyczuwalnym stale o tej porze roku przez mieszkańców wsi były ciepłe i słoneczne dni, a także niezwykle świeże i zdrowe powietrze. Również o tej porze roku do tych okolic przylatywało wiele różnych gatunków ptactwa. Ten skrzydlaty ród ptasi wypełniał lasy i pola różnymi melodiami śpiewu, każdego dnia, od wczesnych poranków do późnych godzin nocnych, uprzyjemniając chociaż w ten sposób trudno i spracowane życie mieszkańców wsi. Wraz z nastaniem wiosny zaczynał się właśnie okres ciężkiej, ciężkiej codziennej pracy trwającej w tych okresach - aż do jesieni - przez 18 - 20 godzin na dobę, wszystkich dorosłych mieszkańców wsi. Wyjątkiem były niedziele i święta. Wspomnieć również trzeba, że wszystkie czynności, które były związane z uprawą roli wykonywane były ręcznie. W tym rejonie, ze względu na stan zamożności poszczególnych gospodarzy, nikogo nie stać było w opisywanym okresie na ciągnik, siewnik, kopaczkę czy młocarnię. Za wyjątkiem siewnika i młocarni - inne wymienione maszyny w tych okolicach w okresie przedwojennym nie były spotykane. Głównymi narzędziami w uprawie roli były tam wówczas: jednoskibowy pług i brona, kosa, sierp, haka, grabie. Zaś zasadniczą siłą roboczą był człowiek oraz koń - który stanowił podstawową siłę pociągową. Równie pilnym zajęciem w okresie wiosny dla każdej rodziny było zapewnienie niezbędnych potrzeb właściwego żywienia żywego inwentarza domowego, przede wszystkim posiadanych krów dojnych mleka - których w wielu przypadkach stanowiło w połączeniu z kawałkiem razowego chleba, podstawowe pożywienie całej rodziny. Stąd stała się potrzeba poszukiwania produktów dla żywienia inwentarza żywego - głównie bydła. Ten trudny dla każdej prawie rodziny i rokrocznie występujący problem rozwiązywany był przez każdego w ramach istniejących możliwości. Przeważnie poprzez wynajmowanie pastwisk wypasu bydła w pobliskich lasach w zamian za tak zwany odrobek - co oznaczało, że zainteresowany zobowiązywał się odpracować określoną liczbę dni przy pracach polowych w majątkach właściciela lasu, względnie przy określonych pracach w gospodarce leśnej. Z zasady wpieryw wykonywano w pełni ustaloną umową rodzaj prac, a dopiero po tem otrzymywano zezwolenie wypasania określonej liczby bydła.

Jednakże ze względu na ograniczenie, przez właścicieli lasów, wynajmu pastwisk w lasach - nie wszyscy mieszkańcy wsi mogli w wyżej opisany sposób rozwiązywać swoje problemy związane z żywieniem posiadanego bydła. Ci dla których brakło pastwisk w lesie żywili bydło przez wypasanie go indywidualnie na skrawkach trawników w przydrożnych rowach, polankach nad potokiem, rowach i okopach odgraniczających pola uprawne od lasów. Poza tym dla dokarmiania bydła donoszono trawę zbieraną nielegalnie w okolicznych lasach - gdzie nie zerwana zupełnie się marnowała. Rozwiązywanie tych zdawało by się tak prozaicznych, ze względu na swoją prostotę - jednak tak ważkich i podstawowych spraw stanowiących dla większości rodzaj problem niekiedy nie do rozwiązania - wymagało dużego wysiłku i ciężkiej pracy. Właśnie opisywana część prac w warunkach opisywanej wsi, spoczywała głównie na dzieciach i ludziach w podeszłym wieku, ponieważ pełnosprawni fizycznie mieszkańcy wsi zatrudnieni byli przy pracach polowych, w kamieniołomach i w gospodarce leśnej. Lato - początek okresu letniego rozpoczynać się zazwyczaj, oprócz intensyfikowania się nadal prac zarobkowych, pracami związanymi z gromadzeniem zasobów siana na zimę. Prace te nie należały wcale do łatwych i lekkich z różnych względów. Przede wszystkim brak tam było jak tak tradycyjnie kojarzonych z siarokosami. Wprawdzie wielokrotnym udawało się niekiedy uzyskać pewne polanki w lesie do koszenia, lecz było to przypadki bardzo sporadyczne. Siano, mieszkańcy wsi zbierali dosłownie w każdym miejscu różnymi sposobami - gdzie tylko się dało i jak się dało. Gdzie tylko rosła trawa nadająca się na siano. Równoległe z tymi pracami, przeważnie dzieci, miały również dodatkowe zajęcia. Zajmowały się zbieraniem bogatego o tej porze roku runa leśnego - poziomki, truskawek, czereśni, grzybów itp. Zbieranie tych produktów leśnych - mimo że nie wybierano niszczyć, odbywało się też nie w sposób oficjalnie, gdyż właściciele lasów na to nie zezwalali. Chłopi jednak mimo to zbierali, licząc i mówiąc o tym, że jest to częściowy zwrot odszkodowania za szkody wyrządzane przez zwierzyinę leśną na chłopskich polach. Stąd spór rozstrzygany był w ten sposób, jak gdyby za nieoficjalną zgodą raczej obu stron. Wspomnieć także trzeba, że bezpośrednio po wiosennym obsianiu i "obsadzeniu" pól uprawnych, przystępowano do bieżącej uprawy okopowych - jak hakanie, podgortanie, a także trzeba było pilnować i stale bieżąco wykonywać pielnie chwastów - ówczesnie był to podstawowy sposób ich pozbywania się. Pielnie polegało na wycinaniu lub wrywaniu z korzeniami chwastów z upraw. Jeżeli tych czynności w określonym czasie nie wykonywano, chwas

ty zgauszały (przeraśtały) uprawy i zbiorów nie było wcale, albo były bardzo słabe. Prace te wykonywane były też niejako równoległe także i z sianokosami oraz innymi opisywanymi pracami, które w tym okresie musiały być wykonywane.

W niedługim czasie po sianokosach przystępowano z zasady do zbiorów zbóż, a zatem do zasadniczych prac żniwnych - okres w którym wszyscy mieszkańcy wsi pracowali z wprost nadludzkim wysiłkiem, ponieważ wszystkie prace żniwne musiały być wykonane w określonym ograniczonym terminie. Jeżeli tak się nie stało, to następowały bezpośrednio odczuwalne straty w zbiorach płodów rolnych. Na przykład - jeżeli żyto (przenica, jęczmień) nie zostanie żęte o właściwej dla tego zboża porze czasowej, to następuje przesuszenie kosa i kodygi skomy w wyniku czego ziarna zboża z przeschniętego kłosa wypryskują samostanie, a kodyga łamie się i upada. Podobnie rzecz ma się z innymi gatunkami zboża. Pilność wykonania w ograniczonym terminie wszystkich prac związanych ze zbiorem płodów rolnych w równej mierze tyczyła drobnych posiadaczy, jak też wielkich właścicieli ziemskich. Właśnie, ze względu na pilność i terminowość wykonywania tych prac, rosło sezonowe zapotrzebowanie na robotników do prac polowych - żniwnych - w majątkach folwarcznych. A z tym wzrastała możliwość zatrudnienia i zarobków, co dla mieszkańców wsi było bardzo ważne. Oprócz tego produkują w kamieniołomach o tej porze roku szła też z zasady pełną parą. A stąd i zatrudnienie w kamieniołomach utrzymywało się na nie zmienionym poziomie, a niekiedy nawet wzrastało. Ponieważ płace w kamieniołomach, były najwyższe w stosunku do innych miejsc zatrudnienia, każdemu kto tam pracował zależało na utrzymaniu tej pracy. W wszystkie te okoliczności w warunkach zasobności materialnej mieszkańców, która zmuszała ich do stłej pracy zarobkowej wytwarzały w okresie lata taką sytuację, że ta ciężka fizyczna praca w ciągu doby, znacznej części mieszkańców wsi - głównie dorosłych w pełni sprawnych produkcyjnie, trwała przez prawie całą dobę z krótką przerwą na sen w liczbie 4 - 5 godzin na dobę. Układ ten wynikał z faktu, że mężczyźni zatrudnieni w kamieniołomach lub innych dziedzinach, pracowali tam określoną liczbę godzin, a następnie szli do pracy przy żniwach. I tak co dzień. Przypomnieć trzeba, że podstawowymi narzędziami - przy zbiorach zbóż, w tak niedawnych czasach - był sierp i kosa tak u chłopów indywidualnych, jak i w majątkach wielkich właścicieli ziemskich. A zatem wszystkie prace wykonywane były ręcznie. Jedna osoba dorosła o przeciętnie dobrych umiejętnościach w pracy przy żniwach - w ciągu dnia pracy - mogła ściąć sierpem do 60 snopów, (o średnicy w miejscu wiązania przewrótka ok. 30 centymetrów), żyta lub przenia. Snopy liczone w kopach - kopa równa się 60 snopów. Wjątkowo bardzo dobry pracownik o nieprzeciętnych

umiejętnościach w zbieraniu sierpem zboża mógł ściąć nawet do 120 snopów w ciągu dnia pracy. W opisywanej wsi było tylko dwie takie kobiety - Paulina Szostopal i Marcela Gitler. Zboża takie jak - żyto i pszenica żyrnane było ręcznie sierpem. Natomiast pozostałe rodzaje zbóż - najpierw skaszano na pokosy, a następnie po wyschnięciu wiązano w snopy. Przy zbieraniu zbóż sierpem pracowały kobiety i mężczyźni, natomiast koszenie z zasady było zajęciem tylko mężczyzn. Jeden mężczyzna dobrej budowy i kondycji fizycznej oraz dobrych umiejętnościach, mógł wykosić kosą w ciągu dnia pracy jedną morgę - na przykład - jęczmienia lub owsa. Jeden morg pola - to 56 arów, czyli 5600 metrów kwadratowych płwi rzeźni ziemi. Miarę dnia pracy rozumiano i liczone wówczas w tych okolicach z zasady od wschodu do zachodu słońca. Przeciętne zbiory z jednej morgi ziemi wynosiły 14 - 16 kóp snopów, co oznaczało przeciętnie 14 - 16 kwintali czystego zboża - żyta, pszenicy, jęczmienia. Tak więc o terminowym i właściwym wykonaniu prac żniwnych decydowały - wysiłek i praca ludzka.

Następnym bardzo istotnym etapem prac żniwnych była zwózka snopów zboża do stodół i stogów. Zwózki dokonywano wyłącznie odpowiednio przystosowanymi drabiniastymi wozami o zaprzęgu konnym. Z tym etapem prac żniwnych były we wsi pewne kłopoty i trudności ze względu na duże oddalenie od wsi pól uprawnych, a także niedużą liczbą siły pociągowej w postaci koni. Radzono sobie jednak z tym w drodze polubownym uzgodnień i wzajemnej pomocy sąsiedzkiej, nawet dość dobrze, jak na ogrom pracy i realne możliwości wsi w tym względzie. W praktyce wszystkie prace w okresie żniw zazębiały się, a w przypadku ich nie wykonania w terminie - nawarstwiały się. A więc żęćcie i koszenie zbóż, podorywki ściernisk, zwózka zbóż, nawożenie obornikiem pod ozime zasiewy. Te prace z kolei zazębiały się z pracami jesiennych zbiorów okopowych. A więc wykopki i zwózka płodów okopowych - w podstawowej masie ziemniaki i buraki, lecz nie tylko, a także innych upraw jesiennych - przykładowo - kukurydzy uprawianej na ziarno, późnej kapusty i t.p. Kończona była w tym czasie jeszcze siewy zbóż ozimych. Całość tych prac zazębiała się z kolei z niezbędną pracą nawożenia obornikiem i ozimą orką pod wiosenne zasiewy zbóż jarych.

A więc jesień - to również szereg pilnych - oprócz wyżej opisanych, innych prac związanych ze zbiorami płodów rolnych. A zatem zbiór konopii i związane z nimi prace pochodne - takie jak: suszenie, omłoty siemienia konopii, moczzenie w wodzie żłobczanej - Seretu - kodzgi konopii powiązanych w miniaturowe snopki (wiązanki - o średnicy w miejscu wiązania przewrótłem 8 - 10 centymetrów) zwane garstkami

ułożonych i uwiązanych w wodzie mędlami. Uwiązanie w wodzie mędlami polegało na wbiciu w każdy mędel i dno rzeki od dwóch do czterech - odpowiednio przygotowanych - drewnianych kołów, łącząc obok siebie conajmniej dziesięć mędli w jeden zespół. Tak ułożone, w niedalekiej odległości od brzegu rzeki, lecz w miejscu zapewniającym stałe pełne zanurzenie mędli w wodzie, zespół mędli przycisłany jest z wierzchu przez nałożenie na ten zespół warstwy luźnej dużych kamieni. Po około dwutygodniowym moczeniu łodyg konopii w wodzie, wybieranie i dokładne płukanie do zupełnej czystości przegniłych snopków (garstek) konopii a następnie ich suszenie i paździerzowanie. Paździerzowanie - znaczy oddzielanie paździerzy łodyg konopii od włókna pokrywającego każdą łodygę. Włókno to stanowiło podstawowy surowiec, który po dalszych kolejnych obróbkach - jak czesanie i przędzenie, służył do produkcji płótna konopiarnego, wyrabianego w tych okolicach ręcznie przy pomocy prostych domowych urządzeń tkackich. Całość tych zajęć i prac - za wyjątkiem bezpośredniej tkackiej produkcji płótna, z zasady wykonywały kobiety. Zbiory kukurydzy też wiązały się z pracami pochodnymi. A więc obłamywanie kolb z łodyg kukurydzy, następnie obieranie łupinowych pochew kolb okrywających ziarna kukurydzy. Żęcie łodyg kukurydzy, które było dobrą karmą dla bydła. Właśnie obieranie łupinowych pochew okrywających ziarna kukurydzy wiązała się z pewnymi zwyczajami i obrzędami. Prace te wykonywane były przeważnie wieczorami - przez sproszoną młodzież - przy wspólnych śpiewach wesołości. Obierając kolby kukurydzy - po odkryciu ziaren - pozostawiano przy ziarnistej kolbie, kilka listków z obrywanej jej pochwy. Listki te zapewniały możliwość wplatania kolb ziarnistych we wianki. A więc z tak obranych ziarnistych kolb kukurydzy pleciono wianki, które wywieszane były - dla pełnego wysuszenia ziaren kukurydzy - na specjalnie montowanych żerdziach pod strzechami na zewnątrz gospodarstwa, a także na strychach. O tej porze roku czynione były również intensywne zabiegi o nagromadzenie jak największej ilości drzewa opałowego na zimę z pobliskich lasów. Zbierano przede wszystkim tak zwany chrust - to znaczy posegnięte gałęzie i drzewa oraz gromadzono je, tnąc go na odpowiedniej długości krótkie kawałki, nadające się do opału. Tak przygotowane drewno układano je we wiązkach w sucha miejsca wyznaczone jedynie do tego celu na każdym podwórku. Oprócz tego - niejako równoległe - gromadzono również opadające jasiemną liście z drzew w pobliskich lasach. Opadające z drzew

i wysuszone liście gromadzono na zimę dla celów ściółki pod bydło, a także na wykonanie z niego okładzin zewnętrznych ścian - od zewnątrz - domów mieszkalnych, a w niektórych przypadkach również stajen - pomieszczenia w którym przebywało bydło. Zadaniem tych okładzin było ocieplenie mieszkań na zimę. Okładziny te zwane "zagatą", grubością swoją sięgały pięćdziesiąt - sześćdziesiąt centymetrów na całej wysokości każdej ze ścian. Zewnętrzna strona tej okładziny była misternie wystrajana. Wystrój ten wykonywano z zasady specjalnie dobranymi drewnianymi wspornikami i prętami - stosownej długości, które były układane w różne wzory od zewnętrznej strony okładzin. Wzory tego wystroju były zależne od indywidualnej pomysłowości poszczególnych domowników rodzin danego domu. Jesienią również pobliskie lasy obfitowały w duże ilości grzybów. Stąd też o tej porze roku zajęciem dodatkowym było zbieranie grzybów. Wszystkie te zajęcia i prace - z zasady - w większości należały do obowiązków kobiet i dzieci. Poza tym przez cały okres wiosny, lata, aż do późnej jesieni do zasadniczych zajęć dorastających dzieci w wieku szkolnym było pasanie bydła, a mniejszych pilnowanie gęsi, kaczek, kurecząt. Obowiązkiem dzieci i ludzi w podeszłym wieku było także pilnowanie domostw pod nieobecność rodziców i dorosłych z rodzeństwa. Tak zbliżano się do dość srógiach w tych okolicach - pory roku - zimy. Zimy w tych okolicach rozpoczynały się z zasady w okresie miesiąca listopada i trwały przeważnie, aż do miesiąca marca. Rozpoczynała się dość szybko, przeważnie po niedługim okresie deszczów późnej jesieni - następował krótki okres przymrozków, a następnie bezśnieżnych mrozów. Po tym okresie następował okres śnieżnych dni. Opady śniegu były z zasady dość obfite. A więc prawdziwa śnieżna, rozpoczynała się tu przeważnie na przełomie miesiąca listopada i grudnia. Zimy w tych okolicach były przeważnie śnieżne i mroźne. Śniegi sięgały przeciętnie swoją grubością pokrycia powierzchni (ziemi) nawet do jednego metra. Temperatury powietrza utrzymywały się przez okres większości dni zimy w granicach minus 15, minus 20 stopni Celsjusza. Zdarzały się także lata bardzo ostrych okresów zimowych w tych okolicach. Takimi latami były zimy - roku 1929/1930 podczas której powymarzały drzewa owocowe, oraz zimy roku 1941/1942 i nieco łżejsza zima roku 1942/1943. Zimy we wspomnianych latach charakteryzowały się dużą obfitością śniegu oraz bardzo niską minusową temperaturą powietrza, utrzymującą się przez znaczny okres czasu w granicach - minus 30 stopni Celsjusza i niższej.

Zima - zasadniczymi pracami w okresie zimy, które wykonywane były przez mieszkańców opisywanej wsi, to przede wszystkim:

przez mężczyzn - prace przy omłotach, prace w kamieniołomach oraz prace przy wyrębie w lasach i wywózce drzewa z lasów. Natomiast prace wykonywane przez kobiety - to głównie prace domowe, a także czesanie spóździerzowanych garści włókna konopianego i przędzenia z tego nici do wyrobu płótna, obierania pierza i pomagania mężczyznom przy pracach omłotowych. Omłotów dokonywano cepami, przeważnie w okresie silnych mrozów, ponieważ zamrożone kłosa poddawały się bardziej dokładnym omłotom - wypryskiwaniu z kłosa wszystkich ziaren zboża tam znajdujących się. W miarę warunków, prace omłotowe wykonywane były w pierwszych miesiącach zimy i z zasady we własnym zakresie przez każdą rodzinę. Stąd czasookres jej wykonywania uzależniony był od ilości posiadanego do omłotów zboża i liczby dorosłych mężczyzn w rodzinie. Przykładowo - jeden mężczyzna o dobrej budowie i kondycji fizycznej był w stanie wyłócić w ciągu zimowego dnia, jedną kopę snopów żyta bądź pszenicy, a do półtorej kopy jęczmienia. Różnica ta wynikała z umiejscowienia ziarna w kłosie zboża. Ziarna żyta i pszenicy są bardziej wbudowane we wnętrza kłosa, natomiast w kłosie jęczmienia ziarna rozmieszczone są bardziej na zewnątrz. Po omłóceniu, następną nieodzowną czynnością było przewiewanie omłóconego zboża - to jest oddzielenie ziarna od plewy. Dokonywane to było w różny sposób, ale zasadniczym jednak stosowanym - było przewiewanie ręczną, specjalnie do tego celu wykonaną, z lipowego zwiędnie dobrze wysuszonego drewna - lekką przewiewką.

Prace przy wyrębach drzewa w lesie i jego wywózce, było pracą zarobkową lub odrobkiem - za wymienną zapłatę, w postaci otrzymania w zamian, obopólnie uzgodnionego rodzaju drzewa lub zezwolenia na pasanie w leśnych pastwiskach określonej liczby sztuk bydła w okresie nadchodzącego najbliższego lata. Mimo obfitości pastwisk leśnych w dużych połaciach starego wyrosłego drzewostanu wokół opisywanej wsi, sprawa pastwisk dla bydła była sprawą bardzo drastyczną, z przyczyn sztucznego obostrzenia w tym względzie wprowadzonego samowładnie przez właścicieli lasów przy nieokreślonym wsparciu miejscowych władz.

VII. Wiejskie dzieci - warunki ich dorastania:

1. Warunki włączenia dziecka wiejskiego w bieżące życie rodziny.

W przedstawianych zapiskach nie sposób nie potraktować nieco szerzej o życiu, bytowaniu i dorastaniu dzieci opisywanej wsi w wieku od pięciu - sześciu lat i starszych, aż po młodzieńczy wiek. Piszący te zapiski, od najmłodszych lat - na miarę wieku - ciężko pracował. Był najstarszym dzieckiem, młodego dość żywotnego wiejskiego małżeństwa. Ojciec jego po ciężkich trudach żołnierskiej tułaczki, powrócił z pierwszej wojny światowej dopiero w 1921 roku. Na tę wojnę wyruszył on zmobilizowany jako poborowy armii austriackiej i po odbyciu żołnierskiego "szlaku" - podobnie jak wielu współczesnych mu rodaków tych okolic - po przez Czechosłowację, Węgry, Austrię, Słowenię, Triest, Włochy, Niemcy -

- następnie, Hallerczyk - polski żołnierz wojny sowiecko polskiej 1920 roku, powrócił jako żołnierz wolnej od zaborów i niepodległej polski. Matka też łatwego życia nie miała. Pozostawała przez cały okres I-szej wojny światowej ze swoją matką, żyjąc we wsi która była wsią frontową przez okres blisko dwóch lat, wojsk przeciwstawnych sobie stron - wojsk rosyjskich i austriackich. Złe warunki pierwszej wojny światowej mocno zahaczyły o tą rodzinną wieś. Znaczna część mieszkańców tej wsi - głównie młodych w pełni się mężczyźni do swych domostw z tej wojny nie powróciło. W rodzinie piszącego te zapiski, warunki pierwszej wojny światowej zabrały - dziadka Wojciecha i jego brata Frańciszka, którzy zginęli w bezpośredniej walce broniąc mieszkańców rodzinnej wsi przed rabunkiem i gwałtami, wojskowego oddziału kozaków rosyjskich oraz stryja Józefa, który zaginął bez wieści już jako żołnierz wojsk polskich w walkach o polskość od wieków rodzimej ziemi lwowskiej.

2. Pasanie żywych stworów domowych i szkoła.

Będąc dzieckiem wiejskim, rozpoczynał pracę od pasania małych gęsi - było to jego przedszkole. Było to zajęcie niejako wkalculated na wsi w ekonomię gospodarowania i hodowli. Zdawać by się mogło, że pasanie gęsi to zajęcie wcale nie trudne. W rzeczywistości jednak dla cztero - sześciolatniego dziecka do łatwych nie należały. Stado liczące 10 - 12 gąsek, które po wyprowadzeniu ich na publiczną łąkę gminną, każda była czym innym stale zaciekawiona i w sposób bezmyślnie uparty niezwłocznie dążyła do poznania tych różnych nowości łąki. Zważywszy, że ta nieustanna ruchliwość - nierzadko każdej gąski w inną stronę - odbywa się w bezpośredniej obserwacji drapieżnych dla małych gąsek ptaków takich jak: Jaszczur, Wrona, Sroka - to przyznać należy, że zajęcie to dla takiego malca było wielce absorbującą, ciężką i odpowiedzialną pracą, która polegała głównie na stałym utrzymywaniu stada gąsek w zespolonej bliskości i zabezpieczeniu przed ich porwaniem przez drapieżne stwory. W pracy tej jednak znajdował też i zadowolenie - przebywał stale pośród pachnącej świeżością ogromu zieleni i kwiecia, przepięknie śwergocących i latających z kwiatka na kwiatek owadów i ptaków, napawał się bezpośrednio ich widokiem, łagodnym wewnętrznym skoordynowanym życiem przyrody. Zimą pomagał w lżejszych pracach przy karmieniu ptactwa domowego - gołębi, kur, gęsi, królików - niekiedy też przy chlewniej oraz opiece nad

młodszy rodzeństwem. W tych wszystkich pracach i czynnościach nie był dzieckiem wcale odosobnionym. Podobne zajęcia wykonywali jego kuzyni - Janek i Józek, a także koledzy i przyjaciele - Józek który miał matkę, Szczepan, Piotr, Krzysiek solo, Janek sierota, Krzysztof rodzinny i inni. Jedyni koledzy - Janek, który był sierotą i Józek, który był półsierotą mieli swoje bytowanie nieco odmiennie. Wszyscy oni mimo swoich niemałych obowiązków znajdowali jeszcze czas na hodowanie królików i gołębi oraz wspólne niekiedy zabawy. - w postaci - zabawy w chowanego, robienie kuków i strzał do nich, tropieniu wiewiórek w bezpośrednie stykającym się ze sobą lasie zwanym "sośnią" i inne zabawy. Tropienie wiewiórek wiązało się zawsze z mnóstwem "poważnych" przygotowań. Była to dla tego środowiska "wielka" wyprawa. Wynikało to ze sposobu zachowywania się i bytowania wiewiórek. Jak wiadomo wiewiórki są zwierzątkiem bardzo małym i żyjąc w dzikim środowisku leśnym narażone są na wiele niebezpieczeństw zagrażających ich życiu. Powoduje to przezornie wielce wyczuloną płochliwość tego zwierzątka. Przy czym zwierzątko to chodząc po ziemi przemieszcza się bardzo wolno i raczej z zasady ratuje się skokami. Jest zwierzątkiem nadzwyczaj żywotnym i ciekawsko wścibskim. Stąd, mimo że bardzo dobrze przygotowane jest do swego bytowania na drzewach, dość często - lecz bardzo czujnie korzysta z poruszania się po ziemi. W poruszaniu się w drzewostanie leśnym - po konarach drzew - są bardzo szybkie i skoczne swoją gibkością i zwinością. Stale bardzo czujne. Wszystko to powodowało, iż wytropienie wiewiórki - nawet przy znacznej ich tam w gęstym wysokopiennym lesie świerkowym ilości nie było wcale takie proste, ani łatwe. Jednocześnie były to zabawy bardzo fascynujące i absorbujące wszystkich małych jej uczestników. Przy czym zabawy bardzo ciekawe i pouczające, a przy tym rozwijające szereg cech dodatkich u jej uczestników. Stąd też do takiej wyprawy przypisany był niejako cały rytualny ceremoniał przygotowawczy. Wszystko to rozpoczynało się od dobrania - że tak to można określić - składu osobowego czokówki tej wyprawy, co oznaczało - odebranie i skompletowanie, imiennie, tych spośród siebie którzy pierwsi wejdą do lasu i pierwsi rozpoczną wyszukiwanie wiewiórek; ustalenie w który rejon lasu udaje się wyprawa. Następnie ustalenie zasad postępowania pozostałych uczestników wyprawy, w szczególności - w jakim oddaleniu od czokówki mają wchodzić pozostali uczestnicy, jaki rozstaw między poszczególnymi uczestnikami należy przyjąć przy wchodzeniu do lasu i w lesie oraz jak utrzymywać między sobą wzajemny kontakt i porozumiewać się w gęstym lesie w którym w każdej chwili można natknąć się

na gajowego, a ten takich zabaw wcale nie pochwalał. Wszystko to ustalali między sobą i z własnej inicjatywy same dzieci, przeważnie chłopcy. Było przy tym wiele wrzaskliwych wzajemnych sporów i humorów, a po pozytywnej wyprawie - wiele satysfakcji. Rzecz przy tym należy, że schwytych w takich wyprawach wie-
wiórek nigdy nie męczono i przetrzymywano. Do rytualnego obyczaju należało, że przy wszystkich wyprawach - wiewiórki wypuszczano spowrotem w las.

Zimą natomiast dorastające dzieci skupiały się na zabawnych wycieczkach zjeżdżania sankami "samoróbkami" z różnych znacz- nie zaśnieżonych gór, których we wsi i bezpośrednich jej przy- ległościach było poddostatkiem. Lubianą zabawą była również jazda na "łyżwach" samoróbkach w wybranych miejscach - do tego nadających się - zamarzniętego potoku i glinianek. Łyżwy wyko- nywane były z żelaznych obręczy od beczek. Przygotowane odpowied- nie odcinki tych obręczy - gięto wymiarowo tak, by posiadały dwie krawędzie jezdne, a między nimi wgłębioną - w miarę wyrów- naną - wzdłużną przestrzeń, którą poprzez poczynione tam otwory, mocowano silnie na stałe z jej nakładną częścią drewnianą, sta- nowiącą jednocześnie podstawę stopy do mocowania buta. Zimy w opisywanych okolicach i latach, były zawsze śnieżne i mroźne. Obfitość śniegu, wznórków i pagórków powodowały u dzieci i mło- dzieży ciągłą nieodpartą zapalczywą chęć zjeżdżania na czym kolwiek. Ponieważ zasadniczo większość dzieci obciążana była przez rodziców różnymi, stałymi obowiązkami codziennymi - również i zimą - stąd dzieci we wszelki zmyślny sposób łącząc te obo- wiązki z nieodpartą chęcią zjeżdżania, powodowały tym również różne zabawne, a dla dorosłych nieraz przykre sytuacje. Do takich stałych - między innymi - obowiązków znacznej części dzieci należało nioszenie do domu - ze studni - wody pitnej. Studnie wody pitnej były społeczne - samorządowe, których we wsi było siedem. W tym sześć wykopanych i jedna źródłana - wyciekająca bezpośrednio ze źródła specjalną do tego celu umocowaną rurą. Większość domostw była znacznie oddalona od miejsca studni. Te tak zdawałoby się, prozaiczne obowiązki - nioszenia wody nie były wcale takie małe, jeżeli się zważy że na codzienny użytek samych domowników 5 - 6 osobowej rodziny, potrzeba było co najmniej 50 - 60 litrów wody (5 - 6 wiader), dodając do tego potrzeby dla zaspakajania napoju zwierząt domowych - nprz. dla jednej krowy potrzeba dziennie co najmniej 40 - 50 litrów wody, to ta jak widać potrzeba ogólna, dzienna, wody w domostwie nie była wcale taka mała. Latem potrzeby te pokrywane były przez pojenie bydła bezpośrednio w czystym potoku, a na użytek domo-

ników donoszono wodę do domu ze studni. Latem - na potrzeby domowników - dzieci wodę donosiły w dzbanach. Zimą nie było to możliwe, ponieważ niska temperatura powodowała zamrażanie wody w dzbanku. Donosić wodę trzeba było w wiadrach, które wypełnione wodą były dla dzieci za ciężkie. Stąd donoszenie wody przez dzieci do domostw odbywało się sankami. Przy czym sanki te, to sanki "samerubki". Były to dwie deski z twardego drzewa - dąb, jesion, grab, akacja i tp - których przód obrobiono na półokrąg ku górze. Następnie, część przeznaczoną jako jezdnię wraz obrobionym ku górze półokręgiem, obu desek, wygładzano do prawie lustrzanej gładkości. Tak przygotowane dwie deski, trwale złączano między sobą trzema czterema szczeblami, które stanowiły jednocześnie część siedzeniowią i udźwigową do przewożenia określonej wielkości ładunków. Właśnie na takie sanki "sameróbki", które swą długością dochodziły do 80 - szerokością do 50 i przez witem od dolnej części szczebli do podstawy jezdnej 8 - 10 centymetrów, zabierano z zasady dwa wiadra. Studnie znajdowały się w miejscach niżej położonych. Znaczyło to, że droga prowadziła w dół, a więc możliwość zjazdu na sankach. Powrót odbywał się oczywiście po tej samej drodze pod górę. Tak więc, część dorosłych która donosiła również wodę, pokonywała te odległości w obydwie strony pieszo. Dzieci natomiast z góry zjeżdżały na sankach, a pod górę ciągnęły na tychże samych sankach dwa wiadra napełnione wodą. Droga znajdowała się we wgłębieniach i w niektórych miejscach była bardzo wąska. W tych właśnie miejscach dochodziło dość często do kolizji, głównie między dziećmi, które drogę tą wybrały do zjazdu po wodę do studni, a tymi którzy zdążają w przeciwną stronę z wiadrami napełnionymi wodą. Oczywiście jest, że przy takich kolizjach - pieszego idącego z napełnionymi, przeważnie dwoma, wiadrami pod górę - z rozpędzonymi sankami zakodowanymi dziećmi i hałasującymi wiadrami, pieszy był przegrany jeżeli na czas nieustąpił z drogi, boć został zaskoczony. Następowaly upadki, wylanie niechcianej wody, a przy tym niezamierzona oblawanie się wodą z własnych wiader, co w warunkach minusowych temperatur do przyjemności oczywiście nie należało. Stąd - w znacznej mierze przezabawne - na gorąco dokonywane reakcje, przeważnie dorosłych na te zdarzenia. Wiele było również przy tym humorystycznych i prawie komediowych scenek w tej, wcale nie lekkiej dla wszystkich jej uczestników pracy. Oprócz wspomnianych przykładowo prac wykonywanych przez wiejskie dzieci, w miarę dorastania obowiązane one były również uczestniczyć do szkoły podstawowej, pasać bydło i wykonywać szereg innych prac polecanych im przez rodziców. Stąd wydłużał się czas pracy tych maluchów. Stecując dzisiejszą terminologią, można by to określić

że pracowały "na wydkużonym" dniu pracy. W godzinach rannych uczęszczały do szkoły, a po południu pasły bydło, wieczorem natomiast nierzadko pomagały jeszcze w codziennych domowych obrządkach wieczornych. Były też i takie, których warunki rodzinne zmuszały do tego by godzinę pasania bydła w bardzo wczesnych godzinach rannych i późnych popołudniowych z uczęszczaniem do szkoły. Dzieci te lekcje odrabiali z zasady na pastwiskach. We wsi do roku 1939 nie było publicznego budynku szkolnego. Szkoła istniała w pomieszczeniach budynków prywatnych wynajmowanych przez gminę. Do roku 1930 - w domu nie zamieszkałym - którego właściciel wyjechał za granicę i którego to dom wykupił i w nim wraz rodziną zamieszkał Wincenty Skokun. Rok szkolny 1930/31 dzieci rozpoczęły w nowym miejscu - wynajętym, nowym domu mieszkalnym, którego właścicielem był Antoni Bajrakowski. Był to budynek trzy izbowy w którym - w izbie największej odbywały się lekcje szkolne, druga izba stanowiła mieszkanie nauczyciela, natomiast w trzeciej najmniejszej izbie zamieszkiwał właściciel domu wraz z rodziną. Tak więc we wsi istniała czteroklasowa jednooddziałkowa szkoła podstawowa w której uczył jeden nauczyciel. W opisywanym okresie dwudziestolecia międzywojennego - w początkowym okresie nauczycielem była pani Fuleikówna; jej następcą - w końcu lat dwudziestych - był Józef Niebielecki, którego w 1937 roku zmienił Marian Dulian. Nauczanie w szkole odbywało się na dwie zmiany. Dwie klasy - pierwsza i druga - w godzinach rannych, i dwie - trzecia i czwarta - w godzinach popołudniowych. Warunki ^{rodzin} dzieci uczęszczających do tej szkoły decydowały, że edukacja przewyższającej większości tych dzieci kończyła się na poziomie tej szkoły. Dalsze nauczanie odbywało się w szkole 7-mię klasowej pobliskiego miasteczka, która znajdowała się w oddaleniu ok. 4 kilometrów od opisywanej wsi. Szkołę tę ukończyło - w normalnym trybie dziennym dwóch młodzieńców oraz trzech w trybie wieczorowym. Średnie szkoły znajdowały się w najbliższych miasteczkach powiatowych: Trembowli - oddalonym o 16 i Czortkowie oddalonym o 30 kilometrów. Naukę w szkole średniej - do 1939 roku - rozpoczęło dwóch młodzieńców naszej wsi. Dzięki zaangażowaniu i inicjatywie kolejnych nauczycieli - przede wszystkim Pani Fuleikówny i Józefa Niebieleckiego, przy pomocy większości rodziców uczących w szkole dzieci, mimo bardzo skromnych możliwości istniały przy szkole i aktywnie działające takie zespoły jak: drużyna piłki nożnej młodzików, biblioteka szkolna, zespół gry w szachy, prowadzone tam również działalność harcerską. Poziom nauczania w szkole jak na istniejące warunki był dobry. Nauczyciele byli

także inicjatorami szeregu poczynań kulturalno obyczajowych wśród mieszkańców wsi. Zainteresowanie dzieci i ich chęć uczestniczenia i działania w zespołach było znaczne, a nawet niekiedy wręcz spontanicznie duże. Oczywiście nie każda z dzieci miała odpowiednie warunki domowe sprzyjające uczestniczeniu w pracy wymienionych zespołów. Wielu z nich oprócz opisanych już wyżej obowiązków - pasania bydła i chodzenia do szkoły spełniały jeszcze, pomiędzy powyższymi pracami, obowiązki opiekuna młodszego rodzeństwa. Działo się tak dlatego ponieważ rodzice i wogóle dorośli w każdej rodzinie, każdy możliwy czas wykorzystywali do wszelakich pracownicznych czynności zarobkowych wynikających z wielce zatroskanej zapobiegliwości o warunki bytowania rodziny oraz do pracy zawodowej przysparzającej rodzinie zasobności. A w opisywanych latach i okolicach, nie mówiąc, jak też o periodycznym zwiększeniu zasobności rodziny nie było łatwo. Z tych też głównie przyczyn, praca dzieci we wspomnianych zespołach prowadzona była przez nauczycieli z dużym wyczuciem sytuacyjnym i obyczajności w poszczególnych rodzinach. Względy te narzucały niejako - częstotliwość, porę i czas trwania zajęć. Zajęcia - spotkania w wymienionych zespołach odbywały się z zasady następująco: gry w szachy - do którego to zespołu wyselakojenowanych zostało tylko trzech uczniów czwartej klasy - odbywały się dwa razy w tygodniu. Podczas spotkania rozgrywane tylko jedną partię, przeciwnych sobie stron - jedna to nauczyciel Niebielecki, druga to trzech adeptów Franciszek, Wojciech i niekiedy Tadeusz. Jeżeli po pewnym czasie adeptem udawało się wygrać partię - to każdą taką wygraną nauczyciel wynagradzał, obdarzając każdego z nich tabliczką czekolady. Natomiast jeżeli partię wygrał nauczyciel, to adepty dostawali taką instruktażową reprymendę, że dłużej ją pamiętali w dalszych spotkaniach. Przy czym każdy z nich musiał uzasadniać na tablicy szachowej każdy z dokonanych ruchów - tej, przez nich przegranej partii szachów. Metoda ta dawała pożądaną skutek - z biegiem czasu adepty stali się kłopotliwymi partnerami gry w szachy z którymi chcąc wygrać partię - trzeba się było dobrze namazelić.

Zespół piłki nożnej młodzików - stanowili chłopcy klasy trzeciej i czwartej oraz starsi, byli uczniowie szkoły w pierwszym roku po ukończeniu nauki w tej szkole. Z boiskiem kłopotów nie było - przed szkołą była duża, dobrze porośnięta niska trawa, łaka. W skład zespołu piłki nożnej wchodziło 22 - 26 młodzików z których tworzone było dwie drużyny piłki nożnej. Kierownikiem zespołu był nauczyciel Józef

Niebielecki. W miarę osiąganych umiejętności przez poszczególnych "piłkarzy", w każdej z drużyn wyłaniał się - pod względem umiejętności gry w piłkę - lepsi i gorsi. Kierownik zespołu starał się utrzymać obie drużyny mniej więcej na jednakowym poziomie możliwości stosując przesunięcia wyróżniających się z jednej drużyny do drugiej. Starał się utrzymać w każdej drużynie jednakową ilość piłkarzy, także i pod względem ich umiejętności. Treningi odbywały się w dni niekierśne, lecz rytmicznie co najmniej raz w tygodniu, rzec by tak można na "skrzyknięcie się zawodników" w dniach w których mogli wziąć udział w treningu. Raz w miesiącu rozgrywane były mecze między drużynami.

Usiłowano również utworzyć drużynę piłki nożnej z młodzieży starszej - lecz poza okresowym silnym, tak to można określić, kopaniem piłki - ślabiegi te nie przyniosły rezultatu.

Prowadzone było również z dziećmi prace typu harcerskiego. We wszystkich imprezach typu harcerskiego uczestniczyła cała młodzież wsi, ci którym pozwalał tylko na te czas. Te harcerskie prace grupowały się wokół następujących zagadnień: - imprezy patriotyczne wychowawcze; związane z obchodami świąt państwowych (3-ci maja, 11 listopada) oraz znaczących narodowych rocznic historycznych; imprez sportowo obronnych - marsze, biegi, poznawanie topografii terenu okolic i t.p.; oraz imprezy obyczajowe wychowawcze. Z wyjątkiem imprez związanych z obchodami świąt państwowych, pozostałe imprezy nosiły przeważnie charakter rozrywek i zabaw. Wszystkie imprezy przeprowadzane były tylko późną wiosną, latem i wczesną jesienią - ponieważ odbywały się one na powietrzu pod gołym niebem. Zimą nie było gdzie takich imprez przeprowadzać - brak było do tego odpowiednich pomieszczeń. Nie były to imprezy, prowadzone dość często. Odbywały się one 5 - 6 razy w ciągu sezonu. Były to imprezy, które przynosiły duże dobro - tak patriotycznie, jak i wychowawczo - dla całego środowiska w którym się odbywały.

3. Pisanie bydka.

Odrębnym zajęciem do którego włączane były dość licznie dzieci i któremu poświęcić należałoby nieco więcej uwagi - to pisanie bydka. Odbywało się też w swoisty sposób. Przede wszystkim w okresie dość wczesnych lat dziecięcych. Pisanie bydka, opisywanej wsi do roku 1935, odbywało się w większości na przyleśnych polanach - każda z nich znacznej wielkości - ciągnących się w kierunku zachodnim od wsi wzdłuż potoku Zgniżka Rudka - jego zakąli, a przylegających bezpośrednio do lasów zwanych budzanowszczyzna i kesowski. Każda z opisywanych polan, to teren o wielkości w granicach - trzech do sześciu hektarów - porośnięta dobrą, gęstą i soczystą smaczną dla bydka trawą oraz wysekopiennym drzewostanem rzadko osadzonych

starych drzew, głównie wierzb i olech. Odległość najdalej oddalonej od wsi pelany - dziewiątej - wynosiła ok. 10 kilometrów. Pielnowanie na tych pelanach wypasane go bydła powierzany był odpowiedni skompletowanemu zespołowi pastrzy. Zespół ten kompletowany był na następujących zasadach. Wszyscy gospodarze, którzy dla posiadane go bydła wynajęli pastwiska na wspomnianych pelanach, wyszukiwali starszego wiekiem człowieka - miejscowego - który podjąłby się starszeństwa i pasania przez całe lato bydła tych gospodarzy. Ustalali również jego honoraria, odpowiedzialność i zasady wykonywania tej pracy. Do tego, starszego zespołu, dekanóznami byli kilku dwóch - trzech młodzieniaszków. Resztę tej grupki pastrzy stanowiły dzieciaki w wieku nawet już od siedmiu lat. Z zasady jedno z każdego domu z którego było wchodziło w skład pastwiskowego stada. Stado liczyło 40 - 45 sztuk bydła. Drugie co najmniej tyle na tych prawie samych zasadach, wypasane było na pastwiskach w lasach, głównie zwanych - gętwiną, ścianką, peżary, grabina, dębina. Późną wiosną i latem, bydło wyprowadzane było na pastwiska dwa razy w ciągu każdego dnia. Pierwszy raz - wraz ze wschodem słońca i powrotem do stajen w granicach godzin 9 - 10 z rana. Natomiast drugi raz w ciągu dnia - po południu w godzinach 15 - 16 i powrotem do stajen, wieczorem w granicach godzin 21 - 22. Jesienią bydło wyprowadzane było na pastwiska tylko jeden raz. Odległość pastwisk od opisywanej wsi wynosiła w granicach od dwóch do dziesięciu kilometrów, stosownie do oddalenia kolejnych pelan pastwiskowych. Każdorazowe gromadzenie stada, przed wyjściem na pastwiska, odbywało się poprzez przyprowadzenie swoich sztuk bydła przez każdego z zainteresowanych w pobliże wodopoju i brodu potoku Zgniła Rudka i przejęcie tego bydła - rzecz by można - w marszu przez starszego zespołu pastrzy. Po zgromadzeniu bydła i skrzyknięciu się w głos wszystkich pastrzy, każdy z nich zajmując określone miejsce, kierowali stado na drogę do pastwiska. Droga ta na pastwiskowe pelany prowadziła poprzez bród wspomnianego potoku i dalej ~~wydeptaną~~ ścieżką skrajem lasu zwanego Budzanowszczyzna, a następnie - w znacznym już oddaleniu od wsi - lasu zwanego Kosowski. Słó^{parę}w (tej bydłowej ścieżce poświęcić by trzeba. Była to ścieżka wyłobiona w dość stromym zboczu - i mocno nierównym, wgłębiające ubitym podkoźm i w miarę równo od siebie wzajemnie oddalonymi o znacznej głębokości wyłobinami na całej swej długości. Wgłębienia te wyłobione zostały raciami przechodzącego stale tymi ścieżkami bydła, wskutek jednakowej rozległości kroków każdego z tych zwierząt. Porównawczo miśka ona wyglądem magielnicy, to jest podobawego w danych czasach domowego przyrzędu do wyrównywania

(magiel) bielizny. Ścieżka ta między poszczególnymi pastwiskowymi polanami, przechodziła przeważnie w bezpośredniej bliskości nad urwiskiem - dość znacznej wysokości - brzegu potoku, które te wzniesienia na zboczach, oddzielały między sobą każdą z tych pastwiskowych polan. Podział niejakie funkcji między tą gromadką pasterzy był obrazowo następujący - starszy zespół i delegowani młodzianaszki zajmowali się ogólnym stałym dozorem całości stada, znaczyło - czy są wszystkie sztuki bydła i czy którejkolwiek z nich coś widzianego nie zagraża, czy bydło zachowuje się spokojnie i *zdrowo* i t.p. Natomiast *wszyscy* pozostali, przeważnie młodzi, biegali i pilnowali każdej sztuki bydła, dbali by żadna z krów nie oddalała się od stada, a jeżeli nawet to już nastąpiło - wracali i *dekompletowali* do stada. Dbali by się bydło nie bojało między sobą, nie wychodziło w niebezpiecznych miejscach do wody opływającego polanę potoku, bądź przylegającego do plany lasu. O odpowiedzialności i znaczeniu, tej tak zdawałoby się prostej pracy, tego tak niepozernego zespołu dzieciaków - niech posłuży następujący przypadek - jeden z wielu nie tak rzadko tam zdarzających się. Mianowicie, każdy kto stykał się dawniej z dłuższym bytowaniem w lasach wie, że ubite łosne ścieżki przy nieznacznych nawet opadach deszczu stają się zbyt śliskie. Tak było też w opisywanym przypadku. W jednym z poranków wszyscy pasący bydło na polanach, zatrzymali "swoje stado" na czwartej polanie, zamocilo się na burzę. Po niedługim czasie zaczął padać rzęsisty deszcz połączonej z silnym wiatrem i wyładowaniami atmosferycznymi. W wyniku wichury połączonej z wrzaskliwymi trzaskami dużych drzew oraz trwających grzmotów i wyładowań atmosferycznych, bydło w stadzie stało się *wysoce* niespokojne, wyrażało się to dużą nerwową pobudliwością poszczególnych sztuk bydła i znaczną ruchliwością całego stada. Wymagało od całej gromadki pasterzy dużej cierpliwości i odważnie zdecydowanego działania w utrzymaniu spokoju w stadzie. Ponieważ każda tabunowa ucieczka zdenerwowanego bydła w istniejących tam warunkach terenowych była *bydła* pewnym samobójstwem. Stąd indywidualnie intensywne działanie ochronne polegające na niedopuszczeniu do ucieczki bydła w którąkolwiek stronę, a także poprzez wyłapywanie - zatrzymywanie, bycie przy nim bezpośrednio i prosto prawie, bez rozmowy - trzymanie krowy za rogi, i przytrzymywanie jej w miejscu, uspokajające poklepywanie i głaskanie połączone z ciągłą uspokajającą rozmową - indywidualnie ze sztukami bydła najbardziej pobudliwie podenerwowanych. Na dodatek

tej grozy i zła - w jednej z dziupli wierzb - w wyniku wichury uszkodzone zostało gniazdo szerszeni, co ich bardzo rozdrażniło.

Po nieznamym uspokojeniu się wichury i ustaniu deszczu, zachowanie szerszeni stało się zbyt niebezpieczne dla całego stada bydła. Zmusiło to także grose pasterzy do przejścia z całym stadem bydła na sąsiednią piątą polanę. W trakcie przechodzenia bydła ścieżką nad urwiskiem brzegu potoku, jedna ze starych krów - stanowiąca własność szczęśliwej rodziny Juliana Bajrakowskiego w tym czasie małych dzieci, którego nie było stać na utrzymywanie więcej sztuk krów - potknęła się na ślickiej ścieżce i upadając zawisła całym swoim ciężarem na mocne wygiętych w kierunku potoku, rozłożystych - będących obok siebie - konarach i gałęziach silnie rozkonarzonych drzew będących na kilkumastu metrowej wysokości urwiska brzegu nad potokiem. Groźne te w każdej chwili upadkiem krowy z tej wysokości i bezpowrotną jej utratą dla właściciela, a krowa ubezpieczona nie była. Jednak, mimo bardzo groźnej sytuacji - tak dla ratujących, jak i dla bydła - dzięki odważnie zdecydowanemu działaniu tej małej i tak niepozornej grupki pasterzy dokonano zagrożone zwierzę uspokoić i zabezpieczyć obwiązując go wierzyciami z młodych wierzb i grabczaków. Powiadomić i wezwać na pomoc kamieniarzy - zresztą w większości mieszkańców tej samej wsi - z niezbyt oddalonego kamieniołomu. Powiadomieni kamieniarze przybyli na ratunek w dość licznej grupie, obwiązali krowę parciowymi pasami i ostrożnie sięgnęli z zawisu w bezpieczne miejsce. Tym samym uratowali ją od śmiertelnego upadku, a równocześnie oddali rodzinie Juliana bardzo ważnego żywiciela. W tym ~~pony~~ zakończonym tej tragicznej - prawie bez wyjścia - sytuacji, mieli swój wielki udział zarówno wszyscy i każdy z oddzielnych pasterzy, jak i przybyli tak śpiesznie i licznie na ratunek kamieniarze.

Innego rodzaju zdarzeniem, które nie było obce również temu tak nielicznemu środowisku pasterzy, było następujące. Równocześnie z opisywaną grupką pasterzy, lecz po przeciwnej stronie potoku, tak zwanej megielnickiego lasu będącego dobrem innego właściciela, dziadek Onufry Szostepal pasł stałe krowę swojego syna - mieszkańca tej samej wsi. Dziadek - na miarę wieku - był wówczas rześkim jeszcze człowiekiem. Na przeciwko piątej polany, obok brodu przejścia przez potok - na przywieszonym odcińku dróżki między potokiem a nagypem szutru z wyrobisk kamieniołomu - dziadek Onufry zbudował sobie mały szałasik z żerdzi drzewien pokrytych chrustem i trzeźnową trawą. Szałasik stanowił dla dziadka schronienie przed deszczem i zapewniał dobry widok polany na

której dziadek Onufry pasaż krowę. Pasterze pasący bydło na wynajętych polach - obyczajowo tak się u nich to przyjęło - że po zażaleniu krowy dziadka Onufrego zawsze nawoływali go po imieniu deputy, dopuki się nie odezwał. Po czym pozdrawiali go, pytając czy nie potrzebuje pomocy i przy negatywnej odpowiedzi dziadka następował spokój. Pewnego deszczowego poranka, jak było wczoraj tylko na pięć polach, wszyscy z gromady pasterzy usłyszeli przegłoszony przeraźliwy krzyk i wzywanie pomocy. Udając się na ratunek - w kierunku głosu wzywającego pomocy - zauważyli, że u wejścia szłasu dziadka Onufrego zażarcie uwija się i atakuje to wejście duży zapieniony pies koloru jasno brązowego, a krzyk wydestaje się właśnie z wnętrza tego szłasu, człowieka - dziadka Onufrego, który usilnie broni się przed tym psem. Dziadek mimo osobistego niebezpieczeństwa, słysząc że pasterze idą mu na pomoc, zaczął w głos ostrzegać, że pies jest wściekły. Prawie wszyscy zatrzymali się i przy Jęgu dziadka pomocy wyrażającej się w ciągłym i ostrożnym podpowiadaniu oraz jednoczesnej dalszej ciągłej abrozii przed atakami psa, udało się doprowadzić do tego, że dziadek z szłasu umknął przez przeciwną, do wejścia ścianę tylną, a wściekły pies - wielce niebezpieczny dla wszystkich, ludzi i zwierząt - znalazł się we wnętrzu szłasu, który szczelnie wzmocniając zdołano skutecznie zamknąć, a następnie przez zawalenie tego szłasu - z konieczności bezpieczeństwa, wściekłego psa uśmiercono. W ten sposób udało się uniknąć tragedii, właśnie dzięki odwadze i odwadze dziadka Onufrego. Okazało się później, że tenże sam pies, przed zaatakowaniem dziadka Onufrego, zdołał pogryźć w sąsiedniej wsi kilkuletnie dziecko, które z tej przyczyny po niedługim okresie czasu zmarło w ekstrelnych boleściach. Pies ten przynależał do właściciela wielkich majątków - pobliskiej wsi. Oprócz tego ci mieli pastuszkowie, spełniając należne na nich powinności - będąc przez cały czas pilnowania bydła w ciągłym przeważnie ruchu - wymyślali również różne przemyślane psoty i zabawy. Jedną z takich psoty - zabawy było wykerzystywanie moczonych w peteku przy drugiej polach, drewnianych niecek i kępaty służących do wypieku bieżącego chleba stanowiących własność żony gajowego, do nauki pływania "kędzią". Żona gajowego Felieszczak była kobietą energiczną i dość wzrosłej postury. Miała ona zwyczaj po dekenanym wypieku chleba - wypieku dekenywała każda gospodyni we własnym piecu w cyklach co najmniej raz na tydzień, stosownie do wielkości rodziny - znacznych rozmiarów niecki w których przygotowywała ciasto do wypieku chleba wraz z kępatą na której wyrobienie bochenki chleba wsadzała do pieca, wynosiła do peteku zanurzając je w wodzie - przykładając wszystkie te wewnątrz niecek dużymi kamieniami ażeby nie zabrakł ich prąd wody.

Woda wspomnianego potoku Zgązka Rudka była bardzo czysta - w niektórych miejscach dochodziła nawet do dwóch metrów głębokości. Od gajówki położonej na wzgórku o dość znacznej wysokości - po przeciwnej stronie polany - za potokiem, było do potoku w prostej linii około 150 m, a nadającą się do przejścia ścieżką, około 300 m. Miejsce moczenia przez żonę gajowego swoich niecek znajdowało się przy brzegu potoku po przeciwnej stronie drugiej polany. Tuż za tym miejscem w dół potoku rozpoczynał się dość długi i głębszy odcinek spokojnego przepływu wody potoku. Wśród dzieciaków pastarzy zrodziła się myśl urządzenia właśnie na tym odcinku głębszej wody - miejsca pływania. W tym i nauki pływania "na kędzi". Właśnie do tejże nauki pływania "na kędzi" używali ukradkiem sprzętu, który noszyła w potoku żona gajowego - to jest niecki i kępaty. Niecki miały swobodnie jednego chłepaka, a ich wyperność utrzymywała na wodzie nawet dwóch dzieciaków. Długość i średnica kępaty z powodzeniem zastępowała wiosło. Przebieg zdarzeń - każdego razu był podobny. Dzieciaki kąpiąc się - podkływały z głębszej wody do miejsca gdzie znajdowały się niecki - utrzymując je w pełnym zanurzeniu wywracały je i wygrużki z nich kamienie odpływały z nimi na głębszą wodę, gdzie po odwróceniu niecki stawały się "kędzią". Następnie siadał do niecek jeden, a czasem mniejszych nawet dwóch i wiosłując kępatą pływali do góry, depuki nie zauważały tego z góry - będąca w domu - żona gajowego właścicielka niecek, która niezwłocznie robiła niezwykły wrzask - pomstując na dzieciaków - i biegła w kierunku miejsca gdzie odbywało się pływanie w jej nieckach "kędzi". Właśnie ten podjęty wrzask, był dla chłepaków sygnałem, że pływanie "kędzią" trzeba natychmiast kończyć i niecki wraz z kępatą czemprowadzić odholować w miejsce gdzie były zamoczone i ustawić je w pierwotnym położeniu, co z zasady udawało się uczynić. To znaczy kiedy żona gajowego zbiegła w miejsce gdzie były moczone niecki wraz z kępatą, niecki i kępata stały na swoim miejscu, a chłepaki z niewinną miną tłumaczyli się, że oni nic nie ruszali. Jednak tłumaczenie to odbywało się zawsze w przyzwyczajonej odległości od żony gajowego.

Inną z takich dość częstych zabaw, była zabawa w tak zwanego "sądownika". Była to zabawa, rzec by można - budząca i nadszająca biorącym w niej udział, pewien respekt - a zwycięzcom w takiej zabawie, środowiskowe uznanie i autorytet. Wynikało to chyba stąd, że zabawa ta wymagała od jej uczestnika przede wszystkim - dobrej zdrowia i kondycji, odwagi, wyśokiej sprawnościowej sprężystości i znacznego ryzyka. Zabawa polegała na dokonywaniu szybkiego - w porządzonym kierunku - przemieszczania się w gęstym

wyrośniętym co najmniej na wysokość 8 - 10 metrów, giętkim i przystym drzewostanie (grab, brzoza, dąb) z miejsca na miejsce po wierzchołkach drzew. Wykonywane to następujące: wejście na drzewo w miejscu rozpoczęcia akcji, do wysokości utrzymującej swobodnie człowieka, silne rozbujsanie się wraz z tym drzewem, a następnie zdecydowane przedostawanie się w pełnym ruchu z jednego drzewa na drugie, wykorzystując uzyskaną przy robujsaniu się siłę rozpędu - nie tracąc jej, lecz umiejętnie zwiększając w ruchu, przez co stale przyspieszana jest prędkość przemieszczania się. Przemieszczenie takie, przy przeciętnych umiejętnościach - oprócz oczywistej zabawy - prędkością dorównywał, prędkości jazdy na rowerze po przeciętnie dobrej nawierzchni. Było stosowane też stosowane użytkowo przy poszukiwaniu rozpreszonego bydła, co się niekiedy zdarzało - wyłącznie, gdy bydło znajdowało się na siódmej polanie, gdzie przejście z polany do graniczącego z nią lasu było dość łagodne oraz między siódmą, a ósmą polaną gdzie nie było urwiska nad potokiem przy ścieżce dla bydła. Inne jeszcze zabawy, również niezbyt bezpieczne, polegały między innymi w zdobywaniu umiejętności wchodzenia na wysokie, ogłoczone przez naturę drzewa i gałęzie, wyszukiwanie dziupli - a w nich gniazd młodych stwórców - głównie szpaków, których udawać się nauczyć gwizdać odpowiednio melodie. Zdarzało się przy tym natrafić w dziupli i na nietoperzy - wówczas sprawa była bardzo nieprzyjemna, ponieważ były one bardzo kęśliwe i dotkliwie gryzły w opuszki palców. Dość ryzykowną zabawą było także wyszukiwanie i niszczenie gniazd szerszeń (owad koloru żółtego w ciemno brązowe pręgi poprzeczne. Długość owadu ok. 4 cm., a średnica nawet ponad 1 cm.). Były to stwory nadwzajemnie wrażliwe, złośliwe i jadowite. Ich użądlenie bardzo bolesne, powodujące dużą opuchliznę zarówno u człowieka, jak też u bydła.

4. Polany pastwiskowe:

Ogólnie słów kilka o opisywanych wyżej polanach. Opisane polany znajdowały się po prawej stronie potoku Zgniła Rudka, który początek swój brał we wschodniej części okolicy miejscowości Zarwanica. Potok, zmierzając do swego przeznaczenia - to jest do rzeki Seret, której był prawobrzeżnym dopływem, przepływał między innymi przez wieś Megielnica, od której w oddaleniu ok. 3 kilometrów znajdowała się estaknia - dziesiąta - z opisywanych polan pastwiskowych. Polany pastwiskowe stanowiły w miarę równy teren w zakolach koryta potoku, dobrze porośnięty gęstą,

soczystą i smaczną dla bydła trawą. Nawierzchnia tych pól była stale w miarę dobrze nawodniona przez podciągającą wilgoć z wód okalającego je potoku. Wspomniana polana dziewiąta była polaną całkowicie odkrytą - jedynie nieznacznie porośniętą, w swej części bezpośrednio przy brzegach okalającego ją potoku, wikliną i niskopienną wierzbą. Była ta polana znacznej wielkości - ostatnia na której opisywani wyżej pasterze ze wsi Zaleszenie pasali bydło. Przejście z polany dziewiątej na ósmą było dość dogodnie - trawią, dość szeroką ścieżką - wśród gęsto zarosniętym pasmem młodego drzewostanu wierzb i elch. Polana ósma była w swej południowej i północnej części - dość częste podmokła i tam też porośnięta dość gęsto młodymi elchami. Położona była w podnóżu kamieniackemu - eksponowanego tylko okresowo - zwanego w Diablaj Dolinie ze względu na bardzo trudny wjazd i wyjazd - do i z - tego kamieniackemu. Poza tym w północno-wschodniej części tej polany istniało bardzo silnie bijące źródło - źródło czystej, smacznej i zdrowej wody. Przejście z polany ósmą na siódmą prowadziło dość dogodną, dość szeroką drogą. Polana siódma, była w swej części północnej i północno-wschodniej porośnięta niezbyt gęsto elchami i dużymi różkożytnymi wierzbami. Woda potoku opływała tą polaną dość leniwie i spokojnie, stąd po obu stronach brzegów znaczne zarosła, w tym i kwiaty wodne, i przybrzożne o przepięknych kolorach. Przejście z polany siódmej na szóstą, było znacznie trudniejsze od prezentowanych przejść między poprzednimi polanami - ścieżka dość ubita częstym przechodzeniem bydła - będąca jeszcze w pewnym oddaleniu od brzegu potoku. Polana szоста - znacznej wielkości, dość dobrze odkryta na całej swej wielkości, w swej północno-wschodniej części bezpośrednio nad potokiem mocno zakwiecona różnymi pięknymi kwiatami, mająca dobre i korzystne miejsce do kąpieli w wodach potoku. Polana piąta - dojdzie do niej od polany szostej i odjdzie na polanę czwartą, było mocno utrudnione przebiegały ścieżką dość na zboczach bezpośrednio bliżej urwiska brzegu potoku. Położona była niejako u podnóża - poprzez wody potoku - kamieniackim tak zwanych Megielnickich. Poświadczała na swej powierzchni znaczną ilość starego drzewostanu, głównie wierzb i elch, przy czym była ta polana na której w dziuplach wierzb gniazdzili się różnego ptactwa i nie tylko, bo zdarzyło się też raz, że w dziupli pochylonej przez wichurę wierzbę zagnieździły się również żmije. Polana czwarta, była polaną - przy której okalające ją koryta wód potoku zamykały niejako, będące po przeciwnej stronie potoku - tak zwanej megielnickiego lasu, pasmo pół uprawnych ciągnące się między lasami aż do opisywanej wsi Zaleszenie. Poza tym za potokiem, po przeciwnej stronie wschodniej

części polany były pozostałości ruin po dawnej gajówce, która tam stała i została doszczętnie zniszczona w wyniku działań wojennych w czasie pierwszej wojny światowej. W tym też miejscu schodziły się w jedną drogę prowadzącą dalej w kierunku wsi Zniesienie, dwie drogi: jedna, mało uczęszczana - prowadząca z Mogielnicy wzdłuż potoku tak zwana "jarem", i druga - z leśniczówki poprzez kamieniec Mogielnicki. W tym też miejscu - potok Zgniża Rudka przylegający do lasu tak zwanego Budzanowszczyzna, oddalał się od lasu Mogielnickiego i tworzył niejako możliwość zaistnienia pasma pól uprawnych ciągnącego się stąd w kierunku wschodnim - aż do wsi Zniesienie. Polana trzecia, była to graniczna polana: - u jej wschodniej granicy stykała się z potokiem, leśna przesieka graniczna rozdzielająca tak zwany las Budzanowszczyzna od lasu Kosowskiego. Przesieka ta ciągnęła się w prostej linii - kierunku południowym - aż do przechodzącej u jej wylotu, szesny tuż za miasteczkiem Budzanów prowadzącej do Czertkowa. Las Budzanowszczyzna rozpościwał się w kierunku wschodnim - aż do wsi Zniesienie. Była to gęstwina miedziaka - liściastego lasu mieszanego - dwunaste piętnaste letnia, z rzadko wystawionymi starymi rozłożystymi dębami, wyrzeźbiona po niedawnym wyrębie starego drzewostanu. Natomiast las Kosowski - to liściasty las mieszany - gęste porośnięte starego i wysoko wyrzeźbionego drzewostanu. Obie opisane polacie leśne zasobne były w grzyby i w znacznej części w różnaki runo leśne. Polana trzecia odróżniała się od pozostałych posiadaniem, wśród rzadko porośniętego swego drzewostanu, wiechy starej rozłożystej o średnicy drzewa u podstawy około półtora metra grubości. Przejście z polany trzeciej na drugą i z drugiej na pierwszą odbywały się pod urwiskami brzegu potoku po wąskim skrawku przestrzeni na ścieżki, poziom których równy był prawie z lustrem wody potoku. Polana druga częściowo została już zaprezentowana w powyższej treści, przy opisie pływania pasterzy na "Łedzi", a dodatkowo była to polana na której - do niedawna gajowy Klus uprawiał eknesow Kreczkę, wypasanie bydła odbywało się tylko w pobliżu brzegów zakola potoku. Z tej też polany prowadziła w zalesionym zboczu, dość uczęszczana leśna droga do lasu Kosowskiego. Polana pierwsza, była również niejako polaną graniczną, ponieważ po przeciwnej stronie potoku, początku polany od strony wschodniej, był początkiem granicy - rowu o głębokości 1,5 - 2 m. - ciągnącego się w kierunku północnym, oddzielającego ekleskie pola uprawne i dalej lasy hrabiowskie Berkowskiego, od pól uprawnych i lasów Hautmana. Przy przejściach z polany drugiej na pierwszą, jak też z polany pierwszej w kierunku wschodnim w kierunku wsi Zniesienie ze speln szpar z całych przestrzeni urwisk kamiennych tych przejść spływała źródłana woda dość obfitymi strumieniami.

- 34 -

5. Spór o pastwiskowe polany.

Polany użytkowane były pastwiskowe, tylko do lata 1935 roku w końcu którego " przemożni " posiadacze lasów do których przylegały polany, wykupili je i nakazali zasadzić je sadzankami młodego drzewostanu. W rezultacie tego nastąpiło wstrzymanie wynajmu tych polan na pastwiska dla mieszkańców wsi Zniesienie, co było równoznaczne z pozbawieniem znacznej części mieszkańców tej wsi możliwości wypasu bydła na pastwiskach, których wynajmu można było dokonać legalnie. Żadnych pastwisk w zamian nie oferowano i nie dawano. Mieszkańcy wsi występowali do nowych właścicieli z prośbą o pozostawienie nadal tych polan jako pastwiskowych. Na te prośby wcale nie reagowano, mimo że znaczna część mieszkańców tej wsi była stałymi pracownikami na różnych majątkach tychże właścicieli. Brak szczegółowych w zamian zlikwidowanych pastwisk, spowodował nielegalne niedozwolone wypasanie bydła na terenach ekwin ekwilicznych lasów, granicznych rowach, a także na części poprzednio wypasanych polan - mimo zasadzenia tam młodego drzewostanu. Dziać się tak musiało, ponieważ większość rodzin nie stać było na wydzielenie z własnych gruntów uprawnych kawałka ziemi na pastwisko dla posiadanej krowy, a posiadanie własnej mlecznej krowy stanowiło warunk życia rodziny - głównie dzieci. Uwzględnić należy przy tym fakt, że te wszystkie dokonywane były we wsi w której egród każdego gospodarstwa przylegał bezpośrednio do lasu - wielkich polach leśnych ekwilających wieś, w których znajdowały się znaczne obszary terenów porośniętych dobrą trawą, która - bez żadnej szkody dla lasów mogłaby być spaszona przez bydło - nie była wykorzystywana i zupełnie niszczyła. Ten stan powodował rozgoryczenie i spór. Ponieważ wszelkie zakatwienia spraw polubownie dla mieszkańców wsi nie dały rezultatu. Wypasanie bydła w niedozwolonych miejscach było właśnie elementem walki. Praktycznym wyrazem tej walki, były różne przypadki utarczek między pojedynczymi mieszkańcami wsi, pasącymi w niedozwolonym miejscu krowy, a gajowymi (stróżnik leśny strzegący odpłatnie majątku właściciela lasu), którzy z zasady z nagłą i skrycie nacierali pasących bydła chłepów. Przyłapani na gorącym uczynku podlegali karze nawet do 10 złotych, względnie w przypadku nie zapłacenia - karze aresztu dniówkowe równoważnej tej sumy. Była to kara bardzo dotkliwa. Ciężkości procedury przyłapania na gorącym uczynku, musiał odpowiadać jednak wiarygodności i fizycznie bezwarunkowe spełnienia - jeden bardzo istotny szczegół, bez spełnienia którego sprawie nie można było nadać prawnego biegu. Otóż w chwili przyłapania, przyłapujący którym był gajowy musiał być zająć uszkodnika - to jest krowę z miejsca zdarzenia,

być posiadać wiarygodnego świadka - który zaszkodzi na miejscu zdarzenia widział i zechce zaszkodzić tą (wykroczenie) opisowo i wiarygodnie przedstawić dla władnego do rozstrzygnięcia sporów gminnego organu administracyjnego lub sądu. Przyznać trzeba, że spełnić ten zasadniczy warunek - gajewemu było bardzo trudno, a w przewyższającej większości przypadków nie udawało się wogóle. Gajewy jednak, we własnym interesie warunek ten - wszelkimi sposobami - spełniać usiłował i spełniać musiał. Przykładem takiej zaszkodzi może być następującej - jeden z szeregu autentycznych obrazków - tych z napotykanymi przez gajewego niemożliwościami. Mianowicie: w jedną z późnych wiosennych niedziel, bardzo wczesnym rankiem - wraz ze świtaniem, spotkali się przypadkowo na drodze pędzącej na niewiadomym pastwisku po jednej krowie - trzech, mieszkających w niedalekim od siebie oddaleniu, mieszkańcy opisywanej wsi Złocień. Byli to - Ludwik B., Piotr S. i Wojciech P. - będący wśród nich najmłodszym chłopakiem. Pozostali dwaj - to już mężczyźni i kobiety. Razem postanowili, że dla prowadzonych krowek należy znaleźć dobre pastwisko niedaleko wsi, ponieważ każdy z nich - jak obawiają się obywateli - musi zdążyć na mszę odprawianą o godz. 7⁰⁰, w nowo wybudowanym w wsi kościele rzymsko katolickiego przez dojeżdżającego tu księdza raz w niedzielę z kościoła parafialnego w Janowie. Takim właśnie pastwiskiem mogła być tylko pobliska polana, położona w zakolu potoku i będąca do niedawna wyjątkowo pastwiskiem, przylegająca bezpośrednio do lasu zwanego Budzanowszczyzna, na której to polanie - właściciel, wbrew usilnym prośbom mieszkańców wsi, o pozostawienie jej na dłu jako polany pastwiskowej do wynajmu, kazał zasadzić młode drzewka i zabronił pasać bydło. Wspomniani wyżej trzej mężczyźni, właśnie tam poprowadzili te swoje trzy krowy. Uznali jednak, że należy się zabezpieczyć przed nagłym najściem gajewego, którym wówczas w tym rejonie był Korneł L. - mężczyzna dość znaczącej postury, energiczny i do przechliwych nie należał, zresztą były mieszkańiec tej wsi ożeniony do pobliskiego Budzanowa, gdzie po ożenku zamieszkał. Wspomniana polana położona była w dole w stoku do wznoszącego się po znacznej przekątnej stromiznie pobożna porośniętego gęstwiną młodego drzewostanu mieszane lasu liściastego w miejscu niedawno dokonanej wyrąbki - wiekowe bardzo starego wysokiego drzewostanu. Dojście do polany było bardzo utrudnione i prowadziły tylko krętą, wąską - edrą tylko do potoku - ścieżką, tuż nad znacznym przywieszonym urwiskiem żwiru kupkowym brzegu potoku. Przeciwnie do polany strona, to pas egredów długości około 100 m. i dalej również dość strono wznoszące się pobożne tereny lasów - innego właściciela. Zabezpieczenie przed nagłym najściem gajewego w opisanym wyżej

warunkach terenowych, wspomniani wyżej trzej pasący swe krowy postanowili dokonać następujące - Piotr S. umieścił się w dogodnym do obserwacji, ewentualnego nadejścia gajowego, miejscu na wzniesieniu przeciwległego lasu za ogrodami, Ludwik B. - znalazł dogodny do takiejże samej obserwacji miejsce w gąszczu zarośli wierzby nad brzegiem potoku, bezpośrednio po przeciwległej stronie pelany, Wojciech P. znajdował się bezpośrednio na pelanie z trzema krowami w każdej chwili gotowy do ucieczki skrytej z tymi krowami w neutralne miejsce. Trawa na pelanie była smaczna dla bydła i duża - dość wyrosnięta. Krowy pasły się bardzo dobrze. Wschodzące słońce, śpiewające ptactwo leśne - zieleń, kwiecie i przepiękna świeżość rozwijającej się przyrody wprowadzało każdego człowieka w określany nastrój. W samej prawie końcówce, trwania tego tak dotąd spokojnego pastwienia krów w tym niedozwolonym miejscu, spokój ten zakłócił wymieniony już wyżej gajowy. Zauważył go ze swego miejsca obserwacji - dość późno - Piotr S. i przekazał, w sposób dość alarmistyczny, uprzednio uzgodniony sygnał ostrzegawczy swoim dwóm kolegom. Lecz gajowy był już stosunkowo blisko. Ze względu na zbytnią bliskość gajowego, przestali dwaj koleżki - po otrzymaniu sygnału ostrzegawczego - w lot podzielili między siebie rolę dalszego postępowania każdego z nich w celu niedopuszczenia do rozpoznania czyje krowy znajdowały się na spisanym pelanie, bądź nawet do ewentualnego złapania którejś krowki z nich. Mianowicie - Ludwik B. szybko począł wypędzać z pelany - spiesząc - krowy na ściółkę leśną w stronę przeciwną do kierunku zbliżania się gajowego. Wojciech I. - zdecydował się przeszkodzić gajowemu w zbyt szybkim jego zbliżeniu się do pelany z której Ludwik B. spieszenie wypędził krowy. Wojciech, dążyąc się do przeszkodzenia gajowemu w szybkim dojściu do pelany, ukrył się niewidocznie w jedną z kęp gąszczy prętów - mocno zaliścionych - ciasno obrosniętego, wydatnych rozmiarów, pała - świętego wickowa starego graba, znajdującego się tuż przy wąskiej ściółce nad żwirowe łupkowym pociętym umiarkowanym brzegu potoku. Niewidoczny z zewnątrz, zaczajony w wysokim wewnętrznym napięciu, zachowując bezwzględny spokój, będąc wewnątrz tych gąszczy spokojnie czekał na uczynienie czegoś co zatrzymałoby dalsze zbliżanie się gajowego. Gajowy zbliżając się do pelany - z daleka już zachowywał się zbyt hałaśliwie, stale przeklinając i wykazując duże zdenerwowanie - był bardzo pewny siebie, giczege nie zauważył i nie podejrzewał nawet, że ktoś odważyłby się przeszkodzić mu w zajęciu krów. Będąc w zacietrzewieniu, cały zapatrzony z cddali w sytuację na pelanie do której spiesząc celem zajęcia (złapania) będących tam krów, podszedł do miejsca

zaczajenia się na niego Wejciecha P.Z. chwilą zrównania się z tym miejscem, został z niemacka - podcinające nogi - potrącony becznie tak, byzleciał nogami w przód na żwirowe żupkowe zbocze urwiska brzegu potoku. Stało się to tak nagle i z zaskoczenia, że gajowy zdążył tylko wykrzyknąć - ooh ! i spadł na zbocze, po którym wraz ze żwirowe żupkowym szutrem, leżąc - nogami, wyprzedzające do dołu - zsunął się do płytkiej w tym miejscu wody potoku. W tej, tak niespodziewanej "przesiadce" wyleciały mu z rąk - strzelba i laska, które z opóźnionym posuwem gonily za nim w tym samym kierunku, dochodząc go nad wodą. Te dodatkowe niejako czynności gajowego, wystarczyły, by pasące się na polanie krowy wyprowadzić na publiczną gminną łąkę i upezerować ich tam stałe przebywanie. Gajowy po wysuszeniu - względnym - zmoczonego od usunięcia się w wodę ubrania i przybyciu na gminną łąkę, mimo dość uważnego przyglądania się wszystkiemu, nie interesującego dla siebie nie zauważył. Jego zachowanie się nie wskazywało, by kogokolwiek rozpoznał z uczestników opisanego zdarzenia. Nikogo nigdzie nie wzywano i nikt z tego tytułu żadnej przykreści nie doznał. Żadnej delegliwości, prócz zamoczenia, nie doznał także i sam gajowy - mimo nagłej "przesiadki" i jazdy na gapę. "Przesiadka" była bardzo miękka, jazda darmowa i w prawidłowej pozycji do mety, którą była woda potoku o głębokości w tym miejscu po kostkę. Tak stać się musiało dlatego, ponieważ chłopimansibili wypasać gdzieś swoje bydło, szczególnie ci biedni - czego właściciele wielkich majątków, w tym i ekologicznych lasów, mimo różnych próśb - nie brali tego pod uwagę - a zignorowali całą sprawę i samych mieszkańców wsi, likwidując pastwiska na opisywanych polanach.

6. Strajk o pastwisko.

Spory i wręcz walka o pastwiska na wypas bydła chłopskiego nie była zaszłością właściwą tylko dla opisywanej wsi Zalesienie. Zatargi między właścicielami dużych majątków ziemskich i chłopami, wynikające na tle nie liczenia się z podstawowymi potrzebami, a w znacznej części wręcz ich ignorancji, bardzo istotnych spraw - chłopów opisywanego regionu przeradzały się nawet w strajki. Do takiego właśnie strajku doszło w 1937 roku w pobliskim miasteczku Budzanów. Okoliczności zaistnienia i przebieg tego strajku były następujące : przy drodze wylotowej z miasteczka w kierunku południowym istniało około 90 hektarów terenu gminnego wykerzystywanego jako publiczne pastwisko. Był to teren o znacznej pochyłości - wznoszący się od zabudowań południowo zachodniej części miasteczka, ku wyżej wspomnianej już drodze i graniczący swym zachodnim bokiem z przyległymi lasami - własnością hrabięgo, jednego z wielkich właścicieli ziemskich w tym fejencie. W tym 1937

reku, okazało się że władze miejskie odsprzedały opiszony teren pastwiska temu właśnie hrabiemu, a ten zabronił wypasania na terenie bydła i rozpoczął zasadzać tam młody drzewostan. Ten fakt mocno zbulwersował strajkujących - się bezpośrednio z tym terenem mieszkańców miasteczka Budzanów - części zwanej "Kut". Ponieważ w każdym gospodarstwie, obyczajowo - "bliżej" krowy była gospodyni domu, właśnie one to nie wytrzymując swojego zbulwersowania, udały się - zwołując po drodze jedna drugą - na opisywane wyżej pastwisko z celem niedopuszczenia do zasadzenia na nim młodego drzewostanu. Po wyjściu na pastwisko, swoją obecnością, zagroziły możliwość wykonywania pracy - sadzenia młodych drzewek - przez wynajętych do tego celu robotników. Fizycznie pracy tej wykonywać nie było można, ponieważ stały na tym terenie kobiety. Kierujący tymi pracami miejscowy gajowy, od czasu do czasu dowcipkując - zaczął wzywać kobiety do opuszczenia tego terenu. Widząc że nie odnosi to żadnego skutku, zaczął kobietom grozić. Wiść o zajściu dotarła do dyrektora - zarządzającego w majątku hrabiiego tym terenem. Ten skolei powiadomił policję - wzywając ją na pomoc. Policja zaczęła interweniować, lecz po przybyciu na miejsce zajścia panował tam zupełny spokój. Na miejscu obraz zdarzenia przedstawiał się następująco - zbiorowisko kobiet stało spokojnie na pastwisku, a naprzeciwko tego zbiorowiska kobiet stało również kilkunastu robotników niemogących zadzić drzewek ze względu na fizyczną obecność zbiorowiska kobiet w miejscu przeznaczonym do sadzenia drzewek. Oczywiście jest, że wszystko to czynione było w niezgodzie z postanowieniem miejscowych władz. I stąd ich niezadowolenie. Wynikiem tego niezadowolenia była początkowo natarczywa perswazja ze strony władz i nakłanianie do zejścia zbiorowiska kobiet z terenu pastwiska. Następnie zastraszające pogroźki i wreszcie interwencja policji, usiłującej usunąć strajkujących z miejsca strajku. Daleszy przebieg zamieszki strajkowych był następujący. Po nieudanej akcji z usunięciem strajkujących z miejsca strajku, policja zaczęła ochraniać obiekt wraz ze strajkującymi niedopuszczając do nich osób, które donosiły tam pożywienie strajkującym. To spowodowało, że chłopci - przeważnie mężowie strajkujących kobiet - na ochrańcane przez policję pastwisko, wypuścili dojne krowy których policja nie zdołała zatrzymać. Gdy krowy znalazły się wewnątrz ochrańczonego terenu i w dostępie strajkujących kobiet - dojąc krowy i pijąc mleko - mogły one nadal strajkować bez ostrymywania dodatkowych produktów żywnościowych, dostarczenie których uniemożliwiła policja. Od tego momentu, krowy - na równi z ludźmi - znalazły się w zasięgu strajku. Do strajkujących dołączył również ksiądz proboszcz miejscowej parafii wyznania rzymsko katolickiego Stjepan Ufryjewicz - z którymi przebywał na miejscu

do zakończenia strajku. Ponieważ żadna, z zastosowanych przez policję form i sposobu interwencji przeciw strajkującym, nie przyniosła zamierzonego skutku policja zaprzestała mieszania się w powstały spór, a władze administracyjne zobowiązały się - że teren sporu pozostanie nadal jako pastwisko gminne. I tak po dwóch tygodniach trwania, strajk zakończył się zwycięstwem. Były to epizody sporów chłopów - wcale nie jedyne.

VIII. Spór o drogi. dojazdowe do chłopskich pól uprawnych.

Mieszkańcy opisywanej wsi Zniesienie, mieli również szereg innych powodów do sporów z właścicielami ekologicznych wielkich majątków ziemskich - pól i lasów. Między innymi, bardzo dla mieszkańców opisywanej wsi istotnym elementem sporu było permanentne uporczywe odrzucanie starań - czynionych przez chłopów tej wsi - o uzyskanie możliwości skrócenia o połowę odległości dojazdu do własnych pól uprawnych istniejącymi od dawna najkrótszymi drogami, które prowadziły przez lasy stanowiące własność wymienionych już wyżej właścicieli ziemskich. Wspomnieć trzeba, że dojazd - większości mieszkańców wsi - do własnych gruntów drogami gminnymi wynosił w granicach 6 - 10 km w jedną stronę. Skutku też nie przynosiły różne zabiegi i starania zgłaszane i czynione przez gminę, włącznie z propozycją wykupu przez gminę omawianych wyżej dwóch, położonych w różnych miejscach, odcinków dróg należących także do dwóch różnych właścicieli. Gmina proponowała wykup tych dwóch dróg na warunkach hipotecznej gwarancji równoprawnego - po wykupie - korzystania z tych dróg dotychczasowych właścicieli dla potrzeb własnych. Sprawa dotyczyła - w jednym przypadku, odcinka drogi przez las o długości ok. 5 km., a w drugim przypadku, odcinka drogi o długości ok. 3 km. Powyższa propozycja gminy też nie uzyskała akceptacji dotychczasowych właścicieli tych dróg. Mimo widocznej, na co dzień, dla każdego, uciążliwości dla mieszkańców wsi powodowanej niedostępnością do wspomnianych wyżej dróg, właściciele wielkich posiadłości ekologicznych lasów nie wyrazili zgody na użytkowanie tych dróg przez mieszkańców opisywanej wsi - za odpowiednią opłatą, ani też odsprzedania tych dróg dla gminy z zapewnieniem hipotecznym wyżej opisanym.

Zyskiem jednak tego sporu, było zniesienie - istniejącego jeszcze do połowy lat dwudziestych - opłat "myta" i szlabanu na drodze przejazdu do własnych gruntów uprawnych zwanych "Kopań" - mieszkańców opisywanej wsi - jedyną drogą, która do tych gruntów prowadziła przez lasy wymienianych już wyżej wielkich właścicieli ziemskich.

IX. Zarobkowa emigracja mieszkańców wsi za granicę

Ciężkie warunki bytowania mieszkańców episywanej wsi i duże trudności w uzyskaniu jakiegokolwiek stałej pracy zarobkowej w okresie lat 1918 - 1939 były przyczyną emigracji zarobkowej mieszkańców naszej wsi za granicę. W poszukiwaniu pracy zarobkowej wyjechali następujący mieszkańcy episywanej wsi:

do francji: Michał Paralusz - we francji pozostał.

Michał Chema - we francji pozostał. We wsi odkupił mały domek z budynkiem gospodarczym - dla rodziny.

Józef Jęderewicz - we francji pozostał. We wsi wybudował własny dom.

Władysław Jęderewicz - pomyślnie i wybudował we wsi własny dom.

Józef Jęderewicz - we francji pozostał.

do kanady: Józef Wasyliak s. Michała - w kanadzie pozostał.

Szczepan Zajac - w kanadzie pozostał.

Karol Jęderewicz - w kanadzie pozostał.

Lech Pleszcak - pomyślnie do polski po II wojnie Światowej.

Stefan Sankiewicz - pomyślnie i wybudował we wsi własny dom i zabudowania gospodarskie.

Filip Dysiewicz - w kanadzie pozostał.

Michał Dysiewicz s. Piotra - w kanadzie pozostał.

Ludwik Pleszcak - w kanadzie pozostał.

Karolina Pleszcak wraz z dwoma córkami - Rozalią i Józefą, wszystkie pozostały w kanadzie.

Józef Bajcar s. Franciszka - w kanadzie pozostał.

Hilary Bajrakowski - w kanadzie pozostał.

X. Organizacje polityczne, społeczne i paramilitarne jakie istniały w opisywanej wsi.

1. Stronictwo chłopskie.

We wsi - od 1924 roku - działało koło Stronictwa Chłopskiego, które w 1931r. przekształconó w koło Stronictwa Ludowego. Koło SL tworzyli członkowie wsi Zniesienie i Słobutka Janowska. W latach trzydziestych prezesem tego koła był Jakub Powszek mieszkaniec wsi Słobutka Janowska. We wsi Zniesienie do koła Stronictwa Ludowego należeli: Marcin Osowski, Krzysztof Wasylik, Ludwik Bejcar, Tadysz Pleszczak, Jan Pleszczak, Stefan Semkowicz, Sebastian Jędorowicz, Józef Zajac s. Grzegorz, Wojciech Jędorowicz s. Karola, Wojciech Szostopał s. Onufrego, Jan Szostopał s. Onufrego, Kazimierz Mazur, Władysław Jędorowicz, Karol Jędorowicz, Antoni Pleszczak, Michał Pleszczak, Ludwik Skokun, Władysław Meskalik, Ludwik Bajrakowski, Stanisław Dysiewicz, Wiktor Dysiewicz, Józef Wiśniewski, Karol Bajrakowski, Julian Bajrakowski, Antoni Bajrakowski, Wojciech Jędorowicz, Władysław Gitler, Szczepan Skokun, Stanisław Gach. Stronictwo Ludowe było stronictwem o programie Witosa, a Witos był wówczas w nielaskie władz.

2. Komitet budowy kościoła.

Inisjatywą członków wspomnianego wyżej koła Stronictwa Ludowego wznowione zostały udane starania o podjęcie budowy we wsi kościoła przez wiernych wyznania rzymsko katolickiego. Wybudowanie własnymi siłami kościoła, było dla mieszkańców opisywanej wsi więcej znaczącym wydarzeniem. Stało się to możliwe przez dobrowolne zaangażowanie się w budowę wszystkich rodzin wsi. Zobowiązanie się każdej rodziny, łożenia określonych przez siebie danin i bezpośredniej pracy liczonej w dniówkach bezpośrednio przy budowie lub na rzecz budowy kościoła. Cała wieś, za wyjątkiem 4-rech rodzin, była narodowości polskiej i wyznania rzymsko katolickiego. Sprawę budowy we wsi kościoła starsi jej mieszkańcy podnosili już wcześniej, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Zaszłości której temu przeszkodziły. Pozostałością po tym wcześniejszym działaniu, było zgromadzenie ok. 10 m³ kamienia murarskiego i ok. 5 ton murarskiego wapna gaszonego, które zakopane było w ziemi - tuż za mostkiem nad potokiem przy wjeździe na pola zwane "Łan" i, obok drogi prowadzącej do Budzanowa. Tam też ułożony był wspomniany wyżej kamień murarski. Głównym inspiratorem budowy we wsi kościoła, było jednak duże oddalenie - 6 km kościoła parafialnego od opisywanej wsi, który znajdował się w m. Janów

Sprawa budowy kościoła stanęła we wsi ponownie w 1926 roku. Zorganizowano walne zebranie wszystkich gospodarzy wsi na którym wybrano społeczny komitet budowy kościoła. W skład komitetu weszli:

Szczepan Osowski - przewodniczący, który po roku czasu zrezygnował z tej funkcji i członkostwa w komitecie.

Jan Pleszczak - zastępca przewodniczącego, jednocześnie skarbnik, a po rezygnacji przewodniczącego, wybrano go przewodniczącym

komitetu, którą to funkcję pełnił aż do czasu zakończenia budowy kościoła.

Stanisław Dysiewicz - członek komitetu, a po reku czasu wybrany został zastępcą przewodniczącego komitetu z równoczesnym pełnieniem obowiązków skarbnika. Członkami komitetu budowy kościoła zostali wybrani: Władysław Gitler, Kazimierz Mazur, Marcin Osewski, Jan Bajrakowski, Wojciech Szestopal s. Onufrego, Stanisław Gach.

Praca w komitecie wykonywana była wyłącznie społecznie, bez jakiegokolwiek postaci wynagrodzeń lub przywileju z tego tytułu. Stosownie do potrzeb praca komitetu prowadzona była wielokierunkowo i dynamicznie. Przy czym wszystkie poczynania i umowy związane z uzyskaniem materiałów budowlanych i nieodzownych specjalistów budowlanych wymagały poręczenia gwarancji majątkowej, osób które takie starania czyniły. Poręczycielami tymi byli - przewodniczący i skarbnik komitetu budowy kościoła, którzy nie mając jeszcze społecznych środków, ryzykując, gwarantowali własnym majątkiem wypłacalność podpisanych przez siebie umów wykonawczych budowy kościoła. Z tej właśnie przyczyny (odmowy poręczenia własnym majątkiem umów) nastąpiła zmiana przewodniczącego komitetu

Wszystkie środki na budowę kościoła pochodziły z darowizn i datków społecznych o uzyskanie i nagromadzenie których nieodzownym było usilnie zabiegać, głównie właśnie członkiem komitetu. Podstawowa grupa środków i funduszy pochodziła z dobrowolnie, indywidualnego opodatkowania się w formie składki pieniężnej względnie innej postaci materialnej, w stosownej wysokości, każdego bez wyjątku domostw naszej wsi Zniesienie. Jedną z początkowych form zbierania funduszy było dokonywane kolejno uroczyste poświęcenia i chrzciny (nadawanie imion) figur, dzwonu i inne. Pierwszym organizowanym przez komitet było poświęcenie krzyża. Mianowicie: Kilku miejscowych kamieniarzy sztukatorów, wykonali w 1926 roku figurę - granitowy krzyż na wysokim postumencie. Postawiono w miejscu w obrębie miejsca przyszłego kościoła. Poświęcenie dokonane zostało w jedną z niedziel, z uroczystym odprawieniem modłów z całą asystą kościelną celebry - przez proboszcza parafii księdza Marcina Stefankiego. Na tę uroczystość zapraszano odpowiednie osoby do pełnienia zaszczytnej asysty - i chrzestnego - w trakcie uroczystości poświęcania poświęcania figurze (dzwonu). W dniu uroczystości poświęcenia, figurę prześlicznie ukwiecano, a na okręgu ukwieconego wieńca nałożonego na figurę, uwiązane były odpowiednie ułożone i zwisały - różnych kolorów właściwej długości wstęgi chrzestnych. W trakcie uroczystości każdy(a) z chrzestnych trzymał koniec swojej wstęgi. W stosownym czasie w trakcie przebiegu uroczystości, odbywała się zbiórka wian chrzestnych i dla uczestników uroczystości, które w całości przeznaczone były na budowę kościoła. Stąd istotnym było, ażeby chrzestny(na) był osobą

nie tylko powszechnie szanowaną, ale też odpowiednio zamożną - gdyż dawało to nadzieję na złożenie przez taką osobę odpowiednio wysokiego wiana (daniny). Przy zachowaniu prawie tożsamej czynnościowo uroczystości, dokonano w 1927 roku poświęcenia nowo zakupionego dla przyszłego kościoła dzwonu i wykonanej własnymi siłami dzwonnicy.

Inną formą gromadzenia funduszy na budowę kościoła, było zbieranie również datki poprzez zorganizowaną kwestę w miejscowościach na obszarze całego powiatu trembowalskiego. Odbywało się to na podstawie, wyjednane go u starosty powiatowego, zezwolenia pisemnego na kilka do trzech osobowych grup. Zezwolenie określało termin przeprowadzania kwesty. Po upływie terminu zezwolenie należało zwrócić do starostwa. Kwesta organizowana była w sposób następujący: po uzyskaniu względnie dobrego rezeznania, dokonywano ustaleń do jakich miejscowości pójdzie kwesta, określano ilość ludzi niezbędnych do przeprowadzenia kwesty oraz czasokres jej trwania. W oparciu o polubowne rozmowy, wyjednywane i ustalano imienny skład osobowy dwójek chodzących nieodłącznie ze sobą po kweście. Każdej dwójce przygotowywano jedną zamkniętą skarbonkę - do zbierania w niej pieniędzy - wraz z imiennym zezwoleniem podpisanym przez starostę powiatu z wyszczególnieniem w jego treści: celu na jaki przeznaczona jest dekenywana zbiórka pieniężna i czasokresu ważności danego zezwolenia. Czasokres trwania kwesty wyznaczany był na dwa tygodnie. Odbywało się to w okresie przed śnieżnym - chodzeniem na piechotę od domu do domu. Po takim przygotowaniu - komitet budowy kościoła wraz ze wszystkimi osobami, które wyraziły zgodę na chodzenie po kweście, odbywał zebranie w trakcie którego: uzgadniał imiennie która dwójka, w którym dniu i do której miejscowości pójdzie, kto w danej dwójce będzie starszy - nosił będzie na szyi skarbonkę - każdemu z tych starszych wręczano blaszaną skarbonkę, którą po sprawdzeniu przez nich zamknięto na patentową kłódeczkę, klucz od której pozostawał u skarbnika komitetu. Wręczano im również imienne upoważnienie z podpisem starosty i przypomniano o obowiązku zgłoszenia i wyłigitymowania się, każdorazowo, u sołtysa (burmistrza) miejscowości przed przystąpieniem w niej do chodzenia po kweście. A także, że po powrocie z kwesty obowiązkiem każdej dwójki jest - w trybie niezwłocznym - zgłosić swój powrót przewodniczącemu komitetu i zdać skarbnikowi skarbonkę, wraz z nim przeliczyć ilość zebranych pieniędzy i podpisać króciutki protokół z tej czynności oraz oddać imienne upoważnienie na dokonywanie kwesty. Odmianą formą, w której również liczone na pewien wpływ funduszy, to szerokie rozreklamowanie - ustnie, osobistym przekazem sprawy rozpoczęcia budowy kościoła - wśród mieszkańców okolicznych miejscowości a także przekazywanie informacji i stosownej prośby w drodze odwiedzania określonych organizacji i stowarzyszeń, jak również indywidualnie zamożnych tych okolic. Odbywało się to głównie przez wykorzysty-

nie okazyjnie osobistych kontaktów przez znanych i znacząco uważanych (powszechnie szanowanych) w okolicy mieszkańców wsi, z im dobrze znanyymi osobistościami innych miejscowości i tą drogą przekazywanie tym drugim w stosowny i właściwy sposób, szerszej informacji o rozpoczynającej się budowie kościoła i formach gromadzenia na ten cel funduszy. Szeręg osób - tą drogą zobowiązało się i w stosowny znacząco sposób wspomogło budowę kościoła. Sprzyjającą okolicznością zwrócenia się o pomoc w budowie kościoła - adresatów której wskazywała sama przyroda - było samo położenie wsi Zniesienie. Jak już wspomniano wyżej, wieś położona była w dość rozległym jarze, otoczonym z dwóch stron dużymi obszarami lasów mieszanych. Lasy te oprócz bogactwa dużych ilości różnorodnego runa leśnego, bogate były również w znaczne zasoby kamienia użytkowego - od piaskowca po granit w różnych odmianach i odmieniacach. W pobliskiej okolicy było kilka kamieniołomów, pracownikami których w znacznej części byli mieszkańcy opisywanej wsi. Podstawowym budulcem kościoła miał być kamień. Stąd działania o uzyskanie kamienia. Drogą indywidualnych rozmów i na walnym zebraniu mieszkańców wsi, każda rodzina - stosownie do możliwości i zasobności - zobowiązała się zakupić określoną w m³ ilość kamienia na budowę kościoła. Z kolei koniecznym stało się wyjednanie u właścicieli kamieniołomów korzystnych umów na jednorazowy - w krótkim terminie - zakup różnych wymiarów i rodzajów znacznej ilości kamienia budowlanego. Koniecznością stał się też zakup - odpowiednio niezbędnych wymiarów, gatunków i asortymentu - bali drewna świerkowego i sosnowego na budowę konstrukcji dachowej i wieży, a po części również i dębowego na obudowę i wyposażenie wnętrza kościoła. Kamień do budowy kościoła - po zakupie - wydobyli i przygotowali do przewozu miejscowi kamieniarze w dwóch kamieniołomach: Mogielnickim i Rozwale. Drewno też - po jego wykupie - wyrębali i przygotowali do przewózki mieszkańcy wsi własnymi siłami. Zwózki całego uzyskanego materiału budowlanego dokonano również własnymi siłami opisywanej wsi w przeciągu jednej zimy - przy częściowej pomocy zaproszonych gospodarzy mających własne zaprzęgi konne z sąsiednich wsi Słobutka Janowska i Młyniska. Zwiezione drewno, po jego wyschnięciu, pocięli na odpowiednie wymiarowe krokwie, bele i deski również miejscowi traczki. Oddzielną, ważką znaczącą i warunkującą dalsze powodzenie budowy kościoła, było uzyskanie miejsca i zezwolenia na budowę o z czym zbytniego problemu nie było - oraz projektu planu architektonicznego i wykonawczego budowy kościoła. W wyniku intensywnych zabiegów i dzięki przede wszystkim przychylności starosty powiatowego, dziekana w Trembowli ks. prob. Jełowickiego oraz inż. arch. Cześniaka - powyższe projekty uzyskano w postaci darowizny oraz prowadzenia budowy kościoła podjął się inż. arch. Cześniak z Trembowli.

Pozostały materiał - jak wapno, cement i piasek - po zakupie zwieziony został również własnymi siłami wsi. Roboty murarskie i tynkarskie wykonywał murarz Stadnik wraz z dwoma stałymi swoimi pomocnikami, odpłatnie. Do tej trójki przydzielano codziennie - nieodpłatnie - co najmniej dwóch mężczyzn spośród mieszkańców wsi - na zasadzie dobrowolności i uzgodnionej kolejności dni pracy poszczególnych rodzin. Konstrukcję dachową kościoła - także w postaci darowizny parafii nowo budowanego kościoła pod wezwaniem Sw. Piotra i Pawła w Trembowli - wykonał cieśla Tomiczek z Trembowli. Pokrycie dachu kościoła blachą cynkową wykonali odpłatnie - dekarze żydzi Cwajgierowie (ojciec z dwoma synami) z Budzowa. Po pokryciu dachu i zdjęciu rusztowań, prostopadła frontowa ściana kościoła wydawała się mieszkańcom wsi - jakby za zbyt pusta. Chcąc tę pustkę nieco zapełnić, miejscowi kamieniarze sztukaterzy - Wincenty Skokun, Piotr Jęderowicz s. Augusta, Jan Szostopal s. Onufrego i Tadeusz Pleszczak - wykonali z granitu wystrojowo ozdobny element wierzchołka cokoła frontowej ściany kościoła w postaci ok. 100 kilogramowej kuli z wmontowanym w nią, też granitowym krzyżem. Przetransportowanie jednak tego elementu na wysokość 18 m po prostopadłej ścianie, a także jego tam prawidłowe dobre zamontowanie, bez uprzednie mozolnego zbudowania rusztowań - w ówczesnych czasach nie było sprawą łatwą, ani też prostą. A biorąc nieporęczność do udźwignięcia kuli i ciężar niepodzielonego elementu, było też znaczne przy tym ryzyko bezpieczeństwa. Po wielu kłopotliwych dyskusjach i nieudanych próbach, ryzykownej sztuki ręcznego przetransportowania tych ozdobnych elementów na szczytowy wierzchołek i montażu tam całości, szczęśliwie udało się tego dokonać - nieodpłatnie - trzem śmiałkom, wówczas młodziutkim chłopakom kolegom - Ludwikowi Wasyliki, Szczepanowi Osowski i Wojciechowi Pleszczak. Wyposażenie wnętrza kościoła uzyskano z różnych źródeł. Mianowicie: ołtarz główny, "organy" i konfesjonał - był darem przekazany z kościoła parafialnego przez Ks. proboszcza Marcina Stefanickiego. Parę przedmiotów mszalnych otrzymano od Ks. Szczepana Ufryjewicza - proboszcza sąsiedniej parafii, rodaka którego wyszedł z opisywanej wsi. Pozostałe przedmioty wystroju wewnętrznego kościoła - zakupiono. Uroczystości wyświęcenia kościoła odbyły się w dniu święta Zesłania Ducha Świętego - w drogi dzień Zielonych Świątek. Dzień ten ustalony jako świąteczny dla parafian do tego kościoła przynależnych. Od 1932 roku, w każdym roku następnym - do 1939r włącznie, tego dnia odprawiana była w tym kościele - uroczystość śświęta msza - odbywał się czczony przez wiernych całej parafii, odpust. Przebieg takiego święta miał już zwyczajowo nie jako ustalony i kontynuowany obyczaj. Mianowicie: obyczaj religijny wyrażał się - w odpowiednim i na miarę zdolności środowiska - najbarodziej wyszukanym religijnie ludowym wystroju kościoła, tak wewnątrz

jak i zewnątrz. Wszystko to wykonywane było nieodpłatnie i dobrowolnie według pomysłu i wspólnych ustaleń całej żeńskiej połowy społeczności wsi za akceptującą wiedzą proboszcza rodzimej parafii Janów. Wieś położona była pośród lasów bogatych w różnorakie kwiecie, pora roku była też odpowiednia dla pełnego rozkwitu lasów i kwiecia. Wystrój kościoła na ten świąteczny dzień był przebogato piękny. Nieodłącznym i wówczas obowiązującym obyczajem opisywanych świąt, był przyjazd - odpowiednio wcześniej - przeważnie kilku księży z poza parafii i czynienie przez nich posługi dla wiernych. Przyjazd księży następował na - odpowiednio wczesne - zaproszenie ks. proboszcza parafii Janów, jako gospodarza uroczystości religijnej. Uroczystą mszę w dniu święta odprawiał z zasady któryś z księży przyjezdny spoza parafii - o pięknej w wysławianiu wymowie, dobrej dykcji i donośnym głosie. Kolejnym obowiązującym niejako obyczajem związanym z podobnymi świętami - opisywanym odpustem - było daleko wczesne ogłaszanie przez księży w okolicznych kościołach, dnia i miejsca odbywania odpustu i zapraszanie wiernych do ich tam uczestnictwa. Czynione to było z inicjatywy zaproszonych do udziału w odpuszczeniu księży, a także z ich duszpasterskiego obowiązku. Ponadto zapraszanie z zasady przez każdego mieszkańca wsi - przeważnie drogą osobistego kontaktu - imiennie swoich krewnych i dobrych znajomych mieszkających w pobliskich miejscowościach i nie tylko, do udziału w ceremoniach odpustowych i w tym dniu do siebie w gościnę. Przy takich zaproszeniach z zasady odpowiednio przekazywano (reklamowano) czynione przygotowania przebiegu tego święta - we wsi, w kościele i w domu. Obyczajem też było powszechny udział wiernych z okolicznych miejscowości w uroczystościach odprawianej w kościele mszy, a po mszy spotkania znajomych i kolegów, a także obejrzenia i zaspokojenia swojego zaciekawienia wszelakimi atrakcjami, które towarzyszą odpustowi. Obyczajem też było zarobkowanie podczas takich odpustów. Wyrażało się to w przybywaniu do wsi i rozmieszczaniu w pobliżu kościoła straganów z różnościami dewocyjnymi i zabawkarsko pamiątkowymi, używkami - w tym również miejsc z różnymi sztuki cyrkowo iluzjonistycznej.

3. Amatorski zespół teatralny.

We wsi istniał również - utworzony z inicjatywy i czynnym wsparciu członków miejscowego koła stronictwa ludowego - amatorski zespół teatralny. Sztuki dla zespołu - wyszukiwała, a także tworzyła - nauczycielka miejscowej szkoły podstawowej pani Fulcikówna, która mieszkała jako lokatorka w domu Marka Kaszedy. Zespół ten występował wielokrotnie w rodzinnej wsi, jak również zarabkował swoimi występami na budowę kościoła. Występował między innymi w takich miejscowościach jak: Budzanów, Janów, Skomeresze, Wierzbowce, Mogielnica, Podhajczyki i szeregu innych, gdzie przyjmowany był z przychylnością, a po występach z kumorystyczny

zadowoleniem. Skład zespołu stanowili zwykli prości ludzie - mieszkańcy episywanej wsi. Mianowicie:

Karol Jęderowicz - był, że tak to można dziś określić, duchowym przywódcą - kiefownikiem zespołu. Wyszukiwał "akterów" i proponował przekonując każdego z nich do zagrania określonej roli w wybranej sztuce. Rozpisywał ręcznie treść ról dla poszczególnych akterów. Troszczył się o sprawy "teatru" i wszelkie inne organizacyjno wykonawcze sprawy niecodzienne w działaniu zespołu.

Józef Jęderowicz, Józef Wiśniewski, Maria Gitler - Gomułka, Emilia Bejcar, Stefania Jęderowicz - Pleszczak, Elżbieta Semkowicz - Pleszczak, Antoni Pleszczak, Kornel Lubka, Władysław Jęderowicz, Piotr Jęderowicz s. Augusta, Tadeusz Pleszczak, Julian Bajrakowski, Antoni Bajrakowski s. Jana, Wincenty Skokun. Integralną częścią zespołu teatralnego, był muzyczny zespół wiejski w osobach - Izydor Bejcar, Julian Bajrakowski, Łukasz Lubka, Kornel Lubka i okresowo Kazimierz Mazur. Faktycznym organizatorem zespołu była nauczycielka miejscowej szkoły pani Fulcikówna, a po jej odejściu, również nauczyciel tejże szkoły Józef Niebielecki. Autorytatywnym wspomagającym i stałym zapleczem transportowym - nieodpłatnie - zespołu, był Jan Pleszczak. Zespół ten przedstawiał (grał) swojej publiczności, sztuki, między innymi pod następującymi tytułami: Kościuszkę, Jankiel, Nędznicy i kilka innych. Całość poczynań i działania zespołu, było atrakcją i niezłą rozrywką mieszkańców rodzimej wsi i okolicznych miejscowości.

4. Ochotnicza straż pożarna.

Wieś posiadała również własną ochotniczą straż pożarną założoną w początkach lat 1930-tych. Prezesem utworzonej we wsi straży pożarnej - z wybrania - był Jan Pleszczak. Komendantem straży pożarnej w tejże wsi był Piotr Pirożyk.

Natomiast członkami ochotniczej straży pożarnej we wsi byli: Piotr Jęderowicz s. Jakuba, Piotr Jęderowicz s. Augusta, Paweł Pirożyk, Wojciech Szostepał s. Wojciecha, Ludwik Wasylik, Antoni Bajrakowski s. Jana, Jakub Pleszczak, Józef Wiśniewski, Ludwik Bejcar, Wincenty Skokun, Władysław Jęderowicz, Julian Bajrakowski.

Wyposażenie utworzonej sekcji straży pożarnej stanowiła ręczna pompa - sikawka strażacka, której stałym miejscem garażowania - po uprzednim uroczystym jej poświęceniu - była szopa gospodarstwa Szczepana Osowskiego, a następnie syna jego Jana Osowskiego. Zabezpieczenie przeciwpożarowe we wsi oparte było o pełnienie stałych dyżurów - codziennie przez gospodarzy posiadających konie dla przewozu sikawki strażackiej oraz posiadanie odpowiednio zorganizowanego systemu

alarmowania strażaków, a także mieszkańców wsi o pożarze. Zasadniczym elementem w tym systemie, był sygnał dzwonu będącego przy kościele. Sygnał pojedynczy - uzyskiwany przez uderzenia tylko w jeden bok dzwonu. Oprócz tego przy każdym budynku gospodarstwa, krytym słomą, beczkę wody co najmniej 200 litrową z wiadrem i w określonym widocznym w gospodarstwie miejscu - tłumicę, hak przeciwpożarowy, wiadro. Strażacy posiadali dość wystrojowe wyróżniające się mundury. Przy czym czapki i hełmy posiadli wszyscy strażacy, natomiast komplet całej munduru tylko 8 - miu z nich. Fundusze na zakup bardziej wydajnego i nowszego sprzętu przeciwpożarowego, a także zakup mundurów i pokrycia kosztów konserwacji posiadanego sprzętu, strażacy zbierali drogą organizowania różnych rozrywkowych imprez - odpłatnie - zabawy, festyny i tp. Dochody te skrupulatnie gromadzone i pomnażane. W wymianie posiadanego sprzętu przeciwpożarowego na nowszy przeszkodził wybuch wojny w 1939 roku.

We wsi działał również zespół plantatorów uprawy tytoniu, który liczył około 20 gospodarzy. Uprawę tytoniu gospodarze ci prowadzili w powiązaniu z zaleceniami instruktora z fabryki tytoniu w Jagielnicy do której - własnym środkiem transportu - odstawiali zebrane i wstępnie przygotowane do produkcji, zbiory tytoniu z zareklamowanej plantacji. Uprawa tytoniu była uprawą bardzo kłopotliwą i uciążliwą, a także wymagającą dużego zasobu wiedzy praktycznej i doświadczenia.

5. Drużyna strzelca.

W roku 1935 we wsi Zniesienie zorganizowane również drużynę organizacji Strzelec. Komendantem drużyny został Jakub Pleszczak - kapral rezerwy, świeżo po odbyciu zasadniczej służby wojskowej. Drużyna Strzelca - była to podstawowe ogniwo ochotniczej paramilitarnej organizacji, która programowo zajmowała się szkoleniem i przygotowywaniem wojskowe obrennym młodzieży przedpoberowej. Bieżąca działalność drużyny wyrażała się w przeprowadzaniu co najmniej raz w tygodniu zbiórki drużyny i odbyciu krótkiego programowego szkolenia, a raz w miesiącu odbycia programowego ćwiczenia zespołowego lub zespołowego treningu. Te ćwiczenia i szkolenia - były rzeczywistą praktyczną nauką działania. Szkolenia, ćwiczenia i treningi obejmowały między innymi przedmiotowe - wiedza o uprawie roli, topografia terenu, obrenne ćwiczenia sprawnościowe, nauka o broni, musztra, strzelania, długotrwałe marsze, różne sposoby ukrywania się, pojedyncze i zespołowe gry ćwiczeniowe w podchody i wykonywanie pozorowanego ataku i tp. Wiosną 1939 roku - powiatowa komenda przysposobienia wojskowego w Trembowli, zorganizowała trzymiesięczny kurs przeszkolenia wojskowego dla młodzieży przedpoberowej. Kandydatów na kurs typowali komendant istniejących po miasteczkach i wsiach, drużyn organizacji Strzelec

z pośród zaawansowanych w szkoleniu i działaniu wojskowym chłopaków - członków macierzystej drużyna. Kurs prowadzony był systemem skadrowanym. Wszyscy uczestnicy kursu na okres jego trwania zostali skoszarowani, umundurowani w wojskowe mundury strzeleckie, a ich szkolenie i bytowanie oparte zostało o ustalenia regulaminowego porządku wojskowego. Przypomnieć należy, że organizacja Strzelec kultywowała tradycje legionowe. Stąd i umundurowanie - pod względem wzoru i koloru - odpowiadało tym tradycjom i było spopielonego koloru stalowego. Buty typu trzewiki. Czapka, tak zwana maciejówka z orzełkiem. Żołnierski pas zapinany swiętrznie na bluzie. Bluza z zapinanym pod szyją kołnierzem i z przodu guziki z orzełkiem.

Komendantem tego kursu był porucznik Olejnik (imienia nie zapamiętałem). Kurs ten liczył około 100 jego uczestników - bieżąc twany był kompanią. Ukończyłem ten kurs i ja. Odbywał się on w Trembowli. Kwaterowaliśmy w domu strzelca na plantach. Przypominam kolegów z tego kursu - Tadeusza Haczkiwicza z Podhajczyk, Michała Badowskiego z Boryczówki - którego od opisywanego okresu nigdzie nie spotykałem, oraz Pindera (imienia nie pamiętam) ze Słobutki.



Drużyna strzelecka

We wsi kontynuowane różne okresowe tradycyjne wesołe obrzędy związane ze świętowaniem poszczególnych świąt religijnych wyznania rzymsko katolickiego. Szczególnie zainteresowanie przejawiały w tym dzieci i młodzież - oczywiście z odpowiednio stosownej inspiracji starszych.

1. Boże Narodzenie - w tradycyjnym rytuale obrzędowym działania społeczności wiejskiej - w obrazie zewnętrznym - skupiano uwagę na następujących dokonaniach:

a) przygotowaniu i wykonywaniu przez kolędników z gwiazdą lub szopką uroczystego odwiedzania wybranych przez siebie domów. Przygotowanie to wymagało wiele pomysłowości i pracy. Przede wszystkim trzeba było gwiazdę lub szopkę samemu wykonać i to koniecznie, według własnego pomysłu. Następnie zgromadzić nieodzowny materiał i wykonać gwiazdę lub szopkę, co w warunkach wiejskich nie było też wcale takie - ani proste, ani też łatwe - bo z czasem na wykonanie też łatwo nie było. Szopka, była to specjalna lędziutka drewniana konstrukcja wewnętrzna, po środku której ustawione było małe wymiarowo, lecz w miarę silne światło. Stało ono na obrotnicy i imitowało gwiazdę betlejemską. Tuż pod nią ustawione były wszystkie postacie będące w bezpośredniej bliskości przy żłobku Jezusowym i odpowiednio umocowane. Podstawa obrotnicy stała na krzyżownicy. Na okolu obrotnicy od wewnętrznej strony rozmieszczone były pozostałe postacie biblijne zdążające do żłobka Jezusowego. Całość osadzona na specjalnych wypustach podstawy prowadnicy. Zewnętrzna część okola obrotnicy, była punktowo połączona z górną częścią nasadki prowadnicy. Całość od zewnątrz pokryta była cienką przeświecającą bibułką papieru przeważnie koloru czerwonego. Górna końcówka prowadnicy od zewnątrz zakończona była gwiazdą o wielkości proporcjonalnej do wielkości całej szopki. Z kolei trzeba było obmyśleć scenariusz przewidywanego przebiegu przedstawienia w czasie odwiedzin domów z szopką lub gwiazdą oraz nauczenie się płynnie - praktycznie naturalnego - wykonania tych założonych ustaleń wraz z nauką kolęd będących integralną częścią rytuału. Całość zespołu z gwiazdą lub szopką stanowiło co najmniej trzech kolędników - z których jeden niósł całość i odpowiedzialny był za wprawianie w ruch obrotowy oświetlonej wewnątrz szopki wynikiem czego było ukazywanie się wszystkich opisanych postaci szopki. Odwiedzanie wybranych przez siebie domów - zwane chodzeniem z szopką - odbywało się w dzień wigilijny Bożego Narodzenia w późniejszych godzinach wieczornych po spożyciu we własnym domu wspólnej wieczerzy wigilijnej. Była to dobra, pouczająca i wesoła - zarówno zabawa, jak też i przygoda. Do atrakcji wigilijnej Bożego Narodzenia należało również branie - o północy - udziału w pasterce odprawianej w kościele w pobliskim Budzanowie;

b) kolejnym dokonaniem było przygotowanie i odbycie w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia przedstawienie "Herodów" przez obchodzenie i odwiedzanie domów każdej chętnej do przyjęcia "Herodów" rodziny chrześcijańskiej. Było to - tak w przygotowaniu, jak i w wykonaniu - zajęcie uczniów starszych klas szkoły podstawowej i młodzieży starszej. W przedstawieniu brały udział następujące postacie: król Herod, żandarmi, anioł, diabeł, żyd i śmierć oraz parę innych postaci stosownie do możliwości. Było w tym dużo uciechy i wesołości dla młodych chłopców - tak w przygotowaniu, jak i w chodzeniu z Herodem;

c) następnym dokonaniem było chodzenie po kolędzie kolędników w drugi dzień świąt. Obrządek ten wykonywany był z zasady przez dwie grupy jej uczestników:

- pierwsza grupa to młodzież dorosła w dwóch oddzielnych zespołach żeńskim i męskim. Zespoły te wchodziły do domów, kolędowały i zbierały z to kolędowanie wolne datki na określony cel - wyposażenie wnętrza kościoła;

- natomiast druga grupa - to dzieci - kolędnicy w różnych zespołach najczęściej w liczbie od 3 do 5, odwiedzające przeważnie tylko swoich bliskich krewnych. Kolędowanie odbywały przeważnie na zewnątrz, blisko wybranego przez siebie okna - pomieszczenia w którego wnętrzu przebywali gospodarze domu. Ewentualne wolne datki za to kolędowanie zbierali na własny użytek.

2. Nowy rok. - dzień obsiewania ziarnem zboża każdego z domów we wsi, od świtu do godzin przedpołudniowych w nowy rok, przez zespoły dziecięce, z zasady w wieku młodszych klas szkoły podstawowej. Były to zespoły w różnym składzie liczbowym chłopaków z których każdy miał dwie torby - jedną wypełnioną ziarnem (przenica, żyto), a drugą pustą - przeznaczoną na gromadzenie tam otrzymywanych datków w naturze (małe bułeczki, czasem jabłka, czasem orzechy i tp.) wręczane przez gospodynie obsiewanych domów. Ceremoniał rozpoczynał się, przez wzajemne skrzykiwanie się poszczególnych chłopaków o świecie - jeszcze po ciemku - i gromadzenie się w domówione przez siebie wzajemnie grupy. Następnie, każdy zespół udawał się pod wybrany przez siebie dom i wypraszał niejako - śpiewając kolędnicze przyśpiewki - gospodarza domu o wpuszczenie ich do wnętrza domu, odśpiewania kolędy; obsiania wnętrza domu ziarnem wraz ze złożeniem obyczajowych życzeń gospodarzom, wymieniając każde życzenie, a następnie odebrawszy wolne datki w naturze i dziękując za nie, pożegnanie domu. I tak każda z grup obchodziła dom po domu.

Dorośli w tym dniu także obsiewali się nawzajem, składając sobie życzenia noworoczne. Wzajemne obsiewanie się dorosłych polegało - jeżeli było to spotkanie na zewnątrz, to przy powitaniu wsypywanie kilkú

ziaren zboża w dłoń tego, któremu składa się życzenia. Jeżeli natomiast odbywało się to w domu - to nasypywanie kilku ziaren zboża, przeważnie przynicy, na róg stołu wraz ze składaniem życzeń dla domowników.

3. Święta Wielkanocne - dużym zaangażowaniem, żmudnym i wesołym zajęciem było przygotowywanie pisanek wielkanocnych i święcenie. Było to przeważnie prace babć, dziadków i wnuków. Troską młodej każdej gospodyni było przygotowanie domu do świąt, wyrazem zewnętrznym czego był "koszyk" przynoszony do kościoła, a przed tem na publiczną łakę, do święcenia przez przyjeżdżającego w tym celu księdza z kościoła parafialnego. Ponieważ święcenie to odbywało się wspólnie i w jednym czasie dla całej wsi, stąd była to prawie że wystawa umiejętności i zasobności każdej z gospodyń. Szczególnym elementem tego koszyka była paska, a głównie jej wielkość, która w niektórych przypadkach dochodziła wielkością do średnicy 60 cm i wysokości 20 cm. (sztuka polegała na tym, by upiec taką babkę - paskę - z najprzedniejszej mąki pszennej bez żadnych pęknięć).

Bezpośrednio w dni świąteczne - świąt wielkanocnych - odbywały się różne wspólne zabawy polegające na gromadzeniu się w godzinach popołudniowych, młodzieży i młodych mężatek i mężczyzn żonaty, na publicznej łace na wspólne różnego rodzaju gry i zabawy oraz śpiewy tradycyjnych ludowych pieśni, piosenek i przyspiewek z którymi obchodzono nieraz specjalnym rozśpiewanym barwnym korowodem uliczkami i skrajem okolicznych przylegających do wsi lasów wokół całej wsi.

Drugi dzień świąt wyróżniał się przede wszystkim wspólnym wzajemnym oblewaniem się czystą wodą. W obrządku tym było niekiedy nie mało przesady, szczególnie młodzieńców w stosunku do panienek.

4. Zielone Świątki - ważnym elementem tych świąt, było wystrojowe umajanie własnych domów i wszystkich miejsc związanych z kultem religijnym wyznania rzymsko katolickiego. Jeżeli chodzi o własne domy to polegało to na wkopywaniu przed wejściem do własnego domu conajmniej dwóch drzew dobrze rozwiniętych i ugałęzionych o wysokości proporcjonalnej do wysokości domu (po jednym z każdej strony wejścia do domu). Przeważnie była to lipa lub brzoza. Oprócz tego wyścielenie wejścia do domu zielonymi liśćmi, bardzo popularnego wówczas we wsi kwiatu, różnych odmian lilii względnie liśćmi kosodrzewiny.

Każda figura przydrożna, przykościelna czy gdzie indziej na ubaczu, była w tym dniu również odpowiednio wystrojona - przeważnie wieńcem z kwiatów przeplatanych zieleń runa leśnego. O wystroju kościoła wspomniano już wyżej, a wyrażał się on umajeniem od zewnątrz: wkopanymi w określonych odstępach od siebie drzewami o wysokości 4 - 5 m., przeważnie brzozowymi wokół kościoła w odległości 8 - 10 m od jego zewnętrznych ścian. Umajenie od zewnątrz kwiecistym wieńcem uwijającym. główne wejście do kościoła.

Unajenie churu kwiecistym wieńcem przeplatany zielem runa leśnego, przez unocowanie tego wieńca od dołu na stałej podstawie podłogi churu, wystrojowo w sposób zwisający ku dołowi. Wyścielenie wejścia do kościoła ozdobnym zielem-runą leśnego.

Umieszczenie, uwzględniając stosowność bezpośredniego otoczenia, wiązanek lub bukietów kwiatów we wszystkich możliwych miejscach ołtarzy i figur kościoła. Zaznaczyć należy, że zasadnicza większość tych wystrojowych prac dla zachowania pełnej świeżości unajenia i wystroju, wykonywana była przeważnie w noc poprzedzającą święto.

Do czasu wybudowania we wsi kościoła, w okresie letnim, wszystkie wiejskie zgromadzenia religijne odbywały się w miejscu potocznie zwanym pod figurą. Był to trawiasty placyk o wymiarach: 20 m. szeroki i 20 m. długi, obmurowany solidnym - na zaprawie wapiennej - murem kamiennym o wysokości ok. 1 m. i szerokości 0,5 m. z niezamurowanym od strony południowej wejściem do wnętrza placyku o szerokości ok. 1,2 m. Wejście to wyłożone było jedynie jednolitymi płytami kamiennymi - różne wymiarowe były nałożone na siebie dwie płyty, tworzyły po obu stronach dwa stopnie schodów. W murze północnej strony placyku wymurowana była kamienna kapliczka o wymiarach: około - 2,8 m. x 1,2 m. x 1 m. z wewnętrzną niszą o wymiarach około 1,2 m. x 0,5 m. x 0,6 m. We wnętrzu umieszczona była rzeźba z granitu - figura Matki Boskiej w pełnej postaci i o wymiarach mieszczących się swobodnie we wnętrzu niszy. Całość kapliczki - stylie była wystrojowo odnawiana i ukwiecona. Od strony wewnętrznej, pod murem każdego z trzech boków obmurowania placyku (za wyjątkiem boku gdzie umieszczona była kapliczka) znajdował się ciąg kamiennych ław. Opisaną wyżej placyk usytuowany był w zachodniej części wsi na rozdrożu, będącym przy budynkach gospodarstwa Antoniego Bajrakowskiego s. Jana. Wewnątrz opisanego placyku tuż przy obmurowaniach rosły duże rozłożyste lipy i świerki osłaniające swoimi konarami całość placyku. Opisany placyk wybudowali i uporządkowali do opisanego stanu mieszkańcy opisywanej wsi około 1900 roku.

Ze względu na duże oddalenie kościoła parafialnego wyznania rzymsko katolickiego, ~~xxxxxxx~~ stałym elementem obrządku religijnego wyznania rzymsko katolickiego w każdą niedzielę i kościelne święto, było również odnawianie różańca. Odbywało się to w późnych godzinach popołudniowych. We wsi istniało dwie róże różańcowe - żeńska i męska. Należeli do nich starsze kobiety i mężczyźni. Do czasu wybudowania we wsi kościoła różaniec odnawiano: latem - razem obydwie róże różańcowe - przed figurą Matki Boskiej na opisanym wyżej placyku. Natomiast w pozostałych porach roku - każda róża oddzielnie - w poszczególnych domach prywatnych, kolejno: Między innymi - Szczepała Osowskiego, Jana Pleszaka, Kazimierza Mazura, Wiktora dąsiewicz, Stefana Senkowicza i innych.

XII. W e s e l e .

Opisywana wieś nie była duża - w sumie 94 gospodarstw zabudowań w których zamieszkiwało 1939 roku - 114 rodzin o ogólnej liczbie 425 osób - mieszkańców tej wsi. W procesie codziennie miśkatwego, wiejskiego bytowania opisywanej wsi rodziły się i przebiegały - można tak to nawet określić - w samorodnie ukształtowany sposób różne zwykłe ludzkie zdarzenia i zaszłości. Rodzika je przeważnie życiowa potrzeba - tak w odniesieniu do poszczególnych osób i rodzin, jak też i całych zespołów sąsiedzkich czy też całej wsi. Zaszłości te i zdarzenia powstawały w określonych sytuacyjnie uwarunkowaniach, dotyczyły konkretnych ludzi - którzy w tych zdarzeniach uczestniczyli. Wśród mieszkańców byli ludzie rzetelni i odpowiedzialni, ale byli też i nieodpowiedzialni i nieuczciwi - malutko ich, ale i tacy też byli. Byli odważni i byli też bejszśliwi. Wśród tej zbiorowości - byli też ludzie zdolni i byli przeciętni. Byli też - dwoje umysłowo niedorozwiniętych, a jeden umysłowo upośledzony - od urodzenia chore. Były rodziny bardziej zamożne i były też rodziny biedne. Były rodziny żyjące po sąsiedzku przez lata całe - mimo trudnych warunków - wzajemnie do siebie bardzo życzliwe i nastawieni i żyjące prawie w rodzinnej zgodzie. A były też i jadtaki wprawdzie, ale były - choćby czerliwie (zazdrośne, zawistne) - były też, o były za to - nawet niekiedy bez istotnego powodu. Jednak jako całość była to społeczność zwarta, gospodarstwa i etwarta - zdolna w każdych warunkach stanąć w obronie interesów i godności indywidualnie każdego jej mieszkańca, jak i całej wsi. W takiej właśnie społeczności opisywanej wsi rodziły się i nabierały określonego wymiaru ich przebiegu, także różne zdarzenia i zaszłości tak zwanej sfery duchowej. A więc obrzędy świąteczne, zabawy, wesela i t.p. W takiej społeczności rodziły się też wzajemne wiejskie - flirty, miłości, kochania, kochane małżeństwa. A jak małżeństwa - to też i wesela, które również odbywały się różnie - jedne spokojnie, inne natomiast niespokojnie. O jednym takim zdarzeniu wspomina się. Wesela z zasady były dość huczne, mające swoją tradycję. Wesela trwały z zasady trzy dni. W przeddzień wesela w godzinach wczesnych wieczornych - jeżeli coby młodzi byli z jednej miejscowości, to u panny młodej, a jeżeli byli z różnych miejscowości to i u panny młodej, jak i pana młodego - odbywała się potańcówka dla młodzi. Koleżanki i kolegów obu wstępujących w związek małżeński. Po tem następował dzień właściwego wesela. I dzień ślubu pary młodej oraz goszczenie się i zabawa tylko zaproszonych gości weselnych. Kolejny dzień - pierwszy po weselu przeznaczony był na poprawiny.

W dniu tym gościłi się i bawili - państwo młodzi i ścisłe grono gości przeważnie z bliskiej rodziny obu nowożeńców. Pod względem niespokojności paniejącej było w opisywanej wsi weselo Marka Kaszedy - wyznania greckiego katolickiego, który wziął za żonę pannę z pobliskiego Budzanowa. W przeddzień wesela, wczesnym wieczorem - do domu weselnego Marka Kaszedy - na petanówką przybyła saniami (była zima) znaczna liczba kawalerów z pobliskiej wsi Skobutka Janowska i miasteczka Janów. Z zachowania przyjezdnych uwidocznił się wyraźny zamiar wywekowania awantury na weselu. Liczyli oni, że młody - który nie miał żydowskich braci, nie będzie miał swoich zwolenników. Poza tym liczyli również, że znaszna część młodych mężczyzn ze wsi będąc zatrudniona przy pracach w okolicznych lasach, nie znajdzie się tak wesoła na weselu lub w domu. Jednakże spokojni swoją stanowczością młodzi mężczyźni - mieszkańcy wsi, poczuli się urażeni tym, że jakisś grono obcych nieodpowiedzialnych młodzieńców w imię swoich egoistycznych zachcianek chce uczynić wielką przykreść dla spokojnego młodego człowieka - mieszkańca wsi - ich kolegi i przyjaciela w tak uroczystym dla niego dniu. Tę fakturę - w swej butnej ambicji - przybywający na petanówkę weselną nie uwzględniłi. W niedługim czasie, niezdradzając swojej obecności w tym miejscu młodzi kawalerowie znaleźli się na miejscu. Przybył też natomiast - po przybyciu, nie przesani przez nikogo z gospodarzy, weszli do domu weselnego. Rozpoznawszy sytuację wewnątrz, zaczęli się tam zachowywać wyzywające i zaczepnie. Poproszono ich, by się uspokaili i jeżeli już nie przesani przybyli to niech się bawią, lecz spokojnie. Tę jednak przybycie nie usłuchali. Pojawili się wówczas na weselu niedługożni dawni przyjaciele - Tadeusz Pleszczak i Szczepan Zajac, których wielu z przybyłych znało osobiście - jak też wiedzieli z ich faktycznych możliwości zaangażowania na zaistniałą sytuację. Tadeusz Pleszczak znany był za swojego spokoju i życzliwości, lecz równocześnie z odwagi i stanowczości papartej zapleczeniem siedmiu restrykcyjnych i młodych mężczyzn swoich braci. Poproszili więc przybyłych kawalerów by zachowali spokój i uszanowali dom weselny. A jeżeli im to nie odpowiada to niech spuszcza ten dom w spokoju. Z tymi z którymi, o baj wymienieni przyjaciele, rozmawiali wewnątrz - prośby tej usłuchali, lecz gdy powiedzieli te pozostałym, na zewnątrz - tym drugim spuszczenie wesela nie podobne się. Wszczęli awanturę, która skończyła się zupełnie szkodliwie dla nich wszystkich - niezapraszanych, lecz tak licznie przybyłych zupełnie obcych młodzieńców - kawalerów. Może by i do tego nie doszło, gdy by nie fakt, że jeden z przybyłych - Michał Włosek posiadając dubeltówkę, wystrzelił. Te spowodowało reakcję niezwłeczną miejscowych, dotychczas nie zdradzających swojej obecności. Wszystkie konie od sań, którymi przyjeździ przyjechali - zostały wyszcapiene i na-

pędzone przez ich wystraszenie, lecz bez pasażerów. Natomiast zaskoczonym przybyłym nieproszonym gościom zaczęto wyliczać nietykt ich zachowania się. Wynikiem tego była szpetna ucieczka z wesela, którądy pepadke i jak się tylko dało. W domu weselnym wkrótce zapadł zupełny spokój. Bez żadnych strat odbył się nadal wesele. Długo o tym fakcie mówiono w okolicy. Natomiast ci, którzy przybyli na wesele nie proszeni i chcieli tam wyrobić awanturę, stali się pośmiewiskiem całej okolicy. Mieszkańców wsi Zalesie natomiast uważano nadal za rzetelnych i spokojnych ludzi, lecz którym w drogę wchodzić nie należy.

XIII. Petańcówki - zabawy i inne rozrywki,
wiejskie - w tym także spory i nieporozumienia.

Oprócz bezpośredniego udziału młodzieży we wszystkich imprezach związanych z obrzędami religijnymi, jak też w większości imprez świeckich organizowanych przez wiejską starszyznę, głównie stronictwo ludowe i straż pożarną - młodzież organizowała sama petańcówki i siebie właściwe rozrywki. Dla zorganizowania petańcówki - niesedzewym było posiadać powszechnie uznawanych przez środowiskę młodzieży - spośród siebie - bezpłatnych organizatorów, zespół muzyczny oczywiście płatny, miejsce do odbycia się petańcówki i zezwolenie wójta na odbycie się petańcówki - zabawy. Organizatorzy petańcówki musieli być młodzieńcami z autentycznie wiarygodnym autorytetem, gwarantującym że minimalne koszty organizowania petańcówki zostaną pokryte (zespół muzyczny, sala) oraz zachowanie kadu i spójności w czasie trwania petańcówki. Byli to młodzieńcy przede wszystkim prawnicy, autentycznie uczciwi mający w każdej sytuacji odpowiednie rodzinne i koleżeńskie wsparcie, odważni i konsekwentni w swoim postępowaniu, a jednocześnie pochodzący z rodzin uznanych powszechnie jako sprawiedliwe - nie biednych. Zgodnie z panującym i powszechnie przestrzegany tam wówczas obyczajem, tylko z takimi chcieli rozmawiać i godzić się, bez żadnego zadatku pieniężnego, grać na petańcówce oraz używać pomieszczenia na petańcówkę - tak kierownik zespołu muzycznego, jak i właściciel domu - pomieszczenia. Z takim też tylko chcieli rozmawiać wójt gminy prawnie zezwalający na odbycie się petańcówki - zabawy. Jeżeli było inaczej, jak wyżej opisane, te petańcówki - zabawy nie odbywały się. Po ustaleniu ceny, żądanej przez zespół muzyczny za granie na petańcówce - zabawie, gospodarzowi domu za wynajem pomieszczenia (sali) miejsca odbywania się petańcówki. Zliczano także koszty i w oparciu o ten wynik, ustalano cenę wstępu (biletu) jednej osoby. Ustalano wielkość ceny wstępu, zbierali - na oczach wszystkich, - z zasady do czwórki - organizatorzy petańcówki wyjaśniając każdemu z czego ta cena wynika. Oczywiście jest, że każdorazowo petańcówki jak wyżej opisane organizowane były po uprzednim wyrażeniu zgody bądź na życzenie wszystkich zainteresowanych.

W okresie letnim opisane wyżej petańcówki organizowane przez młodzież odbywały się na wolnym powietrzu w wybranym do tego celu miejscu na publicznej łące - zwanej Staw. Zaznaczyć przy tym trzeba że wszystkie petańcówki i zabawy odbywały się wyłącznie w dni świąteczne, stąd nie mogły trwać dłużej w noc, ponieważ następny dzień był dniem pracy - a praca każdego mieszkańca tej wsi nie była lekką. Tradycyjnych miejsc dla odbywania petańcówek, była - na opisywanej łące - z zasady trzy. Na wyseceści domu Michała Słobódziana s. Józefa, bądź w niedalekiej odległości domu - braci - Aleksego i Kernala

Bejczarów, względnie na wysiłku egredu Ludwika Duplaka - w niedalekiej odległości od egredzenia tego egredu. Latem przy dobrej pogodzie w takiej potańcówce uczestniczyło prawie cała wieś. Potańcówki te przebiegały z zasady spokojnie przy wspólnych śpiewach i ogólnej weselości jej uczestników. Zdarzało się, wprawdzie rzadko, ale takie przypadki były, że te wesela nastreja - zwłaszcza ze strony młodzieży, były zbyt głośne, aż za głośne. Stąd patroli policyjne, których siedziba komandy posterunku znajdowała się w pobliskim Budzanowie, strzegąc porządku usiłowały ograniczyć nadmierną ich zdaniem weselość chłopaków.

Podczas fermy, odpoczynku były też zbieranie się wieczorami - starym, od niepamiętnych lat zwyczajem - młodych chłopaków w miejscach też obyczajem przyjętych, po kolacji i po wesołej lekkości dla każdego z nich pracy dnia codziennego, na chwilę rozrywki w wiejskich ówczesnie warunkach. Rozrywka ta wyrażała się z zasady w wspólnych pogawędkach o ciekawszych zd. rzemiach winiennego dnia, wzajemnym opowiadaniu rozśmiewających "kawałków" zasłyszanych - a nie rzadko i wysłanych przez uczestników takich spotkań - oraz wspólnym śpiewaniu lubianych piosenek danego okresu, i nie tylko o treści różnej, jednak głównie opiewających bytowanie i zaszłości tych ekalic.

Niekiedy znów kilku z nich grajków - młodzieńców, którymi byli: Tadeusz Szestapał i Franciszek Pieszczak - skrzypce, Józef Lubka - cymbalki, Józef Duplak - bęben, wynosiła "swaje" - bądź będące w domu rodzinne instrumenty muzyczne na których nauczyli się już coś zagrywać i próbowali swoich możliwości przy publicznych weselach i głośno wyrażonym aplauzie kolegów. Przeważnie odbywały się te przed domem, któregoś z kółczanek lub pod kościołem - na pozostałych po budowie i zleżonych w stes kamienicach. Temu rodzaju rozrywki też sprzeciwiał się s. ktyś za wiedzą policji.

Czasem w trakcie takich wieczornych spotkań, odbywano też określonego rodzaju zabawy - mieszczące się jednak w granicach norm powszechnie akceptowanych w tym środowisku obyczajów. Zabawy te również były nie dozwolone widziane przez patroli policyjne i s. ktyś. Powstawały oczywiście na tym tle sprzeczności między miejscowymi policjantami a chłopakami episywanej wsi. Oczywiście w miarę wzrostu ilości interwencji, wzrastała się reakcja ze strony młodzieńców, przerażająca się w niesferność młodych chłopaków w stosunku do policjantów, w szczególności w stosunku do nowych patroli policyjnych. Wyrażała się to między innymi w następujących - przykładowo - przekornych wyczynach:

Wspomnieć również trzeba, że ówczesnego akresu episy-
wana wieś w noc, dregi i zawężtrza całość (peza domami), była
zupelnie ciemna. Elektryczności we wsi nie było. Oświetlenie w domach
było naftowe. Z chwilą, że znikła obecność patrolu policyjnego w
wsi, kłedzi chłepcy w trybie prawie niezłęcznym grupowali się
w kilka oddzielnych grup, z których każd. udawała się w inne miejsce
na dręgi wiejskie prawdziwego przechodzenia tamtędy policyj-
nego patrolu nocnego. W "nagrodę" za tak częste i napastliwe inter-
wencje tych patroli w rzedzieńcze rozrywki, każda z tych grup stara-
ła się odpowiednio i maksymalnie zatrudnić taki patrol nocny. W jednym
miejscu urysłono, przeciągnąć - tuż przed dęjsiosem pelijantów -
w poprzek dręgi silny sznur załyskości 15 - 20 cm i cenajmniej
w dwóch trzech miejscach w pewnym oddaleniu od siebie. Czynnica ta
była bardzo szybka i sprawna. Mając tak przygotowaną drogę, stęranę się
w znacznym oddaleniu przed peliojantami, na tejże drodze, zaszykali-
zować - śpiewem, bądź śmiechami - swoją obecność. Peliojanci oczywi-
ście chcąc zaskoczyć hałasujących, starali się szybko i skrycie po-
dejść petykali się o zastawione pułapki, przeważnie padając na ziemię,
co nęsilęce podenerwowanie i przyspieszało ich ruch, napętkanie nastę-
pnej pułapki ze skutkiem podobnym, co powodowało już złość i bieg
za sprawcami hałasującymi w przedzie. Oczywiście hałasujący rozprę-
kiwali się każdy w inną stronę i w ciemnościach nocny stawali się
zupelnie nie uohytni. Pe pewnym czasie, grupa chłepców będąca w in-
nym miejscu, rozpoczęła od nowa swoją "igraszki" chcąc ścięgnąć
tam zaskoczonych już peliojantów i schłycę, będąc do tego odpowied-
nie przygotowanymi - mając przykładem rozłożony w poprzek dręgi
na wpół pochylony stary drzewiany płot. Scenariusz jak gdyby powta-
rza się - peliojanci chcąc zaskoczyć wyświawających się, spieszą
w ich kierunku pęciarku, natrafiają na przeszkodę, oczywiście z ręk-
pędu wpadają w nią, kruchy płot się łamie i trudno przez to z niego
się wydostać. Zdanerowanie się wzręga, chęć zatrzymania "inowajców"
powoduje przyspieszenie ruchu. Będący w grupie i hałasujący chłepcy
na określony sygnał kęlegów, rozbiegają się każdy w inną stronę
i w ciemnościach nocny stają się zupelnie niezauważalni. Opiswana
pułapka założona była na drodze przechodzącej górną częścią wsi
i w miejscu od którego prowadziła, skrótowa w dół powszechnie uo-
częsz-
czana ścieżka - wiedza (rozdziałająca dwa ogrody), do znajdującej
się na dole kęki gęirkej. Pe obu strękach przylęgających do ścieżki
ęgrędów, znajdowały się kępice ułożonych sztercem snępów szętych
kędęg kukurydzy. Każda taka kępica była dość silnie, w swojej górnęj
części, związana kędęgą, bądź przewróskiem. Była para jesienna. W kędęj
takiej kępicy ukryła się cenajmniej jeden z chłepców uciekających
od peliojantów z poprzednie opiswanego zdarzenia. Natęmiast na

dole na gminnej łące zebrała się następna grupa chłepaków i wiedząc co się stało, począła wprost już wyzywać pelicjantów chcąc ściągnąć ich do siebie właśnie przez tą ścieżkę między. Udało się. Pelicjanci będąc już silnie podenerwowani poprzednimi zdarzeniami, dali się wciągnąć w następną pułapkę. Udało się ścieżką między w dół. W miarę przechodzenia pelicjantów, jednocześnie z nimi zaczęły się zbliżać do nich wspomniane wyżej kopce snopów wziętych kiedyś kurydzy. Tarcie końcówek snopów kopie o kekurudziane rżysko - jednocześnie kilkunastu kopie - powodowało dość charakterystyczny powodziowy szum wody. Pelicjanci zatrzymali się prawie w połowie drogi, nasłuchując co się dzieje. Te wystarczyło, ażeby tuż przed nimi utworzył się - w tej nocnej ciemnicy - zwarty zator z kupie z snopów wziętych kiedyś kukurydzy, - z tych kupie rozbiegli się w różne strony ku dołowi prawie niewidoczne postacie ludzkie. Kupie te przyniesione zostały na głowach przez tych chłepaków którzy byli w nich ukryci. Z chwilą zauważenia postaci ludzkich z opisanych kupie, zaczął się ze strony pelicjantów krzyk stój pelicja ale był to krzyk już za późny, ponieważ bezpośrednie otoczenie - sady i ogrody były bardzo dobre do ukrycia od miejsca zdarzenia, a poza tym sami musieli się wpiern wyśmiać na zewnątrz z otaczających zwarcie kupie snopów kiedyś kukurydzy, a czym uciekający dobrze wiedzieli. Stąd wzywaniem - stój pelicja! nie robiło w ciemnościach nocnych prawie żadnego wrażenia.

Po takim nocnym "treningu", bez żadnego rezultatu, pelicjanci odchodzili z zasady mocno podenerwowani i wcale nie wypoczęci. Jednak na kilka dni przestawał we wsi spokój. Niektórzy z mieszkańców wsi dobiekali, wypytując się co to się nocą wydarzyło. Jednak bezpośredni uczestnicy tych zaszkwań, milczeli stanowczo zaprzeczali swego udziału w czynie. I tak przestawało, do następnego podobnego wydarzenia. Po kilku podobnych zdarzeniach - przy udziale nocnego patrolu pelicji - i również bez skutecznego dla pelicji rezultatu, pelicjanci mieli chyba tej zabawy w chowanie dość. Stawiane przez nich do tychozas działania nie przynosiły dla nich pożądanego skutku. Jednak trwała to do lata roku następnego, w którym rozpoczęli pelicjanci inne działanie. Prawie codziennie przychodził do wsi, zmiennie, jeden pelicjant i razem z sektysem obchodzili wieś. W czasie takich obchodów pelicjant zatrzymywał, przypadkowo napotykanym wieczorem na ulicy i prowadził do domu sektyś na przesłuchanie - tych chłepaków, których podejrzewał o jakieświsk przywódcze role jakie spełniali w wyżej opisywanych, niesfernych z pelicją sperach i niesferności młodych chłepaków wsi. W działalności tej zdarzały się też humorystyczne epizody.

Po przeciwnej stronie drogi - bramy wjazdowej na podwórko sektyśa, został wybudowany przez innego gospodarza na granicy swego ogrodu z drogą, dość solidny mur z kamienia łupanego. Mur ten stykał się

w prostej osi stykającej się z drogą - z granicznym drewnianym, o znacznej średnicy, słupem drewnianego płotu sąsiedniego ogrodu. Po zrobieniu wykopu na stawiany mur, wyłobliła się niska ziemia spod tego drewnianego słupa. Mur został postawiony, a drewnianego słupa nie usztywniono. W wyniku czego można go było bardzo łatwo odchylić od stykowego muru na szerokość pozwalającą przesunąć się bez przeszkód przez tą szczelinę doresztem człowiekowi. Policjant o tym nie wiedział. Natomiast dobrze o tym wiedział i nie raz tamtędy przechodził, zatrzymany i prowadzony do sektysa Temek Gitler. Ciemnocną szli w trójkę gęsię - przedem policjant, za nim Temek i zarykający sektys. Sektys był nalegowym palaczem. Dochodząc do bramy swojego gospodarstwa zatrzymał się chwilę zapalając papierosa - Temek to zauważył. Ale nie nie zmieniając szli z policjantem dalej tuż przy płocie. Mijając wyżej opisany słup przy murze, Temek szybko odchylił słup i wskoczył na ogród, który ^{był} poniżej poziomu drogi. Policjant słysząc w bezpośredniej bliskości upadek czegoś - niczego nie podejrzewając - odwracając się w kierunku sektysa zapytał, sektysie co to takiego. Sektys po zapaleniu papierosa był już bardzo blisko policjanta - nie nie zauważył i ~~nie~~ mówiąc jak gdyby od niechcenia - no Temek idź, idź. Policjant na to - a gdzie on. Sektys - jak to gdzie, przecież przed chwilą był tuż za panem pesterunkowym. Przecież pan pesterunkowy, (tak tytułowano w swym czasie i opisanych stronach policjanta), go prowadził. Zaczęli się sprzeczać. Oczywiście bez żadnego rezultatu, bo za Temkiem śladu nie zostało - jak gdyby rozplynął się w nocnej ciemności. Temek natomiast po przedstaniu się na ogród, szybko oddalił się od miejsca zdarzenia i tak wyszedł z opresji, ale nie na długo.

Innego wieczoru w podobny sposób zatrzymane Józka Gitlera, który stojąc spokojnie na ulicy, czekał na swego nieodłącznego kolegę Wojciecha i został zatrzymany. Po zapytaniu co tu robi, odpowiedział - przyszedł zgadnie z prawdą - że czeka na kolegę z którym się umówił w tym miejscu. Zatrzymujący Józka policjant zdecydował, że także zaczeka na tego kolegę, lecz w zasadzie za pobliską uchyloną bramą. Zatrzymanego Józka ~~pozostawił~~ pod opieką sektysa. Noc była bardzo ciemna - pochurna i bezksiężycowa. Józek słysząc, że ktoś się zbliża i widząc kogoś siebie policjanta - krzyknął, ostrzegając - policja ! ale było już za późno ponieważ policjant już z kimś się szarpał. Okazało się, że był to kolega Józka, Wejtek - który idąc spokojnie drogą na umówione miejsce spotkania, niczego nie podejrzewając został z nienacka zaskoczony i też zatrzymany. Stało się to po pewnej szarpaninie w ciemnościach z policjantem, którego o mało nie wyleciał z rąk jego karabin. To posłużyło za pretekst do dokonania osobistej rewizji zatrzymanego. Zatrzymany posiadał wówczas przy sobie 5 rubli od KBKS

(karabinek sportowy małokalibrowy) i straszak, wyglądem przypominający pistolet 6-tkę, który był przerobiony na jedne strzałkowy pistolet na naboje kbksu. Zabrał mu te i zaczął przysadywać, że bez zezwolenia nosi broń palną i tp. Po tem obydwu zatrzymanych zaprowadzono razem do domu sektysa. W domu tym było jedno pomieszczenie, które sektys udostępnił do pracy społecznej. Całość zabudowań gospodarczych położona była na zboczu. Stąd podwórze znajdowało się na ok. 3 m przywyższeniu w stosunku do drogi i wsparte kamiennym murem, a wejście do domu mieszkalnego miało następne ok. 3 m przywyższenia w stosunku do podwórza. W sumie ok. 6 m przywyższenia w stosunku do drogi publicznej przy której gospodarstwo się znajdowało. Za domem rozciągał się ogród na którym przeważnie - ze względu na nadążającą się do tego glebę - uprawiano tytoń. Po przyjsciu policjanta z obydwoma zatrzymanymi do domu sektysa, właśnie do tego wolnego pomieszczenia, poprosił Józka by siadł za stołem, sam usiadł obok niego, a Wajtkę poprosił by usiadł na siedzisko też tuż obok siebie - Wajtek siedział od strony wolnej przestrzeni pomieszczenia. Policjant był bardzo ze swych powodów zadowolony, na zapakowanym luzie - kładąc przed sobą na stole przedmioty zabrane Wajtkowi podczas jego czelbiastej rewizji (latarkę, straszak, naboje do kbks i dość poręczną dębową łaskę) zaczął zatrzymanym chłopakom przysadywać, będąc bardzo pewnym siebie. Dwid od pomieszczenia w którym był policjant z zatrzymanymi i od sieni na podwórze stały otworem. Wspomnieć trzeba, że po przybyciu do domu, sektys przeprosił policjanta i udał się do wykonywania wieczornych prac obrządkowych w gospodarstwie. Opisywany powyżej policjant, wykonując wspomniane wyżej czynności poprosił żonę sektysa czy nie może go poczęstować czymś do picia, gdyż chce mu się bardzo pić. Za jego zgodą poczęstowała go zsiadłym mlekiem, podanym w szkle dwulitrowym garncu. Policjant łapiąc oburącz ten garniec, unosząc go w górę do ust i przysłaniając sobie nim nicco widek na pomieszczenie, zaczął z reszatką pić mleko. W pomieszczeniu sieni też w sieni nie było nikogo widać. Wajtek, będąc od strony zewnętrznej i wolnej przestrzeni pomieszczenia, korzystając z nieuwagi policjanta, wgniesnym ruchem zabrał ze stołu straszak i latarkę, kilku sąsami przysnął z pomieszczenia - skacząc przez schody na podwórko, a z niego również skokiem znalazł się na dachu i nie czekając uciekł z miejsca zdarzenia. Policjant w chwili zdarzenia - mając przed sobą garniec i wstał połamane mleka zaksztusił się nie mogąc nic z siebie wydusić, po pewnym czasie depiers - mając silnie wpatrzone ze zdziwieniem oczy - parsknął na prawie całe pomieszczenie zsiadłym mlekiem i wrzasnął - stój, łapajcie - uciekł. Wyskoczył z domu za stołu i wybiegł na podwórze, pozostawiając Józka samego w pomieszczeniu. Józek będąc sam - nie czekając na nic, otworzył będąc ze

jego plecami dwuczęściowe otwierane okno, wyskoczył przez nie i też uciekł - na ogrody - w przeciwnym do ucieczki Wejtka kierunku. Rezultat humerystyczny - było dwóch zatrzymanych, a po nie-
długiej chwili śladu po żadnym z nich nie zostało. Co gorzkie, policjant nie mógł pojąć jak to się mogło stać - a raczej chyba nie chciał dopuścić do siebie nawet myśli, że właśnie jemu mogło by się to przydarzyć. Po pewnym czasie przekazano mu przez sołtysa - że jak by nie był wówczas taki pewny swojej przewagi i tak jej przy chłopcach zatrzymanych nie podkreślał - to byli by mu takiego psikusa nie zrobili. A tak na przekór jego przeświadczeniu chcieli mu udowodnić i udowodnili, że niech nie będzie taki pewny ponieważ jego zamiar w stosunku do nich wcale mu się nie powiedzie i się nie powiodł. Ta cała młodzieńcza zabawa z policjantami miejscowego posterunku - dla pięciu chłopaków, którymi byli: Piotr Wiśniowski, Stanisław Bejcar, Józef Gitlar, Wojciech Pleszczak i Tomasz Gitlar; zakończyła się dla każdego z nich administracyjną karą pieniężną, a z powodu nie wypłacalności - z zamianą - na 7 dni aresztu. Odbywanie aresztu polegało na: w dzień - wykonywaniu pracy - wówczas w postaci sadzenia młodych akacji na zboczach przylegającym do obmurowania sadu, będącego wówczas własnością siedziby proboszcza kościoła wyznania rzymsko katolickiego parafii Janów, po przeciwnej stronie drogi prowadzącej z Janowa do Dołhego obok elektrowni wodnej. Akacje te zresztą rosną tam chyba jeszcze do dziś. W nocy zaś przebywali w areszcie gminnym na drewnianych pryzkach idąc spać ze śpiewem.

R o z d z i a ł drugi

rok 1939

XIV. Niepokoje zbliżającej się wojny.

Mimo nie lekkich i nie sielankowych warunków bytowania, życie mieszkańców opisywanej wsi i okolic upływało we wzajemnym poszanowaniu i życzliwości ludzkiej, a także w miarę wesoło. Jednak jeszcze w latach pokojowych, tuż przed wojennych i do tej tak odległej od większych centrów małej zbiorowości ludzkiej poczęły docierać niepokoje przypominające grozę wojny. Na te niepokoje miejscowe społeczeństwo było bardzo wyczulone tragizmem doznań - jeszcze nie zaleczonych - podczas pierwszej wojny światowej. W tych okolicach stał przez długi okres czasu front, a opisywana wieś była wsią frontową walczących przeciwstawnych sobie wojsk rosyjskich i austriackich. Ponadto co trzeci mężczyzna tej

wsi to uczestnik walk frontowych tejże pierwszej wojny światowej. Pierwszym takim niepokojem była wiadomość, przyjęta z wielkim z troskaniem, o tym że 21 letni Stanisław Gach, który powołany został w 1938 roku do odbycia zasadniczej służby wojskowej, jako żołnierz brał udział we wkraczaniu wojsk polskich na będące we władaniu czechosłowacji Zaolzie i tam zginął bez wieści - nie powrócił zresztą do domu. Był on rodowitym mieszkańcem naszej wsi, który wraz z rodziną wyprowadził się na kolonię obok wsi Oreszkowce w niedalekiej odległości powiatowego miasteczka Kopyczyńce.

Kolejną niepokojącą wiadomością, było dwukrotne wstrzymanie wypłaty robotnikom pracującym w kamieniołomach. Dotychczas od zakończenia pierwszej wojny światowej takowych zdarzeń nie było. Pierwsze wstrzymanie nastąpiło w marcu - na dwa miesiące, a drugie w czerwcu - i wypłaty dokonano dopiero w ostatnim tygodniu sierpnia 1939r. Było to wynikiem braku pieniędzy na wypłatę. Spowodowane zostało to faktem, iż firmy na zamówienie których - między innymi - wykonywane były w tych kamieniołomach wyroby sztukatorskie towar odebrały, a należności pieniężnych za ten towar nie przekazały.

XV. Nieoczekiwane pojawienie się " turystów " niemieckich.

Zastanawiającym też zdarzeniem, jak nigdy dotąd, było pojawienie się przejazdem w tych okolicach - nielicznej, lecz bardzo aktywnej wycieczki z Niemiec - kilku pojedynczych osobników, których można by dziś określić mianem turystów. Ci " turyści " jednak, jak się okazało - tak było w małych miasteczkach i wsiach - dążyli z zasady do osobistych kontaktów z niektórymi pracownikami ukraińskich spółdzielni handlowych (kooperatyw), które istniały na tym terenie do 1939 roku. Po głębszym zastanowieniu okazywało się, że nawiązywali oni te kontakty osobiste, głównie z tymi mieszkańcami tych okolic, którzy byli już w poprzednich latach w Niemczech. Gdzie wyjeżdżali przeważnie w interesach handlowych - zawierania tam określonych transakcji na dostawę wybranych towarów do kooperatyw w Polsce.

W tym też czasie - latem 1939 roku - wzmożone zostało niejako systematyczne szkolenie obronne w istniejących drużynach paramilitarnej organizacji " Strzele " do której w opisywanej wsi należało kilkunastu młodych chłopców.

Nowością dla drużyny w naszej wsi, było pozwolenie wypożyczenia karabinów - wprawdzie starych typów, ale wypożyczone. Przed tem, takiego pozwolenia nie było. Drużyna posiadała jeden karabin bez zamka. Poza tym, wypożyczone dla naszej drużyny kilka karabinków małokalibrowych, co ożywiło działalność drużyn i przysięgnęło do niej większość chłopców, a także starszych już po wejsku mężczyzn. Dużą atrakcją było przeprowadzanie organizowanego strzelania z tych małokalibrowych karabinków. Oprócz tego przy powiatowej komendzie przysposobienia wojskowego uruchomiono trzymiesięczny kurs, przeprowadzany metodą skeszarowania wytypowanych przez komendantów drużyna strzelców.

Z tych wszystkich, wymienionych wyżej zaszkódzi, największe poruszenie wśród mieszkańców wsi wywołał fakt zaginięcia bez wieści jednego z byłych mieszkańców tej wsi młodego chłopca Stanisława Gacha - jak to wówczas określano - w wojnie na Zaelziu oraz wstrzymanie wypłaty w kamieniczkach. O pozostałych wydarzeniach prowadzone spory, ale wkrótce uznano je nie jako coś nowego, lecz raczej jako normalne. Ostatnie zdarzenie - wzmoczenie szkolenia w drużynie Strzelca, traktowane nawet jako rozrywką, ponieważ takowe zdarzały się tam wówczas rzadko.

Niezależnie od wspomnianych zdarzeń w ostatnim roku pokoju - 1939 roku - życie we wsi toczyło się od dawna ustalonym trybem. Wspomnieć też trzeba, że był to rok wysokich urzędajów. Rok w którym lato było gorące, a jesień pogodna i bezdeszczowa - pamiętna złota polska jesień. W miarę zbliżania się dni pamiętnego września 1939r. pojawiła się znaczna liczba nowych elementów stwarzających coraz większe zatrzważanie się zwykłych mieszkańców tych okolic, przyszłości

Coraz systematyczniej wywieszano na ścianie stodoły, gospodarstwa Jana Osowskiego, na przeciwko kościoła - gazetę ściennej pod nazwą NOWINY. Gazeta ta coraz częściej zawierała wiadomości, akcentujące z sugetywnym wydzwiękiem - w zdjęciach i w treści - "dużą" moc obronną wojska polskiego i "wysokie" walery bojowe sprzętu wojskowego będącego na uzbrojeniu wojska, co w niedługim już czasie uległo zupełnemu przewartościowaniu.

Napływały również wszelakiego rodzaju wiadomości z różnych innych źródeł, które były różnie komentowane i miały różny wpływ na zachowywanie się mieszkańców wsi.

Zdarzały się już wówczas, sporadyczne wprawdzie przypadki, ale było, wyzywające zachowywania się wobec polaków niektórych ukraińców - głównie byli to ludzie z zamężnych sfer tej naredewości, podkreślających w ten sposób swoją naredewą obecność, której nikt w tych okolicach nie kwestionował.

W miarę zbliżania się dnia wybuchu wojny - 1 września 1939r -

mimo, jak na warunki wiejskie, bardzo pilnych i ważkich o tej porze roku prac, napięcia rosło. Wyrażało się to w wyczuwalnej obawie i niepewności co do najbliższej przyszłości. W takiej atmosferze nadszedł dzień zaległej wypłaty w kamieniołomach i dzień ogłoszenia powszechnej mobilizacji. Dzień mobilizacji do wojska polskiego w celu zorganizowania obrony państwa polskiego przed napaścią ówczesnego państwa niemieckiego - trzeciej rzeszy niemieckiej - rządzonego przez ekipę Hitlera. Dzień powszechnej mobilizacji był, dla większości mieszkańców opisywanej wsi, dniem bardzo pamiętnym. Była to niedziela - jak się nie długo okazało, był to ostatni pokojowy dzień świąteczny. Nastroj mieszkańców wsi i okolicy bardzo napięty. Niedziela - obycaj nakazywał pójść do kościoła. W naszym kościele tej niedzieli mszy nie odprawiano. Do naszego kościoła ksiądz dojeżdżał z kościoła parafialnego w Janowie - do której wyznaniowo przynależała nasza wieś. W dni świąteczne w których w kościele naszym mszy nie odprawiano, mieszkańcy naszej wsi chodzili przeważnie, do będącego bliżej, kościoła parafialnego w pobliskim Budzanowie. Tak też było i w tą pamiętną niedzielę. Po odbyciu modłów i uczestniczeniu w sumie w kościele, znaczna liczba - około 30 - młodych mężczyzn, kawalerów i żonatych, doszli jak to w zwyczajach wiejskim było do zgodnego postanowienia - udania się do którejś z jadalni na tak zwaną wódkę. Sprzyjała temu nie dawna wypłata i niepewność, głównie wyrażająca się u tych młodych mężczyzn w tym, że jeżeli wybuchnie wojna to wszyscy oni wezmą w niej udział - a i losy najbliższych nie wiadomo jak się potoczą. Z podjętym zgodnym postanowieniem, udali się wszyscy do wybranej i znanej w tych okolicach jadalni u Eni - jest to imię właścicielki jadalni, którą była żydówką. Spożyto tam trochę jadła, ale przede wszystkim znaczną liczbę butelek wódki. Na tym wspólnym biesiadowaniu, w wytworzonej atmosferze napięcia, wywiązała się ożywiona i wysoce patriotycznie zaangażowana dyskusja prostych ludzi o losach Polski. W tym też nastroju, wyrażanym zewnętrznym śpiewaniem różnych - ówczesnie wielce popularnych piosenek - wszyscy razem opuścili lokal w późnych godzinach wieczornych i udali się w kierunku własnej wsi. Po drodze musieli przejść przez jedyny w tym miasteczku most na rzece Seret. Tuż przed mostem zostali prowakacyjnie zaczepieni przez grupę ukraińców - młodych tego miasteczka ludzi. Prowakacja wyrażała się w tym, że byli oni ustawieni gęstym szpalerem w poprzek mostu, zupełnie zamykając przejście przez most. Zachowanie się tej grupy było wyraźnie zaczepne. Mimo głosów z naszej grupy - odejście musimy przejść przez most - odzywki były w rodzaju, że spróbujcie. Mimo nie wadzącego zachowania się naszej polskiej grupy, wskutek celowej prowakacji - doszło, do sprytnego nagłego, wezale z naszej strony nie zamie-

Imię i nazwisko
Wojciechowski

rganego i zupełnie niepotrzebnego, incydentu - dla naszej grupy
swiętokrzyskiego. Jak się po pewnym okresie okazało, incydent ten orga-
nizowany był przez ludzi popierających tak dobrze nam znaną
z czasów wojny piątą kolumnę hitlerowskich Niemiec. Po wkroczeniu
wojsk niemieckich na te tereny, znaczna część osób biorących udział
w tej prowakacyjnej naczepie, pozajmowała różne wysokie stanowiska
w okupacyjnej administracji hitlerowskich Niemiec. Ich ówczesna
siła polegała na bezwzględności działania, dużej wrzaskliwości
i wysokim stopniu wewnętrznego zorganizowania opartego na bez-
względnym posłuszeństwie egzekwowanym z całą konsekwencją.

XVI. Powszechna mobilizacja do wojska polskiego.

Grupa wróciła w dobrym nastroju. W wsi jednak mimo późnej nocnej
pory, prawie nikt nie spał jeszcze. Panował ożywiony ruch i wrzawa.
Jak się okazało, powodem tego napięcia i smutku był fakt doręczenia
dla znacznej liczby mężczyzn imiennych kart mobilizacyjnych, okre-
ślających terminowe stawianietwo w trybie niezwłocznym w wyznaczo-
nych jednostkach wojskowych. W wyniku tego, do nastania świtu wszys-
cy mężczyźni, którzy takie karty otrzymali, udali się do nakazanych
jednostek wojskowych, które stacjonowały głównie w Tarnopolu,
Brzeżanach, Czerkowie i Trembowli. Z grupy mężczyzn, którzy powrócili
z niedzielnej libacji i wspólnego biesiadowania w Budzanowie -
pozostali prawie wszyscy, pozostało nas tylko dwóch z tej grupy.
Wszyscy, ci z naszej grupy, to serdeczni koledzy jak też i bliscy
krowai - mimo że byli nieco starsi od nas. Razem pracowaliśmy,
razem dzieliliśmy sobie i niedelę codziennej ciężkiej pracy, wzaj-
jemnie się wspomagając. Odczuliśmy po raz pierwszy wielki smutek
i raczej podświadomie wielki ciężar tego wszystkiego, co miało
wkrótce nastąpić.

Opisywana noc powszechnej mobilizacji, była we wsi bardzo
smutna i jednocześnie bardzo wrzawliwa. Wszyscy żegnali odchodzących
na wojnę mieszkańców wsi. Odchodzący żegnali dzieci, żony, rodzeństwo,
sąsiadów - według obyczaju prosząc o opiekę, a także pomoc żonie
i dzieciom w czasie ich nieobecności w domu. Pozostający na miejscu
szerze współczuli odchodzącym - prosząc równocześnie, że jeżeli
mimo wszystko wybuchnie wojna, to nich pamiętać jednak, że broń
każdy z nich własnej ziemi ojczyznej. Były to słowa szczerze, przede,
wypowiedziane z ekhopską powściągliwością i wielką powagą. Starsi
natomiast, ci, którzy byli uczestnikami pierwszej wojny światowej,
a takich we wsi było niemało, żegnając się udzielali przy tym rów-
nież praktycznych rad wyniesionych z doświadczeń wyniesionych
z frontowych walk. Cały ten ceremoniał odbywał się, jak w takich

przypadkach bywało przy płaczu pozostawianych dzieci, żon, matek i sióstr. Każda rodzina żegnała kogoś z domu. Należącej wsi odczuwało się ogólną wrzawę i płacz przez całą noc. O świcie odprowadzono wszystkich odjeżdżających na główną w tej okolicy drogę traktową i pożegnano jeszcze raz, nakazując i życząc rychłego powrotu. Po odprowadzeniu zmobilizowanych, wieś opustoszała, pozostali w niej tylko starzy mężczyźni, kobiety oraz dzieci i młodzież w wieku do lat 20-tu. Wyczuwało się nie wypowiedzaną wielką gorycz smutku u każdego z pozostających, obawę o los najbliższych i lądzone się, że może stanie się coś niewiadomego i wojna jednak nie wybuchnie. Mimo tak napiętej sytuacji, wspomnieć należy, że dla wsi - była to pora roku - pilnych i bardzo gorączkowych prac w polu. To zmuszało mieszkańców do zajęcia się przede wszystkim kośleniem zwózki snopów z pól, ich omłotem oraz przygotowywanie pól uprawnych do jesiennych siewów. Wrzała więc nadal, we wsi, ciężka praca w polu. Przy czym wykonana ona być musiała ze zdwojonym wysiłkiem, ponieważ przy jej wykonywaniu musiano zastąpić nieobecnych.

XVII. Echo wybuchu wojny niemiecko-polskiej

(wybuch drugiej wojny światowej - 1 września 1939 roku)

W godzinach wczesne rannych, pierwszego września 1939r, rozeszła się we wsi wieść, że wojna jednak wybuchła. W każdym prawie domu zaczęły pojawiać się pytania, które pozostawały przeważnie bez odpowiedzi. Co to dalej będzie? Co z naszymi, którzy odeszli na wojnę, gdzie oni obecnie są? Starzy wiekiem mieszkańcy wsi, mając doświadczenie o trudnościach bytowania z czasów pierwszej wojny światowej, udzielali różnego rodzaju ostrzeżeń, rad i w miarę sił własnych również pomocy młodszym. W tym pierwszym dniu wojny, oprócz wielkiego podniecenia, przygnębienia, indywidualnej zadumy oraz wzmagających się jesiennych prac w polu, nie szczególnego się nie działo.

Podobnie cały pierwszy tydzień wojny nie wyróżnił się w tych okolicach niczym szczególnym - poza tym, że zaczęły napływać z różnych źródeł - głównie z przekazu słownego - bardzo sprzeczne, a niekiedy wręcz fantazyjne wieści z walk na froncie. Wznagała się głęboka niespokojąca nerwowość wszystkich mieszkańców tych okolic. Wstrzymano całkowicie pracę w kamieniołomach. Poza tym, zasłyszane wieści niesły, że część naszych, którzy zostali zmobilizowani do jednostek wojskowych w Tarnopolu, jako by nie otrzymało jeszcze mundurów wojskowych. Jak się później okazało, nie polegało to wogóle na prawdzie.

Jedynym źródłem wiadomości radiowych mieszkańców wsi, był kryształkowy aparat radiowy na słuchawki, który posiadał Miarian

Partyka. Wiadomości te były coraz bardziej skąpe i jak na żywione ludzki nadzieje, zatrważające. Każdy dzień następny kolejnego tygodnia przynosił dla tych okolic coraz to nowe zjawiska wojny. Ze starszych mężczyzn posiadających określone przygotowanie wojskowe i z chłopaków, członków okolicznych drużyn organizacji strzelców, którzy przed wojną ukończyli kurs przeszkolenia wojskowego przy powiatowej komendzie przysposobienia wojskowego, zorganizowano placówkę. Zadaniem jej było zapewnienie stałej przejezdności - słynnej z tragizmu polskiego września 1939 roku - szosy zaleszczyckiej na odcinku 12 km (trzy mosty: dwa na rzece Seret - jeden żelazny w Janowie i tam też elektrownia wodna; jeden drewniany w Budzanowie; oraz jeden kamienny most - starowiekowy - przez głęboki jar obok wsi Wierzbowce).

Słów kilka o tych mieszkańcach wsi, którzy odeszli do wojska polskiego w drodze powszechnej mobilizacji. Nie było od nich żadnych wiadomości - ani gdzie są, ani o ich losie. A ich droga i los, już jako żołnierzy, związany był nieodłącznie z losem i walką frontową tych jednostek w skład których zostali wcieleni, w szeregach których pełnili frontową służbę i walczyli z wrogiem. Otóż los wszystkich mężczyzn opisywanej wsi zmobilizowanych w 1939 roku na wojnę, związany był głównie z drogą frontową i walką następujących jednostek wojska polskiego. Mianowicie:

12 Dywizja piechoty - siedzibą dowództwa której był Tarnopol. Droga frontowych walk tej dywizji w wojnie 1939 roku, w ramach nie w pełni zorganizowanej odwodowej armii "Prusy" w skład której wchodziła, to ciężkie walki pod Kielcami. Mocno w tych walkach okaleczona - pozostałością swoich sił, wraz z różnymi napotkanymi jednostkami - udział w walkach wspierających wycofujących się wojsk armii "Kraków". Następnie resztkami sił wycofała się za rzekę Wisła i dalej na wschód.

Podolska Brygada Kawalerii - siedzibą dowództwa której był Stanisławów, w skład której między innymi wchodziły: 9 pułk ułanów Małopolskich, 6 pułk ułanów Kaniowskich i 14 pułk ułanów Jazłowieckich. Frontowa droga walk tej brygady w wojnie 1939 roku - w ramach armii Poznań w skład której wchodziła od 1 września 1939 roku - to walki w pasie przygranicznym na zachód od Poznania, na kierunku Silnia - Międzychód i dalej okolice Wrześni, Kutna, udział w bitwie nad rzeką Bzurą. Dalej - walka - przez Sochaczew, Kampanos przebicie się do Warszawy i udział w obronie Warszawy.

Pułk Korpusu Ochrony Pogranicza, dowództwo brygady którego stacjonowało w Czortkowie - droga walki tego pułku w składzie którego służyli i walczyli również mieszkańcy opisywanej wsi - to głównie etapowe krótkotrwałe zacięte walki wycofujących się bojowych elementów ochrony pogranicza tego pułku w dniu 17 - 18 września 1939r z przeważającymi siłami

wkraczających do polski i wrogich jej wojsk czerwonej armii radzieckiej.

Byli żołnierze wojska polskiego - mieszkańcy opisywanej wsi - tak wspominają walkę swoich jednostek w szeregach których brali w tych walkach bezpośredni udział. Mianowicie:

Paweł Bajrakowski - były żołnierz 3 kompanii strzeleckiej 51 pułku piechoty, miejscem postoju którego było miasteczko Brzeżany. Pułk wyprowadzono z koszar w rejon alarmowy w dniu 28 sierpnia 1939 roku. Po załadowaniu na transport kolejowy w Brzeżanach w dniu 30 sierpnia wyruszyliśmy w kierunku zachodnim do Sandomierza. W Sandomierzu w dniu 1 września transport był bombardowany przez samoloty niemieckie. Z Sandomierza transport nasz wyruszył w kierunku Starachowic - Skarżysko. Na stacji kolejowej Skarżysko stało już trzy transporty wojskowe - kawaleria, artyleria. W godzinach rannych duża grupa samolotów niemieckich dokonała nalotu na stację Skarżysko. Rozpoczął się prawdziwy chrzest bojowy. Straty pułku były znaczne. Wynikiem tego bombardowania, prawdopodobnie, był przymusowy wyładunek transportu naszego pułku. Wojska z transportu wyprowadzono do okolicznych lasów. Stamtąd o zmroku pułk wyruszył w kierunku Kielc, gdzie nakazano nam zająć obronę - był to już 5 września 1939 roku. Po zajęciu obrony prawie bezpośrednio weszliśmy do walki z wrogiem - z Niemcami - i przez dwa dni (6 i 7.09) pułk prowadził bardzo ciężkie i zacięte walki. W walkach tych pułk nasz został rozбит. W tym też rejonie walczył też 54 pułk piechoty naszej dywizji, w szeregach którego walczyli również mieszkańcy naszej wsi - Kornel Bajrakowski i Piotr Wiśniowski. Pod silnym i ciągłym ogniem Niemców, rozbitków pułku kierowano do pobliskich lasów. Tam też spotkałem Kornela Bejcar - również mieszkańca naszej wsi - który był w naszym pułku sanitariuszem. Było to na zachód od szosy Częstochowa - Kielce. Po rozbiciu pułku błakaliśmy się usiłując dotrzeć do jakiegoś zorganizowanego zespołu walki z wrogiem. Był już 10.09.1939 roku, zatrzymaliśmy się na noc w napotkanej wsi ok. 5 km od Ostrowca koło Kielc. Ludzie miejscowi wystraszeni grozą sytuacji przyjęli nas niechętnie. Nazbierało się nas tych rozbitków około kompanii. We wsi zaskoczyli nas Niemcy i rozbili. Po rozbrojeniu zaprowadzili nas do Ostrowca i zgrupowali na targowicy. Trzymali nas tam przez cztery doby bez żadnego pożywienia, ani nawet wody. Z tej targowicy zabrali nas do koszar w Kielcach, gdzie przebywaliśmy bez żadnego pożywienia przez następne trzy doby. Z Kielc zabrano nas następnie do Częstochowy. W Częstochowie po raz pierwszy otrzymaliśmy posiłek - trochę zupy i chleb. W Częstochowie załadowano nas na transport kolejowy. Koleją dojechaliśmy do obozu jenieckiego przejeźdźciewego Altengrabow - Stalag 11a (Arbeitskommando 168). Posiadałem numer obozowy (Lager numer) - 5199. Z tego obozu zaczęli nas zabierać do prac polowych u baerów w okolicznych wsiach. Osobiście byłem we wsi Ditfurt u bauera Friedrich Kother do 20 kwietnia 1945 roku.

Wojciech Jędorowicz - jako rezerwista zmobilizowany zostałem do Wojska Polskiego 27 sierpnia 1939 roku. W trakcie swojej wojennej drogi we wrześniu 1939r znalazłem się we Lwowie. W trakcie bombardowania przez Niemców, będąc w walce znalazłem się przysypany pod gruzami. Nieprzytomnego zabrali mnie do polikliniki gdzie zrobili szpital wojenny. Na drugi dzień tak jak bym się obudził i nieco oprzytomniałem. Przyszedł lekarz - major - i pyta co ze mną jest, a ja nic nie wiem. Nawet nie wiem dlaczego leżę na słomie na korytarzu. Za chwilę przywołano siostrę (pielęgniarkę), która wyjaśniła, że podczas bombardowania przysypany został cały pluton i nas 8-miu tu przywieźli z których jeden już umarł, a tych 7-miu żyje. A ja byłem przez cały czas nieprzytomny. Dawali mi jakieś leki i zastrzyki doszedłem trochę do siebie. 24 września na rogatkach byli już ruscy (sowieci). Mówili żołnierzom idźcie do domu. Ja ledwie się ruszam, ale żołnierze - koledzy mieli furmankę konną. Z nimi dojechałem do Złoczowa. Tam spotkałem żołnierzy z pobliskich miejscowości na - szych okolic - jednego z Janowa, a drugiego z Dołhego i ja z nimi. A tu dwóch ruskich na koniach i nas zatrzymali. Zawrócili nas na stację kolejową. Idąc w kierunku stacji z mijanego po drodze zagajnika, wyskoczyło dwóch ludzi tylko w kalesonach. Jeden z tych ruskich na koniach, którzy nas prowadzili, uskoczył na koniu do tego zagajnika i wyprowadził pokrótce z tamąd dwóch ludzi z workami na plecach. Przy nas kazał zawartość tych worków wysypać. Z worków wysypały się mundury. Ludziom będącym tylko w kalesonach kazał się ubierać w te mundury. Okazało się, że byli to żołnierze z okolic Tarnopola. Natomiast tych dwóch, których przyprowadził z workami, ten sam ruski nieco ich odprowadził i postrzelał. Po przy prowadzeniu nas na stację kolejową w Złoczowie, na stacji stał podstawiony pociąg. Pytaliśmy dokąd ten pociąg jedzie, w odpowiedzi usłyszeliśmy pytanie, a gdzie wam trzeba? odpowiadaliśmy że do Tarnopola. Mówiono nam to siadajcie on jedzie do Tarnopola. Wsiadaliśmy, zawieźli nas aż do Kijowa. W Kijowie nas wyładowali i przed front tych wszystkich przywiezionych żołnierzy polskich, wyszedł ruski generał i powiedział - "no polacy czy będziecie pracować? kto będzie lepiej pracować, ten prędzej pójdzie do domu. Bo nam żal ludzi. Bo u was jest banda i zabijają ludzi. Później też generał ruski powiedział, że wszyscy pójdziemy do domu najpóźniej do 15-go grudnia - daje nam na to swoje słowo. Ale i to się okazało kłamstwem. Byłem w niewoli 27 miesięcy - w warunkach ponad ludzkie siły, gdzie ludzie z głodu ślepli i puchli, a z wyczerpania pracą ponad siły padali, bądź gdzieś znikali. Zajęli nas Niemcy w 1941 roku. Po dwóch tygodniach od Niemców uciekłem i z różnymi przygodami w końcu sierpnia wróciłem do domu w 1941 roku.

O tych tak niekorzystnych dla nas walkach, żadnych bieżących wiadomości nie było. A wracając do opisywanych okolic to zachodzące tu tak nagłe zaszłości też były przerażające.

1. Bombardowania przez niemieckie samoloty okolicznych obiektów i stacji kolejowych.

Nad okolicami opisywanego obszaru południowo wschodniej polski, w granicach z 1939 roku, zaczęły pojawiać się niemieckie samoloty. Zostały zbombardowane miasta powiatowe Trembowla i Kopyczyńce. Atakowane były też przez samoloty niemieckie małe stacje takie jak Dereniówka i inne. Jak głosiły coraz częstsze pogłoski, że zatrzymywano też w tych okolicach podejrzanych obcych ludzi - szpiegów. Wyraźnie zauważalną, była nerwowość władz administracyjnych. Niektórzy z nich na zadawane im pytania odpowiadali wprost, że nie mają żadnych oficjalnych wiadomości co się w kraju dzieje. Wzrastało też zniecierpliwienie. Wzmagająca się niepewność i dezorientacja prostych ludzi. W takich warunkach - w oddalonej od większych ośrodków - kresowej wsi polskiej miały kolejne dni tragicznego września 1939 roku.

2. "Uciekinierzy" - masy ludzi, samorzutnie uformowane w ciągły potok ludzi na drodze - przemieszczający się szosą zaleszczycką w kierunku granicy rumuńskiej (wg stanu granic polski z 1.09.1939r).

Począwszy od drugiego tygodnia trwania wojny, zauważalnie zwiększała się częstotliwość ruchu na "szynnej" z tych dni szosie zaleszczyckiej, prowadzącej do ówczesnej granicy polsko rumuńskiej. Początkowo samochodów, później pojawiły się również pojazdy o zaprzęgu konnym, a następnie także rowerzyści i piesi. Początkowo były to tylko osoby cywilne, jak można było to zauważyć, o różnym stanie zamożności. Właśnie ten stan zamożności uwidaczniał się, w tej tragicznej sytuacji, w wybranym środku transportu. Reprezentowany on był też wyglądem i zachowywaniem się pasażerów tych środków transportu. W sumie jednak był to obraz (widowiska) bardzo smutne i przygnębiające - niosące za sobą zbliżającą się grozę i tragizm. Szczególnie przygnębiające wrażenie i wręcz rozpaczliwy smutek u znacznej części ludzi tych okolic, sprawiały wycofujący się również w tym ogólnym nieładzie, choć wewnętrznie zwarte i jak dawało się zauważyć - karne, dość liczne grupy żołnierzy wojska polskiego, które zaczęły się pojawiać na tej drodze od drugiej połowy dnia 16 września. Wraz ze wzmagającym się ruchem na wspomnianej szosie, niesione były również różne fragmentaryczne wiadomości o faktycznej sytuacji jaka wytworzyła się w kraju. Mówiąc o ludności cywilnej, byli to przeważnie ludzie uciekający przed Niemcami z terenów walk frontowych - uciekający w tym tylko, co w pośpiechu zdążyli ze sobą zabrać. Ten początkowo nieznaczny ruch na wspomnianej szosie, w dniach począwszy od drugiej połowy dnia 15 września, przemienił się w ciągły potok - ludzi pieszych i pojazdów - przemieszczający się w kierunku ówczesnej granicy państwowej polsko rumuńskiej. Przy czym szli na przemian i wojs

ko i ludność cywilną. Mówiąc o ludności cywilnej, to w dniach 16 i 17 września przeważali rowerzyści i piesi - ciągnący za sobą swój dobytek na różnych podręcznych, jak widać byłó, pośpiesznie wykonanych wózkach i plecakach. Miejscowe ówczesne władze wcale na istniejący stan nie reagowały - za wyjątkiem zapewnienia przejezdności drogi i doraźnej pomocy w oddzielnie sporadycznych przypadkach. Panował ogólny chaos, a dziejące się bieżące zaszłości wprowadziły wprost paniczny nastrój. Szerzyły się przy tym również - celowo rozsiewane różne wrogie plotki, które wzmagaly zamęt, pogłębiały tragizm Polaków i przez nikogo nie dementowane podsycaly grupy Polacie nie przyjazne, które wprost zachwycaly się z takiego obrotu sytuacji wieści głosiły, że niemieckie wojska dotarły już do Tarnopola, że są już napewno niedaleko od naszych okolic. Niespotykane dotychczas w tych okolicach zdarzenia, wmontowane niejako w całość dziejących się nieszczęść, coraz bardziej zagęszczały się. Oprócz niesprawdzalnych coraz to gorszych wieści wojennych - na zaporze wodnej przy elektrowni w Janowie, przypłynęła czy pojawiła się, zewnętrznie podejrzanie ponętna, drewniana paczuszka. A w niej, szczelnie zabezpieczone od zamoczenia, dwa produkcji niemieckiej granaty, od których zawlecзки sprytnie wmontowano w wieko paczuszki powodujące bojowe uruchomienie granatu już po nieznanym uchyleniu tego wieka lub dokonany na niego nacisku. Szczęściem paczuszkę tą w czasie unieszkodliwiono. Innym zdarzeniem było pokazanie się w miejscu najruchliwszym na ceglany murze przydrożnym w Janowie, wrogiego Polacie hasła propagandowego - bolszewickiego (w późniejszym okresie wyjaśniło się kto był wykonawcą tego napisu). W pierwszych dniach drugiego tygodnia wojny na opisywanej już wyżej szosie znaleziono, przez kogoś - napewno wrogiego - ustawione brony rolnicze, metalowymi zębami do góry na odcinku pod lasem zwanym Broczucha. Z początkiem trzeciego tygodnia trwania wojny, zbrojna grupa nieznanym osobnikom usiłowała przedostać się na strzeżony teren obiekty w lasach kobywłockich (mówiono, że znajdowała się tam prochownia)

3. Bój z czołowym oddziałem wkraczającej do polski wrogiej czerwonej armii związku radzieckiego.

W takich pokrótce sytuacyjnych zaszłościach zbliżył się pamiętny dzień 17 września 1939 roku. Była to niedziela. Będąc od kilku dni w składzie opisywanej wyżej placówki, o czym nawet mało kto wiedział, oprócz najbliższych, we wczesnych godzinach rannych - po sprawdzeniu przejezdności szosy, stanu mostów i panującej na całym odcinku szosy sytuacji - znalazłem się na starowiśkowym moście obok wsi Wierzbowce. Wracając nakazano nam, abyśmy pozostali w tym rejonie z zadaniem sprawowania w niezbędnym zakresie ochronnego nadzoru i stosownie do sytuacyjnych miejscowo możliwości zapewnianie bezkolizyjnego

przepływu tego "potoku" ludzkiego na szosie oraz sprawności mostów i szosy (zatory, uszkodzenia i tp.).

Będąc w pobliżu i po drodze, za zezwoleniem odwiedziłem przez chwilę dom rodzinny. Spotkałem też po drodze kolegów. Wskutek wieści zasłyszanych zarówno w radiu, jak i zachodzących i bezpośrednio widocznych nackoło zdarzeń, sytuacja w tym dniu była bardzo napięta. A napotykanii w tym dniu po drodze polacy - mieszkańcy tych okolic - byli w stanie prawie granicznego zaniepokojenia i zadržożenia. Idąc po drodze napotkaliśmy moją matkę wracającą z kościoła w pobliżu Budzanowie. Była wielce zadržoskana. Opowiedziała nam, że idąc po drodze natknęła się w Budzanowie na znajomego gospodarza ukraińca, którego ani ona, ani też nikt z naszej rodziny nic złego nigdy nie uczynił, a on uśmiechając się odezwał się po ukraińsku do niej w te słowa "no Marynka wystarczy już tej waszej polski, rozsypuje się i dzięki Bogu na zawsze". W ramach wykonywanego polecenia po pewnym czasie znalazłem się wraz z kolegami przy drewnianym moście w Budzanowie, pośród tłumu ludzi przemieszczających się szosą ruchem ciągłym. Natknęliśmy się akurat - zapamiętałem, gdyż była to grupa odróżniająca się - na przechodzącą grupę podchorążych, dość liczną, żołnierzy lotników zmęczonych i zadržożonych jak wszyscy zresztą. Jak się później wyjaśniło była to część podchorążych z lotniczej szkoły w Dęblinie. Po uzgodnieniu podziaku zadań między sobą, zdecydowano że mam pójść dalej na południe wzdłuż szosy do następnego mostu razem z tym "potokiem" ludzi i po drodze czegoś się dowiedzieć od nich o sytuacji. W razie nie przewidzianych zdarzeń mam wracać natychmiast na drewniany most, a jeżeli nic się nie wydarzy to dojdzie do mnie wiadomościem wzmocnienie. Poprosiłem będących w pobliżu i czekających kolegów z mojej rodzinnej wsi i poszliśmy razem. Po około drugodzinny marszu, wysoko na niebie pojawiły się samoloty niewiadomej przynależności państwowej. Znajdowaliśmy się wówczas w odległości około 3 - 4 kilometrów na południe od miasteczka Budzanów, przed wsią Wierzbowce. Ktoś z tłumu krzyknął - "kryć się, samoloty". Okrzyk ten podnieśli również inni wzdłuż szosy. Znajdowaliśmy się na szosie na odkrytych polach. Pamiętam, że wzdłuż szosy były duże połacie pól nie wykopanych jeszcze ziemniaków. Z prawej natomiast strony w pewnym oddaleniu był duży masyw leśny - las jak go nazywano Kosowski. Znałem ten las. Na okrzyk "samolot kryć się" - potok ludzki z szosy rozsypał się po polu, znaczna część uciekła także do lasu. Po pewnym czasie sytuacja uspokoiła się, samoloty odleciały spokojnie na zachód. Były to samoloty sberwonej armii. Będąc w lesie wstąpiliśmy z kolegami - Szczepan Osowski i Jan Sadowy oraz ja - do gajówki na skraju lasu rozmieszczonej na wysokim wzniesieniu z którego to miejsca było dobrze widać całe miasteczko Budzanów.

Docierając do gajówki skrajem lasu obok szosy, napotkaliśmy gadających na ekiepskim wozie policjantów. Ostrzegli nas, że do miasta zbliżają się od strony wsi Kobylki - maszerujące w niekończącej się kolumnie, wrogie polskie, bolszewickie wojska sowieckiej armii. Tymi wiadomościami zostaliśmy zupełnie zaskoczeni i wprost jak gdyby sparaliżowani. Po pewnym czasie otrząsnęliśmy się z tego osłupienia i udaliśmy się na skraj tego samego lasu - w części młodego wysiepiennego lasu od strony miasteczka Budzanów. Z tego rejonu dobrze było widoczne zarówno pola, jak i droga o której mówili policjanci, a także szosa na której coraz bardziej zmniejszał się ruch, aż do zupełnego zaniku. Miejsce to znajdowało się na górze - po przeciwległej stronie miasteczka - skąd miały nadejść wrogie wojska sowieckie. Same miasteczko znajdowało się w dole zarówno w stosunku do miejsca naszego znajdowania się, jak też w stosunku do rejonu odległego od nas - w prostej linii - około 4 - 3 kilometrów, z którego miała nadejść wspomniana kolumna wojsk. Niespodziewanie w niedalekiej od nas odległości - w części lasu o gęstym wysiepiennym drzewostanie - zauważyliśmy wzmożony ruch, wyglądających na żołnierzy, pojedynczych ludzi między drzewami. My znajdowaliśmy się w części młodego drzewostanu, tuż przy granicznym ekopie strony wschodniej od strony otwartej przestrzeni. Ten młodniak powołał, że byliśmy zupełnie nie widoczni od strony lasu wysiepiennego, mimo że byliśmy w niedalekiej odległości. Wyraziłem chęć, że też wspólnie przedyskutowaliśmy i uzgodniliśmy, że koleczy pozostaną na miejscu, a ja udać się w głąb lasu i postaram się rozeznać - co to za ludzie, którzy się w pobliżu pojawili. Po przejściu z części lasu w której byłem z kolegami, do części lasu wysiepiennego, zostałem powstrzymany przez żołnierza WP, żebym dalej nie szedł w kierunku w którym zmierziałem. Zapytał jednocześnie co ja tu sam robię teraz. Odpowiedziałem że nie jestem sam i że jestem z placówki ON. Ten nic nie mówiąc, poprosił iść za nim do oficera. Po parudziesięciu krokach weszliśmy w linię starych - jeszcze z pierwszej wojny światowej - ekopów. Tam naknęliśmy się na oficera w stopniu porucznika przy którym byli dwaj znajomi z mojej placówki ON, którzy jak się okazało zmierzali właśnie jako wzmożenie do mojego rejonu. Wyjaśniali mi porucznikowi jaki jest układ miasteczka. Żołnierz dołączył do nich. Na mój widok - pokazując na mnie - że jest nas już, trzech z tej placówki ON. Po tej prezentacji nie trzeba było nic wyjaśniać.

Nagłość sytuacji spowodowała, że oficer oświadczył - zdecydowani jesteśmy skutecznie zaatakować tych, którzy tu idą na naszą zgębę. Jeżeli nie inne nam nie przeszkodzi, to mamy środki na krótki nagły atak, po którym odszkodujemy dalej. To wszystko co możemy zrobić

Zaprzestanie walki - to znaczy po ustaniu strzałów z naszej strony, jest dla wszystkich tu obecnych sygnałem do wycofania i rozejścia się, gdyż to już koniec. Nie dać się złapać. Broń w miarę możliwości zachować. Natomiast imiennie wyznaczonym przeze mnie dalszy kierunek został wskazany. Obydwu przybyłym polecił - jednemu udać się na skraj lasu do kolegów, oddalić się dalej w lewo - i wskazać miejsce oddalenia - i być tam do końca trwania ataku, czujką ubezpieczającą z lewej strony, tą atakującą grupę żołnierzy; - drugiemu wskazał miejsce do którego ma się udać i mieć wzrokowy kontakt z tym pierwszym.

Możliwość podejścia do tego miejsca - przeciwnika - *była od strony miasta*, zupełnie realna ze względu na silnie zadrzewiony teren wysokopiennymi drzewami owocowymi. Stąd zadanie - w przypadku zaważenia jakichkolwiek podejrzanych ruchów od tej strony przekazywać poprzez tego żołnierza do dowódcy. Pozostałym dwóm z placówki ON, dał podobne polecenie, lecz na prawym skrzydle grupy. Po tej rozmowie z powyższym oficerem - dowódcą, jak gdyby nie dochodziła jeszcze do świadomości tu obecnych w pełni groza sytuacji - rozpadu wszystkiego tego co było, co jeszcze jest ale są to jego ostatnie chwile, tego z czym byliśmy trwale związani. Po powrocie do kolegów będących na skraju lasu w granicznym rowie - oświadczyłem im, że ludzie ci to dość liczna grupa żołnierzy Wojska Polskiego, którzy dość sprawnie rozmieszczają się w starych, pozostałych jeszcze z okresu pierwszej wojny światowej, okopach będących obok w części lasu wysokopiennego. Dowódca tego pododdziału do którego zostałem doprowadzony - rozmawiając ze mną, co ja tu robię - dowiedział się o nas od dwóch kolegów z placówki naszej którzy już tam byli. W sytuacji w której się znajdujemy uznałem, że całości tego co powiedział porucznik, ze względu na wzmocnienie przygnębienia nie ma co mówić, ponieważ to i tak niczego nie zmieni. Powiedziałem jednak kolegom, że z tego co widziałem to napewno zanoszą się na ostrą walkę, lecz chyba niedługą, bo na więcej nie będzie stać tak małej grupy z naszej strony. Określiliśmy wspólnie, że może tu być dość niezłe strzelanie. Namówiłem kolegów, żebyśmy odeszli do wskazanego mi przez oficera miejsca. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Mimo niebezpieczeństwa koledzy zdecydowali się zostać - wspólnie poczekać, aż sami zobaczymy tę zbliżającą się kolumnę wrogich wojsk. Ta pamiętna niedziela, była dniem - zresztą jak wszystkie dni tej jesieni - bardzo pięknym i słonecznym.

Zauważyliśmy po przeciwnej stronie miasteczka, niekończącą się kolumnę wojska, czoło której zeszło już w dół do miasta. Po około godzinie czasu, a może i więcej - były to późne godziny popołudniowe, po zupełnie opustoszałej, a tak niedawno jeszcze pełnej ciągłego potoku ludzi, szesie - początek tej wdzianej z daleka kolumny wojsk zaczął się wynurzać z miasteczka w naszym kierunku. Czołgi jeden za drugim w pewnych odstępach jeden od drugiego, po szesie - a piechota za czołgami w gotowości do akcji. Posuwały się one pod górę, wychodząc na otwartą niczym nieosłoniętą szesę, przebiegającą w połowie zupełnie odkrytego dość stromego zbocza terenu. Po przybliżeniu się na odległość 200 - 100 m. od skraju lasu, gdzie znajdowała się cała wyżej opisana grupa polska, została z tego lasu zaatakowana w prawy bok tej części kolumny, która znajdowała się już na otwartej przestrzeni. Kolumna została zaatakowana ze wszystkiego co było w posiadaniu grupy atakującej - ogniem broni maszynowej, ręcznej i jednego działka przeciwpancernego. Atak był skuteczny. Trzy czołgi czoła kolumny zatrzymały się, a w dwóch które się zatrzymały - zaczęło się dymić. W odpowiedzi - w naszym kierunku - wzmógł się wprost huraganowy ogień z broni maszynowej, a po niedługim czasie również z dział. Kolumna się zatrzymała - czołowe czołgi tarasowały drogę. W toku walki widać było znaczny ruch przy zatrzymanych czołgach. Ogień, przeciwnik prowadził po całym paśmie skraju lasu na całej jego wdzianej długości. Było gorące - jak to się zwykle wówczas takie sytuacje określać. Po niedługim czasie, ogień prowadzony z lasu przez polski oddział, ustał. Zgodnie z ustaleniami, należało się szybko z tego miejsca wycofać. Lecz przeciwnik swojego silnego ostrzału nie przerwał. W wytworzonych warunkach znaleźliśmy się na skraju lasu w sytuacji bardzo niekorzystnej. Nic nas prawie nie osłaniało za wyjątkiem granicznego rowu dość głębokiego i kilku większych krzaków. Przywarliśmy do ziemi, a następnie - obserwując przeciwnika, wychodząc z rowu i czołgając się - zaczęliśmy się wycofywać w głąb lasu. Natrafiwszy na bruzdę wykonaną w międzyrzędowej dróźce młodnika leśnego - w jej wyżłobieniu, pod ciągłym ostrzałem wycofaliśmy się w głąb lasu, a następnie oddaliliśmy się od tego miejsca zupełnie. Po niedługim czasie ta silna strzelanina ustała. Wracając, spotkałem posłańca z naszej placówki z poleceniem oznajmiającym rozwiązanie placówki i nakazującym rezejście się, stosownie do sytuacji i według własnego uznania. Bronń zachować. Posłańcem tym był Pindera ze Szekutki Janowskiej. Dołączyłem do kolegów. Byliśmy zupełnie zakamami wiadomościami i przeżyciami, które zwały się na nas z całą wojenną bezwzględnością i brutalnością. Zmierzaaliśmy do rodzinnej wsi. Wróciliśmy późnym wieczorem.

We wsi panowało przekonanie wśród najbliższych, że poszliśmy z całą masą uciekinierów w kierunku granicy. W rodzinach naszych opłakiwane naszą nieobecność. Po powrocie i nieznacznym uspokojeniu, zaczęły się spytki. Dowiedzieliśmy się również o innych zdarzeniach, których świadkami byli inni mieszkańcy opisywanej wsi w innych rejonach tej okolicy. Między innymi - obok wsi Podhajczyki usiadł przymusowo polski samolot. Na polach za megielnickim lasem ludzie znajdowali pojedyncze egzemplarze polskich dwudziestozłotowych papierowych banknotów, pochodzących prawdopodobnie z rozbitego samolotu który je wiózł. Wieść niesła także, że w Janowie i Budzanowie sowieci - już poszukiwali i rozpytywali się - gdzie podzieli się policjańci i ci którzy ochraniaли elektrownię i most. W powstałej sytuacji w większości polskich rodzin wsi postanowiono "zapomnieć" czym, gdzie i kto był, wielu i jeszcze jest. Ponieważ, jeżeli wiedza ta dojdzie do wiadomości tych co do nas przyszli, to będą kłopoty nie tylko dla tych - którzy gdzieś byli - niektórzy jeszcze są, ale dla całej wsi. Starzy mieszkańcy wsi pamiętali wydarzenie jakie miało miejsce w tej właśnie wsi w czasie pierwszej wojny światowej kiedy to carscy kozacy dokonali na tą wieś rabunkowego napadu i gwałtów, a kłamliwie twierdzili, że powodem ich wejścia do tej wsi był napad mieszkańców na kozaków. Zabrali wówczas za "karę", zupełnie niewinnych - wszystkich pozostałych we wsi mężczyzn, głównie starców i małolętnich chłopców, ponieważ mężczyźni w pełni sił byli na wojnie oraz trzymali ich w więzieniach przez przeszłe pół roku, traktując ich jako austriackich szpiegów. Te przestrogi i obawy spowodowały, że zaszłości uznane zostały za "niebyłe". Nikt nigdzie nie był w niczym nie uczestniczył. Zresztą tyle było wówczas wszelakiego rodzaju różnych bieżących wieści - przykrych, groźnych, tragicznych.

R e z u m i e n i e trzeci

o kupacja przez związek radziecki wschodnich ziem polski
w granicach z 1 września 1939 roku

XVIII. Okres, od 17 września do końca 1939 roku.

1. Naczedzenie niektórych polskich rodzin w opisywanej wsi
Zniesienie przez ukraińskie samozwańcze uzbrojone grupy
milicyjne osobników cywilnych.

We wsi, po tak szybkie następujących po sobie i tak dotkliwych w skutkach wydarzeniach, uwiadczenia się powszechnie ogólne przygnębienie i wysoce wyczulona obawa co do dalszej przyszłości. Pojawiał się też zwykły ludzki strach o los swoich najbliższych, których ze wsi znaczna liczba znalazła się w pełnym wirze zawieruchy wojennej. Tej pamiętnej pierwszej okupacyjnej nocy, nikt z dorosłych mie-

szkańców nie spał tej nocy. Jak się w niedługim czasie okazało, obawa była zupełnie uzasadniona. Następnego dnia pojawili się we wsi, uzbrojeni mężczyźni w ubiorach cywilnych i bez żadnego powodu odgrająjący się polakom. Byli to tak zwani ochotnicy, głównie narodowości ukraińskiej, którzy samorzutnie zorganizowali w niektórych miejscowościach własne grupy wzór milicji. Zachowywanie się tych grup zmierzało do represjonowania polaków. Do opisywanej wsi, grupy takie decierały z dość odległej wsi Mogielnica, zamieszkałej w przeważającej większości przez ukraińców. Również Żydzi coraz liczniej zaczęli się zachowywać uniżenie i przebiegle w stosunku do przedstawicieli zaberczej władzy radzieckiej, a dość częste szydercze wyzywający sposób w stosunku do polaków. Żywot tych wszystkich "samorzutnie" powstałych grup, był niezbyt długi. W przeciągu około dwóch tygodni do każdej miejscowości dotarli przedstawiciele zabercy i powołane zostały oficjalne organy władzy administracyjnej wsi, gromady - w tym również zorganizowane zostały posterunki milicji. O ile w skład miejscowych władz administracyjnych powoływani byli przedstawiciele miejscowych ubogich warstw robotników i chłopów, o tyle skład kadrowy organów milicji stanowili kadrowi pracownicy przybyli z głębi terytorium związku radzieckiego.

2. Wyłapywanie i zatrzymywanie przez patrole radzieckie osób, które nie mogą wylegitymować się miejscowym zamieszkaniem oraz zawodowych wojskowych, policjantów, pracowników organów sprawiedliwości, administracji, aktywów organizacji politycznych i społecznych, a także członków organizacji paramilitarnych.

W końcu drugiego i trzeciego tygodnia wojny - w obszarze województwa tarnopelskiego, a stąd i w opisywanych okolicach, zgromadziła się nadmiernie duża liczba ludności przybyłej z poza tego województwa. Nadmienić trzeba, że byli w większości mężczyźni w sile wieku - żołnierze i cywile. Znaczna część z nich pozostała na tym terenie po zamknięciu granicy rumuńskiej w wyniku wkroczenia na te tereny zaberczych wojsk czerwonej armii związku radzieckiego w sposób jak wyżej opisano. Wspomnieć też należy, że wojska czerwonej armii wkraczały na teren suwerennego państwa polskiego po trasach ze wschodu na zachód - raczej nawet na przełaj, gruntowymi drogami traktowymi i polnymi. Natomiast "petek" ludzki tak zwanych "uciekierów" przemieszczał się wspomnianą już wyżej szesą, która usytuowana była prawie

równoległe do przebiegu ówczesnej państwowej granicy wschodniej. W wyniku takiego wzajemnego usytuowania - wkraczające kolumny wrogich wojsk czerwonej armii idące ze wschodu na zachód, przecinały na oddzielne części napotykaną na szosie załęczczyckiej ten ciągły ruch "potoku" ludzkiego uciekinierów. Co może i po części ich ratowało. Wszyscy ci ludzie w myśl wprowadzonych tam rygorów sowieckich, byli podejrzani. Stąd też kto nie mógł wylegitymować się miejscowym zamieszkaniami, z zasady był kierowany do organizowanych na prędcę przez zaborcę miejsc zbornych tego rodzaju ludzi. To spowodowało niezwykłą konieczność dokonania przez miejscowe społeczeństwo, głównie Polaków - ale nie tylko - szybkiego przeprowadzenia po terenie i ukrycia tych ludzi; czyli umiejscowienia się ich w tych okolicach, bądź wyprowadzenia ich stąd przeważnie przez granicę - do Węgier względnie do Rumunii. Mimo tego tragizmu narodowego, który się dokonywał i różnego rodzaju ważkich trudności, trzeba było dla ratowania ludzi - Polaków, którzy przybyli tu gnani zawieruchą wojenną, samorzutnie w dużym pośpiechu tworzyć i stworzyć się miejscowy aktyw ludzi dobrej woli, który podjął - wcale nie łatwą i nie mniej niebezpieczną od frontowej - pracę: rozpoznawczą - polegającą na rozpoznawaniu terenu gdzie można "bezpiecznie" rozmieścić ludzi; faktorską - polegającą na wyjednywaniu "bezpiecznych" miejsc rozmieszczenia określonej liczby ludzi; przewodniczą - "bezpiecznego" przeprowadzania określonych grup, względnie nawet pojedynczych osób, drogą rezeznaczonych tras przerzutowych - do ustalonych rejonów, okolic, miejsc - względnie wskazanych adresatów; kurierską - polegającą na rozpoznawaniu i ustalaniu miejsc przejścia i przeprowadzenia określonych grup ludzi przez granicę do Węgier względnie Rumunii. Zarówno ludzie dobrej woli podejmujący tę pracę, jak też i ludzie którym pomagano, występowali z zasady bezimiennie. Nikt tego nie rejestrował i nikt nikogo nie wypytywał specjalnie o nic. Zasadniczą sprawą było ratowanie ludzi z głębi polski

przez " wtapianie " ich w miejscową społeczność. Zdjęcie ich z ogólnego wyróżnika uchodźcy. Ogromne zadowolenie sprawiało jeżeli udało się to z dobrym - dla ukrywanych ludzi - skutkiem całość sprawy załatwić. Po tych nieszczęściach, które w nieprzerwany sposób - w latach wojny - kolejno po sobie przetaczały się przez opisywane okolice i oczywiście zabierały za sobą bezpośrednich uczestników tych wydarzeń, to po pięćdziesięcioletnim okresie milczenia o tych sprawach - tragicznych ówczesnych wydarzeniach - chyba i tak to już wszystko bezimiennie pozostanie. Tuż po wkroczeniu zaberczych wojsk czerwonej armii związku radzieckiego na opisywane tereny, " uciekinierzy " krótkotrwale ukrywali się też w lasach na osi Zwiniacz - Skomerosze, były także nieliczne grupki w lasach zwanych Breczucha. W opisywanej wsi były też dwie rodziny. Jedna przebywała u Julka Bajrakowskiego - aż do lipca 1941 roku, do czasu wkroczenia na te tereny po wybuchu wojny niemiecko radzieckiej, wojsk niemieckich. Druga rodzina przebywała u Marji Olejnik i po kilku miesiącach wyjechała do Białegostoku.

Zabercze władze związku radzieckiego, niemal bezwzględnie po wkroczeniu zaczęli poszukiwać i rozpytywać o : zawodowych żołnierzy, policjantów, pracowników organów sprawiedliwości i administracji państwowej, działaczy różnych organizacji politycznych i społecznych, członków ochotniczych organizacji paramilitarnych, a nawet o byłych żołnierzy wojska polskiego, którzy brali udział w wojnie sowiecko polskiej w 1920 roku. Ten właśnie starfaktyczny też sprawił, że oprócz pilnej konieczności niesienia pomocy ludności napływowej - " uciekinierom", miejscowi ludzie - którzy związani byli z wymienioną wyżej działalnością, też musieli się pilnie w różny sposób ukrywać. W przypadku rozpoznania ich przez patrole zabercy, groziło im aresztowanie, a w nierzadkich przypadkach także i ich rodzina.

3. Działania radzieckich władz okupacyjnych, wynikiem których " przyłączono - pod względem formalno prawnym" tereny południowo wschodniej polski w granicach z 1.09.1939r do Ukrainy i Białorusi.

Wszystko to działo się równolegle z organizowaniem przez zabercę, miejscowych ogniw władzy administracyjnej. W opisywanej wsi Zalesienie sołtysem został mianowany - ukraińiec Taras Petrycki. Nie był to rodowity mieszkaniec tej wsi, a człowiek przybyły z sąsiedniego powiatu Kopyczyńce - " wżeniony", że tak to wówczas nazywane - w rodzinę polską (ożenił się z polką). W okresie pokoju przed wybuchem wojny, pracował jako robotnik w kamieniołomach zwanych - Na piaskach

Bezpośrednio po wkroczeniu sowietów, zajęte zostały przez nich także wszystkie instytucje państwowe i o większej wartości, również prywatne - majątki ziemskie, zakłady produkcyjne, banki i t.p. Ponadto, także prawie równocześnie z opisywanymi wyżej i tak przykrymi zaszłościami, specjalnie delegowane przez sowietów grupy agitatorów, objeżdżały okoliczne miejscowości i na pośrednictwem miejscowych, niewianowanych przez siebie ogniw władzy, organizowały i przeprowadzały wiece, a także walne zebrania w poszczególnych miejscowościach, z uprzedzającą rygorystyczną zapowiedzią o obowiązku brania w tych wiecach i zebraniach bezpośredniego udziału co najmniej jednej dorosłej osoby z każdej rodziny danej miejscowości. Na tych wiecach i zebraniach nakazowo agitowano: - kłamliwie wychwalano socjalistyczny ustrój sowiecki; o obowiązku brania bezpośredniego udziału w wyborach, które wyznaczone na 22 października 1939 roku, do rad narodowych wszystkich szczebli "oswiebionych" terenów. Do opisywanej wsi Zalesienie przyjeżdżała brojka agitatorów w składzie - sekretarz rejonowego komitetu partii Semenjuk, zastępca komendanta milicji w Budzanowie lejtenant (por.) Petrenko oraz kobieta, której nazwiska nie zdołano ustalić. Wszyscy oni byli kadrowymi pracownikami, którzy przybyli w ten rejon z głębi związku radzieckiego. Zebrania takie odbywały się z zasady w wolnym pomieszczeniu domu mieszkalnego Łukasza Lubki. O stosunku agitatorów do miejscowej ludności może świadczyć następujące zdarzenie - w trakcie trwającego jednego z tych propagandowych zebrań, prowadzący zwrócił się do zebranych czy może na ktoś jakieś pytania? Jedną z dość gadatliwych kobiet, z pochodzenia ukraińska, zapytała - jak mówicie że u was tak duże wszystkiego jest i że ten wasz ustrój taki dobry, to dlaczego jak detąd nie u nas nie można kupić, wszystko ze sklepów zniknęło, a wy łapiecie tylko niewinnych ludzi? Prowadzący to zebranie Semenjuk, surowo i w estry sposób odpowiedział - "Maryna, jedź barszcz z grzybami i trzymaj język za zębami". Na tym zebranie to zakończyło się. Zarówno w opisywanych zebraniach, jak też następnie w wyborach - pod bezpośrednią kontrolą władz i tajniaków milicji - każdy uprawniony do głosowania musiał być obecny i głosować. Wspomnieć też trzeba, że deputowani wybrani w tej farsie - wyborach, pochodzili oni z zasady z poza tego "oswiebionego" obszaru, następnie brali udział w dalszym bezprawiu w stosunku do polski. Mianowicie - wystąpili do Rady Najwyższej w Moskwie z prośbą o przyłączenie "oswiebionych" terenów w skład związku radzieckiego. W odpowiedzi, rada najwyższa "przychyliła się" do prośby i dekretem, w печатках listopada 1939 roku, opisywane tereny włączyła w skład republiki ukraińskiej, a w końcu listopada 1939 roku mieszkańcom tych terenów "samowolnie" nadano obywatelstwo związku radzieckiego, co umożliwiło dekenywaniam na tych

również poboru mężczyźni do wojska - czerwonej armii sowieckiej.

Bezpośrednio po powołaniu, drogą mianowania, terenowych ogniw władzy - przystąpiono do przeprowadzenia "reformy" rolnej i nadaniu ziemi bezrolnym chłopom. Reformą rolną objęte zostały ziemie uprawne należące do felwarków wielkich właścicieli ziemskich, w tym i kościelnych. Między innymi majątki - hr Berkowskiego (polak), Hautmana (żyd), Sawczuka (ukrainiec) i majątek kościelny parafii, wyznania rzymsko katolickiego, Janów. Z dużych majątków felwarcznych utworzone sowchozy (państwowe gospodarstwa rolne). Ziemię nadawano nakazowo. Przeprowadzona reforma rolna wywołała różne odczucia, wewnętrzne nieoficjalne dyskusje i nastroje mieszkańców ekologicznych wsi. Zarysowały się nawet wyraźne podziały - nieoficjalne. Na tle tych podziałów spowodowanych przeprowadzoną reformą rolną, wyciszał się podział narodowościowy.

Niezależnie od nastrojów i zainteresowań poszczególnych grup w omawianej sprawie, dokonano nadziału ziemi uprawnej poszczególnym rodzinom stosemnie do możliwości. Był to okres już zapóźnionych prac siewnych i siewów. Trzeba było ziemi uprawiać, czego domagały się też nowe mianowane władze. Przyczyniło się to również do pewnego wyciszenia sporów i dyskusji na ten temat, a każdy przystąpił do zagospodarowywania przydzielonego mu kawałka ziemi. Wystąpiły przy tym trudności dodatkowe z przyczyn braku siły pociągowej i niezbędnego sprzętu do uprawy roli przez nowych posiadaczy. Przy wspólnej pomocy i zrozumieniu z tymi trudnościami uporano się.

Mimo tych nowych zjawisk i dokonania, które zachodziły we wsi i ekologicznych miejscowościach, sprawą która bez przerwy nurtowała tę wiejską społeczność, był problem - zewnętrznie w różny sposób wyrażany żartowaniem, na swój sposób doszukiwania się przyczyn, które w tak krótkim czasie doprowadziły do upadku niepodległego państwa - własnej ojczyzny. Te żarty wyrażane były bez patosu i górnolotnych słów, a z głębi ciężko spracowanej polskiej chłopskiej duszy - bo przecież znaczna ich liczba mieszkańców tej wsi w latach 1918 - 1921 toczyła o tę niepodległą polską ciężkie walki. Odbywało się to na tle ciągłego głębokiego zmartwienia i obaw o swoich najbliższych, którzy odeszli na wojnę - w szeregach Wojska Polskiego - i teraz brak było o nich jakichkolwiek konkretnych wiadomości. Nikt nie wiedział o ich losie i gdzie się znajdują oraz, czy w ogóle jeszcze żyją. Wszystkie te tak nagłe, tak w krótkim czasie dokonane i tak dotkliwe w skutkach zaszłości, spowodowały utrzymywanie się nadal stanu wielkiego napięcia i przygnębienia.

Pod koniec września i w październiku 1939 roku, w pewnych odstępach czasu - z zasady pojedynczo - wracali z wojny niektórzy mieszkańcy opisywanej wsi. Zarówno ci którzy zmobilizowani zostali w dniu 27

sierpnia 1939r, jak również i ci którzy odbywali w tym czasie zasadniczą służbę w Wojsku Polskim, a powołani zostali do wojska odpowiednio wcześniej. Miarę powrotu i opowiadań naczynych świadków tragicznych, lecz w większości bohaterkich walk frontowych żołnierzy wojsk polskich w kolejnych dniach upadku niepodległego państwa - naszej ojczyzny, u miejscowej społeczności wiejskiej wytwarzał się obraz ogromu przeżyć uczestników tych krwawych walk. Część mieszkańców naszej wsi, mimo upływu czasu, nie wracała jednak z wojny. Byli to między innymi: bracia - Kornel i Paweł Bajrakowski; Stanisław Bejcar; Ludwik Wasylik; Wojciech Jęderowicz; Kornel Bejcar; Sylwester Konar. Jak się później okazało - Wojciech Jęderowicz znalazł się w niewoli sowieckiej, Sylwester Konar zaginął bez wieści. Pozostali wymienieni wyżej wzięci zostali do niewoli niemieckiej. W 1941 roku wyostał się z niewoli sowieckiej Wojciech Jęderowicz, a w 1942 roku Ludwik Wasylik uciekł z obozu jenieckiego znajdującego się na terenach niemieckich i szczęśliwie, z różnymi bardzo ryzykownymi i niebezpiecznymi przygodami, udało mu się przedostać przez terytorium całej okupowanej polski, aż na jej wschodnie krańce. Pozostali z wyżej wymienionych pozostawali w niewoli, aż do zakończenia wojny i bezpośrednio po tem wrócili do polski. Wszyscy oni, z wyjątkiem Pawła Bajrakowskiego i Ludwika Wasylika - którzy byli kawalerami, pozostawili w domu rodziny - żony i dzieci. Oczywiście jest, że ich nieobecność w domu odbiła się ciężkim brzeniem na bytowaniu ich rodzin w tych tak trudnych wojennych warunkach. Na wskutek wydarzeń wojennych, zasobność poszczególnych rodzin stała się znacznie uboższa w porównaniu do i tak niezbyt wielkiej zasobności lat poprzednich. Ludzie nigdzie zarobkowe nie pracowali - pozostawali w domu.

Wyróżniło się zaopatrzenie ludności tych okolic w ogóle, w tym również wsi w niezbędne towary przemysłowe. Nie było nawet tych pierwszej potrzeby, takich jak sól i nafta do lamp naftowych - elektrycznego oświetlenia we wsi nie było. Nie było także żadnych materiałów na chociażby byle jakie odzienie i obuwie - nie mówiąc już o podstawowych potrzebach do sprzętu rolniczego. We wsi utworzono sklep wielobranżowy z zadaniem zaopatrywania mieszkańców we wszystkie niezbędne towary. Sklep ten jednak był bardzo słabo zaopatrywany. Stąd trudności w spełnianiu przez ten sklep przynależnej mu funkcji. Sprawa zaopatrywania ludności tych okolic, coraz bardziej dawała się we znaki, ponieważ zaniechane zostały zupełnie tradycyjne jarmarki, a sklepy w miastach nie było skąd zaopatrywać i nie posiadały towaru. W tych warunkach zaczął drążyć sobie prawo obywatelstwa, pokątny handel wymienny - towar za towar. Znajdujący się już w obiegu pieniądź w postaci rubla, nie budził większego zainteresowania. W sumie, standard życia i zasob-

ność wsi obniżył się. W tym czasie też trudno było określić, jak się dalej poteczą losy i czy można w ogóle liczyć na jakiegokolwiek stałe zatrudnienie znacznej części mieszkańców opisywanej wsi i ekologicznych miejscowości, szczególnie tych których głównym źródłem utrzymania była praca zarobkowa - przede wszystkim w kamieniołomach.

XIX. R o k 1 9 4 0 :

1. Przymusowa deportacja karna (zsyłka) niewinnych ludzi w głąb związku radzieckiego.

Późną jesienią zaczęto uruchamiać, lecz w bardzo skromnym zakresie, prace w kamieniołomach na piaskach. Uruchomiona została również we wsi nauka w czteroddziałowej szkole podstawowej. Nauczycielem w tej szkole mianowany został Stefan Muszczyński.

Mieszkańcy opisywanych ekolic weszli w rok 1940 z całym bagażem bardzo burzliwych wydarzeń drugiej połowy roku 1939, których pokłosie mimo upływu czasu ciągle się odnawiało. Występowało to w różnych postaciach, lecz zawsze dotkliwych przykrością dla mieszkańców opisywanej ekolicy i nie tylko, szczególnie zaś dla rodzin polskich. W wyniku tego, ludzie żyli w ciągłej obawie o dalszy swój los i los swoich najbliższych. W takich jak wyżej uwarunkowaniach nadszedł pamiętny - dzień 10 lutego 1940 roku - również we wsi Zniesienie. Był to mroźny zimowy dzień o pełnym zachmurzeniu i bardzo niskiej podstawie chmur, śnieżny o dość silnej zawieji śnieżnej. W bardzo wczesnych godzinach rannych - zupełnie niespodziewanie - pojawiło się we wsi kilkanaście konnych zaprzęgów sанных, wyładowanych uzbrojonymi i na zielono umundurowanymi ludźmi. Zaprzęgi te z ruchu równocześnie prawie podjechały do gospodarstw: Wincentego Pleszczak, Stanisława Wasylik i na pobliską graniczną gajówkę mogielnickiego lasu, którą wówczas zamieszkiwał wraz z rodziną gajowy Paweł Bahrij. Przy podjeżdżaniu do gospodarstwa Stanisława Wasylik, będący na saniach uzbrojeni w karabiny ludzie, jak się później okazało byli to funkcjonariusze policji specjalnej NKWD - w ruchu zeskakowali z san - i biegiem obstawiali całe gospodarstwo nie pozwalając nikomu z tego gospodarstwa wyjść na zewnątrz. Po tym "zabezpieczeniu" kilku mundurowych weszło do domu z zapytaniem gdzie jest gospodarz. Po jego ujawnieniu się, odwołali go do drugiej izby i tam go przytrzymali. Pozostałym członkom rodziny, po uprzednim ich wyligitymowaniu, nakazali załadować szybko - w przeciągu najpóźniej pół godziny czasu - najbardziej niezbędne dla każdego z domowników rzeczy, na okres długiej nieobecności w domu rodzinnym. Poza tym czuwali nad przebiegiem pakowania się domowników i przeprowadzali rewizję w całym domu. Natomiast gospodarze wi domu oświadczone, że jest niebez-

piecznym człowiekiem dla państwa radzieckiego i musi opuścić wraz z rodziną rodzinne strony. Zostanie przewieziony do określonego miejsca w głębi związku radzieckiego, gdzie będzie przebywał dalej. Po skrupulatnym przeszukaniu całego gospodarstwa, po upływie wyznaczonego czasu kazano zatrzymanym demownikom ubierać się i wyprowadzono na oczekujących w gospodarstwie na nich przyjezdny konny zaprzęg sanek. Wszystkie te działy się w polu bacznej, lecz skrytej obserwacji zaskepczonych takim działaniem sąsiadów i nie tylko, rozważających ciągle jak by można dojść do zatrzymanych i ewentualnie im w czymś pomóc. Jednocześnie, by to pomocne działanie było jaknajbardziej naturalne i nie powodowało podejrzeń: Próbwali tam dotrzeć - sąsiadka Maria Pleszczak, później siostra żony Stanisława Wasylika, Katarzyna Gitler. Każdą z tych kobiet zatrzymane, wyjaśniono po co chciała się udać do tego domu, następnie grożąc nakazano szybko odejść. Zatrzymanym zagrożono, że w przypadku jakiegokolwiek operu lub ucieczki będzie użyta broń bez uprzedzenia. Natomiast przy opieszłym lub zniechęconym wykonywaniu przez zatrzymanych nakazanych czynności, zatrzymanych popychano i poszturchiwano. Scenariusz postępowania z wywiezionymi był podobny w odniesieniu do każdej rodziny. Po dołączeniu mundurowych ludzi wiezących Pawła Bahrij wraz z rodziną, wszyscy uzbrojeni mundurowi odjechali wraz zatrzymanymi rodzinami do stacji kolejowej Dereniówka. Tam załadowane zatrzymanych na szeszerym odkrytym polu przy stacji do krytych kolejowych wagonów towarowych i po około doby - oczekiwania - wywiezione wszystkich zatrzymanych. Tak bez żadnego uprzedzającego zarzutu, bądź jakiegokolwiek uprzedzenia, zostali wywiezieni w głąb związku radzieckiego (na sybir) kilka rodzin z naszej wsi. Między innymi - opisywany już wyżej Stanisław Wasylik lat wówczas około 60 oraz jego żona Maria w tym samym wieku. Stanisław Wasylik był przez dłuższy czas gajowym w lesie hr Berkowskiego. Chciało zabrać całą rodzinę, lecz córka Józefa Wasylika - lat wówczas około 22, uciekła i ukryła się - związując się jak wąz - pod małym cebrem odwróconym dnem do góry i leżącym w kącie chlewni obok krów. Bezpośrednio po odjeździe z gospodarstwa NKWD-ystów, odnalazł ją sąsiad - stryjeczny jej brat Krzysztof Wasylik - prawie nąwpół żywą i bardzo mocno wystraszoną. Przez pewien czas wogóle nie rozmawiała. Szczęśliwie wszystko się skończyło - po pewnym czasie uspokoiła się i doszła do siebie. Następnie ukrywała się na miejscu we wsi przez cały czas, aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i przyjsciu na terytory niemców. Natomiast syna Ludwika nie było w domu, ponieważ nie wrócił z wojny.

Zabrano również Pawła Bahrij - lat wówczas około 30, jego żonę Anielę - lat wówczas około 26 i ich synka Mirosława - lat wówczas około 7. Paweł Bahrij był przez krótki czas gajowym w lasach mogielnickich Hautmana.

Miano wówczas również zabrać Wincentego Pleszczak wraz z rodziną - żoną Elżbietą i dziećmi: syn Frańciszek i córka Eugenia. Rodziny tej nie udało się wówczas NKWD - ystom zabrać, ponieważ w chwili ich przybycia do wsi, nikogo z tej rodziny w domu nie było. Mimo poszukiwań nie znaleziono w tym dniu nikogo z członków tej rodziny. Wincenty Pleszczak - wskutek donosu został zatrzymany i wywieziony dopiero w maju 1940 roku. Natomiast pozostali członkowie rodziny ukrywali się i przetrwali przez cały okres okupacji sowieckiej - aż do wkroczenia na te tereny Niemców w czerwcu 1941 roku. Zadania ukrycia i przechowywania "zbiegów" podjęła się przede wszystkim najbliższa rodzina i poprzez nich wykorzystywane było - w razie konieczności - również inne miejsca i wykorzystywani byli inni ludzie. Do tego grona najbliższych włączali się również i niektórzy najbliżsi sąsiedzi. Wincenty Pleszczak był gospodarzem zarządzającym w rozległym majątku Hautmana. Miał 45 lat w opisywanym okresie czasu. W tym samym okresie czasu zabrany został również Stanisław Gach wraz z rodziną - wówczas w wieku około 46 lat, żona Olena w wieku około 45 lat, córka Maria - w wieku około 19 lat i syn Janek - w wieku wówczas około 11 lat. Stanisław Gach był właścicielem 10 hektarowego gospodarstwa, które nabył w 1936 roku z parcelacji - na ratałną spłatę.

Po tych zaskakujących i tak niespotykanych wydarzeniach w do-tychczasowym życiu ludzi tych okolic, a jak się później okazało dokonanych w tym samym czasie na całym obszarze "oswobodzonych" terenów - ludzie nie byli pełni ani dnia, ani nocy. Żyli stale w wysokim stopniu realnego zagrożenia osobistego, jak też rodzin-nego i to każdy bez wyjątku, szczególnie zaś rodziny polskie.

Ze względu na swoją - aktywną sprzyjającą polsce przesz-łość - oraz aktualny ówczesnie stan majątkowy, najbardziej jednak w opisywanej wsi zagrożone było represjami przez zabercę następujące rodziny:

Marian Partyka - były legionista i uczestnik wojny z bolsze-wikami w 1920 roku. Właściciel wodnego młyna.

Jan Pleszczak - były żołnierz wojska polskiego armii generała Hallera, którego żołnierskie życie tak się ułożyło, że był on jedynym z tej wsi bezpośrednim uczestnikiem - całej kampanii - walk z bolszewikami w latach 1919 - 1920 w składzie 12 pułku artylerii. Syn jego Wojciech - członek organizacji paramilitarnej, po wojskowym przeszkoleniu wiosną 1939 roku - brał bezpośredni udział w starciach bojowych oddziałów wojska polskiego z wkraczającymi do polski, jako zaborca, czołowymi oddziałami wojsk czerwonej armii sowieckiej. Ponadto, te nowe powołane już miejscowe władze sowieckie określiły Jana Pleszczaka mianem "kułak" - chłop posiadający dobre gospodarstwo o większym nielicznym areale ziemi - wróg związku radzieckiego.

Marcin Osowski, Antoni Pleszczak, Wiktor Dysiewicz, Stanisław Dysiewicz - ze względu na zaliczenie imiennie każdego z nich - i określenie mianem "kułak" o znaczeniu wyżej już opisanym.

Bracia: Marek, Wincenty i Ludwik Skokun - ze względu na ukrywanie się ich siostry wraz z dwójką dzieci, rodziny wymienianego już wyżej Wincentego, który został złapany, aresztowany i wywieziony w głąb związku radzieckiego. Z tej samej przyczyny zagrożeni byli również bracia Wincentego: Michał, Karol, Jakub, Jan i Antoni Pleszczak.

Jan Szostopal - były kierownik kamieniołomu u właściciela ziemskiego Hautmana. - kamieniołom zwany Mogielnicki.

Stefan Matwijew - był kierownik kamieniołomu Nad potokiem oraz Szczepan Skokun - był kierownik kamieniołomu W diablej dolinie. Obydwaj u króla Dunin Berkowskiego.

Po pewnym okresie czasu, wskutek różnych nalegań nowomianowanych przez sowietów władz, do pracy w lasach będących w okresie przedwojennym własnością hr. Dunin Berkowskiego - w charakterze gajowego - zatrudniony został Longin Gorzałski. Była to znana w okolicy postać z okresu z przed 1939 roku.

Wiosną 1940 roku ruszyła produkcja w kamieniołomach. Stało się to w wyniku rozpoczęcia budowy lotniska wojskowego obok wsi Podhajczyki. Zwiększyło się zapotrzebowanie na produkcję, wydobycie i obróbkę kamienia dla potrzeb budowy tego lotniska. Zwiększone znacznie zatrudnienie w kamieniołomach. Oprócz tego jesienią tego roku uruchomiono wydobycie i dostawę piasku dla potrzeb budowy tego lotniska. Rozpoczęte również intensyfikować naprawę dróg

publicznych. Czynnione to poprzez zwiększenie liczby bezpłatnych dni odrobku szarwarkowego przez poszczególne rodziny przy naprawie dróg. Właśnie podczas takich prac szarwarkowych przy naprawie drogi prowadzącej ze wsi Zalesienie do wsi Słebutka Janewska - na odcinku pod lasem zwanym "Ścianką" - miało miejsce z pozoru niewinne następujące zdarzenie o bardzo tragicznych następstwach dla dwóch młodzieńców naszej wsi. Mianowicie pracowali tam, w znacznej liczbie między ludźmi, dziewczęta i chłopcy - przy pracy śpiewając i żartując - czyniąc sobie nawzajem, ogólnie przyjęte, niewinne psoty. W tym czasie przejeżdżał przez ten odcinek drogi dwukenny wóz na którym jechał osobnik narodowości żydowskiej z Budzanowa nazwiskiem Julka wraz młodą dziewczyną - własną córką. Przejeżdżając obok przy naprawie drogi, pracujący tam między chłopcy - żartobliwie w sposób zupełnie niewinny i obyczajowo przyjęty - szłośnie, grzecznie zaczęli zapraszać młodą dziewczynę do pozostania z nimi do pomocy chociażby w śpiewie. Młody, wówczas 17-letni, Michał Zaderóżny i Michał Gitler wrzucili na przejeżdżającą obok nich po grudce sypkiej ziemi o wielkości nie większej orzechka. Jadąca na wozie młoda dziewczyna - córka - śmiejąc się przyjęła to właściwie, jako żart. Natomiast stary żyd mocno się z tego powodu obraził, zaczął wyzywać młodzieńców od huliganów, zaczął się odgrażać, że zawezwie milicję i zrobi z tego użytek. Pracujący w niedalekiej odległości starsi mężczyźni, widząc nieustępliwość starego żyda, zaczęli go prosić ażeby milicji do tego nie włączał, ażeby tego nie czynił, a sprawę traktować należy do załatwienia polubownie - chociaż nie było żadnej sprawy. On jednak, mimo nalegań i próśb, odjechał odgrażając się że zaraz wezwie milicję. Tak też uczynił. Po niedługim czasie, ku zaskoczeniu wszystkich przyjechała milicja, obydwóch chłopaków zabrane - mimo tłumaczeń i wyjaśnień - i osadzone na 3 lata obozu pracy. Chłopaków zabrane, skąd Michał Zaderóżny jedyny syn w rodzinie nie wrócił do dzisiejszego dnia - zaginął bez wieści, a Michał Gitler powrócił w 1944 roku.

2. Wcielanie mężczyzn rocznika 1918, 1919, jako obywateli związku radzieckiego, do odbycia służby wojskowej w czerwonej armii.

Wiosną 1940 roku mężczyźni rocznika 1918 i 1919 opisywanych okolic wezwano do przedpoborowej komisji. Rejestracja i badania odbywały się w Chorestkowie oddalonego od opisywanej wsi o 16 kilometrów. Wynikiem pracy tej komisji był pobór do czerwonej armii sowieckiej jesienią 1940 roku. W tym pierwszym poborze do odbycia zasadniczej służby wojskowej w czerwonej armii sowieckiej z naszej wsi zostali powołani Jan Semkowicz i Krzysztof Szestopał. Jan Semkowicz służył w artylerii przeciwpancernej 45 mm w miejscowości Achtirka k/Charkowa. W następnym 1941 roku, też wiosną w marcu wezwana została

następna grupa chłopów - roczniki: 1920; 1921; 1922 - poborowych. Byli to: Szczepan Osowski, Wojciech Pleszczak, Stanisław Bejcar, Józef Gitler, Tomasz Gitler, Józef Zajac, Jan Jędorowicz, Józef Lubka, Tadeusz Szostopal, Józef Duplak, Krzysztof Bejcar, Jan Sadowy, Krzysztof Skokun. Rejestracja i badania poborowych przez wojskową komisję lekarską prowadzone były też w Chorostkowie. Niektórym wręczono karty powołania.

3. Bieżąca codzienność życia ludzi wsi (kontygent, kołchozy i t.p.).

Późną jesienią 1940 roku i zimą 1941 roku, władze sowieckie w opisywanych okolicach mocno nasiliły propagandowo agitacyjne działania wśród chłopów - właścicieli gospodarstw rolnych - na rzecz tworzenia kołchozu (spółdzielni produkcyjnej). W praktyce oznaczało to, tak zwane "dobrowolne wyrażenie zgody" na oddanie swojego gospodarstwa rolnego do zespołowego gospodarowania, którym gospodarować będzie "demokratycznie" wybrany zarząd i jego przewodniczący na których zasadniczy wpływ mieć będzie "wybrana" władza sowiecka. Natomiast faktyczny właściciel przekazanego "dobrowolnie" do kołchozu własnego gruntu rolnego wraz ze sprzętem do uprawy roli, stawał się tylko robotnikiem na wyznaczonym mu odcinku pracy, mający w sprawie prowadzenia gospodarstwa (kołchozu) tylko tyle do powiedzenia, ile go zapytali i tyle ile przewodniczący kołchozu chciał w ogóle z nim rozmawiać i go wysłuchać. Teoretycznie każdy mógł z kołchozu wystąpić. Natomiast w rzeczywistości było to zupełnie niemożliwe, ponieważ nie było prawnego wykonawczego zabezpieczenia takiego działania, a także prawnego zabezpieczenia gospodarza - członka kołchozu - podejmującego działanie wystąpienia z kołchozu. Poza tym - faktycznie - cała propaganda polityczna i administracyjna ogniw władzy sowieckiej ukierunkowana była, całym swym ostrzem, przeciwko ewentualnemu występowaniu z kołchozu. W akcjach tych na rzecz tworzenia kołchozów, brali udział specjaliści agitatorzy - przedstawiciele delegowani przez komitet rejonowy partii (WKPB) sowieckich komunistów. Taka akcja prowadzona była również w opisywanej wsi. Takim delegatem na opisywaną wieś był Petrenko - zastępca komendanta rejonowej komendy milicji - w stopniu lejtenanta (ppor). Organizowane były we wsi dla tego celu dość często propagandowo agitacyjne wiejskie walne zebrania chłopów, a także odwiedziny agitacyjne niektórych domostw. W trakcie tych zebrań i odwiedzin domowych - w sposób natarczywy, a nawet napastliwy - narzucający bezdyskusyjność propagowanych spraw, zachwalano jak się okazało również kłamliwie, zalety kolektywnego gospodarowania, a także korzyści dla wstępujących do kołchozu. W czasie tej właśnie akcji agitacyjnej na rzecz wstępowania do kołchozu w naszej wsi, miejscowi chłopie niejako samoobronnie - postanowili sami urządzić wspólne spotkanie z agitatórem, na którym pozornie

niewinnie i przypadkowo przygotowane większą popijawę. Spotkanie jednak mogło dojść do skutku jedynie po wyrażeniu na to zgody agitatora. Człowieka tego, przy tym przedstawiciela tak groźnego organu władzy spełniającego wówczas episywaną funkcję w naszej wsi, nikt nie znał. Trzeba było wejść z nim w osobisty kontakt komuś niezainteresowanemu bezpośrednio sprawą którą on się we wsi zajmuje. Po pewnych zabiegach zgoda była wyrażona przez przyjęcie zaproszenia. Spotkanie odbyło się wieczorem w mieszkaniu Łukasza Łubka. Na spotkaniu tym było 20 mężczyzn oraz Petrenko wraz z "naszym" sełtysom Tarasem Petrycki. Skąd wysupłano tak dość obfitego na owe, bardzo już trudne, czasy napiwku i jadła do dziś pozostaje tajemnicą. Ale było to, jak się okazało, potrzebne dla ratowania wsi przed kołchozem. Po pewnych nieśmiało wstrzemięźliwych krótkich rozmowach - niejako "kurtuazyjnych" - i zabiegach trunkowych kolejek, nastąpiło obopólne odprężenie. Wywiązała się samokontrolowana w miarę "szczera" dyskusja na temat ewentualnego założenia kołchozu w naszej wsi. W miarę upływu czasu i upływu przygotowanych napojów alkoholowych, dyskusja stawała się bardziej "swobodna", a przedmiotowe "szczera" i rzeczowa. Argumenty za i przeciw wzajemnie i zmiennie przeważały się. Chłopi konsekwentnie przekonywali przedstawiciela władzy, że całą dyskusję o założeniu kołchozu we wsi, realnie rzecz biorąc, trzeba przenieść i odłożyć na zimę roku 1941/1942. Przemawia za tym szereg nie wyjaśnionych zagadnień. Związane one są ze sprawami sąsiedniej wsi Słebutka Janowska. Chodzi o to, że chłopi naszej wsi swoje pola uprawne mieli w różnych zagonach wśród zagonów pól uprawnych gospodarzy wymienionej wsi Słebutka Janowska. Przy czym wszystkie pola uprawne, większości gospodarstw, były w znacznym oddaleniu od naszej wsi. Pewna część gospodarzy wsi Słebutka Janowska miała część swoich pól uprawnych tuż obok naszej wsi. Stąd koniecznym było wyjaśnienie tych spraw, jakie będą obowiązywały rozwiązania w przypadku założenia kołchozu. Stąd stanowisko chłopów naszej wsi, ażeby całą sprawę kołchozu odłożyć. Przemawiało za tym również i to, że wszystkie zboża ozime obsiane były już w układzie jak wyżej przedstawione. W początkach przedstawiciel władzy - agitator nie godził się z przedstawianymi argumentami. W miarę upływu czasu i dyskusji, stwierdził że sam tej sprawy nie rozstrzygnie, lecz zobowiązał się przedstawić ją zwrócić nim organem władzy rejonowej z odpowiednim jej uzasadnieniem i po wyjaśnieniu do sprawy powróci. A na dziś, przerywa dalszą agitację i wraca do rejonu. Po zakończeniu spotkania, przedstawiciel władzy "ce, nie ce, zaniemógł", chyba z nadmiaru "jednego" kieliszka. Wszyscy, którzy brali udział w tym spotkaniu, byli w stanie podobnym.

W tych czasach ludzka rzecz. Jedni trzymali się lepiej inni górzej. Koniecznym było prawie każdego odprowadzić do domu, ponieważ tej nocy był silny mróz. Czynili to dwaj młodzicy - koledzy, którzy na to przyjęcie starszyzna też poprosiła i którzy mimo wypicia trzymali się dobrze. Byli to Szczepan Osowski i Wojciech Pleszczak. Okazało się, że i przedstawiciela "władzy" też trzeba będzie odwieźć, ponieważ o własnych siłach nawet nie potrafi ująć jednego kroku. Do sąsiedniego miasteczka gdzie mieszkał, ostatecznie odwiózł go, chłopskimi saniami z zaprzęgu konnym - z trudem przekonany o dobrowolnej konieczności dokonania tego - Stanisław Dysiewicz. Po ułożeniu "władzy" na saniach okazało się, że na przy sobie pistolet. W obawie, ażeby go nie zgubił i nie miał pretensji - a stąd, ażeby nie było dodatkowych kłopotów, zdecydowano się zabrać mu ten pistolet. Wiózł go oddzielnie w kieszeni Stanisław Dysiewicz, a po odstawieniu tego jak mówił diabła - do domu włożył mu ten pistolet z powrotem do kabury. Więcej takich akcji agitacyjnych, wstępowania do kołchozu, sowieci we wsi Zalesienie nie przeprowadzali. Wiosną 1941 roku, w szeregu miejscowościach kołchozy powstały, natomiast w naszej wsi pozostały na razie bez zmian. Jednak mieszkańcy tej wsi, żyli nadal pod silnym wrażeniem i dużej obawie co do dalszej przyszłości poszczególnych rodzin, gdyż kołchoz w przyszłym roku i tak powstanie. Jednak tak się nie stało. Wybuch wojny niemiecko - sowieckiej, 22 czerwca 1941 roku, zamknął sprawę i do zakładania kołchozu w omawianej wsi już nie powracano.

Wspomnieć również należy, że bezpośrednio po ustanowieniu swojego sowieckiego porządku administracyjnego i skompletowaniu obsady osobowej poszczególnych terenowych ogniw władzy, zaczęto ustalać wielkość obciążeń - indywidualnie - poszczególnie gospodarstwa różnymi daninami na rzecz państwa - czyli zabiercy. Każdy gospodarz imiennie - obciążony został, bezwzględnym obowiązkiem, dostarczenia odpowiedniej wielkości kontygentu w naturze. Głównie w zbożu - przemia, żyte, jęczmień - oraz w mięsie, wołowym i wieprzowym. W opisywanych okolicach, powszechnie stosowaną podstawową miarą powierzchni ziemi uprawnej był mórg pola. Mórg zawierał 56 ary powierzchni, czyli 5600 metrów kwadratowych. Wielkość, wspomnianego wyżej kontygentu, nakładano w zasadzie, właśnie na mórg posiadanej ziemi uprawnej. Od jednego morga ziemi trzeba było odstawić w 1939 roku - 200 kilogramów żyta i 40 kilogramów mięsa wołowego. Przy czym, wielkość tych kontygentów mogła być spłacana - wzajemnie zastępczo - za mięso, zbożem lub za zboże, mięsem. Jednak zamienne przeliczniki, dla zdającego, były bardzo nie korzystne. Przy oddawaniu przemia lub jęczmienia obowiązywał odpowiedni przelicznik w stosunku do żyta. Był również

przelicznik przy oddawaniu mięsa wiepszowego i cielęcego w stosunku do wołowego. W roku 1940 - kontygent został zwiększony w zbożu - do 250 kilogramów żyta i 50 kilogramów mięsa wołowego od jednego morga i tak pozostało na rok 1941. Zbieranie kontygentu odbywało się akcyjnie. Ogłaszano wszystkim mieszkańcom wsi - w jakim terminie i gdzie w którym miejscu we wsi odbierany będzie kontygent zbożowy. W 1940 r. zbierany był dwukrotnie - po raz pierwszy wiosną i po raz drugi, po zbiorach jesienią. Natomiast w roku 1941 władza sowiecka zdołała wyegzekwować i zebrać - wiosną - nałożone dodatkowe domiary kontygentowe za 1940 rok, tak zwany "kułakom" - nieco zamożniejszym gospodarzem we wsi. Zaliczyli do nich w omawianej wsi - Marka Kaszida, Marcina Osowski, Jana Pleszczak, Antoniego Pleszczak, Wiktor Dysiewicz, Stanisława Dysiewicz. Był to bardzo niebezpieczny "zalicznik". Oznaczało to w nomenklaturem języku ogniw władzy sowieckiej i było równoznacznie interpretowane, jako wróg związku radzieckiego. Tak rozumowania, jak wykazywała praktyka, tych ogniw władzy był następujący - każdy zamożniejszy we wsi gospodarz jest "kułakiem". To znaczy osobnik, który "wyzyskuje" innych biednych ludzi, ponieważ sam nie jest w stanie obrobić swojego pola i z tego się wzbogacił. Ponieważ władza sowiecka "zabrania wyzyskiwania człowieka", to każdy kułak jest tej władzy przeciwny. To znaczy, że każdy taki osobnik jest wrogiem sowieców. Z tego wynikały wszelkie inne złe następstwa. Na stałe miejsce zbierania kontygentu zbożowego we wsi Zniesienie, wyznaczone zostały budynki - niedużego gospodarstwa - Łukasza Lubka. Organizacyjnie odbywało się to w sposób następujący: od wczesnych godzin rannych do godziny około 11⁰⁰ - 12⁰⁰, przyjmowane w wymienionym wyżej miejscu kontygent zbożowy od poszczególnych mieszkańców wsi. Ważył na wadze i odbioru dokonywał, pracujący odpłatnie jako magazynier, Łukasz Lubka przy bezpośredniej stałej obecności sekretysa wsi Tarasa Petrycki. Na określoną godzinę przyjeżdżały - zamówione w przeddzień przez sekretysa wsi - na zasadzie obowiązkowego bezpłatnego odrobku szarwarkowego, furgonki miejscowych gospodarzy. Zabierały zboże i pod przewodnictwem sekretysa wsi lub Łukasza Lubka, odwożone całość zebranego zboża - za pisemnym rozliczeniem magazynowym - do magazynów w Trembowli. Odbioru dokonywane codziennie w dni robocze przez okres wyznaczony do zbierania kontygentu. Odbioru kontygentu mięsnego, dokonywane w pobliskim miasteczku Budzanów nieopodal placu byłej targowicy.

Wspomnieć należy również i o tym, że akcja zbierania nałożonego przez sowieców kontygentu w opisywanej okolicy, a także w wymienianej wsi Zniesienie, miała dwa wymierne oblicza. Jedno - to oficjalne, któremu poszczególne ogniw władzy i administracyjno-partyjnej

propagandy, chciały nadać wyraz "wielkiego zadawania" rolników oddających należony kontygent. Czyniono wszystko, ażeby zewnątrznie tak to uwidocznić. Wyrażało się to głównie w następującym działaniu. Usiłowano wymuszać na rolnikach, którzy odwiedzili zebrane we wsi zboże do magazynów w Trembowli, ażeby przystrajali swoje furmanki kolorowymi wstęgami i zielenią. Natomiast na właścicielu furmanki, jadącej w kolejności jako pierwsza - niejako "prowadzącej", usiłowano wymuszać umocowywania na furmance transparentu treścią związanego z wychwalaniem akcji zdawania kontygentu. Usiłowania te czynili, kolejno przyjeżdżający do wsi pracownicy sowieckiego rejonowego komitetu partyjnego jako utworzone w Budzanowie z pracowników kadrowych przybyłych tu z głębi związku sowieckiego. W wyniku różnych wybiegów i uchyleń, ze wsi Zalesienie nie wyjechała w omawianym okresie ani jedna furmanka, która była by unajona bądź posiadała transparent.

Drugie oblicze, to oblicze nieoficjalne - rzecz by można praca konspiracyjna, polegająca: na oddawaniu zboża - z pozeru naturalnie nieodpowiedniej jakości; spowolnione - rozwlekłe oddawanie kontygentu, a każdorazowe wyrażanie pozernej aktywnej chęci spełnienia tego "obowiązku". Było też udane oddawanie kontygentu w pełnej wysokości, przy niepełnym odstawianiu zboża do magazynów w Trembowli. Znaczyło to, że ze wsi wyjeżdżała pewna określona liczba furmanek w pełni załadowanych, a w drodze - określona liczba worków zboża, z części tylnych furmanek, znikająca i wracała z powrotem do wsi. Była to akcja dość niebezpieczna, ze względu na konieczność zachowania tego rodzaju działania w bezwzględnej tajemnicy, a także bezpośrednią odpowiedzialnością przy zdawaniu zboża.

4. Budowa nowego lotniska wojskowego obok wsi Podhajczyki.

Wiosną 1940 roku wzmożyły się prace przy budowie lotniska wojskowego na przywyższonej równinie, niedaleko południowej części wsi Podhajczyki - na osi, leżącej w dole nieopodal podnóża tego lotniska dużej połaci łąki, byłego - do wybuchu wojny 1939 roku - placu ćwiczeń 9 pułku ułanów małopolskich. Budowa tego lotniska wzmożyła zapotrzebowanie na różnego rodzaju materiały budowlane, będące kopalinami wielu miejsc tych okolic. Między innymi - wcale w niemałych ilościach potrzebny był tam - różnych gatunków kamień, żwir i piasek. Najbliższej tej budowy położone były kamieniołomy: obok wsi Zalesienie duże kamieniołomy na "piaskach" i mniejsze w "rozwałce"; piaskownia żwirownie: "pod górą" w niedalekiej odległości południowej strony tuż pod kosowskim lasem - miasteczka Budzanów, a także również w kamieniołomach na "piaskach". Nieco dalej od tej budowy znajdowały

się również kamieniołomy: we wsi Ryzdwiany i na północ od Trembowli - we wsi Preszowa. Natomiast żwir - przy bardziej utechniczonym zagospodarowaniu - możliwy był do uzyskiwania w pobliskiej wsi Zaściancze i Małów. W praktyce - stosunkowo, najbardziej zostały rozwinięte prace wydobywcze i produkcyjne w kamieniołomach nieopodal opisywanej wsi Zniesienie - na "piaskach", w "rozwałce" i "pod górką". Te spowodowały również zwiększenie zatrudnienia miejscowych ludzi w tych kamieniołomach. Wspomnieć również trzeba, że znaczną część tych pracowników zatrudniono na imienne wezwanie, bądź z nakazu pracy. Szczególnie dotyczyło to pracowników o wyższych kwalifikacjach w zawodzie kamieniarskim. Ponieważ w opisywanej wsi takie kwalifikacje posiadała znaczna liczba jej mieszkańców, stąd w okolicznych kamieniołomach większość pracowników zatrudniona została z tej właśnie wsi. Wytwarzane w kamieniołomach wyroby, dla zachowania ciągłości prowadzenia budowy, koniecznym było przetransportowywać na wspomnianą wyżej lotnisko. Ponieważ dojazdy, innymi środkami transportu, do miejsc wydobywania i bróbki tych materiałów, był prawie nie możliwy, dokonywane tego transportem o zaprzęgu konnym. Czyli wozami o zaprzęgu konnym, przede wszystkim indywidualnych gospodarzy - rolników okolicznych wsi. Głównie jednak wsi najbliższej obok kamieniołomów położonych - takich jak opisywana wieś Zniesienie, Słobutka Janowska i miasteczko Budzanów. Była to praca - prawie ciągła, w znacznej części wykonywana w ramach indywidualnie założonego nieodpłatnego odrobku szarwarkowego. Było też i tu stosowane różnicowane wykorzystywanie poszczególnych wsi w tych dowozach, a w tych wsiach poszczególnych gospodarzy. Ponieważ, jak już wspomniano wyżej, bardziej zamożni rolnicy, posiadający większy obszar pola i co najmniej parę pociągowych koni wraz dobrym wozem, byli ludźmi których "władza" sowiecka z urzędu uważała za niepewnych, stąd ci głównie rolnicy - a tym bardziej polacy, bezdyskusyjnie obciążani byli obowiązkiem dokonywania przewozów różnego rodzaju wyrobów okolicznych kamieniołomów, a także piasku na budowę wspomnianego lotniska. Była to praca bardzo ciężka, zarówno dla zwierząt, czyli koni - ze względu na bardzo trudne tereny warunki dojazdu, szczególnie w miejscu wydobywania kamienia i piasku (ostrymie niczym niezabezpieczone zbocze, brak stałej jezdnii, sypki i grzązki grunt), jak również dla furmana - rolnika, który oprócz niełatwej obsługi i powożenia koniami w powyższych warunkach, musiał jeszcze całość ładunku własnoręcznie załadować na wóz i na lotnisku rozładować na składowiskę. Wczesną wiosną 1941 roku dla zwiększenia intensywności dowozu materiałów na budowę lotniska, utworzone dodatkowo oddzielne brygady robotników dla pomocy w załadunku przewozowych furmanek w kamieniołomach oraz rozładunku tychże na składowisku w miejscu docelowym czyli na lotnisku. Brygady te tworzone były przede wszystkim z młodych mężczyzn. Ponieważ w pobliżu budowanego lotniska, mieszkańcy okolicznych

tam miejscowości, byli zatrudnieni głównie przy już prowadzonych pracach na lotnisku, stąd kompletowanie składu wymienionych brygad dodatkowych, dokonano zostało mieszkańcami miejscowości będących w pobliżu kamieniołomów. Dość licznie włączone do tych brygad, zatrudnieniem nakazowym, także mieszkańców opisywanej wsi. Utworzone taką brygadę kadrowaczy: w kamieniołomach na "piaskach" i "pod górą", a także na lotnisku - do rozładowywania dowożonego kamienia i piasku na składowiska. Ze wsi Zniesienie do brygad w kamieniołomach włączeni zostali między innymi - Krzysztof Skokun, Józef Wiśniewski, Alojzy Bejcar. Natomiast do brygady na lotnisku przydzieleni zostali między innymi Józef Gitler, Tadeusz Szestopal, Władysław Bejcar i Wojciech Pleszczak. Z brygady pracującej na lotnisku, część robotników skierowane w maju do brygady, której trójka we zespoły zalewały roztopioną smołą spoiny płyt betonowych na nowe wybudowanych drogach kołowania i stoiskach samolotów. Do tej brygady trafili też Władysław Bejcar i Wojciech Pleszczak. Opisywane lotnisko, wiosną i latem - do wybuchu wojny niemieckiej 22 czerwca 1941 roku - było dużym placem intensywnej pracy budowlanej, w znacznej części już wykończeniowej. Pracowało tam wówczas z parę tysięcy ludzi - różnych, zarówno mundurowych jak i cywili. W maju 1941 roku skierowane też na teren tego lotniska część kamieniarzy z kamieniołomów na "piaskach", w tym też i mieszkańców wsi Zniesienie. Między innymi Wojciecha Szestopala, Wincentego Skokuna i Piotra Jęderowicza s. Augusta. Wykonywali oni tam kamieniarskie prace wykończeniowe.

Lotnisko to, jak już wspominałem wyżej, od jesieni 1940 roku było już czynne. Stacjonowały tam już dwusilnikowe wojskowe samoloty bombowe i wykonywały też loty szkoleniowe. Między innymi także i nad polami uprawnymi rolników wsi Zniesienie mieli strefę strzelania powietrznego z pokładowej broni samolotu do tak zwanej rękawa. To znaczy, jeden samolot ciągnął za sobą na linie o długości około 500 metrów - tak zwany "rękaw" - wyglądający z dołu jak nadmuchany worek o długości około 9 metrów i średnicy około jednego metra. Właśnie do takiego celu, podlatywały kolejne inne samoloty i prowadziły strzelanie z pokładowej broni samolotu, ostrą amunicją. Łuski i pociski padały na ziemię w rejonie tej strefy strzelania. Rejon tej strefy rozciągał się nad lasami - od wsi Słebutka Janowska w kierunku zachodnim, aż nad pola uprawne zwane "pożary" i "pieńki" oraz północną część lasu megielnickiego.

Wczesną zimą 1940 roku, sowieckie władze leśne zarządziły przerzedzenie drzewostanu w północnej części lasów zwanych "gęst

wina". Była to ważka wiadomość dla mieszkańcÓw opisywanej wsi. Ukazała się bowiem możliwość uzyskania drewna opałowego dla każdego z gospodarstw, drogą zatrudnienia się w charakterze drwala do wyrębu przewidywanej części lasu. Połacie lasu przewidywana do przerzedzenia, była porośnięta - około 45-cie letnim - dość gęstym i wysokim drzewostanem, głównie grabów bardzo dobrych również na opał. Przerzedzanie polegało na dekonowaniu wyrębu drzew oznakowanych przez selekcjonerów. Mimo różnych rozważań i wątpliwości, po nakazowej zapowiedzi przez sołtysa, że mieszkańcy wsi obowiązani są pójść do wyrębu lasu - po powiadomieniu przez gajowego Lengina Gerżańskiego, mężczyźni wsi Znoścień zatrudnili się do wykonania tego wyrębu. Wyręb był wykonywany za zapłatą w naturze. To znaczy, że zatrudniony drwal pracował za tak zwaną 10-tą "kupkę" drzewa. Wspomnianą "kupką", to uskładano - w sposób wzajemnie przyległy do siebie gałęzi całą ich długością, ściętych drzew - uporządkowanie ułożona kupa gałęzi, mająca w swej czołowej części wymiar jednego metra wysokości i takiejże samej szerokości. Długość takiej "kupki" wyznaczała długość faktyczna składowanych w niej gałęzi. W takim jak wyżej układzie, drwal zatrudniony przy wyrębie, dziewięć takich jak wyszczególniono wyżej "kupek" układał dla zarządzających lasem, a 10-tą dla siebie. Wyjaśnić trzeba, że przy ścięciu poszczególnych drzew, cała część jego grubości powyżej 10 centymetrów, cięta była na oddzielne odcinki o długości jednego metra i układano w tak zwane "metry". Znaczy to, że te jednometrowe odcinki drzewa, układano - na równej, o wymiarach jednego metra szerokości i takiejże samej długości, powierzchni - do wysokości jednego metra. Tak ułożone, te oddzielne odcinki, stanowiły faktycznie jeden metr sześcienny ułożonego w jednym miejscu drzewa. Pozostała, o średnicy grubości poniżej 10-ciu centymetrów, część każdego ściętego drzewa była w całości przeznaczona do układania w wyżej już wspomniane "kupki". Drzewa ścięto siekierą i dwuręczną piłą do drzewa. Z jednej strony, w którą drzewo miało upaść - podcinano drzewo jak najniżej przy pniu, siekierą - a z przeciwnej strony następnie przepiłowywano, z nieznacznym przywyższeniem, w tym miejscu drzewo dwuręczną piłą. Ażeby wymienione wyżej "kupki" i "metry" ułożyć, należało cały ten materiał zgromadzić w ustalonych miejscach, przeważnie przy przysiekach lub przejezdnych leśnych drogach. Wszystkie to drwal wykonywał ręcznie - przy pomocy siekiery, piły i wysiłkiem własnych mięśni. Stąd drwale pracowali z zasady parami (w zespole dwóch ludzi). Odbioru wykonanej pracy, to znaczy ułożonych "kupek" i "metrów" drzewa dekonował każdorazowo gajowy poprzez sprawdzenie - prawidłowości wyrębu drzewostanu, ułożenia "kupek" i "metrów" ściętego drzewa oraz po przyjęciu wykonanej pracy, wybijał na przyjętych "metrach" i "kupkach" kolejne numery, specjalnie do tego celu posiadany numeratorem. Praca drwala lekką nie była. Stąd chętnych zbyt wielu nie było. Jej wykonywanie wymagało posiadania dużej siły fizycznej i sprawności oraz rozwagi i wytrzymałości.

Las w którym dokonywano wyrębu, położony był najbliżej wsi Zniesienie, odległość z innych najbliższych położonych wsi wynosiła 5 - 6 i więcej kilometrów, co przy braku jeszcze przejezdnych dróg zimą do tego lasu, powodowało brak chętnych do zatrudnienia w charakterze drwali z tych miejscowości. Z opisanych wyżej przyczyn, przeważająca większość drwali zatrudnionych przy wyrębie lasu, była ze wsi Zniesienie. Natomiast popyt na wykup drewna opałowego był, w opisywanych okolicach, bardzo duży. Było to zupełnie naturalne - przy powszechnym braku innego rodzaju opału.

Warunki bytowania ogółu społeczeństwa opisywanych okolic i nie tylko, były wówczas bardzo ciężkie i stale pogarszające się. Stąd niektórzy drwale - zarobione drzewo opałowe odsprzedawali na miejscu w lesie. Część natomiast po odpowiednim przygotowaniu - pocięciu na krótkie części dające się włożyć do pieca, rozkłucie na cienkie drzazgi i ułożenia w odpowiednie małe wiązki - woziło własnym transportem na sprzedaż do okolicznych miasteczek. Każda z takich transakcji dokonywana była nieoficjalnie. Wolnego handlowego obrotu towarowego w ogóle nie było. Stąd dokonywanie powyższych transakcji niesło ze sobą duże ryzyko. Doświadczyli tego osobiście Piotr Sadlak i Wojciech Pleszczak. Przygotowali oni - z zarobionego legalnie przez siebie drzewa opałowego - w sposób, jak wspomniano wyżej, dwa duże wozy o zaprzęgu konnym w pełni wypełnione małymi wiązkami drzewa opałowego. Było tego na jednym wozie co najmniej dwa metry sześciennie drzewa opałowego. Ten cały ładunek drzewa powieźli na sprzedaż do, odległego o 35 kilometrów miasteczka, Czertkowa. Była to połowa Stycznia 1941 roku - zima. Odległość nie mała, jak na warunki zimowe dla furmanek konnych z pełnym ładunkiem. Wyjechali wcześniej - daleko jeszcze przed świtem - nocą. Noc mroźna. Zmarznięci - w godzinach rannych przyjechali do Czertkowa. Piotr Sadlak, swoją parokonną furmanką jechał jako pierwszy, Wojciech Pleszczak także samą furmanką - jechał jako drugi. Wjeżdżając od strony Kalinowszczyzny - od strony koszar - w dół do miasta, obok pierwszych napotkanych po drodze bloków mieszkalnych, zatrzymane nas i proponowane kupno całego ładunku, lecz za bardzo niską cenę. Nie godząc się na zaoferowaną nam cenę, pojechaliśmy dalej licząc na otrzymanie bardziej korzystnej ceny. Jadąc przedem Piotr Sadlak wjechał w boczną ulicę, skręcając dość ostro w prawo. Stąd, będąc w pewnym oddaleniu, Wojciech Pleszczak stracił tą furmankę z oczu. Jadąc jednak w ślad za nią, skręcił też w tą samą ulicę w prawo i przed jego oczyma ukazał się dość dramatyczny obraz dziejący się wokół furmanki Piotra Sadlaka. On sam będąc jeszcze nadal na furmance, siarczaście przeklinając - wzywał - Wojtek pomóż bo biją. Obraz całości przedstawiał się następująco: Piotr siedział na wozie i ostro usiłował popędzić konie, nato-

miast na dole czterech mężczyzn - cywili. Dwaj przytrzymywali konie za uzdy i lejce - nie pozwalając im dalej iść do przodu, trzeci stał z przodu przed koniami w gotowości do akcji, a czwarty przeszkadzając Pietrowi w ostrym popędzaniu koni i usiłował go ściągnąć z wozu - szarpiąc się obaj. Wojciech Pleszczak nie będąc w pełni zorientowanym w zajściu - nie widział początku akcji - słysząc wzywania Pietra Sadlaka o pomoc, widząc wokół niego czterech nieznanych cywilnych osobników zaczepnie nastawionych widocznym działaniem, mając dość po ręczne biczysko - będąc nie ułomkiem - kilkoma zręcznymi i zdecydowanymi ruchami, uderzając - skutecznie oddzielił atakujących od furmanki Pietra. Wojciech uważał, że są to zwykli jacyś miejscy łobuziaki, na których można się być wówczas natknąć prawie wszędzie, od których uda się uciec w inne miejsce i będzie po kłopotach. Jednak Wojciech nie zauważył, że od tyłu - w ich kierunku, zbliżało się dość szybko trzech mundurowych milicjantów. I kiedy - Wojciechowi - zdawało się, że wszystko skończono. Atakujący cywila, od wozu Pietra odskeczyli i Piotr pojedechał prosto dość szybko. Konie furmanki Wojciecha będące w ruchu - były tuż koło niego. Wojciech - nie zwracając w tym zapale uwagi - chcąc wskoczyć na swoją furmankę i szybko odjechać, został z furmanki prawie ściągnięty przez trzech będących tuż za nim milicjantów mundurowych. Deszli też tych czterech cywilów i wyzywając, określili Wojciecha jako rozbijającego się niebezpiecznego osobnika. Mundurowi nie czekając na żadne wyjaśnienie, od razu zakuli kajdankami - z zarzutem pobicia milicjantów cywili i zapewne wiezie kradzione drzewo. Konie, wóz z ładunkiem także zatrzymali. Pietra też zatrzymali. Wojciecha w czasie zatrzymywania już poturbowali, a na posterunku milicji dość dotkliwie pobili. W tym całym zdarzeniu, od początku zatrzymania, Piotr Sadlak w oczach "władzy" prezentował się korzystnie. Natomiast Wojciech, ze względu na aktywność obrony Pietra - w chwili pojawienia się milicjantów mundurowych, był osobnikiem winnym wszczęcia bójki w wyniku której - jak twierdzili - uszkodzani byli milicjanci cywile. Jak się okazało później, obydwu ich ratowało jednak, ustalenie wspólnie przed wyjazdem alibii na wypadek gąbzy w drodze zatrzymania ktokolwiek z sowieckiej "władzy". Mianowicie, ze wsi Zniesienie w 1937 roku - cztery rodziny - przeprowadziły się na kolonię, obok wsi Orzeszkowce, leżącej na trasie Czortków - Kopyczyńce. Były to rodziny: Jakuba Bajrakowskiego, Stanisława Gacha, Stanisława Szałapaty i Michała Szestopala. Właśnie dla przedstawicieli sowieckich "władz" ładunek wieziony przez Pietra i Wojciecha, był "darowizną" - wieziony jako pomoc ziemiaków dla wymienionych wyżej rodzin, ponieważ przekazywali że nie mają czym palić. Te właśnie stanowili ich alibii. Na prawdziwość takiego tłumaczenia korzystnie wpływał też fakt, że Piotr w chwili zatrzymania właśnie w powyższy sposób tłumaczył swoją obec-

ność w Czertkowie. A Wojciech - mimo, że w chwili zatrzymania nie miał z Piotrem żadnego kontaktu, ponieważ każdy z nich przebywał w innym pomieszczeniu pod nadzorem milicjantów - w ten sposób jak Piotr tłumaczył swoją obecność w Czertkowie. Po pewnym czasie Piotra wypuścili na podwórze, zezwalając mu - na okrycie, nakarmienie i obsłużenie koni, które wraz z wozami już bez ładunku znajdowały się na terenie wewnętrznym podwórza komendy milicji, którą na miejscu Wojciech umiejscowił by i dziś, ale ani ówczesnej nazwy ulicy, ani też numeru budynku - nie zapamiętał. Ładunek, który przywieźli i który znajdował się, w chwili zatrzymania przez milicję, na wozach - bez żadnego bliższego wyjaśnienia, od razu zarekwirowali, wyładowali i zabrali. Natomiast obydwu właścicieli tego ładunku traktowane jako podejrzanych, a w trakcie przesłuchiwania - traktowane ich jak już prawie winnych o kradzież drzewa opałowego i usiłowanie sprzedania tego drzewa "nielegalnie" w Czertkowie. Piotra przesłuchiwano tylko jeden raz, Wojciecha natomiast dwa razy. Pierwszy raz bezpośrednio po zatrzymaniu i przyprowadzeniu na posterunek. Przy czym przesłuchanie Piotra, mimo swej ostrości, było bardziej łagodne - nie było go. Natomiast Wojciech - podczas pierwszego przesłuchania trzymany był w kajdankach, których miał ręce zakute do tyłu i był dotkliwie pobity. Każda prawie jego odpowiedź - odmowna lub odmienna, od oczekiwanej na zadawane pytania przez przesłuchujących go dwóch osobników - dublowana była uderzeniami w twarz lub żołądek przez jednego względnie "bykowcem" gdzie popadnie przez drugiego. Pytania dotyczyły głównie - skąd pochodzi? narodowość? skąd kradli drzewo? ile, gdzie i komu sprzedali już drzewa? do jakich organizacji należał za polskich czasów? kto te dla niego są ci do których, jak się wyraża, że wieźli te drzewo dla nich - jako darewizna? Mimo fizycznie dotkliwego nacisku, nie uzyskawszy innych odpowiedzi poza wyżej wymienionym już "alibii", mocne obolałego Wojciecha zamknęli w nieoświetlonej osłizgłej wilgocią, małej rozmiarami, samotnej celi więziennej. Po pewnym dość znacznym okresie czasu - zziębniętego wyprowadzili z celi na ponowne przesłuchanie, które również w odniesieniu do Wojciecha wyrażało się dużą ostrością - było jednak o wiele łagodniejsze od poprzedniego. Przesłuchiwany nie był bity. Pytania powtarzały się te same, za wyjątkiem jednego, które było odmiennie od zadawanych w poprzednim przesłuchaniu. Mianowicie pytano - kim był dla Wojciecha Stanisław Gach. Po odpowiedzi, że był dobrym znajomym, ponieważ do niedawna mieszkał w tej samej wsi - na tym poprzestali. Wyjaśnić tu należy, że był to gospodarz, który wraz z rodziną wywieziony został, z wymienionej wyżej kolonii, na sybir - 10 lutego 1940 roku. Pojawienie się tego pytania, świadczyło że w czasie między pierwszym a drugim przesłuchaniem sprawdzali chyba w jakiś sposób wiarygodność

alibii podawanych przez Piotra i Wojciecha. W czasie powtórnego przesłuchania Wojciecha, przesłuchujący go nic nowego nie uzyskali. Po przetrzymaniu go przez pewien jeszcze czas w zwykłym pomieszczeniu obok przesłuchujących, zwolnili go, oświadczając mu, że całą sprawę oddadzą do sądu. Natomiast przywiezione drzewo opałowe zostaje zatrzymane. Nie było innej rady, jak czym prędzej odjeżdżać z tego piekła i dziękować Bogu, że tak to się narazie kończy. W tym czasie jak Wojciecha przetrzymywane w celi więziennej - Piotr robił co było w tych warunkach możliwe, aby wyjaśnić i ewentualnie pomóc Wojciechowi. Po obsłużeniu koni wrócił do osobnika, który mu uprzednio zezwolił na obsłużenie koni. Po powrocie ów osobnik powiedział mu, że on jest wolny. Na zapytanie, a gdzie jest Wojciech - usłyszał w odpowiedzi, że z Wojciechem jest sprawa trudna. Piotr wtemczas zaczął działać po swojemu. Miał przy sobie pół litrową butelkę "samogonu". To znaczy, wódkę robionej domowym sposobem - drogą destylowania fermentacji zbożowego rezczywu. Ponieważ był mroźny dzień, Piotr - dość odważnie, zaproponował rozmawiającemu z nim milicjantowi "sowieckiemu, wypicie - na rozstanie po szklaneczce, właśnie tego samogonu. Piotr proponując wypicie swojej półlitrowki, wiedział że posiada jeszcze taką samą półlitrowkę Wojciecha, którą schował w worku z karmą dla koni. Rozmówca Piotra przystał na propozycję, zaznaczając, że nie w tym pomieszczeniu mogą wypić po szklaneczce i że on poprosi jeszcze kolegę. Piotr oczywiście zgodził się na wszystko. Po przybyciu tego właśnie drugiego milicjanta - kolegi, okazało się że jest to jeden z tych "cywili", którzy zatrzymali Piotra na ulicy i uczestniczył w całym zajściu. Przeszli razem do innego pomieszczenia i rozpoczęli poczęstunek. W czasie tej ceremonii, Piotr wykorzystując sprzyjającą sytuację, zaczął prosić swoich biesiadników o wstawiennictwo i zwolnienie Wojciecha. Starał się równocześnie przedstawić go umyślowo w odpowiednio niekorzystnym świetle, twierdząc że jest on od urodzenia chłopak nierozmowny i nie można go nawet określić, że dobrze umyślowo rozwinięty - czyni przeważnie co mu każą. Bo czy - rozwijał dalej rozmowę Piotr - normalny człowiek porwałby się sam na czterech, młodych dość resztych, nieznanym mężczyznom w zapęknieniu obcym mieście. Prowadzone w podobnym tonie rozmowy i zaproponowanie, że ma jeszcze na dokładkę drugą półlitrowkę, wylęknęło chyba zasadniczo na wyrażenie woli wstawiennictwa się obydwu współbiesiadników Piotra o zwolnienie Wojciecha. To prawdopodobnie poskutkowało, że Wojciech wezwany został na powtórne przesłuchanie, a następnie zwolniono go. Piotr, mimo obietnic jego współbiesiadników, nie spędzował się że Wojciech wyjdzie jeszcze tego samego dnia i razem pojedą do domu. Lecz czekał cierpliwie - mimo mroza, zbliżającej się już nocy i 35-cie kilometrowego oddalenia od domu. Po wyjściu Wojciecha na podwórce posterunku milicji, Piotr nie mówiąc, podeszedł do niego

i ucałował go. Mimo meczych przeżyć obydwaj byli zadowoleni, że to wszystko tak się na razie kończy. Szybko oporzędzili konie i czym prędzej wyjechali z podwórza posterunku milicji na ulicę. Zapadał już zmrok. Zmarznięci, głodni - bez grosza w kieszeni - na który to grosz tak liczyli; a Wojciech również jeszcze obelazły od dotkliwego pobicia podczas pierwszego przesłuchania, wracali z tej - tak w zamiarze obiecującej - wyprawy handlowej. Pozostała jednak jeszcze sprawa, którą należało załatwić. Sprawą tą była konieczność wyjednania zmiany zeznania (oświadczenia) milicjantów cywili - tych którzy zatrzymali Piotra i Wojciecha. Udało się to załatwić za "podarowanie" jeszcze dwóch półlitrówek samogonu. Jak się później okazało, że sprawa ta była już załatwiona. Notatka mówiąca o zaatakowaniu milicjantów przez Wojciecha, została z akt wyjęta i zniszczona przez jednego z biesiadników Piotra przy wódce na którą ich zaprosił. Notatka ta została wyjęta jeszcze przed powtórny przesłuchiwaniem Wojciecha. Brak tego zarzutu pozwoliło zwolnić Wojciecha do domu. Pozostał tylko zarzut - usiłowanie dokonania sprzedaży kradzionego drzewa opałowego.

Po około trzech tygodniach od czasu zaistnienia powyższego zdarzenia, odbyła się rozprawa sądowa w sądzie w Czertkowie - na której przedstawione zostały dowody, wydane przez władzę sowiecką z miejsca zamieszkania obu wymienionych, że drzewo przywiezione na sprzedaż nie było kradzione - a pochodziło z legalnego własnego zarobku Piotra i Wojciecha uniewinnione, ale zabranego drzewa opałowego lub równowartości za nie w ogóle nie zwrócone. Wspomnieć trzeba, że Wojciech Pleszczak na rozprawie tej nie był obecny z przyczyn ciężkiego rozchlerowania się po przebytym wyżej opisanym przesłuchaniu i dotkliwym tam pobiciu go przez przesłuchujących go sowieckich milicjantów. Na rozprawie był jego Ojciec Jan - posiadając przy sobie wszystkie niezbędne na rozprawę wiarygodne dokumenty.

Było to jeszcze jedno dość dotkliwe, przykreścią i niebezpieczeństwem, doświadczenie życiowe w tych tak niełatwych warunkach bytowania. I to nie tylko doświadczenie tych dwóch, wymienionych z imienia i nazwiska jej bezpośrednich uczestników.

Od około połowy okresu trwania wyżej opisanego wyrębu lasu, rozpoczęte również sprzedaż tego drzewa - zarówno tak zwanych "kupek" gałęzi, jak też "metrów". Wieść o wolnej sprzedaży drewna opałowego rozszalała się po okolicy dość szybko. W dzień sprzedaży - czwartek każdego tygodnia - do tego lasu zjeżdżali się chłopcy zaprzęgni konnymi nawet ze znacznej odległości. Przyjeżdżali, też po zakup drewna chłopcy-robotnicy ze sowchozu (państwowe gospodarstwo rolne), który sowieci utworzyli w byłym majątku felwarcznym hrabiego Berkowskiego we wsi Kobylki. Byli to w większości młodzi 17-18 letni chłopcy.

Zaprzyjaźnił się z nimi, pracujący przy wyrębianiu razem ze swoim wujem Józefem Zajac s. Grzegorza - młodszemu kolega Janek Bejcar s. Józefa. Chłopcy ci zainteresowali młodszemu kolesi Jankowi tym, że będąc tak młodymi jak on, mogli już samodzielnie powozić tak dorednymi koniami. Janek miał do koni wielkie zamiłowanie od dziecięcych lat. Tak się w ich życiu ułożyło - było ich dwóch braci - ale w latach dziecięcych nie żyli w jednej rodzinie. Ojciec ich wyjechał do Kanady. Matka ich wraz z Jankiem zamieszkała u swoich rodziców. Natomiast starszy z nich Krzysiek Bejcar - wolał ojca - zamieszkał i został, mimo nalegań matki o zabranie go, pod opieką rodziców ojca. Janek w kontaktach z młodzieńcami z sowchezu, ciągle wypytywał ich, jak oni się tam dostali, a także jak to się stało - że im, takim młodym, pozwolono już samodzielnie obsługiwać i wykonywać różne prace przewożone takimi koniami. Chłopcy ci chętnie mu odpowiadali. W niedługim czasie po tych szczegółowych rozmowach - nikomu nic nie zdradzając - Janek po prostu uciekł z domu, poszedł do oddalonej o 12 kilometrów wsi Kobywłoki i zgłosił się do sowchezu z prośbą: ażeby go przyjęli do roboty przy koniach. Jak w sowchezie to wszystko załatwił, nikomu się z tego nie zwierzał, a po bliskim miesiącu czasu nieobecności - przyjechał w odwiedziny do matki i dziadka parą dorednych koni zaprzęgniętych do sani, sam nimi powożąc. Matka - po usilnych wysiłkach jakie czyniła dla jego odszukania - oczywiście ucieszyła się z jego odnalezienia się i namawiała go gorąco do powrotu do domu. Jednak prośby nie usłuchał i nie powrócił. Pracował nadal w tym sowchezie furmaniąc koniami, aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Po wybuchu wojny w trakcie wycofywania się czerwonej armii sowieckiej z tych terenów - pod naporem ofensywnych działań Niemców, ewakuowane również kierownictwo wspomnianego sowchezu. Janek jako furman (woźnica) z parą dorednych koni pociągowych zabrany został w głąb związku sowieckiego w tej ewakuacji. W ten sposób włączony został - w tak młodym wieku - w wir tragicznych zaszcześci wojennych. Powrócił do matki w 1946 r.

XX. R o k . 1 9 4 1 .

1. Przyspieszenie prac przy trwającej budowie czynnego już lotniska wojskowego.

Z początkiem 1941 roku, wnikliwemu obserwatorowi - a mieszkańcy tych okolic bez względu na narodowość, doświadczeni własnymi przeżyciami i zaszcześciami, takimi obserwatorami byli - dale się zaobserwować pojawiające się oznaki wskazujące, iż Niemcy znów wzmagają swe wojskowe zainteresowanie tym rejonem. Potwierdzeniem tego były następujące zdarzenia: wczesną wiosną - poufnie - przekazywana była przez miejscową społeczność pogłoska o zatrzymaniu w okolicy przez sowiecką milicję, dwóch podejrzanych osobników, którzy okazali się Niemcami. Późną wiosną w kilku okolicznych wsiach, sowiecka milicja aresztowała znanych imieniem mieszkańców narodowości ukraińskiej, jakoby za działalność podziemną na rzecz Niemiec.

Niezależnie od bieżących zdarzeń, wszystkie czynniki sowieckich organów władzy opisywanych ekolic - rejonu gdzie znajdowały się kamieniołomy oraz gdzie wydobywane piasek - w szczególności osoby przybyłe na tereny z głębi związku sowieckiego i pełniły tu określone funkcje, nie tylko nie nasilały nacisk na poszerzenie zaangażowanie miejscowych chłopów w całkowitym zabezpieczeniu stałego dowozu na budowę lotniska potrzebnych rodzajów materiałów. Wznagała się też - na samym lotnisku różnorodność budowlanych prac wykończeniowych na terenie poszczególnych części lotniska, po zakończeniu których udostępniano te części lotniska do bieżącej eksploatacji. Główny pas startowy lotniska usytuowany był na osi: północny zachód - południowy wschód. Z prawej strony pasa od kierunku południowo wschodniego, w bezpiecznej od niego odległości, przygotowane było jedno z miejsc postoju samolotów. Zresztą na którym stały już dwusilnikowe samoloty bojowe. W części południowej tuż przy granicy lotniska, niedaleko wjazdu na lotnisko połączyła drogą od strony wsi Pedhajczyki znajdował się barak - "kantora". W jednej połowie tego baraku było między innymi pomieszczenia dla części kierownictwa robót na budowie, bufet i jadalnia. Natomiast druga połowa baraku stanowiła hotel, gdzie rozmieszczone część pracowników zatrudnionych przy budowie lotniska. Był to zwykły długi barak jakie zawsze pojawiały się na każdej prawie budowie na okres jej trwania. Poza tym, w przyległości tego baraku - w warunkach ograniczonych możliwościach poruszania się po terenie budowy - było również ważnym miejscem styku znajomych i kolegów pracujących w różnych miejscach lotniska i umożliwiała wymianę wzajemnej informacji bieżących co najmniej raz w tygodniu przy rozliczaniu robót. Nieopodal tego baraku w kierunku południowo wschodnim, znajdował się magazyn - placowe składowisko dowożonych i gromadzonych materiałów budowlanych. W tym smoła, papa, piasek, kamień i t.p. W innym miejscu, też nieopodal tego baraku, na wysokości magazynu składowiska znajdowała się wymiarowo duża kadź topienia smoły. Stąd zabierano roztopioną smołę do specjalnych wózków - "beczkołejów" i zalewane "szwy" - spoiny między betonowymi płytami, tam gdzie nawierzchnia lotniska z takich płyt była zbudowana. Właśnie posługując się takim urządzeniem, trójkowy zespół robotników wykonywał - zalewał styki między betonowymi płytami.

Na początku czerwca 1941 roku w ekolicy lotniska - na jego zewnętrznych przyległościach - pojawiać się zaczęły rozmieszczone działka, jak się później okazało przeciwnie. Rozmieszczone one były obok wsi Wybranówka - od strony północno południowo zachodniej, w pewnym oddaleniu od wsi Humniska - od strony północno zachodniej, na polach

w pewnym oddaleniu w kierunku południowo zachodnim od wsi Zaścianecze oraz na polach nieopodal opłotowania parku przy zespole pałacowym we wsi Podhajczyki.

W sobotę każdego tygodnia, dokonywane były rozliczenia bieżące z wykonanych robót. Wszystkie czynności i prace odbywały się w baraku "kantorze". Przy rozliczaniu, które trwały zawsze z zasady kilka godzin przewijało się wielu uczestników budowy lotniska. W miejscu tym udawało się spotkać znajomych i kolegów, zasięgnąć wzajemnie informacji w podstawowych zagadnieniach - zdrowie własne, kolegów, ewentualna pomoc - komu w czym i jak, wieści rodzinne, a także - jeżeli było jakiegokolwiek inne. Miejsce to, stawało się dla tej różnorodnej zbieraniny, w sobotę każdego tygodnia bardzo istotnym. W miarę warunków, każdy z pracowników budowy, w sobie wiadomy sposób starał się w to miejsce dotrzeć chociażby na parę minut. Tak też było i w sobotę 21 czerwca 1941 roku. Nikt z przewijających się w tą sobotę przed "kantora" pracowników budowy lotniska - nie podejrzewał nawet, że jest to już ostatnia sobota pokoju tak władczo i pewnie zachowujących się Sowietów. Dzień ten był ciepły i pogodny - sprzyjający w miarę do pogodnego nastroju mimo przeciwności i bieżących dolegliwości.

2. Wybuch wojny niemiecko radzieckiej 22.06.1941 r. i bezpośrednie następstwa tej zaszłości na wspomnianym lotnisku i okolicy.

...Bardzo wczesnym rankiem - 22 czerwca 1941 roku - wszystkich i zniemacka, ogłuszyły swoją grozą silne w dużej liczbie wybuchy bomb na lotnisku połączone z wyciem silników samolotów. Wśród ludzi pracujących na lotnisku - będących w baraku wybuchło eszokolienie, chwilowa panika i popłoch. W niedalekiej odległości od baraku znajdowała się duża kadź ze smołą, która zapaliła się od wybuchu bomby - zadymiając cały przyległy teren gęstym, silnie gryzącym i duszącym smolewym dymem. Pogłębiało to grozę i zwykły ludzki strach. Słychać było tylko ogromny łoskot wybuchów bomb, trzask działek przeciwlotniczych warkot samolotów oraz łuny ognia i dymu, a w tym krzyki i jęki ludzi. W niedługim czasie sytuacja została nieco uporządkowana, lecz bombardowanie jeszcze trwało. Mimo bombardowania, wspólnie i samorzutnie zaczęto ratować rannych i te, co się dało jeszcze uratować, ale większość tego co stało na powierzchni ziemi, zostało zniszczone. Tak społeczność episywanych okolic zetknęła się bezpośrednio, w tak niedługim odstępie czasu, z drugim już z kolei wybuchem wojny (pierwszy - we wrześniu 1939 roku). O tym samym - mniej więcej czasie - bombardowane były wiele innych miejscowości tych okolic. Właśnie te bombardowania i ataki lotnictwa niesły wieść, dla ludności episywanych okolic - w praktycznym wydaniu - o rozpoczęciu przez Niemców wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Od tego dnia niemieckie samoloty z czarnymi krzyżami zaczęły się znów pojawiać dość często na niebie tego również rejonu.

Niosły one ze sobą zawsze: żużel ognia, zniszczenia i śmierć. Na lotnisku, po ~~masakrze~~ ^{czyszczeniu} - w trakcie uporządkowywania powstałej w wyniku bombardowania paniki - zbierano robotników budowy lotniska grupami i kierowano do prac usuwania skutków zniszczeń spowodowanych bombardowaniem. Prace te prowadzone były bardzo intensywnie i w pośpiechu - z zasady pracami tymi kierowali bezpośrednio sowieci mundurowi. Zniszczenia były przerażające duże - zarówno w ludziach, jak też w sprzęcie i środkach będących na lotnisku. W ciągu następnego dnia, naloty na to lotnisko powtarzały się wielokrotnie. Opierając się na intensywności powtarzających się nalotów na wspomniane lotnisko (i nie tylko), a także skutkach powodowanych przez te naloty, należy stwierdzić że była to walka niemieców na śmierć i życie - nie tylko z wojskiem sowieckiej czerwonej armii, ale ze wszystkim tym co jest na ziemi (i nie tylko) i co mogło by ułatwić lub wspomóc opór sowieców przeciw Niemcom. W godzinach około południowych w dniu wybuchu wojny, spośród robotników będących na lotnisku, zebrano wszystkich mężczyzn którzy byli po komisyjnych badaniach wojskowych komisji poborowych i oświadczone im, że każdy z nich - niezależnie od tego czy ma już kartę powołania do wojska (jest przyzwojny), czy też jeszcze nie ma karty powołania do wojska, a został uznany przez komisję za zdolnego do służby wojskowej (jest deprzyzwojny) - traktowani są od tej pory jednakowo, jako poborowi (przyzwojny) z przydziałem do określonych jednostek wojskowych stacjonujących na tym lotnisku. Oświadczone im także, że zakatowane są formalności i jeszcze dziś lub najpóźniej następnego dnia wezwani zostaną do określonych jednostek. Było tych poborowych dość liczna kilkunastu osobowa grupa, w tym z opisywanej wsi Zaleszenie - trzech. Wszystkich tych poborowych zebrał pracownik z baraku "kantory" na którego mówiono Luluzkin (czy było to nazwisko?). Natomiast spotkanie, w sposób dość stanowczy, przeprowadził inny osobnik w mundurze wojskowym. Bezpośrednio po tym spotkaniu, cała ta grupa poborowych dołączona została do zespołu usuwającego ze stajsk samolotów rozbity sprzęt i samoloty. Miedzienicy - poborowi pochodzący z jednej wsi, przez cały czas pracy, starali się utrzymywać razem. Jednak nie było to chyba po myśli zarządzających. Bezwzględnie, by ich przydzielono razem - w godzinach popołudniowych tego samego dnia, każdego z nich, skierowano do innej pracy. Mianowicie: Tadeusz Szestopół - jako noszowy do lotniskowego zespołu ratowniczego; Józef Gitler - do lotniskowej straży pożarnej jako sikawkowy; Wejciech Pleszczak - jako amunicyjny do baterii artylerii przeciwlotniczej obrony lotniska, stanowiska ogniowe dział której rozmieszczone były obok wsi Klebanówka. Wyznaczone mu pracę amunicyjnego. Przy czym przyprowadzony został tam przez szefa baterii, bez żadnych

-dokumentów skierowujących - przydzielili mu tego chłopaka przy baraku "kantera". Przy tym przydziale twierdzone, że wszystko będzie załatwione w dowództwie dywizjonu w skład którego wchodziła również wspomniana bateria. Szkolenie i przygotowanie do wykonywania określonych obowiązków, odbyło się w bardzo specyficzny i zupełnie prosty sposób. Szef baterii zaprowadził przybyłego do wkopanej ziemianki, krytej belami drewna w której znajdowały się ułożone skrzynki z amunicją do dział oraz z ogniwami taśm amunicyjnych. Po środku ziemianki - niejako ją rozdzielając - stało wkopane w ziemię, nieopodal siebie, dwa słupki jednakowe mające w swej górnej części umocowane urządzenie z zębatkami pokręcane z boku ręczną kerbą, a z wierzchu przykrywane blaszaną półkoleokrągłą - z boków odkrytą - przykrywką zatrzaskową. Szef baterii pokazał Wejciechowi praktycznie co ma robić - to znaczy, jak należy oczyszczać i taśmować amunicję oraz wyrównywać amunicję w taśmach, a także układać taśmy w skrzynkach i donosić je na stanowisko ogniwe określonego działka. Po praktycznym, trzykrotnym powtórzeniu czyszczenia i taśmowania amunicji przez przyprowadzonego pod bezpośrednim okiem szefa baterii, określili on, że umiejętności te są już dobre. Następnie, każdy z nich zabrał po jednej skrzynce amunicji i szef baterii poprowadził przybyłego - do dowódcy baterii, któremu zameldował, że przyprowadził uzupełnienie po przeszkoleniu go w pracy praktycznej amunicyjnego na ocenę dobrą. Wszystko to wykonywane było w warunkach ciągłej walki powtarzających się bombardowań lotniska przez Niemców i trwałe około trzech godzin czasu. Dowódca polecił szefowi baterii pokazać nowicjuszowi dogodne dojścia z amunicyjnej ziemianki do każdego działka baterii, a także przyjąć na ewidencję i zaopatrzenie baterii. Podobnie było z pozostałymi kolegami w przedmiocie ich przydziału. Wejciech Pleszczak w miejscu swojego przydziału spotkał żołnierza sowieckiego, który wykonywał te same czynności i prace w odniesieniu do innych działek tej samej baterii. Był to ukraińiec z okolic Żytomierza - po roku służby w wojsku. Zapoznali się dość szybko, życzyli sobie po koleżeńsku wzajemnie się wspomagać na miarę bieżących warunków sytuacyjnych. Praca była bardzo intensywna. Dyktowało ją bieżące natężenie powtarzających się z dużą częstotliwością nalołów niemieckich samolotów na to lotnisko. Mimo dużych zniszczeń na lotnisku, lądowały i działały stąd - oprócz dwusilnikowych sowieckich samolotów bombowych, również samoloty myśliwskie. Codziennie zniszczeń na lotnisku przybywało. Niejako równoległe z prowadzoną walką z nalołami niemieckich samolotów, sowieckie władze wojskowe usiłowały nadal kontynuować prace przy budowie lotniska. Ściągnięto dodatkowe pracowników - głównie tych którzy pracowali dotąd w kamienio-

żemach. Ściągnięto też ókópów - (wozaków) z wozami o zaprzęgu konnym. Z opisywanej wsi Zniesienie znaleźli się również wśród tych dodatko-
wo ściągniętych pracowników - między innymi Marek Skekun i Wojciech Szostepal. Mimo piętrzących^(są) przeszkód i fizycznych zniszczeń, wojskowe władze lotniska, w sposób bezwzględny dążyły do utrzymania, narzuconego jeszcze w okresie pokojowym, tempa prac budowlano wykończeniowych przy budowie lotniska. Mimo różnych zabiegów represyjnych nie udało im się uzyskać znaczących rezultatów w tym względzie.

Wspomnieć również należy, że bezpośrednio po wybuchu wojny - 22.06.1941 roku - władze sowieckie zarządziły mobilizację mężczyzn, w tych okolicach, roczników od 1905 do 1918. W ramach mobilizacji do sowieckiej czerwonej armii - w opisywanym rejonie - powoływano tylko mężczyzn narodowości ukraińskiej. Natomiast bieżąco, do odbycia zasadniczej służby wojskowej, kolejne podchodzących roczników poborowych młodych mężczyzn, powoływano do odbycia zasadniczej służby wojskowej wszystkie narodowości, w tym i Polaków.

Oprócz tego ogłoszone zostało również zarządzenie sowieckich władz, którym opisywane tereny zaliczone zostały jako tereny strefy frontowej w następstwie czego wszystkie organy władzy cywilnej przeszły pod zarządek wojskowy, a ludność cywilna tam zamieszkująca, podlegała zarządzeniom wojskowym.

Z opisywanej wsi Zniesienie w ramach mobilizacji do sowieckiej armii czerwonej, powołany został tylko Paweł Pireżyk.

Walki frontowe trwały w tym czasie w pasie przygranicznym - ówczesnej linii granicznej, rozgraniczenia między zaborcami ziem państwa polskiego do 1939 roku, zaborcą niemieckim i sowieckim. Oddalenie opisywanych okolic, od tej linii granicznej - wynosiło bliskie 200 kilometrów. Jednak z upływem każdego dnia trwania wojny, dość szybko front przybliżał się do opisywanych okolic. Tu natomiast w tych okolicach trwały walki z niemieckimi samolotami dokonującymi z dużą częstotliwością intensywne naloty na lotniska i wszystkie podstawowe obiekty wojskowe gospodarcze. Coraz częściej słychać było o spotykaniu w lasach tych okolic, podejrzanych obcych i nieznanymi osobnikami. Wśród mieszkańców wsi i miasteczek, znów pojawił się niepokój, a wskutek ciągłych nalotów niemieckich samolotów, których tragiczne rezultaty były w okolicy aż nadto widoczne, pojawił się także zwykły ludzki strach. Tym bardziej jak wieść niesła, że Niemcy obchodzą się, z miejscową ludnością zajętych terenów, bardzo źle. W miarę upływu dni, mimo zaciętości bojowych starć, coraz bardziej widoczne były słabnące przeciwdziałania strony sowieckiej, a silnej i w nie zmniejszającej się intensywności działań niszczących strony niemieckiej. Front przybliżał się do opisywanych okolic. W początkach lipca - na krótko - front zatrzymał się na rzece Strypa w niedalekiej odległości na zachód od wyżej opisywanego lotniska. To-

czyły się tam zażarte boje przeciwstawnych sobie wrogich wojsk. Cała ludność opisywanych okolic znalazła się w bezpośredniej strefie frontowej. W wyniku braku nieodzownej zapobiegliwości, początkowo również pychy i zarozumiałości sowieckiej administracji, ludność cywilna dotknięta została wszystkimi tragicznymi doznaniem, które było tego wynikiem. Wojska sowieckiej czerwonej armii, w znacznej części w bezładzie i szybko wycofywały się na wschód. Wskutek nagłości zmieniającej się sytuacji frontowej walczących stron - na niekorzyść sowietów - ludność cywilna opisywanych okolic znalazła się w wirze bezpośrednich walk frontowych. Na ucieczkę lub ewakuację z zasady nie było już czasu. Nie było także już gdzie uciekać, a miejscowe warunki nie pozwalały na bezpieczne przebywanie w tym rejonie. To spowodowało, że wśród rozrywających się pocisków i bomb znalazła się cała ludność - dzieci, kobiety, starcy - których nie wiadomo gdzie ukryć i jak ukryć. Wokół i wśród tejże ludności - zażarte walki wycofujących się wojsk sowieckiej czerwonej armii, a tuż za nimi nacierających wojsk niemieckich - z całą żywecią obrazu tragizmu bezpardonowego działania wojennego. Piekło, to określenie zbyt łagodne na te żywe obrazy zaszłości. Dla ludności cywilnej, był to - bezwolny i bezbronny tragizm przeżyć osobistych i swoich najbliższych w sytuacji granicznej wytrzymałości psychicznej i fizycznej wszystkich bez wyjątku. Po przesunięciu się linii frontu - powstało bezkrólewie.

R e z u m i e n i e czwarty.

Okupacja niemiecka opisywanych okolic.

XXI. Wkroczenie wojsk niemieckich i okres okupacji 1941 roku.

1. Ukraińskie samozwańcze cywilne grupy policyjne.

Pojawiły się samozwańcze - uzbrojone, cywilne, policyjne - grupy ukraińców, które bez żadnej przyczyny pod byle jakim pretekstem, nachodziły domostwa "wybranych" przez siebie osób narodowości polskiej. Dokonywały gruntownej rewizji domu, grożąc przy tym domownikom bronią. Takim właśnie najściom, których we wsi Zniesienie niespodziewano się, poddane zostały domostwa - Kawła Pleszczaka, Jakuba Pleszczaka, Antoniego Bajrakowskiego oraz zlustrowano również wówczas gospodarstwo Jana Pleszczaka. Z bezpośredniej napastliwości poszczególnych osobników, wypowiedzianych w trakcie prowadzonych przeszukiwań, wywnioskować można było, że celem ich najścia była chęć schwytania Kazimierza Gorżańskiego, który był kuzynem Pleszczaków, a kolegą Bajrakowskiego. K. Gorżański był stałym mieszkańcem wsi Mogielnica, właśnie tej z której przybyła ta około 30 osobowa wyżej wspomniana już samozwańcza policyjna grupa ukraińców. Zarówno gospodarze domów

na które dokonano najścia, jak również K. Gorzański - zdołali się w odpowiednim czasie właściwie ukryć w okolicznych lasach w których uczestnicy wymienionej samozwańczej ukraińskiej grupy policyjnej, mimo posiadanego uzbrojenia, czuli się chyba nie najlepiej i tam się nie zapuszczali.

Samowolne najścia, tych i im podobnych grup, mimo bieżąco tak ciężkich doznań wojny, spowodowały bezwzględną i natychmiastową potrzebę wyostrenia uwagi uwagi wszystkich mieszkańców tej polskiej wsi na pojawiające się ponownie opisane wyżej przypadki i zorganizowania zespołowej własnej samoobrony przed napastliwymi najściami podobnych grup. Co bardziej aktywniejsi mieszkańcy opisywanej wsi, domawiając się wewnątrz - samorzutnie i konspiracyjnie - zaczęli organizować we wsi stałe patrole i grupy samoobrony. Patrole i grupy te tworzyli: Jan Pleszczak, Jakub Pleszczak, Karol Pleszczak, Antoni Bajrakowski, Władysław Gitler, Karol Bajrakowski, Józef Zajac, Antoni Pleszczak, Michał Skobedzian s. Józefa, Marian Partyka, Ludwik Skokun, Wincenty Skokun, Stanisław Malarczuk, Jan Szostopal s. Onufrego, Krzysztof Wasylik, Ludwik Bejcar, Władysław Moskalik i inni. Te samorzutnie zorganizowane i nikomu spoza kręgu wtajemniczonych nie ujawnione grupy samoobrony i patrole, nieco uspokoiły napiętą sytuację wśród mieszkańców opisywanej wsi. Grupy te zaczęły tworzyć ochronę wsi - między innymi, czyniąc wieś trudno dostępną. Zaczęli tworzyć przeszkody na wszelkiego rodzaju drożniach - dojścia do wsi. Jak już wspomniano opisywana wieś otoczona była w trzech stronach lasami. A więc i dojścia do wsi prowadziły - w większości - przez leśne drogi i śródkę. Właśnie tam, na tych śródkach i drogach tworzone - prostym i naturalnym sposobem - różne dość skuteczne przeszkody. Między innymi: przekopy kryte naturalną darnią, które przy najściu na nie nagle się zapadały; chwytaki przegradzające drogę - z ugiętych przędzy drzew - które przy nadejściu na, w naturalny sposób leżącą na ziemi ich końcówkę, prostowały się pociągając za sobą osobnika, który na nie nadejść i szarpiąc również osoby będące w bezpośredniej bliskości jeżeli była to grupa. Robiono i inne przeszkody, jak się później okazało znaczna część tych pułapek i przeszkód spełniły swoją rolę dość dobrze.

Po pewnym czasie sytuacja ogólna w tych okolicach nieco się zmieniła. Niemcy przystąpili do organizowania miejscowych władz administracyjnych i policyjnych. Wszystkie stanowiska w organach niemieckiej okupacyjnej administracji cywilnej i policji - na terenie sołectw, gmin i małych miasteczek nie będących siedzibą władz powiatowych - obsadzane były ukraińcami. Byli to z zasady osobnicy naszpikowani jadem nacjonalizmu, podsyconego stale - w sposób głęboko

przemyślany przez władców hitlerowskich faszyzmu niemieckiego, obietnicami "samostijnyj ukraiiny" (niepodległej ukraiiny). Potwierdzeniem że były to tylko obietniczki - polityczne ochłapy niepodległościowej propagandy - dla stałego utrzymywania napięcia nienawistnej ekstazy nacjonalizmu, nieodzownego Niemcom jako jednego z zasadniczych elementów zabezpieczenia na tym terenie swoich zbrodniczych celów w prowadzonej wojnie i że nie brali w ogóle pod uwagę utworzenia niepodległej ukraiiny, było bezpardonowe rozpędzenie - z nakazu Hitlera - utworzonego na przełomie czerwca i lipca 1941 roku we Lwowie rządu niepodległej ukraiiny oraz uwięzienie prawie wszystkich jego członków, a tereny opisywanych okolic ziemi Lwowskiej przyłączone zostały w całości do okupacyjnej strefy polski - generalnej guberni. Jak się w niedługim czasie okazało, wyniszczające skłucenie przez Niemców - w opisywanych okolicach i nie tylko - dość licznych tam grup różnych narodowości między sobą, ówczesni niemieccy władarze tych ziem w sposób perfidny i ukryty, lecz stale podtrzymywany propagandowo, wskazywali - że właśnie główną przeszkodą na drodze do uzyskania przez ukraińców "pełnej niepodległości i wolności" - są Żydzi, sowiecka kultura i obecność Polaków, rodowitych od wieków mieszkańców tych ziem. Swoją zasadniczą rolę Niemcy osiągnęli. Skłócili i do ostateczności zantagenizowali znaczną część ukraińców do Polaków. Tej niekorzystnej dla obu narodowości perfidnej gry nie byli w stanie w porę dostrzec, zaślepieni i zadufani swoim nacjonalizmem oraz "poparciem Niemców", ci właśnie z tej znacznej części wspomnianych wyżej ukraińców, a szczególnie gremia im przewodzące, które poprzez bezwzględne rygory dyscypliny organizacyjnej wymusiły posłuszeństwo - wrogię przeciw Polakom działania znacznej części ukraińców.

2. Tabuny uzbrojonych rozbitków w okolicznych lasach wycofujących się żołnierzy czerwonej armii sowieckiej.

Równolegle z tymi zmianami toczyło się również w tych okolicach i inne życie, które było konsekwencją przejścia przez te tereny ciężkich walk frontowych. Zmarło kilku mieszkańców wsi. Pojawiali się coraz częściej, zdążający za swoimi wycofującymi się wówczas wojskami, wyczerpani i wycięczeni - grupy rozbitków - żołnierze sowieckiej czerwonej armii. Przemykali się przeważnie nocami, wstępując ukradkiem i z wielką ostrożnością do opuszczonej wsi położonej między lasami. Głównie dla uzyskania byle jakiego pożywienia, uzyskania nieodzownej informacji co do względnie bezpiecznej drogi dalszego marszu na wschód, a także chwilowego ośpoczynku. Były to grupy różnej wielkości - rozbitków z nad rzeki Strypa - uzbrojone i zdecydowane na wszystko. Stąd swoją obecnością budziły u ludności cywilnej

odpowiedni respekt. Grupy te dawały o sobie znać przez dłuższy czas. Mimo powszechnej nieżyczliwości wówczas do związku radzieckiego, meldunków do Niemców nie było. Zdarzenia te miały miejsce przeważnie nocami i skrycie. Nikt, nikomu takimi zdarzeniami się zdradzał, a ten który nawet zauważył podobne zdarzenie, upewniwszy się kto to jest z zasady dalszych ciekawostek nie był ciekaw. Niemcy od początku stosowali ostre represje za udzielanie pomocy żołnierzom sowieckim.

W miejscowościach gdzie sowiecom udało się już wymusić założenie kołchozu (spółdzielni produkcyjnej), "członkowie" tego kołchozu w trybie spiesznym, z zasady bez wiedzy Niemców, rozwiązywali te kołchozy zabierając stamtąd wszystko to co było od danego członka tego kołchozu zabrane. Tak było między innymi w pobliskim Budzanowie. Znaczną rozgłos uzyskało odkrycie Niemców w więzieniu w Czortkowie. Gdzie wycefuujące się sowieckie NKWD wymordowało znaczną liczbę więźniów, w tym duża część z nich była zamurowana w szeregu pomieszczeniach - w szczelinach międzyściennech. Byli to ludzie przeważnie w ślę wieku - nie kryminaliści, zarówno narodowości polskiej, jak i ukraińskiej straszliwie wyglądających po ich odkryciu. Niemcy "kaskawie" zezwolili na rozpoznawanie przez rodziny swoich bliskich wśród pomordowanych.

3. Organizowanie miejscowych władz okupacyjnych i spis ludności.

Bezpośrednim skutkiem okupacyjnych niemieckich porządków były następujące zaszłości: w opisywanej wsi Zniesienie wyznaczono sołtysa. Został nim Michał Słobodzian o przydomku "DżunyK" - ukraińiec. Utworzono też we wsi zlewnię mleka, której dotąd nie było, kierownikiem której został Piotr Jaremczuk - ukraińiec. Siedzibą gminy pozostała nadal ta sama miejscowość Janów, w której znajdowała się siedziba gminy do czasu wybuchu wojny 1939r. Tam też utworzono gminny posterunek policji. Wszystkie stanowiska w gminie i w gminnym posterunku policji objęli ukraińcy. Stałymi bywalcami gminnego posterunku byli też Niemcy - gestapowcy.

Wzmogła się aktywność działania nowoutworzonych władz okupacyjnych. Patrole policyjne pojawiały się w każdej miejscowości przeważnie rewerami i z zaskoczenia. Jednak w opisywanej miejscowości, mieszkańcy będąc wyczuleni na wszelkiego rodzaju najścia z jakimi się dotychczas spotykali i doświadczali ich praktycznych skutków - jak na razie zaskakiwać się nie dawali. We wsi istniała nadal - zakonspirowana - samo rzutnie zorganizowana straż samoobrony. Działania tych władz, jak wykaazywały ich zachowanie i postępowanie, zmierzały głównie na dokonywanie w sposób bezwzględny czynności represyjnych - co potęgowało zastraszanie ludzi i to

wszystkich bez wyjątku - zarówno Polaków, jak i tej znacznej części Ukraińców nieangażujących się we wszelkie złudne "patriotyczne wolnościowe" poczynania o powstaniu państwa, wolnej Ukrainy - w ramach tych ustaleń, które odpowiadają niemieckiemu okupantowi i są dla jego wyłącznie interesów aktualnie potrzebne.

Trwała nadal wojna - w bieżące straszliwych zaszłościach, bezpardonowa swoją niszczycielską bezwzględnością. Potrzeby wzmagaly się. Niemcy prawie, że w trybie niezwłocznym po wkroczeniu, nakazali przeprowadzić do przeglądu wszystkie konie - jakie tylko w tych okolicach były. Bezpośredniego przeglądu dokonawali wojskowi Niemcy - znawcy koni - w powiatowym miasteczku Trembowla. W określonych dniach, właściciele koni poszczególnych gmin, wraz z końmi, zobowiązani byli stawić się na plantach w Trembowli - dość obszernym wymiarowo placu, do wybuchu wojny w 1939 roku - był to plac uroczystych zbiórek 9 pułku Ukraińców małopolskich. Obowiązek stawiennictwa koni do przeglądu, był bezwzględny. W czasie przeglądu, Niemcy, na tym placu wprowadzili - obowiązek przedstawiania koni, prowadząc je za uzdę biegiem. Wykonywanie tego obowiązku wymuszane było arogancją poniżania godności właścicieli koni oraz biciem, drucianą skórzanyą prętową pejezem, prowadzonych koni i ich właścicieli. Antoni Pleszczak ten epizod zdarzeń tak wspominał - "przyszło zarządzenie prowadzić konie do przeglądu do powiatu, do Trembowli i tam już byłem przywitany pejezem, jak przepędzałem konie. Bez żadnego powodu, ani uwag, Niemiec bił pejezem - raz konia, a raz mnie i krzyczał - prędzej! prędzej! - bo według tego Niemca koń biegł za wolno, mimo że ja w biegu ledwie nadążałem. Ponieważ miałem dwa konie, to ja dostałem dwa razy tyle co każdy z moich koni. Po przeglądzie, dobre - duże i właściwej budowy, zdrowe - konie zabierali do wojska, na wojnę. W wyniku tych przeglądów, Niemcy zbytniego rezultatu nie osiągnęli. Po dotychczasowych wojennych zaszłościach koni - które nadawały by się do wojska - pozostało w tych okolicach, bardzo mało, a rzecz by można wprost, że koni takich tu już nie było. Ten stan faktyczny bardzo rozdrażniał dumnych w sobie i zarozumiałych Niemców - "zwycięzców".

Prawie niezwłocznym kierunkiem działania powstających niemieckich okupacyjnych władz administracji terenowej, było przeprowadzenie spisu ludności oraz ustalenie stanu majątkowego poszczególnych rodzin każdej miejscowości. Prace te wykonywane były przez przedstawicieli tych nowopowstałych władz gmin i świątyni sołectw, a nawet niektórych dziesiętników.

We wszystkich prawie miejscowościach opisywanych okolic, Niemcy rozpowszechnili - do czego usilnie zachęcali - zawołanie o dobrowolnym wyjeździe młodzieży na roboty do rzeszy niemieckiej obiecując

w zamian swoją opiekę nad pozostałą na miejscu rodziną (stały przydział karty zaopatrzenia). Wprowadzono także obowiązek posiadania niemieckiego osobistego dowodu tożsamości zwanej "Kenkarta" przez każdą osobę.

4. Gwiazda Dawida i getto żydowskie w pobliskim Budzanowie.

Zaszłością, która mocno poruszyła okolicznych mieszkańców, niezależnie od narodowości, było nakazanie ludności żydowskiej obowiązkowo noszenia na rękawie, białej opaski z wyszytą na niej koloru niebieskiego sześcioramienną gwiazdą Dawida oraz utworzenie oddzielnego posterunku policji żydowskiej zwanego "Judenrat" w pobliskim Budzanowie. Komendant tego posterunku nosił nawet boczną broń palną - pistolet. Wprowadzono także bardzo ostre rygory w codziennym życiu ludności żydowskiej. Wyznaczono terytorialne strefy w obszarze których jedynie mogli przebywać, godziny w których mogli opuszczać swoje miejsca (domy) zamieszkania - nie dłużej jednak jak 3 godziny na dobę, obowiązkowe daniny dla Niemców i t.p. Były to wprost barbarzyńskie rygory w bytowaniu tej ludności. Właśnie bezwzględne egzekwowanie przestrzegania większości tych rygorów przez ludność żydowską powierzono tejże policji żydowskiej. Za naruszenie ustalonych rygorów, ta policja żydowska stosowała karę bicia i to z zasady z bardzo ciężkimi skutkami dla życia pobitego a policja niemiecka (w tym i ukraińska) przy spotkaniu żyda bez opaski z gwiazdą Dawida na rękawie, bądź w niedozwolonym miejscu i czasie - bez względu na płeć i wiek - strzelała do takich osób ostrą amunicją, w większości zabijając je, a w przypadku ranienia - dobijali strzelając z bliska. W niedługim czasie w pobliskim Budzanowie gdzie było najwięcej żydów utworzyli getto. Mieściło się ono w niedużym kwartale zabudowań odgrodzonym od zewnątrz drutem kolczastym, na zewnątrz którego żydom wychodzić nie było można. Do tego getta zwieziono również pojedyncze rodziny żydowskie z okolicznych miejscowości. Wejście do getta było zabronione dla osób innej narodowości. Mimo tych zakazów, ludzie - nie żydzi z okolicznych miejscowości, tak polacy jak i ukraińcy, w znacznej liczbie i każdy w sobie tylko znany sposób, będąc sami osobiście wielce zagrożeni, z zasady bezinteresownie starał się raz, dwa razy w tygodniu znaleźć w sposób pozornie zupełnie naturalny w pobliżu ogrodzenia getta i coś z produktów żywnościowych przez te ogrodzenie niezauważalnie przerzucić. W getcie rzerzył się głód, nędza i różne choroby. Ta bezinteresowna pomoc zewnętrzna pozwoliła przetrwać ludziom getta zimę 1941/42

5. Bieżące życie opisywanej wsi w nowopowstałych warunkach.

Wszystkie opisane wyżej, tak nagłe zdarzenia i zaszłości wcale niespodziewane i nie przewidywane w tak ogromnej skali i o tak straszliwych skutkach, rozpoczęły się i następowały w bardzo ważnych dla

ludności wiejskiej okresie. Ku przypomnieniu, zbrojne wkroczenie w obszar opisywanych okolic, Niemców rozpoczęło się w końcu czerwca i w lipcu. A więc okres dojrzewania i dokonywania zbiorów - podstawowych dla rolników (i nie tylko) płodów rolnych - czyli zbóż kłosowych. Mimo bardzo niepewnych i niebezpiecznych - psychicznie i fizycznie - warunków, wszyscy rolnicy którzy pozostali na miejscu musieli te zbiory - zboża które jeszcze pozostałe (nie zostały stratowane, zniszczone) - zebrać, zwieźć i emkować oraz zadbać o przygotowanie pól pod zasiewy ozime, a także zasiać te zboża ozime. Praca tych opóźniana nie była, ponieważ groziło to samounicestwieniem się przez głód, gdyż w wytworzonej sytuacji nie było żadnych widoków na jakiegokolwiek inne źródła zaopatrywania się w żywność. Dobrze rozumiała to ludność opisywanych okolic. Bez względu na grożące bezpośrednie niebezpieczeństwa, główny wysiłek skupiono - obok ochrony życia własnego i swoich najbliższych - na zebraniu z posiadanej areali ziemi uprawnej urodzaju zbóż. Była to w wytworzonych warunkach, bardzo ciężka i wprost, że można to tak określić i heroiczna praca. Ludzie prawie, że "chodzili" pomiędzy przelatującymi i rwącymi się pociskami. Wszystkie prace wykonywane były, jak już opisano wyżej, przy zbiorach zbóż - ręcznie. Nic się pod tym względem nie zmieniło. A oprócz tego w każdej chwili i miejscu pracujący przy zbiorach narażeni byli na bezpośrednie zdarzenia i zaszłości wojny. Większe - kilku osobowe - skupiska, były atakowane z powietrza (takie przypadki były). Napotykanie i ukrywanie się przed najściami, licznymi i zdecydowanymi na wszystko rezerwami wojska, a także tworzącymi się samorzutnie w różnych celach policyjnych grup - głównie ukraińskich, nacierających ludzi - przeważnie Polaków na polach i we wsiach. Przy czym wszystkie to było z zasady dobrze uzbrojone.

Przy czym, był to też czas gorączkowych działań mieszkańców miejscowości w których sowietom udało się zmusić do założenia kolchozów. Członkowie tych kolchozów (spółdzielni) w pośpiechu rozwiązywali te kolchozy, zabierając wszystko co stanowiło ich indywidualną własność. Początkowo czynili to samorzutnie bez wiedzy władz, a później już rozdzielali resztę za zezwoleniem władz niemieckich. Jednak utworzonych przez sowietów sowchozów (państwowych gospodarstw rolnych) niemieckie władze okupacyjne nie zezwoliły rozwiązać. Wyznaczały z zasady do tych gospodarstw własne kierownictwo i utrzymywały te gospodarstwa nadal w całości.

Nowo powstałe władze okupacyjne administracji niemieckiej, wprowadziły system kartkowy na wszystkie produkty żywnościowe pierwszej potrzeby i wszelkie inne materiały i środki. Wielkości ilościowe wszystkich tych produktów, środków i materiałów, które można było nabyć na talony kartkowe - były dla ludności polskiej poniżej niezbędnego minimum do życia i bytowania, a wiele z nich było wprost, nieosiągalnych. Poza tym,

po dokonywaniu spisu ludności i ustaleniu - w miarę - ich zasobności, na każdego posiadacza ziemi (gospodarstwo rolne), władze okupacyjne nałożyły obowiązek oddawania kontygentu płodów rolnych w naturze - głównie zboża (przenica, żyto) i mięsa wołowego oraz ustaliły przeliczniki zamiany wymienionych płodów rolnych na inne i inne rodzaje mięsa. Oczywiście, że wszystkie płody zdawane jako zamienniki, były zdawane w ilościach odpowiednio znacznie większych. Wielkości ilościowe tego kontygentu, były stale zmienne i w swych określeniach cechowały się zupełną dowolnością interpretacyjną władz okupacyjnych. Szefom administracji lokalnej przyznano w tym względzie nieograniczoną władzę. Wprowadzono również obowiązek oddawania mleka do mleczarni - i tu ustalony był kontygent - w ilości litrów mleka od jednej krowy. Pozornie naliczenia, tych nakładanych przez okupanta kontygentów, oparte były na minimum dla rolnika. Co oznaczać miało, że rolnikowi miało zostać minimum płodów rolnych na dokonanie zasiewów na posiadanym areale, wykarmienie niezbędnej do uprawy tej roli liczby koni i trzody chlewnej oraz pracowników tego gospodarstwa (rodziny właściciela gospodarstwa). Praktyka działania miejscowych władz okupanta tego nie uwzględniała. Po oddaniu wyznaczonej dla każdego gospodarstwa znacznej części kontygentu, okupant zazwyczaj organizował rekwizycję - w czasie której to co znalezione, zabierano. Czym był dla chłopca - właściciela gospodarstwa rolnego - nałożony i ściągany kontygent. Był to zwykły rabunek dorobku właściciela gospodarstwa rolnego przez okupanta w majestacie "prawa". Rabunek ten polegał na tym, że płody rolne w formie kontygentu - które z zasady stanowiły sto procent możliwości produkcji gospodarstwa rolnego - zabierano bezpośrednio po zbiorach. Po oddaniu kontygentu w gospodarstwie nie pozostawało już nic, co bez szkody dla gospodarstwa, można by sprzedać na wolnym rynku. Za dostarczone w postaci kontygentu płody rolne i pozostałe wytwory rolne, płacono cenę urzędową ustaloną przez okupanta, która była wielokrotnie niższa od ceny wolnorynkowej - chociaż takiego okupant nie tolerował i stąd oficjalnie takiego wolnego rynku na opisywanych terenach nie było. Lecz przy powszechnych i dużych niedostatkach wszystkiego, pokątny handel wymienny - istnieć musiał i istniał. Ceny w tym pokątnym handlu były bardzo zmienne, zależne głównie od podaży towaru. Mimo bardzo niepochebnej nazwy, w warunkach okupacji, handel pokątny stawał się w pewnych asortymentach towaru, handlem podstawowym. Towarem podstawowym w opisywanych czasach wojennych, była oczywiście żywność. A więc, właściciel gospodarstwa rolnego po oddaniu kontygentu, aż do następnego roku - do następnych zbiorów - nie miał już nic, co mógłby - bez szkody dla gospodarstwa - sprzedać. Należność pieniężna otrzymana za zdany kontygent, nie starczała chociażby w części na pokrycie bieżących potrzeb gospodarstwa, a na otrzymane za zdany kontygent talony, z zasady nie poza wódką, kupić nie mógł - z przyczyn ich braku w sklepach. Jako ratunek stawał się w tych

warunkach, pokątny handel wymienny i związane z tym duże ryzyko osobiste. A na zakup czegokolwiek w tym obiegu nie ma środków. W tych tak szybko zmieniających się sytuacyjnie uwarunkowaniach i coraz to nowe zaskakujących zaszłości, prawie niezauważalnie wracali niektórzy mężczyźni, ci z mieszkańców wsi, których władze sowieckie wcieliły do czerwonej armii. Najwcześniej wrócił Józek Gitler o którym wiadano, że został skierowany wraz kilkoma innymi chłopakami do budowy lotniska. Ale o tym, że w międzyczasie po wybuchu wojny - jako poborowego, wraz z innymi poborowymi tam na lotnisku pracującymi - wcielony został do sowieckiej czerwonej armii, nikt o tym - zresztą jak i o kilku również innych - we wsi nie wiedział. Późną jesienią - jako ostatni wrócił Janek Seńkewicz - po ciężkich żołnierskich przeżyciach i przygodach, wrócił cały i po żołniersku mówiąc naogół zdrów. Nie wrócił Krzysztof Szosterał, który zaginął bez wieści - mimo poszukiwań, żadnych wiadomości o nim do dziś niema. Nie wracali także Michał Zaderożny i Michał Gitler, chłopcy z przyczyn złośliwego oskarżenia żyda Julki z Budzanowa ukarani zostali przez sąd sowiecki na 3 lata obozu pracy każdy. Nie wracał również, wcielony w ramach mobilizacji sowieckiej po wybuchu wojny niemiecko sowieckiej, Paweł Pirożyk który jak się okazało znalazł się w niewoli niemieckiej, a później - jako ukraińiec - dostał się do policji niemieckiej. Po wkroczeniu Niemców na tereny opisywanych okolic, o sprawach - kto, gdzie był - we wsi się nie mówiło, nikt nic nie wiedział. Pozostało to w głębokiej tajemnicy. Wszystkie pozostało też nadal w tajemnicy również po powrotnym wkroczeniu sowieckiej armii na te tereny w 1944r, ponieważ wszystkich którzy byli w sowieckiej czerwonej armii i niezależnie od okoliczności - dostali się do niemieckiej niewoli, bądź z tej niewoli uciekli, bądź też jej uniknęli i jako żołnierze niczym nie zawinili - traktowani byli wszyscy jako zdrajcy.

6. Emisariusze Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) - Armii Krajowej (AK). Równocześnie niejako w tych jak wyżej opisało warunkach, uaktywniło się nawiązywanie konspiracyjnych kontaktów emisariuszy ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), a później Armii Krajowej (AK) z głębi kraju (utrzonej przez niemieckiego okupanta generalnej guberni) z odpowiednimi grupami konspiracyjnymi - pojedynczymi ludźmi opisywanej okolicy. Wspomnieć trzeba, że w opisywanych okolicach, właściwie - różne polskie konspiracyjne zespoły i grupy - powstawały niejako równoległe w trybie prawie niezwłocznym z wkraczaniem na te tereny okupanta sowieckiego 17 września 1939 roku. Potrzeba powstawania samorzutnie tworzonych określonych zespołów i grup, wynikała niejako z konieczności niezwłocznego działania w niezwyklej złożoności wytworzonych się uwarunkowań

sytuacyjnych w ostatnich dniach przed 17 września 1939 roku - w obszarze (w granicach polski z 1939 roku) województw - tarnopolskiego, wschodniej części województwa lwowskiego i województwa stanisławowskiego - o której to sytuacji częściowe wspomniane już wyżej. Wspomniane wyżej zespoły i grupy, znaczna część z różną aktywnością, działały przez cały okres okupacji sowieckiej na tych terenach. Grupy te i zespoły z zasady, działały oddzielnie bez jakiegokolwiek zobowiązujących powiązań formalnie organizacyjnych podległości. Działalność członków tych grup, wewnątrzna i na zewnątrz, oparta była na bardzo daleko sięgającym - i niejako zakorzenionym - głębokim wzajemnym zaufaniu i przeczernie bówzzględnie przestrzegany utrzymaniem w tajemnicy, istnienia i działania grupy. W znacznej części miejscowości, z zasady był to jeden lub kilku takich zaufanych - w dość licznych przypadkach, byli to przeważnie członkowie przedwojennych organizacji strzeleca - do którego zwrócenie się o pomoc, czy o konieczność interwencji, lub innego rodzaju zadziałania - powodowało niezauważalnie - otwieranie się, w sensie pozytywnym, w sposób jak by naturalny i dla okupanta z zasady niezauważalny, wykonawczej drożni w danej sprawie - zagadnieniu. Uruchamiany był cały zespół ludzi nieodzownych do pozytywnego załatwienia danej sprawy. Byli to przeważnie, w znacznej części, ludzie z tych samych kręgów, którzy po wkroczeniu 17 września 1939 roku sowieców na opisowane tereny, brali samorzutnie aktywny udział - wyżej już częściowo opisanym - rozprowadzaniu i ukryciu napływowych ludzi na te tereny tak zwanych uciekinierów. Taki - jak wyżej wspomniano człowiek, występował z zasady sam - że tak to można określić - pod własną firmą. Nie powoływał się na nikogo, ani też nie stwarzał żadnego nawet pozorów, że jest z kimś w jakiegokolwiek sposób powiązany. Faktycznie jednak był on w nieformalnym powiązaniu z wieloma podobnymi jemu ludźmi z różnych miejscowości i z zasady różnych profesji, działaniem których było zupełnie bezinteresowne. Zasadniczą kierunkową tego działania, była potrzeba niesienia w miarę skutecznej pomocy ludziom, których tragiczne zaszkłości wojennych wprowadziły w dramatyczne życiowe sytuacje, częstokroć prawie że bez wyjścia. Byli to z zasady, rzetelnością i wielkim poczuciem osobistej odpowiedzialności, prawni ludzie nie działający dla poklasku, nie rzadko mający w swej przeszłości przedwojennej zatargi z władzą. Byli to jednak ludzie - polacy - bezinteresownie w pełni oddani sprawie niepodległości polski. Potwierdzali to własnymi czynami w niełatwych - i z dużym zagrożeniem, własnego i swoich najbliższych, bezpieczeństwa - warunkach. Byli to przeważnie ludzie o uznanym i przeszłością sprawdzonym zaufaniu miejscowych środowisk. Do takich właśnie przeważnie trafiali, ci wyżej wspomniani emisariusze ZWZ - AK:

W ten oto, między innymi, sposób zaczęło się nieco intensyfikować

scalanie polskiego ruchu konspiracyjnego z polskich terenów wschodnich z obszaru okupacji sowieckiej - z ruchem z terenów polskich będących przez cały okres od 1939 roku pod okupacją niemiecką.

XXII. R o k 1942 - okupacji niemieckiej.

1. Imienne nakazy wyjazdu na roboty do niemiec.

Niemieckie władze okupacyjne konsekwentnie również realizowały swoje drapieżne cele. Mimo początkowych różnych "usilnych" zabiegów i szeroko rozpowszechnianej propagandowej zachęty - dobrowolnego wyjazdu na roboty do rzeszy niemieckiej - która ta akcja nie przyniosła spodziewanego rezultatu, wiosną 1942 roku władze okupacyjne przystąpiły do wyznaczania poszczególnych osób i wręczania im imiennego nakazu do wyjazdu na roboty do niemiec. W opisywanej wsi Zniesienie w pierwszym rzucie, takie imienne nakazy - wezwania otrzymali następujący jej mieszkańcy. Mianowicie:
Jan Podędworny, Stanisław Bejcar s. Jana, Józef Lubka, Władysław Bejcar wraz ze swoją żoną Marią Bejcar, Józefa Jęderowicz, Stanisława Jęderowicz, Maria Olejnik, Katarzyna Bejcar.

Wszyscy którzy otrzymali wymienione nakazy, wyjechali do rzeszy - w głąb niemiec. Niezastosowanie się do otrzymanego nakazu wyjazdu, groziła surowa kara - zarówno dla tego kto imiennie ten nakaz otrzymał i nie zastosował się do jego ustaleń, jak też i członków jego najbliższej rodziny. Zagrożenie odpowiedzialnością również członkiem najbliższej rodziny spowodowało, że wielu którzy otrzymali nakazy w obawie przed represjami Niemców w stosunku do członków najbliższej rodziny, zdecydowało się na te przymusowe roboty wyjechać. Jednak mimo tych zagrożeń dla części wyjeżdżających były te wyjazdy pozornie. Najczęściej odbywało się to w ten sposób, że z miejsca zamieszkania - na oczach władzy i pod jej bezpośrednim nadzorem, wszyscy posiadający w opisywanej wsi i jej okolicy imienne nakazy na te roboty wyjeżdżali. To znaczy - zgłaszali się w ustalonym terminie do wyjazdu, otrzymywali niezbędne dokumenty i bilety przejazdu, wsiadali do wskazanych i podstawionych dla nich wagonów kolejowych i wyjeżdżali. Wyjazdy następowały ze stacji kolejowej w Trembowli, a w późniejszym nieco okresie przy masowych łapaniach, również ze stacji Dereniówka. Pociągi takie odjeżdżały w kierunku zachodnim, bądź przez Tarnopol-Lwów, bądź też przez Chorostków, Kopyczyńce, Czertków, Stanisławów, Stryj, Sambor, Przemyśl i dalej na zachód do niemiec. Każdy z wagonów w którym byli wyjeżdżając na przymusowe roboty, był pod bezpośrednią kontrolą policji.

Część wyjeżdżających, niemalże od chwili ruszenia pociągu, przystępowała do wybrania dogodnego miejsca i sprzyjających okoliczności do ucieczki. Z zasady polegało to na: usytuowaniu się w wagonie w "dobrym" do ucieczki miejscu - nprz. miejsce w pobliżu otwierającego się okna wagonu, na przejściu między wagonami, z tyłu ostatniego wagonu składu pociągu i wszelkie inne miejsca dostępne w wagonie i pod wagonem. Będąc w stałe z zaostrzoną uwagą, wybranie (wypatrzenie) właściwego i w miarę dogodnego do ucieczki miejsca i okoliczności (niezbyt twardy nasyp - strome pobocze, odcinek leśny, tory pod górę, na ostrym zakręcie - cóż z zasady powoduje zmniejszenie prędkości jazdy pociągu i t.p.). Ucieczki wykonywanej przeważnie oddzieleniem się od wagonu pociągu będącego w ruchu, skokiem w miarę równo na obie stopy, po przekątnej od pociągu, lecz w kierunku ruchu pociągu i upadkiem staczanie się z nasypu, a następnie skrycie, ucieczka w miarę jak najszybciej i jaknajdalej od miejsca spuszczenia pociągu. Zarówno z opisywanej wsi, jak też okolicznych miejscowości, niektórym z wyjeżdżających - zarówno kobietom, jak i mężczyznom - udało się na trasie przejazdu zbiec z pociągu i po kryjomu powrócić do domu lub w jego pobliżu i dopuki się to udawało prowadzić dalsze życie w ukryciu. Okoliczne lasy, po części, temu sprzyjały. Takie, jak wyżej wyjazdy na przymusowe roboty do Niemiec, według kalkulacji wyjeżdżających i nie tylko ich, załatwiały kilka istotnych spraw. A przede wszystkim, upewniały okupacyjne władze administracyjne i policję, że określony imiennym nakazem mieszkaniec opisywanej wsi rzeczywiście wyjechał na przymusowe roboty do Niemiec, a rodzice, czy najbliżsi (żona, dzieci) z rodziny nie byli już odtąd stale nachedzeni przez te władze i policję. Poza tym, te wyjazdy z imiennego nakazu, zarówno te rzeczywiste, jak i te - nierozeznane jeszcze wówczas przez Niemców - pozorne, uspokoiły niejako miejscowe okupacyjne władze niemieckie pod tym względem prawie aż do późnej jesieni 1942 r. To znaczy, że z tego powodu nie było większych akcji "werbunkowych" do wyjazdu na przymusowe roboty, poza wręczaniem innym mieszkańcom tych okolic imiennych nakazów na przymusowy wyjazd do Niemiec na roboty. Oprócz tego, również latem 1942 r. powołano z naszej miejscowości, trzech młodych chłopców z jednego rocznika urodzenia z 1923 roku - do niemieckich, opartych organizacyjnie na wzorcach wojskowych, batalionów pracy - tak zwanej organizacji Todt. Powołani zostali - Józef Semkowicz, Piętr Osowski i Ludwik Gitler. Wszyscy oni pracowali przy wymianie i naprawie torów kolejowych w obszarze województwa tarnopolskiego, na trasie od stacji kolejowej Berezowica Ostrów - w Kiełmanku zachodnim - stacji kolejowej Polutory. Pobyty w tej organizacji do wycieczkowych nie należał. Praca bardzo

ciężka - trwająca 12 godzin, a nierzadko 14 i 16 godzin na dobę. Praca głównie fizyczna, usuwanie uszkodzeń - remontowanie i ręczne zdejmowanie uszkodzonych torów i podkładów kolejowych, a następnie zakładanie nowych podkładów i szyn kolejowych, a także dowożenie, nasypywanie i ubijanie tłuczni kamiennej usztywniającej tory. Praca ciągła dwuzmianowa - trwająca całą dobę. Wyżywienie przy tej pracy bardzo słabe. Po pół roku wszyscy trzej wrócili do domu.

2. Likwidacja getta żydowskiego w pobliskim Budzanowie.

Również latem tegoż 1942 roku zlikwidowano getto żydowskie w Budzanowie liczące około 200 - 250 ludzi. Przeprowadzane to było drogą ogłoszonego nakazu, obowiązku przemieszczenia się każdego z pozostałych przy życiu żyda, do getta w powiatowym miasteczku Trembowlu. Dokonywane tego bezwzględnie w sposób bezdusznie brutalny przez miejscową policję ukraińską przy bezpośrednim kierownictwie, na miejscu, przebiegiem tej akcji przez Niemców gestapoistów. Wyrzucano ludzi z domostw, pozostawiając na miejscu część ich dobytku, którego nie pozwolono im zabrać. Był to, poza mieszkaniem, głównie dobytek w postaci różnego rodzaju przedmiotów wyposażenia tych mieszkań. Getto, jak już wspomiano, utworzone zostało przez Niemców w tej części miasteczka w której prawie wyłącznie Żydzi mieszkali od dawna. Tenże rabunkowo "pozostawiony" dobytek, skrupulatnie zagospodarowało gestapo, zabierając ce wartościowsze dla Niemców. Pozostałą część tego dobytku, gestapo obdarowywało miejscowych ukraińskich władarzy policyjno-administracyjnych. Mimo tych skrajnie straszliwych wytrzymałością ludzką warunków, niektórym - barażnie nielicznym - zdrowym i w pełni sił Żydom udało się zbiec i skryć w okolicznych lasach, a następnie dzięki stałej, bezpośredniej pomocy wszechstronnej, życzliwych, narażających własne i swoich najbliższych życie, dość często przypadkowo wtajemniczonych w te - miejscowych ludzi nie Żydów - udało się żyć w głębokim ukryciu licząc na wyzwolenie. Część z tych ukrywających się wyzwolenia nie doczekała wskutek naturalnego zgonu z przyczyn chorobowych. Jeden, człowiek młody jeszcze - Żyd - nazwiskiem Gross, nie przeżył wskutek prawdopodobnie bezmyślnego donosu, w wyniku którego gestapo i policja ukraińska - jesienią 1943 roku - dokonała szczegółowego przeszukania domu w którym się ukrywał w dość zmyślnej kryjówce, został tam odnaleziony i zastrzelony. Natomiast ludzie (córka z ojcem) - polacy - którzy go przechowywali, zesłani zostali do obozu koncentracyjnego z którego nie powrócili. W bezpośrednie opisywanej okolicy napewno wyzwolenia doczekało 5 osób - Żydów które rozproszyły się po różnych częściach świata. Jeden napewno jest w Izraelu. Jedna kobieta w roku 1946 wyjechała do Ameryki

północnej. Jeden jest ^{napewno} w polsce. Miejsce pobytu pozostałych dwojga niewiadome. Stwierdzenie powyższe - "bezpośrednio w okolicy" oznacza, że ludzie ci, żydzi przechowywani ^{byli} i przechowywali się w zależności od bieżących okoliczności umożliwiających zachowanie realnego bezpieczeństwa ukrywających się, a stąd i okresu ukrywania się. Przebywali (ukrywali się) na przemian przez te 33 miesiące nie mieckiej okupacji w specjalnych - przemyślnie naturalnie dobranych i przygotowanych schowkach - w okolicznych lasach, jak też w imiennie określonych gospodarstwach. ~~Wszyscy ukrywani~~ ^{byli} ~~si~~ przez krąg ludzi dobrej woli z rodzin polskich.

3. Powódź na wschodnim podkarpaciu, głód i oddawanie należonych przez Niemców kontyngentów.

Zima roku 1941/1942 była w opisywanych okolicach sroga. Zaczęła się nieco później. Ale za to była bardzo śnieżna. Wszędzie w każdym zakątku znajdowały się duże zwały śniegu. W każdym dogodnym do tego miejscu potworzyły się ogromne zasy śnieżne. Ponieważ okolica bogata była w pagórki, parowy, jary i urwiska, stąd zasp było wiele, a w szeregu miejscach, były one groźne dla istot żywych, w tym i człowieka. Szczególnie dla ludzi obcych nieobeznanych w szczegółach z topografią terenu tych okolic. Wiosna natomiast w 1942 roku przysłała o swoim czasie, lecz od pierwszych dni bardzo ciepła. Wielodniowy o wysokiej temperaturze słoneczny okres spowodował nagłe roztopienie dużych zasobów śniegu, a w wyniku tereny podgórskie wschodnich karpata dotknęła wielka powódź. Wielkie rozlewiska ogromnych zwałów wody rwących górskich potoków i rzeczulek niszczyły bezpowrotnie i zabierały całe i tak zbyt skromny dobytek całych wsi i miasteczek tego dość rozległego obszaru. Mimo, niczym nie zawinionej przez miejscową ludność, tragicznej sytuacji losowej - niemieckie władze okupacyjne nie udzieliły żadnej pomocy poszkodowanym powodzią. Na przednówku 1942 roku - na obszarze dotkniętym powodzią - pokazał się powszechny głód. Ludzie z tego obszaru, wbrew zakazom władz okupacyjnych, rezeszli się prawie że masowo po obszarach bezpośrednio sąsiadujących i wymieniali, wszystko co im tylko jeszcze z powodzi pozostało, wyłącznie na mąkę zbożową lub zboże. Znaczna natomiast liczba powodzią, którym nic nie pozostało - chodziła po prestu po prośbie prosząc o datki wspomagające w zbożu. Ten stan wzajemnego - prawie powszechnego - wzajemnego wspierania się, spowodował w całym tym południowo wschodnim regionie dotkliwie trudny przednówek 1942 roku.

Penieważ chodzenie po prośbie i handel wymienny było przez okupanta tępienie i ludzi tych policja wyłapywała, stąd całość tej wzajemnej pomocy odbywała się na wprost konspiracyjnie. Jak już wspomniano wyżej, okupant niemiecki nie tylko podtrzymywał - ale znacznie poszerzył przedmiotowo - obowiązek zdawania kontygentu przez chłopów, który po raz pierwszy w tych okolicach wprowadzili sowieci.

Zdawanie kontygentu polegało na oddawaniu produktów rolnych i żywców po - ustalonych dla tego celu - urzędowych lichwiarskich cenach jednostkowych nieopłacalnie zaniżonych. W wyniku zaszłości spowodowanych powodziami, a głównie konspiracyjna konieczność wzajemnego wspomagania powodzian, zapewne odbiło się ujemnie na dostawach nałożonego przez okupanta kontygentu, szczególnie za rok 1941.

Wielu gospodarzy tłumaczyło to nie pełnym zagospodarowaniem całego posiadanego obszaru ziemi z przyczyn występujących trudności zbożowych wiosną 1941 roku oraz spowodowanych dużymi zniszczeniami upraw polowych będących rezultatem przesuwających się przez te okolice ciężkich walk frontowych - po 22 czerwca 1941 roku - w okresie dojrzewania zbóż i zbiorów plodów rolnych. Co było prawdą.

Mimo dokonywanych rewizji policyjnych u poszczególnych gospodarzy - poza wulgaryzmem, poniżaniem godności ludzkiej i fizycznym znęcaniem się (głównie bicie) nad domownikami poszczególnych gospodarstw - większych rezultatów pod względem zarekwirowania znalezionej żywności, Niemcy za ten 1941 rok nie uzyskali.

W 1942 roku działania wszystkich organów okupacyjnych władz, tak administracyjnych, jak policji ukraińskiej i niemieckiej, w zbieraniu nałożonego kontygentu plodów rolnych i żywców, nadal cechowały się bezduszną brutalnością. W tymże 1942 roku sprawy kontygentu nabrały dla Niemców ważkiego znaczenia. Kontygent zbierano prawie przez cały okres. Zimą i wiosną zbierano kontygent za rok 1941, a niedługo po żniwach zbierano już należności za rok 1942. Wyznaczono bardzo krótkie terminy na zdanie kontygentu. Bzpospośrednie po tym terminie odbywały się rekwizycje - to znaczy przybywała do wsi stosowna liczba, po zęby uzbrojonych Niemców i wszyscy policjanci - Ukraińcy z gminnego posterunku policji. We wsi brali miejscowego sołtysa ze sobą i przeszukiwali określone przez siebie gospodarstwa. Przeszukiwać dokonywali policjanci ukraińscy, Niemcy natomiast nadzorowali wykonanie tych czynności i niejako zabezpieczali przeprowadzanie tych akcji.

W czasie tych akcji, zabierano wszystko co znalezione przez władze okupacyjne i żadne wyjaśnienia - prośby, błagania nie były wogóle wysłuchiwane. Takim akcją towarzyszyło nieodłącznie: poniżanie godności ludzkiej, zataszanie i fizyczne znęcanie się nad domownikami przeszukiwanych gospodarstw (i nie tylko), bicie i maltretowanie gospodarzy tych gospodarstw. Jedną z mieszkanek opisywanej wsi Zniesienie - Józefa Bajrakowska z d. Kapnik, tak wspomina właśnie przebieg takich akcji. Mianowicie - w 1941 roku, jak wkroczyli do nas Niemcy, to zaczęła się dopiero inna kołomyjka. Zaraz ściągali kontygent zboża i mięsa. A kto nie dał, to chodzili po domach - ukraińska policja z Niemcami i Michałem Słobodzianem "Dżuaykóm" (miejscowym sełtyssem) - i bili ludzi, tych którzy nie zdali. Jednego razu przyszli do nas, to mój mąż uciekł, a ja sama zostałam. Bo my też nie daliśmy wszystkiego kontygentu. To miałam oberwać, ale wpadłam na pomysł i powiedziałam, że zdamy jeszcze dzisiaj kukurydzę i tak się odczepili. Poszli do sąsiadki - cietki "Farienki" - Gitlarki i za chwilę słyszałam straszny krzyk. Tak zbili sąsiadkę, że ledwie żyła. Drugim razem znów przyszli do wioski. Chodzili za kontygentem. Poszli do drugiego sąsiada - Filka Bejcaro. On za ledwie co żył ze swoją rodziną - siedmiore dzieci, żona i on. Filko, jak ich zobaczył, to zaczął uciekać na ogrody w kukurydzę. Ja niesłam w tym akurat czasie kartofle z ogrodu, a ukraiński policjant leciał za Filkiem i pyta mnie którędy on uciekł, to ja mówię, że nie wiem. To on dał mi w ucho (uderzył ręką w ucho). Upadłam. Byłam zamroczona. Jak się ocknęłam - to klęczałam na kolanach, kartofle rozsypałam na ziemię, a Filko krzyczał w kukurydzy. Przyszłam do domu i nawet mężowi swemu Julkowi nic nie mówiłam, bo się bałam żeby czasem nie słyszał ten policjant. To był Hołowenko - z pesturaku z Janowa - tym drabem. Natomiast Antoni Pleszczak tak wspomina na odwołanie ze wsi, zdanego przez ludzi kontygentu zboża. Mianowicie przyszłe zarządzenie przekazane mi przez żandarmów policji ukraińskiej - że nam, między innymi i ja, wieźć furmanką konna powyższy kontygent zboża do magazynu zbożowego w Trembowli. Zabrałam zboże i powiozłam. Po przybyciu do Trembowli, podjeżdżając furmanką do miejsca zdawania zboża, "przywitany" zostałam - bez żadnym powodów biciem pejczen, gdzie popadło, po głowie po plecach. Dekonywanego z całej siły przez samego powiatowego starostę - Niemca, za to, że jakoby przywiezłam nieczyste zboże. Ale bicie mnie nastąpiło jeszcze przed przyjęciem i sprawdzeniem zboża z mojej furmanki. Podobne do opisanych wyżej, najścia policyjne, w miarę zbliżania się do miesięcy jesiennych 1942 roku, coraz częściej we wsi powtarzały się. Przedmiotem zainteresowania - tej okupacyjnej sfery - było

wszystko co w oczy padało: zboże, bydło, kury, gęsi, jaja i wszelki inny wartościowy dobytek domu - zabierane jako "należność" za kontygent; znalezione, nieco większych wymiarów, twarde kamienie - też niszczone, ponieważ może się nadawać do zrobienia z niego kamienia do żaren (proste urządzenie do mielenia zboża na mąkę); napotkanego młodego człowieka - niezależnie czy to kobieta, czy mężczyzna - zabierane, ponieważ powinien on być na przymusowych robotach w Niemczech i t.p. Ten faktyczny stan spowodował wyseki - samoobronny - stopień wyczulenia mieszkańców opisywanej wsi (i nie tylko) na pojawianie się we wsi policji ukraińskiej i Niemców. Jak już wspomniano, wieś usytuowana była w enklawie nizinnej, z trzech stron przylegająca do lasów rosnących na terenie, dość stromo wznoszącym się w zewnątrz od wsi strony do wysokości 300 - 400 metrów. Otaczające wieś lasy, to duże połacie terenu o gęstym i ciągłym zalesieniu mieszanym drzewostanem w różnym wieku, w większości lasów liściastych. Lasy te graniczyły bezpośrednio z ogrodami przydomowymi poszczególnych gospodarstw wsi. Takie usytuowanie, w warunkach coraz częściej powtarzających się najścisł policyjnych na opisywaną wieś, sprzyjało masowym ucieczkom dorosłych mieszkańców wsi i ukrywanie się w różnych niedostępnych, a im tylko znanych miejscach tych ekologicznych lasów, przed różnymi represjami nacierającymi wieś, uzbrojonych po zęby grup policji ukraińskiej wspartych Niemcami - gestapowcami. Wspomnieć też trzeba, że wszystko to działo się w bardzo ważnym dla mieszkańców wsi okresie - końca lata i jesieni. A więc - pilnej niedzwonnej dekonywania omłotów zbóż dla terminowego zdawania kontygentu, przygotowania pól i wykonanie zasiewów ozimych zbóż, wykonanie zbiorów ekopowych. Wszystko to należało wykonywać bieżące w dogodnych terminach wyznaczanych przez przyrodę. W przeciwnym przypadku nastąpią straty, a straty w zbiorach - to, w wyżej opisanym warunkach okupacyjnych represji, w perspektywie głód, ponieważ innych źródeł zdobycia żywności przez mieszkańców opisywanej wsi nie było. W wytworzonych i stale pogarszających się warunkach bytowania, mieszkańcy wsi mieli się różnych - po chłopsku - przemyślnych wybiegów, aby nie dostać się w ręce ukraińskiej policji lub niemieckich gestapowców. A jednocześnie dbać o to, by właściwie uprawiać posiadany areał ziemi, ponieważ możliwości legalnego zarobkowania w innej dziedzinie - w tych okolicach - wówczas nie było żadnej, stąd uprawa ziemi była, prawie we wszystkich domostwach opisywanej wsi, jedynym źródłem utrzymania własnej rodziny, a także w wielu wcale nie rzadkich przypadkach, doposażenie w przeżyciu innych. Równocześnie nie-
możliwym było unikać spełniania bieżących nakazów okupanta ustalanych dla relików. Każde uchybienie w tym względzie, było w bezwzględ-

ny i represyjny sposób egzekwowane przez okupanta. Każdy chłop na wsi, żył na co dzień pod ciągłym prężeniem ogromnych obaw, a mówiąc wprost - wręcz ludzkiego na co dzień strachu, o swój i swich najbliższych los dnia jutrzejszego. Rodził się też wśród Polaków sprzeciw i bunt przeciwko okupantowi.

Mimo tych, czynionych stale przez okupanta różnych dotkliwych dla każdego, szczególnie dla Polaków - przykrości, poniżeń, obrazy godności ludzkiej, fizycznego znęcania się i bicia, pojmiania i wysyłki na przymusowe roboty i wszelkiej postaci innych dolegliwości - mieszkańcom opisywanej wsi, jako całość, dzięki indywidualnej - poszczególnych mieszkańców, a także dość częste grupowej, a nie rzadko zbiorowej - przebiegłości, w stosunku do okupacyjnych władz, rok 1942 udało się przeżyć z godnością. W roku tym jednak, podczas tych, opisanych wyżej, policyjnych najść na wieś grup ukraińskich policjantów wspartych i nadzorowanych przez niemieckie gestapo pojmani zostali i wywiezieni do Niemiec na przymusowe roboty - Stefan Flis s. Józefa - lat 18 i Jan Jęderowicz s. Wejciecha - lat 20. Pojmani byli również z celem wywiezienia na przymusowe roboty do Niemiec - Stefan Dysiewicz s. Michała - lat 17, Karel Jęderowicz s. Wejciecha - lat 17 (brat wymienionego wyżej Jana Jęderowicz), oraz Jadwiga Jęderowicz c. Augustyna - lat ok. 25, którym udało się szczęśliwie - na trasie - zbiec i wrócić do domu. W tym też roku śmierć dwóch kobiet, była też bezpośrednim wynikiem brutalności tych, wyżej opisywanych najść na mieszkańców wsi. Mianowicie: - Katarzyna Gitler, kobieta wprawdzie starsza już wiekiem 55-letnia, ale zupełnie zdrowa i w pełni żywotna - zaskoczona i pojmana we własnym domu, także pobita i skopana do nieprzytomności przez ukraińskich policjantów i Niemców, za nieoddanie części kontyngentu - z powodu doznanych urazów wewnętrznych, po niedługim czasie od tego wydarzenia umarła;

- Aniela Słobodzian, wprawdzie kobieta już starsza wiekiem 66-letnia ale w pełni żywotna i zdrowa, na swój wiek, babcia. Będąc we własnym domu z dwoma wnukami - małymi dziećmi, wystraszenymi wytworzoną we wsi atmosferą - wrzaski policyjne, bicia ludzi dorosłych, płacz, wołania o ratunek - i powszechnym popłochem, jaki spowodowany został policyjnym najściem na wieś liczącej, w pełni uzbudzonej i ubezpieczonej, grupy policji ukraińskiej i Niemców. Babcia chcąc uspokoić wnuki, położyła je do łóżka i sama ułożyła się obok nich. Po niedługim czasie, przeszukując całość domostwa, do mieszkania gdzie przebywała babcia z wnukami, wpadło kilku policjantów i w brutalny sposób z wrzaskiem zrzucili babcię, wraz z śmiertelnie prawie wystraszonymi dziećmi, z łóżka, przeszukali całość i wynieśli się z domu nie znajdując niczego ich interesującego. Babcia, wskutek dotkliwych potłuczeń

doznanych podczas wyrzucania jej z łóżka i doznanego szoku, głównie z powodu wniknięcia do niej opłótki kłosa - ciężko się rozchorowała i wkrótce po tym zdarzeniu zmarła.

4. Wzmocnienie organizacyjne zespołu ZWZ-AK w opisywanej wsi.

W tych, przynajmniej trzeba niełatwych warunkach - z wolna, będąc w głębokim konspiracyjnym ukryciu, tworzyła się i z'wolna na bardzo wyestrzonych uwarunkowaniach, poszerzała się żołnierska grupa polskiego Związku Walki Zbrojnej przemianowanego w lutym 1942r, przez Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych generała Władysława Sikorskiego, na Armię Krajową. Od wkroczenia Niemców na te tereny do końca 1942 roku, jak się później okazało, grupa ta liczyła już 9 członków zaprzysiężonych i 8 kandydatów - aktywistów, którzy o istnieniu organizacji nie wiedzieli, lecz indywidualnie - na zasadzie sprawdzonej przeszłością zażyłej przyjaźni i koleżeństwa, za wiedzą i zezwoleniem nadrzędnego przełożonego, włączani byli, przez poszczególnych zaprzysiężonych już żołnierzy do wykonywania określonych zadań, których rodzaju nie zdradzałyby - pod żadnym względem - że czyni to organizacja wojskowa. Dziewięciu zaprzysiężonych żołnierzy, to nawet nie cała drużyna. Jak na potrzeby, to bardzo mało. Ale jak na faktyczne warunki okupacyjne opisywanych okolic (dużo nasyce nie policją niemiecką, stała penetracja ukraińskich: miejscowych licznych radykalnych grup nacjonalistów w rodzaju UPA i nie tylko oraz znaczących sił proniemieckich), to bardzo dużo. Zważywszy jaką niesie to groźbę - dla należącego do tego związku, dla członków jego rodziny, jak i mieszkańców całej wsi. Przecież nie należały do rzadkości, pacyfikacje przez okupanta i równanie całej wsi z ziemią w wypadku wykrycia i napotkania jakiegokolwiek wojskowej działalności niepodległościowej. Mając powyższe na uwadze - jako bardzo ważne znaczące i w celu zapewnienia warunków utrzymania głębokiej konspiracji działania, obowiązywały niejako określone kryteria. Mianowicie decydując do ludzi dla sprawy polskiej pewnych, mających przeszkolenie wojskowe. Unikać: ludzi gadatliwych, ludzi bojaźliwych i ludzi z przereśniętą i wybujałą ambicją osobistą, licząc jednocześnie na pewny i bezpośredni udział tych grup ludzi w przypadku powszechnej mobilizacji do działania niepodległościowego Polaków. Unikać i wykluczać jakiegokolwiek ich udziału - ludzi o niesprawdzalnych powiązaniach z niepewnymi dla sprawy polskiej elementami. Na tych samych co wyżej zasadach wciągać nieprzeszkoloną wojskowo młodzież, równocześnie biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za przeszkolenie tej młodzieży do niedozwolnego poziomu, we własnym zakresie.

Oprócz wyżej opisywanych, zasadniczym problemem który przyhamował powiększanie się organizacji wojskowej, był brak broni i amunicji. Wykorzystywano wszystkie możliwe ślady prowadzące do

pozyskania broni, amunicji, prochu, trotylu i czegokolwiek z tej dziedziny. Poszukiwane przede wszystkim ludzi, którzy brali bezpośredni udział jako żołnierze w prowadzonych w tych okolicach walkach - w roku 1939 przez żołnierzy wojsk polskich z grupami niemieckich dywersantów i wkraczającymi na te tereny wojskami sowieckimi, oraz w roku 1941 wycofujących się wojsk sowieckich i wkraczających na te tereny wojsk niemieckich. Szukano także sposobu dotarcia do rejonów gdzie odbywały się duże boje, lub wojska były okrążone, bądź w większej liczbie były rozbrajane oraz trasy wycofywania się wojsk, głównie sowieckich w 1941 roku, którą to oś w bardzo ogólnym przybliżeniu określić by można w opisywanych okolicach następującymi miejscowościami - z zachodu na wschód: Podhajce - Trembowla - Grzymałów - Satanów.

W okresie, o którym mowa wyżej, udało się uzyskać 52 sztuki pocisków artyleryjskich kalibru 37 - 40 mm, które odnalezione w zniszczonej i zasypanej ziemiance od wybuchu bomb, która stanowiła podręczny amunicyjny magazynek baterii artylerii przeciwlotniczej przy - za czasów sowieckich do ich wycofania się w 1941 roku - lotnisku Podhajczyki. Było to uzyskane bardzo wartościowe znalezisko, szczególnie proch z tej amunicji, gdyż działa artyleryjskiego nie było. Udało się uzyskać również dwa karabiny typu kbk i 20 sztuk amunicji do nich. Praca ta prowadzona była w głębokiej tajemnicy i bardzo ostrożnie, ponieważ chętnych do takich znalezisk było więcej. W większej pracy tą udało się wykonać szczęśliwie - jedno i dwu osobowo. Wykonywano ją w kilku etapach. Pracę tą udało się szczęśliwie wykonać dwóm przyjaciołom, którymi byli Wojciech Pleszczak, który był już zaprzysiężonym żołnierzem ZWZ - AK i jego nieodłącznym przyjacielem Józef Gitler, który do organizacji nie należał i nie o jej istnieniu nie wiedział. Wojciech, mając już zadanie organizacyjne - poszukiwać broni dla organizacji - zainicjował koleżeńską rozmowę z Józkiem. Czy w związku z ciągłymi niepewnościami jakie na codzień prawie się pojawiały, niekonieczne jest posiadać więcej dobrej broni. Józek z tą sugestią się zgodził. I obaj zgodnie postanowili udać się skrycie w tym celu na teren opuszczonego wówczas - sowieckiego lotniska Podhajczyki i dokładnie przeszukać niektóre miejsca przy tym lotnisku. Ustalili sposób dotarcia do lotniska - i swoje alibii - dla osób postronnych - uzasadniające przyczynę ich znajdowania się w tym rejonie. Mając uzgodnione między sobą swoje alibii, że są "uciekierami przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Uciekli z pociągu przed Dereniówką i udają się na przelaj z Dołhego w kierunku Ryzdwiar - Strusewa". Utrzymując ten kierunek znaleźli się w okolicach sowieckiego lotniska Podhajczyki, zniszczonego prawie doszczętnie przez Niemców. Obaj

będąc w miarę zorientowani, co i gdzie było, na lotnisku rozmieszczone przed niszczącymi nalotami Niemców, udało się im dotrzeć, w rozwaliskach po wybuchach bomb, do amunicji wymienionego wyżej kalibru. Jej wydobycie i przetransportowanie w inne w miarę bezpieczne miejsce zajęło dość sporo czasu. Amunicja znajdowała się pod zwalonymi belami, zasypianymi grubym żwirem ziemi nasypanej w trakcie wybuchu bomb lotniczych w bezpośredniej bliskości tego miejsca. Trzeba się było tam dostać - po uprzednim dobrym rozeznaniu dokładnego miejsca ewentualnego miejsca znajdowania się amunicji w tym rozwalisku. Ponadto, to poszukiwawcze rozeznanie miejsca, musiało być z miejsca dobrze maskowane, ażeby nie pozostawiać jakichkolwiek śladów działania w tym miejscu człowieka. Po dokładnym rozeznaniu miejsca znajdowania się, koniecznym było punktowo dokopać się do tego miejsca i w jednym miejscu wydeścić wszystko na zewnątrz oraz przenieść i umieścić w innych, uprzednio wybranych, w miarę bezpiecznych miejscach. Wykop, wydeściecie na zewnątrz i rozmieszczenie znaleziska w różnych w miarę bezpiecznych miejscach, uprzednio wybranych i odpowiednio przygotowanych, musiało być wykonane w ciągu jednej nocy. Wspomnieć również trzeba, że pracę tą wykonywało tylko dwóch ludzi, samotnie i na odludziu, z których jeden - na zmianę - musiał stale ubezpieczać (obserwować i nasłuchiwać przylegający teren) i być w gotowości do stosownego działania w przypadku jakiegokolwiek niernormalności w pobliżu. Wspomniane znalezisko, jako całość było objęte ściemnym ładunkiem dość dużym, a wagowe też nie do udźwignięcia przez jednego człowieka, nie wspominając o niebezpieczeństwie wynikającym z tego, że był to przecież materiał wybuchowy, a także o niebezpieczeństwie wynikającym z napotykania się prawie w każdym miejscu na Niemców, policję ukraińską i już wówczas dość kaśliwych do Polaków nacjonalistów ukraińskich. Stąd przemieszczanie powyższej zdobyczy dokonywane częściami i etapami. W noc wydobycia -- po odpowiednim ułożeniu amunicji w silnych workach bawełnianych, rozmieszczone je w niezbyt dalekiej odległości od miejsca wydobycia, w trzech miejscach odpowiednio przygotowanych w świeżo uprawionych polach. Bezpośrednio następną noc, przetransportowane całość, w odpowiednio wcześniej przygotowane dwa miejsca, do lasu zwanego Ścianką podhajecką. Następnie po dobrym rozeznaniu jaki panuje nocą ruch po polnych drogach, różnej promiennosci nocnych interesantów tych okolic, zdecydowano się na dalsze przemieszczenie znaleziska dokonać furmanką konna. Ze względu na dużą odległość i krótką stosunkowo noc (był miesiąc maj), furmanka musiała się znaleźć w miejscu ładunku zaraz o zmroku, a i sam ładunek nie mógł się odbywać tak po prostu - zajęchali i załadowali. Ładunek musiał się odbyć niejako po drodze w ruchu. Stąd trzeba było raz jeszcze znaleźć odpowiednie miejsca ukrycia w pobliżu drogi polnej, którą miała

przejeżdżać furmanką i jeszcze raz jak dotychczas przenieść tą amunicję i ukryć, dobrze maskując, w tam przygotowane miejsca. Zasada ubezpieczenia, była każdorazowo konsekwentnie przestrzegana, tak jak wyżej już opisano przy wydobyciu znaleziska. Przejazd furmanki konnej, na noc przewozu musiał też być dobrze upezerowany i mieć odpowiednie mocne uprawdopodobnienie na wypadek zdarzenia bez i zaszłości nie przewidzianych. Stąd i tu konieczne były też odpowiednie niczym nie zdradzające zabiegi i przygotowania. Po tym wszystkim, w jedną bezksiężycową noc, bezpośrednio po rozeznaniu ruchu nocnego na polnych drogach, furmanką konną - którą zabrał z własnego domu Wejciech za zgodą ojca - polnymi drogami, omijając w oddali osiedla i wsie - z dużym ryzykiem, przetransportowane powyższe znalezisko w pobliże opisywanej wsi Zniesienie i ukryte na, z różnych stron, okrajach wsi w 7-miu miejscach. O przebiegu i rezultatach wykonanej pracy Wejciech Fleszczak poinformował miejscowego dowódcę plutonu ZWZ-AK Mariana Partykę, jego też decyzją miało być bojowe zagospodarowanie tej zdobyczy. Była to zdobycz w owych warunkach wprost bezcenna. Wiedzieli o niej we wsi tylko wymienieni wyżej dwaj przyjaciele i dowódca plutonu AK Marian Partyka. Jak wskazywały później zachodzące fakty, Marian Partyka w wiedzę o posiadanej amunicji i przebiegu amunicyjnego nie wtajemniczał nikogo więcej. Jesienią 1943 roku z czterech schowków amunicja tam znajdująca się została przez kogoś zabrana. Po zapytaniu Mariana Partyki, czy coś o tym wie odpowiedział, że inni też muszą coś trochę mieć. Taka odpowiedź, utwierdzała że albo powyższa zdobycz została jego decyzją przenieszona w inne miejsce, albo też przekazana innym - komu?!

XXIII. R o k 1943 okupacji niemieckiej.

1. Wejście mieszkańców wsi w 1943 rok.

Mieszkańcy opisywanej wsi wchodzili w rok 1943 - z godnością na przekór przeżytym ogromnym przeciwnościom. Społeczność ta jako całość, a także poszczególne rodziny i osoby były jednak znacznie osłabione. Zabrakło, wśród nich wielu bliskich współpracowników. Była to opisywana społeczność poważnie zmęczona i wyczerpana zbyt dotkliwymi doznaniem, których okrutne zaszłości wojny dla opisywanego zakątka polski, były aż nadto obfite w swojej stałej ciągłości - od 1939 roku, bez żadnych przerw - zmiennymi i różnorodnymi doznaniem i tragizmów bezpośrednio przeżytych. Wspomnieć też trzeba, że była to społeczność coraz bardziej zubożała. Od 1939 roku, nikt we wsi niczego we własnym gospodarstwie nie przysporzył. Każdy kto do wsi od 1939 roku przychodził, to ciągle od chłopa coś po lichwiarskich cenach nakazowych - z urzędu - tylko zabierał. Nic w zamian

przydatnego, do czegośkolwiek nie dając. Od tego czasu, nie było gdzie i nie było na co, nawet chociażby kupić na siebie porządnej roboczej kaptury, czy prostego buta. Nie mówiąc już o jakichkolwiek narzędziach dla gospodarstwa. Każda rodzina żyła wyłącznie tą swoją zasobnością, którą posiadała na dzień wybuchu wojny - t.j. 1 września 1939 roku - pomniejszając stale nie tylko przez łożenie na bieżące bytowanie rodziny, ale przede wszystkim drastyczne unicieszczenie tej zasobności przez przewalające się przez te tereny bezpośrednio zaszłości wojenne i wskutek brutalnego stosowania, wyniszczającej Polaków, gospodarki wojennej przez okupanta - w pierwszej kolejności, a później niemieckiego. Z przyczyn powszechnych braków podstawowych środków do bytowania, rozwinęło się - konspiracyjnie - rękodzielnictwo i handel wymienny. Do każdej rodziny, każdego domu, zadrzała poprostu bieda. Z tych też względów, te powszechne niedostatki, wykształcały poczucie dążności każdej prawie rodziny chłopskiej, bycia samowystarczalną. Szczególnie w wyrobach takich jak ~~odzież~~, buty i niedroże narzędzia rolnicze, a także podstawowe produkty żywnościowe - jak mąka na chleb, i t.p. Zboża, chłop w młynie, znaleźć na mąkę nie mógł oficjalnie, ponieważ zboże było od razu rekwirowane przez policyjne władze okupacyjne - jako zaopatrzenie kontyngentowa. Z tych głównie okupacyjnych trudności i niedostatków rodziła się życiowa potrzeba i powstawała - w konspiracji - rękodzielnicza produkcja chałupnicza. To było przyczyną, że znaleźli się kamieniarze - specjaliści wytwarzania młyńskiego kamienia do żaren. To też było przyczyną, że w znacznej części domów garbowano również skóry zwierzęce na własny użytek. Te również przyczyny spowodowały, że prawie w każdym domu było jakieś urządzenie tkackie - też wyłącznie na "własny" użytek. Ponieważ w jednych rodzinach, był ktoś kto wyrabiał dobrze jedne przedmioty, a innych podstawowych i w życiu codziennym bardzo potrzebnych nie umiał wykonać w ogóle. W innych rodzinach natomiast ten właśnie przedmiot wyrabiano dobrze, tego właśnie pierwszego nie umiano wykonywać w ogóle. Ten właśnie stan zrodził nieodprętą konieczność wzajemnej wymiany wyrobów - czyli powstawanie handlu wymiennego wyrażającego się bezpośrednią wymianą przedmiotu na inny przedmiot, bez udziału pieniądza. Ponieważ, w opisywanych okolicach, powyższe działania były przez obu kolejnych okupantów zabronione, a zakaz ten był brutalnie i w sposób bezwzględny egzekwowany przez władze okupacyjne, całość tej działalności rękodzielniczej i handlu wymiennego zeszyła do podziemia - czyli wykonywana w ukryciu - konspiracyjnie. Taki stan utrzymał się do końca wojny, a w wielu środowiskach - wskutek niedostatków - utrzymywał się dość długo jeszcze po wojnie.

Zima roku 1942 na 1943 w opisywanych okolicach też nie była łatwa. Była w miarę śnieżna, lecz bardzo mroźna. Wspomnieć trzeba, że żadnego zaopatrzenia wsi w cokolwiek nie było. Żadnej zorganizowanej opieki lekarskiej też nie było. Lekarz wykonujący praktykę lekarską prywatnie - nazwiskiem Tajfer - ponieważ był żydem, potraktowany został przez Niemców tak jak wszyscy Żydzi. Był jeszcze w tych okolicach przed wojną lekarz nazwiskiem Szkwarek, który w siołce zaszkości wojennych gdzieś się zawieruszył i praktyki lekarskiej w tym rejonie nie prowadził. Z tej głównie przyczyny wszelkie dolegliwości chorobowe w całym okresie wojny w zasadzie leczono metodami medycyny ludowej - głównie ziołami. Stąd, każdy - sam - musiał się troszczyć o bytowanie swoje i swoich najbliższych w pełnym zakresie.

Wszyscy mieszkańcy wsi w opactwie zaopatrywali się w pobliskich lasach - samelemy, i fusz, których wokół w lasach nie brakowało.

B. Obławy, łapanki i wysyłanie ludzi na przymusowe roboty do Niemiec.

Mimo dokonanych już w tym względzie spustoszeń, w końcu 1942 roku i z początkiem 1943 okupacyjne władze niemieckie, wzmożyły naciski wysyłania ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Rozoznali, że wielu ludzi z tych, którzy imiennymi nakazami wysłani zostali na przymusowe roboty do Niemiec, uciekło z transportu i powróciło do domu, bądź przebywają w tej okolicy w pobliżu domu. Policja ukraińska gminnego posterunku, zaczęła chodzić po domostwach, tych z których wyjechali do Niemiec na przymusowe roboty - bądź z imiennego nakazu, bądź z łapanki - i żądali od najbliższych z rodziny (ojciec, matka, brat, siostra, żona) przedstawienia jakiegokolwiek dowodu, że ten z rodziny, który wyjechał na przymusowe roboty do Niemiec, rzeczywiście tam przebywa. Za wiarygodny dowód uznawali - list lub kartkę pocztową, przysłaną z Niemiec przez przebywającego tam na robotach. Jednak od wielu wysłanych, którzy rzeczywiście przebywali na tych przymusowych robotach w Niemczech z różnych przyczyn, nie było żadnych wiadomości. Wczesną wiosną, policja ukraińska wzmacniona znacznymi posiłkami Niemców, zaczęła przeprowadzać obławy i łapanki ludzi fizycznie sprawnych - młodych i starszych w pełni sił - w poszczególnych wsiach. Wszystkich pojmanyh w ten sposób ludzi - kobiet i mężczyzn - wysyłano przymusowo, pod eskortą policyjną, na roboty przede wszystkim do Niemiec. Ale były przypadki kierowania również do innych miejsc - w kierunku linii frontu do wykonywania określonych robót specjalnych (budowanie schronów, maskownic przystanków kolejowych i t.p.). Obławy te i łapanki przeprowadzane były w różny sposób. Były przypadki - w przeważającej liczbie - że dość liczna, uzbrojona po "zęby" grupa Niemców przybywała pod osłoną nocy w pobliże wsi wybranej do łapanki. Tam też, żołnierze skrycie rozkładowali się i w trybie niezwłocznym, okrą-

żali gęstym szpalerem wieś, od zewnętrznej strony jej zabudowań. Następnie, po zamknięciu pierścienia okrążenia, z zasady z kilku stron równocześnie, wchodziło kilka grup policjantów ukraińskich z jednym-dwoma Niemcami (gestapowcami) w każdej grupie, którzy przeważnie zawsze posiadali przy sobie duże i agresywne psy wilczury. Przeszukiwali przeszukiwają skrupulatnie każde domostwo we wsi. Każdą pojmaną w ten sposób osobę, młodą lub nawet nieco starszą, lecz w pełni sił i fizycznie sprawną, zatrzymywali. Matki od bezpośrednio widocznych na miejscu małych dzieci i gospodarzy, również od bezpośrednio widocznego na miejscu gospodarstwa - po upewnieniu się, nie zatrzymywali. Usiłujących ze wsi uciec, zatrzymywali żołnierze - Niemcy okrążający wieś. Do niezatrzymujących się strzelano. Wszystkich zatrzymanych, pod policyjną eskortą, gromadzone w jednym miejscu pod ścianą kościoła. Stąd po zakończeniu akcji, również pod bezpośrednią eskortą policyjną, miejscowym transportem w postaci furmanek konnych, odstawiano wszystkich zatrzymanych do stacji kolejowej Dereniówka. Tam ładowano do wagonów krytych i odsyłano transportem kolejowym - również pod bezpośrednią eskortą policyjną - do Niemiec na przymusowe roboty. Były też przypadki, że obławę i łapanek we wsi, Niemcy przeprowadzali w inny sposób. Przybywali do wsi w dowolnej porze, z zasady z kilku kierunków jednocześnie liczbowo dość silnych grup. Okrążały wieś i przeprowadzały łapanek ludzi we wsi. Pozostałe czynności wykonywali podobnie jak wyżej opisano. Tak więc mieszkańcom opisywanych okolic, oprócz i tak już wytrzymałościowo skrajnych (fizycznie, psychicznie i materialnie) warunków bytowania, okupant dorzucił jeszcze łapanek.

Pojawienie się obławowych okrążeń niektórych wsi i dokonywanie łapanek ludzi wewnątrz tego okrążenia, a następnie wysyłanie ich do Niemiec na przymusowe roboty, wypłoszyły kompletnie młodych - i nie tylko - pełnosprawnych ludzi ze wsi. W opisywanej wsi, jak już w wielu innych przypadkach, zbawiennymi i w tym przypadku okazały się okoliczne lasy. Praca codzienna we wsi wykonywana była z ciągłą w wysokim stopniu zastrzeżoną uwagą na wszelkie pojawianie się w pobliżu wsi - na drogach i dojściach do niej - lub pojawienie się w sposób niespodziewany, każdej obcej osoby niezależnie od jej zamiarów, czy też celu w jakim do wsi przybyła. Na tym tle, w wielu przypadkach, dochodziło stanowczych żądań mieszkańców wsi do szczegółowego wyligytynowania się przybywającego do wsi obcego człowieka - nie jako do uprawdopodobnienia się przed mieszkańcami wsi, że nie przychodzi tu z jakimikolwiek złymi zamiarami.

Tą właśnie drogą, udało się zapobiec pełnemu powodzeniu łapanek urządzonej w marcu 1943 roku w opisywanej wsi. Zakończono na

bardzo drogo opłacone. Stąd tak głębokie zatroskanie i współczucie dla rodziny. Wspomnieć trzeba, że matka - Karola - Apolonia Jęderowicz, będąc wdową, niemłoda już kobietą, została sama z dziewięcioletnim wówczas, trzecim jeszcze synem Alfonem. Gdyż najstarszy synów Jan Jęderowicz, wyjechał na przymusowe roboty do Niemiec z *aprecyjny* *Kia*, a wyżej opisany Karol Jęderowicz - pojmany został w łapaniec *obecny* i skierowany do Niemiec. Natomiast Marii Olejnik - też wdowie, pojmano i skierowali, na przymusowe roboty do Niemiec jej *jedynego* syna.

3. Groźne objawy nacjonalizmu ukraińskiego.

Począwszy gdzieś tak od drugiej połowy 1942 roku, zaczęły się pojawiać - w opisywanych okolicach - ze strony fanatycznych ukraińskich nacjonalistów i niektórych policjantów (ukraińców) okupacyjnych władz niemieckich, wyraźne groźby w stosunku do Polaków. Do tego czasu, tak za czasów okupacji sowieckiej, jak też do tego okresu okupacji niemieckiej - pod adresem Polaków kierowane były wymówki, wypominania, ocenianie przedwojennego działania władz polskich, nawet wytykanie win - wprawdzie nie zawinionych, ale wytykanych. Były nawet samostanę nacheżenia na polskie rodziny i w tych nacheżeniach pogróżki demowikiem, ale wszystko to było z chęci rozliczenia się za coś i wykazania się swoją aktualnie "ważnością". Natomiast od wyżej podanego okresu pojawiać się zaczęły pogróżki w rodzaju: - wypędziliśmy bolszewików, kończymy Żydów i następna kolej na was Polaków, żebyście nam więcej nie bróździli i nie przeszkadzali; bądź w rodzaju - kończymy Żydów, a w najbliższej kolejce jesteście wy Polacy, stanie się to zapewne w niedługim czasie. Oczywiście - nie były to stanowiska wszystkich ukraińców opisywanych okolic, były liczne grupy przeciwne tym wszystkim pokrzykiwaniom i groźbom. Jednak te pokrzykiwania pochodziły - od może i zbyt nielicznej grupy - lecz bardzo hałaśliwej i radykalnej w działaniu. A przy coraz większym zagęszczaniu się tych pogróżek, przy braku zdecydowanych sprzeciwów tak ze strony grup ukraińców przeciwnych tym pogróżkom, jak też i Niemców - pogróżki te nabierały wymiaru realnej groźby. Poza tym, ten brak wyraźnego i zdecydowanego sprzeciwu, ze strony przeciwnych tym pogróżkom ukraińców, powodował wrażenie, że te pogróżki kierowane w stronę Polaków popiera znaczna większość ukraińców. O ile początkowo, pogróżki te wypowiedziane były od czasu do czasu i raczej w miejscach typowe - "zarażonych" celowo przez Niemców jadem nacjonalizmu ukraińskiego nacechowanej antypolskością. Te z czasem nabierały coraz szerszego rozgłosu - i upowszechniały się. Wprawdzie, rozważni i co bardziej odważni ukraińcy - przeciwni takim poczynaniom, tych hasłowych twierdzeń nie powtarzali i w rozmowach towarzyskich wyrażali swoje ubolewanie za to co zaczyna się dziać, a także wyrażali swój sprzeciw

takim postawom i poglądom. Ale nic więcej nie czyniono zdecydowanie, co zmierzałoby do zahamowania tych poczynań. Działo się coś wręcz przeciwnego - powyższe wręcz działania przeciwko Polakom, wzmagają się

Jesienią 1942 roku w pobliżu opisywanej wsi, pojawiały się noca, nierozeznanego pochodzenia, strzały z broni palnej. Te zdarzenia zachodzące noca, w tak napiętej - jak wyżej wspomniane - sytuacji, musiały przysporzyć nowych obaw wielu mieszkańcom wsi. Po niedługim czasie, tajemnicę tą wyjaśnił jeden z żołnierzy i stającej w wsi grupy AK. Strzelającym, jak się okazało, był mieszkaniec tej samej wsi Zniszenie - 20 letni Ludwik Gitler, w posiadaniu którego po jego powrocie z prac przy torach kolejowych, znalazł się pistolet typu NAGAN z odpowiednio skromną ilością amunicji. Ludwik, dość często odwiedzał wraz z najbliższym kolegą, dziewczyną - Ukrainką mieszkającą w leśnej gajówce oddalonej ok. 2 km od opisywanej wsi. Jak się okazało, zabierał on ze sobą nielegalnie posiadany pistolet. Niekiedy, w uznanej przez siebie sytuacji - po drodze, do lub od, dziewczyny - strzelał z tego pistoletu ot tak sobie. Pistolet ten stanowił bardzo nierozważną tajemnicę tych wyżej podanych trzech osób - dziewczyny, najbliższego kolegi Ludwika i samego Ludwika. Niezwłocznie po wykryciu istniejącej sytuacji, miano Ludwikowi ten pistolet odebrać. Miało tego dokonać dwóch żołnierzy z istniejącej grupy AK w sposób nierozpoznany. Niezdażono jednak tego już dokonać. Ponieważ - wykrycie nastąpiło jednej nocy, decyzję podjęto w następującym po tej nocy dniu, a odebranie broni miało nastąpić nocy następniej. Jednak nie zdołano tego wykonać, ponieważ w dniu w którym podjęto decyzję na odebranie Ludwikowi broni, wskutek dokonanego przez kogoś donosu do policji ukraińskiej - że Ludwik nielegalnie posiada broń - właśnie w tym dniu przyszła policja, zatrzymała Ludwika. Przeszukała domostwo, znalazła pistolet i zaaraszowała młodego chłopaka. Policja zabrała go na posterunek do Janowa, stamtąd na gestapo do Trembowli. Z Trembowli przekazano go na gestapo do Tarnopola. Gdzie wskutek różnych zabiegów i starań, zezwolono matce na krótkie widzenie z nim w więziennym szpitalu. Był okropnie zmaltretowany. Z bardzo zdrowego, wyrosniętego i bardzo dobrze rozwiniętego młodzieńca, w niedługim czasie uczyniono człowieka prawie nie do rozpoznania, który nie mógł się podnieść z łóżka. Ze szpitala w Tarnopolu skierowano go do obozu na Majdanek w Lublinie z którego nie wrócił. W którym zginął. Żadnego sądu, ani też żadnego powiadomienia o karze nie było. Nie było też powiadomienia - gdzie, za co i na jak długi okres kieruje się go do obozu

4. Nieoczekiwane najścia policyjne i rekwirowanie wszystkiego co popadnie pod rękę.

Wspomnieć też trzeba, że równoległe z wyżej opisanymi zaszłościami toczyło się bieżące życie codzienne. Policja ukraińska wzmocnia

na przez gestapo przeprowadzała najścia na wsie, opisywanym trybem, rekwirując wszystko co w oczy popadnie - traktując to jako zaległość kentygentu, a także poszukuje w pełni sprawnych młodych ludzi z celem wysłania ich na przymusowe roboty do Niemiec. Nacjonaliści ukraińscy są coraz bardziej kąśliwi w stosunku do Polaków. Coraz bardziej wyrażają rozpowszechniając groźby w stosunku do Polaków w różnych postaciach i formach.

Cała społeczność wsi żyje w ciągłej, do maksimum wystrzeżonej czujności przed nowymi, zaskakującymi wieś okupacyjnymi zdarzeniami, które dla wiejskich ludzi - tym bardziej dla Polaków, nie dobrego nie przynoszą.

Pora wiosenna dyktuje nieodwołalnie swoje wymagania w uprawach posiadanego arealów ziemi, które te wymagania muszą być terminowe praktycznym wykonaniem spełniane, ponieważ w przeciwnym przypadku, powstać negą z tego tytułu straty nie do odzyskania, a w konsekwencji głód rodziny.

Polowe prace wiosenne wykonywane są, częściami - od wyjścia z doraźnego ukrycia się przed policją lub Niemcami, do następnej ucieczki i następnego doraźnego ukrycia się przed policją i Niemcami. Przeważnie było tak, że konie z pługiem lub brenami pozostawały na łasce losu, porzucone na polu same, a ich gospodarz mając ich w polu widzenia, musiał się pośpiesznie ukrywać między bruzdami w dużym oddaleniu od przejezdnych polnych dróg, bądź w pobliskich przygranicznych gęstwinach leśnych. Te polowe najścia policyjne długo nietrwały, ale były dla ludzi bardzo dolegliwe. Polowania te przerwał strach Niemców i okupacyjnej policji ukraińskiej przed coraz bardziej zdecydowanym działaniem, nielicznych nieźle uzbrojonych, dość dla okupanta kąśliwych bojowych grup konspiracyjnych.

5. Działanie miejscowej grupy armii karajowej (plutonu AK).

Od połowy 1942 roku do członków miejscowej grupy Armii Krajowej docierała już, wprawdzie nieregularnie, polska gazetka podziemna - Biuletyn informacyjny ziemi czerwieńskiej - i przez jej treść docierać zaczęły wiadomości o życiu organizacji, kierunkach działania i formach toczących się walk z wrogiem o niepodległość polski. Pobudzało to do intensyfikowania poczynań na szczeblu miejscowej grupy AK. Prowadzono okresowe szkolenie o broni, głównie tej która była w zasięgu grupy (konstrukcja - rozkładanie i składanie, obsługa, skuteczne użycie - trening przeważnie na suchą z przyczyną braku amunicji) - każdego posiadanego typu broni. Wykonano kilka wybuchowych purchawek we własnym zakresie, co poczytywano za osiągnięcie. Była to flaszką po piwie lub po ćwiarcie wódki, do niej wsypywano niecóż prochu, flaszkę zamykano "kerkiem" z żywicy, którego dolną część stanowiła purchawka (wysuszone kuba leśna

wnętrze której posiadała niezliczoną ilość włókien, znaczna część których po wysuszeniu przybierała postać sprzeszkowaną. Ta właśnie sprzeszkowatość włókienek, zachowywała - dość bezpiecznie - ogień w postaci utajonych iskier (ale tylko będąc w stanie nieruchomym - bez żadnych nagłych wstrząsów). Po nagłym wstrząsie flaszki w piętę, wewnątrz purchawki spadała na proch iskrząc i zapalała go. Po nagłym wstrząsie i silnym i natychmiastowym wyrzucie flaszki, flaszka wybuchła w odległości 5 - 7 m. Lepszy był efekt, gdy wybuch następował przy zderzeniu z ziemią lub jakimkolwiek twardym przedmiotem. Najlepsza flaszka do tego wyrobu - dawała najlepszy efekt pirotechniczny - była flaszka po lemoniadcze (starego wzoru).

Miejscowe warunki dyktowały bardzo ostre kryteria konspiracyjnej dyscypliny. Przypomnieć należy, że oprócz Niemców - gestapo, miejscowej policji ukraińskiej, stałe deptały po „piętach” - niestety także niekiedy skutecznie - nieprzejednane bojowe organizacje nacjonalistów ukraińskich (UPA). Stąd szkolenia odbywały się w małych zespołach.

Z zasady w takim w jakim przyjmowano do organizacji - jaki był przy składaniu przysięgi. Liczbowo nie przekraczało to trzech osób. Wyjątek stanowił skład osobowy bojowej grupy patrolowej, którą utworzono w połowie 1943 roku w składzie 5-cio osobowym, później powiększonego do 7 osób. Szkolenie to obejmowało głównie naukę o broni - tych typów, które były w posiadaniu plutonu. Nacisk główny stawiano na naukę + rezkładania i składania broni, skuteczne użycie w walce - obsługa, celowanie, strzelanie - warunki bezpieczeństwa przy obchodzeniu się z bronią.

Mimo istotnych trudności i przeciwności, zadania wykonywane przez wymienioną wyżej bojową grupę patrolową, miały różny charakter i wykonywane były z zasady poza granicami rejonu własnego zamieszkania członków tej grupy. Były to zadania wykonywane w pojedynkę - takie nprz. jak rozpoznanie terenu, lub nakazanego obiektu. Bądź udział w wykonywaniu zadania zespołowe. Między innymi takich jak nprz. - niszczenie niemieckich środków transportu, linii telefonicznych; kontygentowych spisów gminnych i innych.

W końcu maja 1943 roku, Niemcy zaczęli przewozić bocznymi drogami traktowymi o nawierzchni gruntowej różne ładunki wojskowe. Zaczęli też wykorzystywać taką właśnie drogę prowadzącą przez duże połacie lasu i wieś Papiernia w kierunku wsi Skorodyńce i dalej do m. Czortków. Właśnie na tej drodze - w gęstym lesie - na stromym zjeździe tej drogi, około 3 km za wsią Papiernia przed ostrym zakrętem dokonano zasadzki. W tym celu odpowiednio dobrane i przygotowane dwa duże i pochylone nad drogą drzewa. Przed nagłym zwaleniem się tych drzew, całym swoim ogromem w poprzek drogi na całą jej szerokość

Szkolenie
zawieszanie
zawieszanie

i stworzeniu przez te przeszkody nie do przejechania i nie do omi-
nięcia, podtrzymywane były - z powodu głębokiego podcięcia tuż przy
przy ziemi każdego z tych drzew - jedynie przez misternie upodob-
nione do otaczającego środowiska, podpory znajdujące się na skarpie
po przeciwległej stronie drogi. Podstawa podpory stała na wyschniętej
odpowiednio ściętej dębowej gałęzi, której - zupełnie niepozorny -
koniec znajdował się znaczną swą długością w poprzek na jezdni.
Najechanie na tą gałąź powodowało wynknięcie się jej początku z pod-
stawy podpory, poślizg podstawy podpory i uwolnienie podtrzy-
mywanego drzewa, jego nagłe zwalenie się swą długością na całą sze-
rokość drogi i przygniecenie swoim ogromnym ciężarem wszystkiego
tego co znajduje się w zasięgu jego linii upadku. Jednocześnie stwo-
rzyło nagłą - dla jadących drogą nieprzewidywalną - nie do omi-
nięcia przeszkodę dla rozpędzonych na stromym zboczu drogi samochodów
ciężarowych z pełnym ładunkiem. W tej zasadzce zniszczone zostały
dwa wojskowe samochody - pierwszy wskutek przygniecenia, wybuchu
paliwa i ładunku. Drugi przez najechanie i ^zrobicie się w miejscu
wybuchu. Następne dwa jadące bezpośrednio w zespole zostały poważnie
uszkodzone - nie wyhamowały i z rozpędem najechały na miejsce zni-
szczenia pierwszych dwóch.

Na odcinku Dereniówka - Chorostków, trasy kolejowej Tarnopol - Czert-
tków, nieopodal osi wsi Mszaniec rozmontowane styk szyn na jednym
torze wraz z uwolnieniem szyny ze skobli które ją podtrzymywały.
Uwolnioną szynę odchyłono również do wewnątrz od osi toru. Wynikiem
tego uszkodzenia było wykolejenie się lokomotywy i kilku wagonów
pociągu towarowego ze sprzętem wojskowym, a także zniszczenie na
znacznym odcinku toru kolejowego.

Przy szosie Tarnopol - Czertków, prowadzącej przez m. Budzanów,
na wysokości wsi Kosów uszkodzone sieć telefoniczną przez ścięcie
pięciu słupów telefonicznych. Podobnego uszkodzenia dokonano przy
tej samej drodze - na odcinku prowadzącym przez las zwany Scianka
Podhajecka. Dokonano również kilka uszkodzeń wagonów towarowych
przewożących zboże lub mąkę.

Wszystkie te dokonania, były dziełem miejscowej patrolowej grupy
bojowej Armii Krajowej opisywanej ekolicy. Mówiąc o wykonywaniu pe-
wyższych zadań, wspomnieć też trzeba, że jedno z nich wykonane zosta-
ło niezbyt dobrze. Mianowicie przy zasadzce nie przewidywano tak
dużego wybuchu i nie uwzględniono - miejscowo - skutków wybuchu,
wynikiem czego w trakcie wybuchu obsypana została kamiennym gruzem
z doznaniem silnych potłuczeń i zranień czterech żołnierzy - w tym
dwóch poważnie - z 7-mie osobowego składu grupy bojowej wykonującej
to zadanie.

W końcu czerwca 1943 roku w różnych miejscach powiatu Trembowel

skiego zaistniały i nawarstwiały się różnorakie zdarzenia, które poraz pierwszy od wkroczenia na te tereny Niemców, wprowadziły w zachowywanie się niemieckich władz okupacyjnych - zarówno tych szczebli na których funkcje pełnione były przez Niemców, jak też i tych na których określone funkcje pełnione były przez Ukraińców - bardzo nerwowe odruchy w działaniu objawiające ich sytuacyjną wielką niepewność. Mianowicie - w czerwcu bombardowane część wsi Humniska, podejrzewając że znajduje się tam jakiś element konspiracyjnej działalności bojowej ^Wsołectkiej lub polskiej. Między wsiami Mażów i Humniska - które położone były bardzo blisko siebie - eksplodował ładunek wybuchowy w czasie przejazdu przez te miejscowości, Niemca, starosty powiatowego, który jeździł po wsiach z całą swerą policji ukraińskiej i gestapo jako ekspedycja kontyngentowa. W każdej wsi w której się pojawili, po ich odjeździe - dla mieszkańców wsi pozostawały - tylko dokonane przez nich nieszczęścia - 6. Partyzanci w pobliskich Łasack i miejscowościach.

Na przełomie czerwca i lipca 1943 roku, w jednym z dni nakazowego odwożenia zarekwirowanego we wsi zboża, kilku mieszkańców opisywanej wsi odwożąc to zboże kennymi furmankami, znalazło się obok magazynów zbożowych w powiatowym mieście Trembowla. Będąc zainteresowanymi szybkim zdaniem do magazynu posiadanego na furmance zboża i utrzymania odpowiedniego pokwitowania, niezauważyli nawet, że wokół dzieje się coś niernormalnego. Obsługa magazynów pośpiesznie, nie udzielając żadnej informacji, zamknęła magazyny i uciekła. Z okolic poczty i dworca słychać było dość chaotyczną i krótką strzelaninę. Bardzo szybkie, nerwowe i raczej chaotyczne ruchy furmanek kennych załadowanych umundurowanymi policjantami, chcących wydostać się z miasta. Z terenów kieszar naprzeciwko magazynów zbożowych, też dochodziły odgłosy jak gdyby strzelaniny. Od nikogo - zresztą i nie bardzo było od kogo - niczego dowiedzieć się nie było można. Jedni, z szybko przebiegających, odpowiadali że Ukraińcy biją się z Niemcami. Inni natomiast odpowiadali, że gestapo na stacji kolejowej aresztuje "własowców". Jeszcze inni, szybko unykając odpowiadali, że w mieście są partyzanci, ale czyi - nikt nie mówił. Twierdzili, że jest duże zabitych Niemców. W tej nagle zagmatwanej i niezbyt bezpiecznej sytuacji, przyjeździ - wymienieni mieszkańcy opisywanej wsi - mając jeszcze na furmankach nie przekazane do magazynu zboże, zdecydowali się wydostać furmankami jak najszybciej poza miasto. Tak też uczynili. Wyjeżdżając w mieście na traktową drogę w kierunku własnej wsi (kierunku południowym), natknęli się na trzeci - po zęby uzbrojonych cywili - na keniach, pędzących w kierunku miasta, którzy będąc w ruchu krzyk-

nęli do nich w języku ukraińskim - uciekajcie z miasta czym prędzej! Z pewnymi kłopotami, czterem furmanóm - gospodarzem opisywanej wsi - którymi byli: Stanisław Dysiewicz, Ludwik Duplak, Jan Osowski i Jan Pleszczak, wraz z koniami i zbożem udało się wydestać z miasta - nie zatrzymując się, dotarli do będącej po drodze polskiej wsi Podhajczyki. Tam, przy pomocy miejscowych, uzyskali nieco danych informacyjnych o sytuacji po drodze do domu - własnej wsi - zdecydowali się jechać dalej do odległej stąd o ok. 9 km własnej wsi. W dalszej drodze nie napotykając na większe przeszkody, dotarli szczęśliwie do własnej wsi - do domu późną nocą.

W następnych dniach w całej okolicy nastąpiło duże zaniepokojenie miejscowej ludności, a także ogniw i zespołów konspiracyjnych. Miejscowe władze okupacyjne poczuły się mocno zagrożone. Działania ze strony władz okupacyjnych w stosunku do miejscowej ludności jak gdyby ucichły. Przycichły też niejako, wyzywające i jadewite "kaśliwe" zachowywanie się w stosunku do Polaków, bez żadnych podstaw - stale "rozszereżonych" - nacjonalistów ukraińskich.

W okolicy pojawiły się, początkowo nie rozpoznane, małe, lecz jak się okazało bardzo dobrze uzbrojone i wszędobylskie - dla miejscowych władz okupacyjnych - bardzo groźne, grupy ludzi bardzo dobrze władające miejscowym językiem ukraińskim. Raz byli to chłopcy w przedostatnim już wieku - dwóch, trzech - na jednej parokonnej furmance w pełni załadowanej zbożem i udający się do młyna z zaświadczeniem "miejscowych władz" policyjnych zezwalających na zmielenie będącego na furmance zboża na określonego rodzaju mąkę. Innym razem było to kilkoro, przeważnie z wyglądu w starszym wieku ludzi, udających się po wsiach, przeszących o wspomnienie czym kto może ponieważ są "pogorzalcami". Spotykało się też, szczególnie w godzinach nocnych, nieduże liczebne zespoły konne szybko przemieszczające się po okolicy. Te niczym nie zapowiadane nowe siły, swoim "nagłym" pojawieniem się - przy niewiadomej kto to jest, wytrąciły wszystkich z pewnego stanu utrwalającej się niejako w tych okolicach, opisywanej w powyższej treści, okupacyjnej pseudonormalności. To znaczy - niemieckie władze okupacyjne, siłami gestapo i policji ukraińskiej, nachodzą wieś i albo rekwirują co popadnie w oczy i pod rękę - pod pozorem zabierania należności kentygentu, albo wyłapują młodych ludzi na przymusowe roboty do Niemiec, a przy tym biją i upodlają ludzi w sposób bestialsko bezwzględny. Pojawienie się powyższych grup jak gdyby wytrąciło chwilowo tę dotychczasową praktykę okupacyjną dnia codziennego.

Pojawiła się, przejeżdżając w pobliżu, większa liczebna grupa ukraińskiej policji i niemieckiego gestapo, a także grupy Wojska

z czołgami i motocyklami wyposażonymi w karabiny maszynowe. Nad okolicą zaczęły się pojawiać ze znacznie zwiększoną częstotliwością samoloty niemieckie, które latały przeważnie nad lasami na bardzo małej wysokości. Natomiast w tychże okolicznych lasach, stale zwiększały się siły wymienianych wyżej grup przybyszów. Napływały one z kierunków północnych. Dość szybko wyjaśniło się, że z kierunków północnych w kierunku południowym - przestępnie do wszystkich dróg, bitych i kolejowych o kierunkach zachód - wschód i odwrotnie - przesuwa się dość szeroki frontem dobrze wyszkolony, nieźle dowodzony i w pełni wyposażony w nieodzwonne środki walki duży zespół partyzantów sowieckich. Jedni twierdzili, że jest ich około 40.000 inni, że tyle ich nie ma. Faktem jest, że była to dość znaczna i jak warunki partyzanckie nieźle uzbrojona siła, przemieszczająca się walką z północy na południe, niszcząc na swej drodze węzłowe stacje kolejowe i mosty, a w miejscowościach przez które przeszli - rozbijali: policję, banki, pocztę, magazyny, niekiedy miejscową administrację. Działali zdecydowanie i dość szybko. O liczebności tych sił świadczy fakt, iż przez określony "bród" na rzece Seret o długości około 150m który znajdował się na osi wsi Skomeresze w oddaleniu od tej wsi w kierunku wschodnim około 500 m. Grupy te przeprowadziły się jednej doby w przeciągu ponad 20 godzin ruchem ciągłym z krótkimi przerwami. Przyznać również trzeba, że zarówno miejsce, jak też czas przeprowadzenia, a także sposób podejścia do niej sił głównych i tempo jej przeprowadzenia, były dla Niemców zaskoczeniem. Spowodowało to dezorganizację przeciwdziałania sił policyjnych i wojskowych grup niemieckich zwalczających te przeprowadzające się grupy sowieckich partyzantów. Potwierdzeniem tego był fakt, że dopiero w końcu dnia - tuż przed zmrokiem - lotnictwo niemieckie rozpoczęło szturmować trwającą świtu przeprowadę. Od tych szturmowań, byli ranni i zabici - których pochowano na miejscowym cmentarzu we wsi Skomeresze w tym samym dniu. Bezpośrednie w rejonie przeprowadzenia nie było innego przeciwdziałania naziemnego niemieckich grup policyjnych i wojska. Przeprowadzający się partyzanci, dość skutecznie prowadzili ogień obronny do samolotów. Uszkodzony został niemiecki samolot "Sztorch", który lądował przymusem na polach zwanych "Krzemienna" położonych między miasteczkiem Budzanów, a opisywaną wsią Zalesienie.

Wspomnieć też należy, że dla sił przeprowadzających się, opisywana przeprowadza do dogodnych nie należała. Wschodnia część przylegająca w tym miejscu do rzeki, był to, w dużym kompleksie leśnym, gęsty wysokopienny mieszany las liściasty na terenie o dość znacznie wznoszącej się pechyłości w stosunku do lustra wody i brzegu rzeki. Stąd podejście do brzegu rzeki było - przez sam teren - w dużym stopniu utrudnione. Natomiast teren przeciwległego brzegu, stanowiły - łąka

Seret
Kierunek północny

i pola uprawne poprzecznane wąskimi i wąskimi polnymi drogami. Teren przy rzece prawie równinny, a w miarę oddalania się od rzeki w kierunku południowo zachodnim i południowym lekko wznoszący się i pagórkowaty. A więc wyjście z rzeki - dogodne. Bród: dno rzeki kamienne żwirowe - głębokość wody, w opisywanym czasie, od 0,5 do 0,8 m., szerokość lustra wody od 10 do 20 m. Samo jednak usytuowanie miejsca przeprawy (względnie pozorowania jej) mimo wspomnianych niedogodności dla przepływających się, dla Niemców było trudno dostępne, ponieważ znajdowało się w znacznym oddaleniu od wszelkich głównych dróg bitych, a nawet znanych w omawianych okolicach tak zwanych traktowych dróg gruntowych. Odległość do drogi kolejowej - jednej torowej wynosiła w granicach 20 - 30 km.

Pojawienie się tak licznego zespołu partyzantki sowieckiej, która tak bezpardonowo rozprawiła się ze wszystkim co niemieckie bądź przez nich twierzone, a także z twórcami się zespołami proniemieckimi nacjonalistów ukraińskich, w sposób zapewne niezamierzony pomagało w danym czasie po części i miejscowej ludności polskiej opisywanych okolic. Wyrażało się to przede wszystkim w tym, że wśród wszystkich proniemieckich grup ludnościowych tych okolic powstało ogromne zamieszanie i paniczny strach. Sparaliżowało to prawie zupełnie jakiegokolwiek działanie podstawowych ogniw okupacyjnej władzy - we wsiach i małych miasteczkach. A przy tym, zaistniałe zdarzenie wywarło wśród ludności opisywanych okolic duże wrażenie na dłuższy okres. Każda z poza polskich grup ludnościowych, w wytworzonych warunkach, zajęła się przede wszystkim zapewnieniem stosownie do sytuacji własnego bezpieczeństwa, pozostawiając Polaków niejako w względnym spokoju. I właśnie to chwilowe pozostawienie Polaków niejako poza swą sferą swego zainteresowania, każdej z powyższych grup, było już dla Polaków pewnym oddechem.

W tym też czasie wzrosła swoją czujność i wnikliwą bieżącą penetrację terenu, istniejąca grupa AK opisywanej wsi. Szczególnie aktywnie wykonywał stawiane mu zadania bojowo patrolowy zespół tej grupy AK.

Okres bycia - prawie bez żadnej okupacyjnej władzy - we wsiach i małych miasteczkach, trwał do początku sierpnia 1943r. Wyrażało się to głównie w tym - że sołtys we wsi zachowywał się tak, jak by go wogóle nie było, a w wielu wsiach sołtys poprostu się ukrywał. Urząd gminny w zasadzie nie działał. Nikogo w urzędzie gminnym nie można było zastać. Gminny posterunek policji ukraińskiej był zamknięty. Wieść niesła, że żandarmów zabrano na koncentrację. Wszelkie inne organy okupacyjnych władz w okresie tego zamieszania - we wsi nie pokazywały się wogóle.

7. Gromadzenie sił i wzmacnianie groźnych poczynań w stosunku do Polaków przez nacjonalistów z pod znaku UPA. i t.j.

Lecz życie bieżące wsi w okresie lipca i sierpnia nie mogło się zatrzymać. Mimo, że to bieżące życie było wysoce napięte, nieunerwane i bardzo wyczerpane, musiało się jednak toczyć ustalonym przez przyrodę trybem - ponieważ miesiące lipiec i sierpień - w opisywanych okolicach, to okres żniw. A te prace, mimo tych tak licznych przeciwności, musiały być wykonane o czasie przez każdą rodzinę chłopską, w przeciwnym przypadku groził głód. Stąd też - pokonując ludzki strach i ciągłą niespokojność groźnej sytuacji w okolicy - chłopcy z uporem, wykorzystując różne fartele z osobistym narażaniem się na groźące niebezpieczeństwa, zbierali zboże z własnych areałów posiadanej ziemi. A zdarzały się przy tej pracy różne nieprzewidziane przypadki. Napotymano w żyznym zbożu, zupełnie obcych i wcale nie tolerancyjnych osobników, których wygląd zewnętrzny i zachowanie - bez żadnych słów - wskazywały dość jednoznacznie, iż należy zejść im z drogi i nie przeszkadzać. Byli to przeważnie ludzie - przebiegacy, cywile - uzbrojeni w broń palną. Napotykało się tych ludzi na polach zwanych - parcelacja (trzeci i czwarty zagon) i megielnickie, a także można się było natknąć na takich osobników w lasach zwanych megielnickim i kesowskim w okolicy zwanej "Diabła Dolina". Ludzie ci występowali - napotymano ich - pojedynczo. Poza tym, ludzie ci bardzo dobrze władali miejscowym narzęciem językowym, a przy tym nie zdradzali wogóle swej przynależności - kim oni są. Te zdarzenia wzmożyły i na tym odcinku działanie istniejącej w opisywanej wsi grupy konspiratorów. Po niedługim czasie, po wnikliwym wyjaśnieniu okazało się - w oparciu o wyśledzenie, rozpoznanie i uzyskanie wiadomości - że są to ukraińcy z pod znaku UPA. Jak się później okazało, były to pierwsze organizacyjne początki bezpośredniego - fizycznie gromadzenia sił do dokonywania straszliwych barbarzyńskich morderstw Polaków (dzieci, kobiety, starców, mężczyzn) - prostych, bezbronnych nikomu nie wadzących ludzi - traktując to jako zasadniczą formę rozprawienia się z Polakami; będącą - według ich założeń - jednym z podstawowych warunków uzyskania niepodległej Ukrainy. Ale wówczas to jeszcze była - bardzo wprawdzie bliska - ale jeszcze przyszłość. Taka sytuacja "bezwładzy" okupacyjnej przetrwała aż do początków sierpnia 1943r. Ten okres niejako "bezwładzy" przerwany został przybyciem do wsi, w drugiej połowie sierpnia, wzmocnionej grupy Niemców z opancerzonym samochodem i policją ukraińską. Przystąpili w sposób bezwzględnie brutalny do zbierania kontygentu. Ponieważ w wyżej opisanych uwarunkowaniach sytuacyjnych, znaczna część domostw nie dokonała jeszcze emigracji w takiej ilości, ażeby starczyło również na oddanie już o tej porze w całości nałożonego kontygentu, wspomnianego zbieranie kontygentu przeredziło się w rekwizycję. To znaczy -

rewizja, a w jej wyniku co znaleźli to zabierali. Łapali przy tym i zabierali również ludzi. Najmniejsze nawet pozory jakichkolwiek niechęci lub opieszałości wykonywania poleceń tej sfery Niemców i policji ukraińskiej, kończyła się maltretowaniem - biciem, zatrzymaniem, odstawieniem na posterunek policji. A stamtąd, albo człowiek już nie wracał wogóle, albo trzeba go było z tamtąd do domu przywieźć, ponieważ o własnych siłach wrócić już nie mógł. W opisywanym czasie, doznali podobnych przykrości - Stanisław Dysiewicz - któremu przy pośpiesznym, nakazanym przez Niemców i przy ich obecności, zaprzęgnięciu koni do wozu - jeden z koni, na chwilę puszczony, oddalił się nieznacznie od wozu, ponieważ w tym czasie gospodarz zaprzęgał drugiego konia. Niemiec - bez żadnych uprzedzeń - na miejscu zbił gospodarza do krwi. Doznali tego również dwaj inni mieszkańcy wsi - ojciec z synem - Jan Pleszczak, których ta niemiecko ukraińska policyjna sfera zaskeczyła przy młócce zboża na własnym podwórzu. Bez żadnych wstępów z wólgarnymi wrzaskliwymi wyzwiskami dla czego gospodarz nie oddaje jeszcze kentygentu, Niemiec uderzył ojca sprężynowym pejczem. Syn mając cep w ręku, krzycząc na ojca - uciekaj w szczeliny między stogi zboża - wytrącił zręcznie z ręki Niemca pejcz i uskeczył do pobliskiej stajni z zamiarem uciec przez strych na zewnątrz w kierunku pobliskiego lasu. W międzyczasie wpadł na podwórze jeden z psów gospodarza - ujadając strasznie na Niemca, prawie go atakował. Na ten moment wpadło na podwórze dwóch policjantów ukraińskich - odpędzając psa od Niemca, usiłując psa zastrzelić. Niemiec wrzasnął na nich, że uciekł do stajni młody człowiek. Uskeczyli do stajni - uciekający syn gospodarza, był już w otworze na strych - wciągając się z podskoku na rękach. Dwaj policjanci zdążyli jednak uchwycić go za wystające jeszcze z otworu nogi i ściągnąć z powrotem. Ojciec, zdążył się jednak skryć, a złapany syn pobity został do krwi. Jedynie dzięki bezpośredniemu, błagalnemu wprost wstawiennictwie się znajomych i krewnych - kobiet ukraińskich - które wybłagały policjantów ażeby pobitego puścili. Puścili go dopiero z posterunku po "pełnej policyjnej fizycznej obróbce". Podobnych doznań, doświadczyli i inni między innymi: Jan Semkewicz, który wracając z pracy w polu, bez żadnego przewinienia z jego strony, został zatrzymany przez ukraińskich policjantów i dotkliwie pobity; Szczepan Osowski, który też został zaskeczony, złapany i poturbowany na własnym podwórzu.

W trwających ciągle, opisywanych wyżej warunkach, jakby tych zaszłościowych dolegliwości polskim miejscowym rodzinom było za mało, dochodzić poczęły z terenów niezbyt odległego Wołynia, przerażające wieści o najściach - zbrojnych grup nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA - na domostwa polskich rodzin i dokonywanie bestialskich masowych morderstw zupełnie niewinnych prostych ludzi Polaków

Bez względu na płeć, czy wiek: Zaczęli też dziwnie znikać polacy - pojedynczo i w naszym powiecie. Wieść niesła, że zaginął bez żadnego śladu młody człowiek - polak - z Trembowli, jadąc z niedalekiej wsi Łeszniów do rodziców w tym mieście. Uprowadzona została z mieszkania - młodziutka dziewczyna - polka ze wsi Zaścianeczce. Podobne zaginięcia pojawiły się w innych miejscowościach. Ludzie ginęli bez śladu. Jednak jak się później wyjaśniło - po usilnych poszukiwaniach i znalezieniu zwłok tych osób - wszyscy oni zostali w okrutny sposób pomordowani. Głośną była również sprawa zastrzelenia w biały dzień, jak niesła wieść, przez policję polaka - przedwojennego podoficera zawodowego wojska polskiego. Jednak jak się niebawem okazało - że mordu tego dokonali - nie policjanci okupanta, lecz przebrani za policjantów nacjonalistów ukraińscy z pod znaku UPA. Wieści o powyższych zdarzeniach zaczęły napływać już latem 1943r. Przychodziły one do opisywanej wsi zarówno określonymi kanałami istniejącego zespołu organizacji AK oraz przynoszonych przez tych mieszkańców wsi, którzy nakazowo odwiezili zarekwirowane przez Niemców we wsi tak zwane "należności kontygentowe" do magazynów w powiatowym mieście Trembowla. Spotykając się tam z podobnymi "destarczycielami" z innych różnych miejscowości, wymieniali bezinteresownie różne informacje z własnych miejscowości i ich bliskich okolic, informacji im wiadomych i wiązanych i tą między innymi drogą wieści te rozchodziły się też po całej okolicy. Dochodzące do mieszkańców opisywanej wsi wieści o powyższych zdarzeniach wywołały ogromnie zatrważające poruszenie. Każda polska rodzina - indywidualnie - w całej okolicy poczuła się bezpośrednio zagrożoną śmiertelnym niebezpieczeństwem. Trudno było wprost w to uwierzyć, że te bezpośrednie śmiertelne niebezpieczeństwo, niczym nie zawinione, groziło ze strony - od wieków współmieszkańców tych ziem części "współbraci", opętanych nacjonalistyczną nienawiścią, ukraińców. Wśród znacznej części ludności polskiej, szczególnie u tej części, która zamieszkiwała w miejscowościach mieszanych ukraińsko-polskich, pojawił się strach i przerażenie. Co z sobą zrobić, u kogo szukać ratunku, komu zaufać, gdzie uciekać i czy wogóle uda się jeszcze uciec? Stwierdzić dziś trzeba, że pojawienie się bestialskich morderstw polaków, dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA, było zaskoczeniem nie tylko dla polaków, ale i znaczna część ukraińców niespodziewała się takiego obrotu sprawy. Ta część właśnie, była temu przeciwna, lecz przeciwdziałanie temu złu ze strony tej części ukraińców było prawie żadne. Jednak wszystko to, co niesli ze sobą - w stosunku do każdej bez wyjątku rodziny polskiej - nacjonalistów ukraińscy, wymagało niezwłocznego - na miarę sił i możliwości -

skutecznego przeciwdziałania ochronnego w każdych warunkach codziennego bytowania.

Był to okres końca lata i początku jesieni. W warunkach wiejskich - to okres trwających intensywnych prac. Skupionych głównie na zbiorach plodów rolnych, przygotowaniu pól i dokonaniu zimowych zasiewów jesiennych, a także równoległe z tym - w trybie pilnym - dokonywanie embletów tegorocznych zbóż i odstawianie do magazynów nałożonych przez okupacyjne władze niemieckie kontyngentów. Terminowe wykonanie powyższych prac polowych było dla mieszkańców wsi bezwzględną życiową koniecznością, ponieważ żadnych innych źródeł utrzymania - poza uprawą roli - żadna z rodzin opisywanej wsi w tych wojennych czasach nie posiadała. Charakter powyższych prac powodował, że były one wykonywane głównie pojedynczo, a najwyżej w kilka osób. Poza tym każda rodzina podejmowała i wykonywała prace wynikające z potrzeb rodzaju i charakteru prowadzonego gospodarstwa oraz prowadzonych upraw. Te skłoniły powodowało rozczłonkowanie mieszkańców wsi w ciągu dnia pracy. A przy tym wykonywanie tych prac przez każdą rodzinę nie "współgrało" wzajemnie chociażby w przybliżeniu, co do miejsca i czasu jej wykonywania z innymi rodzinami wsi. Jeżeli do tego dodać, że pola uprawne mieszkańców opisywanej wsi położone były w różnych i w znacznym oddaleniu od wsi leżącej pośród lasów, dojazd do nich prowadził bądź przez te lasy, bądź przez sąsiednią wieś Skobutka

Janowska, te mieszkańcy tej polskiej wsi, w warunkach wyżej już wspomnianych mieli podstawy czuć się mocno zagrożenymi pod każdym względem.

8. Samoobrona mieszkańców opisywanej wsi przed napadami nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA oraz sytuacja Polaków we wsiach - w których stanowili oni mniejszość.

Powyższe warunki spowodowały, że we wsi ponownie powstał prawie zakładowany zespół samoobrony. Głównym celem którego była obrona mieszkańców opisywanej wsi, przed takimi jak wyżej opisane zdarzeniami - czyli przed bandyckimi najściami nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Pojęcie samoobrony w opisywanej wsi, jak już wspomniano wcześniej, nie było wcale obcym - i jako pojęcie i jako cel jej zaistnienia. Jednak wytworzone w 1943 roku warunki, które spowodowały konieczność zaistnienia samoobrony we wsi, były zupełnie odmienne od wszystkich dotychczasowych. W każdych z dotychczas zachodzących zaszłościach, w których koniecznym stawało się zaistnienie samoobrony mieszkańców wsi, były czynniki zewnętrzne powodujące uaktywnienie ekologicznych określonych sił miejscowych narodowości nie polskiej - raczej określonych klas tych narodowości - do nieprzychylności i wręcz wrogości również do określonych klas

rodzin i kłóśób narodości polskiej. A poza tym, każde z doczas czynionych działań represyjnych, było czynione w interesie państw zabierczych (niemcy, ropja - sowiety) wysiłkiem - rękoma - określonych miejscowych sił, głównie środowisk nie polskich. W takiej sytuacji w przeciwdziałaniu samoobrony, uczestnikami jej była znaczna część społeczności z zasady niezależnie od narodości i pochodzenia.

Natomiast zaistniałe latem 1943r warunki, wytworzone zostały przez miejscowe - wielce zjadliwe, wewnątrznie zdyscyplinowane i konsekwentnie bezwzględne w działaniu - ukraińskie siły nacjonalistyczne z pod znaku UPA, które oszukane wpieryw przez sowietów, a potem przez hitlerowskie niemcy w ich oczekiwaniach na drodze powstania niepodległej ukraiiny. Wzmagaly one presję w lansowaniu wytworzonej zbrodniczej - nasyczonej nienawiścią tezy politycznej - skierowanej przeciwko polakom, upowszechniającej - praktycznym działaniem - zawołanie konieczności wyniszczenia będącego tu od niepamiętnych czasów i wieków miejscowego elementu polskiego, jako nieodzownego warunku przyspieszenia powstania niepodległej ukraiiny. Uważając, że przez wymordowanie polaków, zmuszą nielicznych pozostałych do wyjazdu na zachód, a przez to stworzą fakt dokonany - powstania niepodległej ukraiiny. Stąd przeciwdziałanie organizowanej samoobrony w tych nowowytworzonych warunkach drugiej połowy 1943 roku, było bardzo skomplikowane i dla miejscowych polaków nie rekująca powodzenia. Liczyć można było, w wytworzonych warunkach sprawy polskiej, jedynie na własne miejscowe polskie siły, które w znacznej części miejscowości episywanych okolic było w większości. Tragizm wytworzonej sytuacji, szczególnie we wsiach i małych miasteczkach o mieszanej narodościowo ludności tam zamieszkałej, pogłębiany był dla rodzin polskich przez samo usytuowanie miejsc zamieszkania - domostw rodzinnych - wcale nie w narodościowych skupieniach, lecz rozprzeszanych przemiennie pośród rodzinnych domostw sąsiedzkich rodzin ukraińskich. Stąd też takie istotne - w episywanym czasie i okolicach - dla bytowania wiejskiego i małego miasteczkowego "instytucje" - jak naprzykład studnia - było też wspólne. Wspólnie niejako było też wykorzystywane takie instytucje jak: sklep, kowal, kołodziej - stanowiące codzienną potrzebę wsi, a będące prywatną własnością wymienionego rodzaju rzemieślników - fachowców różnych narodościowo. Takie usytuowanie domostw i wspomnianych instytucji (i nie tylko tych), było wytworem bezkolizyjnej wielowiekowej zażyłości, a także narodościowo bezkonfliktowego, dobrosąsiedzkiego bytowania i wzajemnie nie wadzenia sobie z tych względów rodzin różnych narodości i różnej wiary. Każdy miejsce-

wy tworzył swoje siedlisko rodzinne - na miarę możliwości i miejscowych warunków - nie biorąc wogóle pod uwagę wcale kto narodo-wościowo będzie jego sąsiadem. Ponieważ przez wieki taki podział niefunkcjonował we wzajemnych stosunkach codziennego bytowania miejscowej społeczności. Wynikiem wielowiekowego stanu faktycznego, drogą naturalnego niejako doboru wchodziło bez żadnych jakichkolwiek przeszkód we wzajemne związki małżeńskie różnych narodowości (polak z ukraińką, ukraińiec z polką) par, które żyły w małżeń-skiej zgodzie i rodzinnej szczęśliwości, a także w bezkolizyjnych i przyjaznych wzajemnych układach, różnych narodowościowe rodziców i rodzeństwa każdego z takich małżeństw. Takie małżeństwa i rodzinne koligacje nie były rzadkością w opisywanych okolicach. Ten roz-
drębnienny rozrzut miejsc znajdowania się domostw rodzin polskich, bezpośrednio pomiędzy sąsiedzkimi domostwami rodzin ukraińskich - w znacznej części, jak już wyżej wspomiano miejscowości, w wytworze-nej sytuacji zagrożenia życia każdej polskiej rodziny ze strony nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, był bardzo niekorzystny dla bezpieczeństwa i ratowania rodzin polskich. Bardzo trudne było, a w licznych przypadkach wprost niemożliwym było zorganizować w miarę bezpieczną dla tych rodzin jakąkolwiek ochronę w ich miej-
scu zamieszkania, tak we własnym domu, jak też ochrony zespołowej dla zgromadzonych kilku rodzin w którymkolwiek z domów innych rodzin polskich w danej wsi lub miasteczku. W każdym przypadku było to bardzo trudne, ze względu na to, że każdy ruch na zewnątrz, każ-
dego z członków rodzin polskich odbywało się niejako prawie, że pod bezpośrednim oglądem - przez nieprzyjaznych nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA i każdy z polaków był narażony na bez-
pośredni ich atak przy jakichkolwiek czynnościach. W tych warunkach wprost niemożliwym było ochronić każdą czynność wynikającą z pot-
rzeb codziennego bytowania. Na to nie było ani siły, ani też odpowied-
nie skutecznych środków. A poza tym, w znacznej części - poza życ-
liwym przekazaniem uprzedzającą wiarygodnej informacji przez przy-
jaznych ukraińców - polacy nie mogli liczyć na żadną inną bezpo-
średnią czynną pomoc w przypadku najśm morderców z pod znaku UPA
na określone domostwa rodzin polskich. Mordowane w bestialski
sposób - w dosłownym tego słowa znaczenia - osoby rodziny polskiej
z zasady w makabrycznej scenerii tego dokonania, prawie że na
oczach sąsiadów z którymi przez wieki rodziny żyły w dobre sąsiedz-
kiej zgodzie, bez żadnej zdecydowanej reakcji tychże ukraińskich
sąsiadów. W podobnej do opisywanej scenerii zimą 1944r zamordowane
zostały we wsi Megielnica, oddalonej o 6 km od opisywanej wsi
Zniesienie, między innymi rodziny- Jana Gerżańskiego (3 osoby)

oraz Egieniusza i Władysława Nanowskich (6 osób). W latach 1944 - 1945 wymordowane w tej wsi ogółem 53 osoby - nikomu nieważących niczym, niewinnych Polaków - dzieci, kobiet i mężczyzn. Działo się tak z różnych przyczyn. Większość Ukraińców - przeciwników dokonywanych morderstw na Polakach, z przyczyn zastraszenia ich przez UPA morderstwami metodą podobną jak Polaków - czynnie się nie sprzeciwiała. Inna część Ukraińców - tak zwana "zbyt ostrożna" nie mieszała się w sprawy "polityczne", była to część asykuracyjno zachowawcza. Ostatnia grupa Ukraińców - była to grupa popierająca dokonywanie morderstw przez UPA na Polakach.

Gwoli prawdzie trzeba wspomnieć, że tradycją przeszłości opisywanych okolic było, - że różne rządy, różne władze, zabiercze i "swoje" przychodziły i odchodziły, a miejscowy lud pozostawał we wzajemnych bezkonfliktowych i nikomu nieważących kontaktach, sąsiedzkiej zgody, a jak było koniecznym to i bezinteresownej pomocy wzajemnej niezależnie od narodowości i wyznania religijnego. A opisywany wyżej stan faktyczny, był wynikiem przynieszonego jadu niezgody przez obcych dla tego regionu chciwych ludzi - głównie Niemców i Sowieców, w co uwierzyła bezkrytycznie część Ukraińców znajdując w miejscowych Polakach głównych wrogów niepowodzeń w uzyskaniu swej niepodległości.

Wspomniany już wyżej zespół organizowanej samoobrony wsi stanowiłi głównie mężczyźni, ale też w te działania mocno zaangażowana była znaczna część młodych kobiet - zarówno mężatek, jak i panienek. W wielu wypadkach nie mniej energicznych i zaradnych od szeregu mężczyzn.

Działania powstałego zespołu samoobrony skupiały się, że tak to można dziś określić, głównie na następujących zagadnieniach:

- zapewnienie w miarę - jak na warunki i możliwości - skutecznej ochrony ludności wsi przed zaskakującymi napadami nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA;

- zadbanie by każdy dorosły mężczyzna we wsi, posiadał stale obok siebie na podorędziu odpowiednie poręczne narzędzie do obrony, a każda dorosła kobieta odpowiedni środek do samoobrony (torebkę soli, miękkiego piasku i t.p.);

- zachowanie w tajemnicy przed zewnętrznymi, nieprzychylnymi dla mieszkańców wsi osobnikami, zasad i sposobu zabezpieczenia ochronnego ludności opisywanej wsi oraz posiadane możliwości obronne przed napadami nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA.

Od powstania zespołu samoobrony istniało w opisywanej wsi nie jako dwie konspiracyjne organizacje. Z tym, że nikt z członków zespołu samoobrony nie był zorientowany o istnieniu we wsi zespołu AK,

W przypadku jakichkolwiek odchyśleń w tym względzie (ucieczek, opieszności wykonywania i t.p.), w odwet okupant stesował w trybie niezwłocznym bezwzględnie drastyczne - wszelakiego rodzaju - represje do zastrzelenia "naruszyciela" włącznie.

Mimo tego wszystkiego, zewnętrzne sygnały podpowiadały pilną konieczność zajęcia się bardziej skutecznie pracami zapewniającymi w miarę właściwą samoobronę mieszkańców opisywanej wsi. Ponieważ w dokonaniach w tym względzie, wyczuwało się jednak niepełne przekonanie, części mieszkańców, aż takich uszczegółowionych dokonania. Wprost nie mogli uwierzyć, ażeby pośród miejscowych znaleźli się ludzie, którzy byliby zdolni podjąć się "dzieła" mordowania miejscowych - od wieków, współmieszkańców tych ziem - Polaków. Trwało to tak, aż do dnia podstępnego i nagłego napadu na dom Mariana Partyka. Było to, jak na warunki wiejskie, jeszcze nie dość późna pora - godzina około 22⁰⁰ - w jasną i piękną jesienną księżycową noc 27 września 1943 roku. Jak wszystko wskazywało, zamiarem tego napadu było prawdopodobnie uprowadzenie wymienionego wyżej gospodarza tego domu przez nierozpoznanych osobników - nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Jednak na skutek zdecydowanej samoobrony - wszelakimi podręcznymi przedmiotami i środkami - wszystkich domowników wewnątrz domostwa, z równoczesnym wołaniem o pomoc sąsiadów, którzy z pomocą pospieszili, napastnicy zostali odparci i w popłochu uciekli. To groźne zdarzenie wykazało potrzebę właściwego organizowania samoobrony mieszkańców wsi w trybie niezwłocznym. O takiej potrzebie, po tym zdarzeniu, nie przekonanych nie było.

Kim był Marian Partyka. Był to człowiek aktywny, rozważny Polak patriota. Żołnierz pierwszej wojny światowej. Uczestnik walk, lat 1918 - 1920 o polskość ziem wschodnich w granicach do 1939 roku, w tym również w wojnie bolszewicko - polskiej w latach 1919 - 1920. Przez pewien okres powojenny podoficer zawodowy wojska polskiego w stopniu plutonowego. W 1932 roku przybył z okolic pod Tarnopolem. Wykupił na skraju wsi - przy rozjeździe dróg, nieopodal mostu, nad potokiem - nieduży plac, w krótkim czasie wybudował parterowy dom jednorodzinny oraz wykupił młyn wodny nad potokiem Zgniła Rudka w opisywanej wsi Zniesienie. Miał rodzinę składającą się z pięciu osób. Żona - Maria, dwie córki własne - Wanda i Kazimiera oraz jednego przysposobionego chłopaka w wieku córek - sierotę - narodowości, ukraińskiej. W czasie drugiej wojny światowej, organizator w opisywanej wsi zespołu Armii Krajowej. Był dowódcą plutonu AK - placówka Budzanów, obwód Trembowla, inspektorat Tarnopol, okręg Tarnopol, obszar AK nr 3 Lwów. W okresie wojennym Jego działania można określić następująco - był duszą i ciałem we wszystkich po-

z wyjątkiem tych, którzy zainicjowali powstanie i uczestniczyli aktywnie w ukierunkowywaniu działania samoobronnego mieszkańców wsi. Mimo nie zmniejszania się represyjnego nacisku oraz form i metod działania w tym względzie okupacyjnych władz administracji niemieckiej i policji, we wsi prowadzono stałą obserwację dróg prowadzących do wsi i wzajemną informację mieszkańców wsi o zbliżających się do wsi nie porządkanych obcych przybyszów. W dzień, rolę tą spełniali ludzie starsi i dzieci - w odpowiednich określonych sektorach wsi. W nocy natomiast, rolę tą przyjmowali dorośli - którzy wykonywali ją przez patrolowanie prowadzących do wsi dróg, na okrajach wsi, kolejno przez co najmniej dwie osoby. W ten sposób i podobnie było na każdym prawdopodobnym dojściu (drodze) prowadzącym do wsi, których w opisywanej wsi było siedem, w tym trzy powszechnie używane przez ruch kołowy i pieszo, trzy tylko w ruchu pieszym, a jeden z utrudnieniem w ruchu pieszym. Samorzutnie niejako, mieszkańcy wsi ustalili miejsca ewentualnego gromadzenia dzieci, kobiet, ludzi starych i niedołączyń. Gromadzenie to przewidywane tylko na noc. Wytworzona sytuacja domagała się również konieczności ochrony - przed uprowadzeniami i morderstwami - mieszkańców wsi podczas ich pracy przy uprawie pól, dokonywanych jesiennych zasiewach zbóż ozimych i ork ozimych.

W wytworzonych wyżej opisywanych warunkach zmienić się musiały również działania zespołu AK w opisywanej wsi. Działania te, oprócz spraw wyżej już wspomnianych, w sprawach samoobrony rodzinnej wsi skupiła się przede wszystkim na:

- zapewnieniu (posiadaniu) bieżąco stałego rezeznania, wiarygodnej sytuacji jaka istnieje wokół opisywanej wsi - w terenie na głębokość co najmniej 3 - 5 km od okrain wsi. Ustalenie dogodnych miejsc do obronnego ataku z zaskoczenia - na podejściach do wsi - zmierzających do wsi jakichkolwiek grup nieporządkanych przybyszów;

- uwzględniając stan faktyczny w okolicznych miejscowościach bieżących zdarzeń, stosownie do ich rozwoju, wykonywanie w ustalonych miejscach strefy patrolowania wokół wsi - zaskakujących pułapek - przeciwko zmierzającym w kierunku wsi grup nieporządkanych przybyszów.

Wspomnieć też trzeba na marginesie, że wszystko to co wyżej powiedziano, należało wykonać - musiało być wykonane i w obronie bezpośredniego zagrożenia własnego życia każdego Polaka mieszkańca opisywanej wsi zostało wykonane. A realizowane to wszystko było w opisywanych już wyżej warunkach - bieżąco stale nieustające, a raczej wymagającej się presji - niemieckiego okupanta i policji ukraińskiej, głównie w zbieraniu kontyngentu i zabieraniu mienia wszelkiego rodzaju oraz zabierania (łapania) ludzi do przymusowej pracy.

czynna w wsi, jednak oficjalnie nie występował w niczym.

Od wyżej opisywanego zdarzenia, wzrosła się - że tak to można określić - samodyscyplina mieszkańców w wykonywaniu określonych powinności na rzecz samoobrony wsi. Poza tym, istniejący we wsi zespół AK pod pozorem różnych czynności uruchomił stałe bojowe patrole ochrony mieszkańców wsi wykonujących jesienne prace polowe. Początkowo tylko na drugim, trzecim i czwartym zagonie pola zwanego parcelacją oraz pola zwanego pożary i kopań. Konieczność takiego działania spowodowana została nacieraniem - przez zdecydowanie wrogo nastawionych i obcych osobników - na samotnie, bądź nielicznych rodzinnych grupkach pracujących w polu polaków. Były pobicia niewinnych ludzi i usiłowania uprowadzeń. A że były te działania nie przypadkowe i że były one celowo organizowane, wskazywało pojawianie się osobników nacierających polaków - nie pojedynczo, a wieloosobowo - pozostałość których rozmieszczana była na znacznym obszarze i w przypadku napotkania jakiegokolwiek oporu ze strony napastowanych ofiar w stosunku do napastującego, niejako niezwłocznie uaktywniała się znaczna liczba osobników, będących w różnych miejscach w pobliżu zdarzenia i czynnie wspierała napastującego (atakującego). Wspomniane wyżej bojowe patrole dla ochrony mieszkańców wsi podczas ich pracy w polu, zadania te wykonywały w dzień i na otwartej przestrzeni. A przy tym nie można się było zdradzić, że są te patrole ochronne - posiadające broń. Stąd skład patrolu, który był z zasady dwu osobowy lub rozdzielnie urzutowany nawet kilku par, musiał się czynnościowo upodabniać do ludzi udających się do pracy na określony zagon pola, bądź pracujących w polu. Poza tym **ubiór** każdego z nich musiał upodabniać się do miejscowe i sytuacyjnie właściwego wyglądu. W tej tak zagmatwanej i wielce tak już trudnej sytuacji, można było w każdej chwili natknąć się jeszcze też na policyjne grupy niemieckich i ukraińskich policjantów - tych z "oficjalnych władz okupacyjnych" - które w tym czasie zaczęły też docierać na pola z łapanką ludzi do przymusowych prac.

Wszystkie te nieszczęścia nakładały się niejako na bieżące, typowe dla wsi o tej porze roku, intensywne prace polowe, głównie takie jak zbiór ekopowych, siewy jesienne zbóż ozimych i orka ozima. W warunkach wyżej opisanych, każdy dzień tej pracy stawał się walką, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Mimo wszystkim przeciwnościom, dzięki zgodliwym zespołowo wzajemnym działaniom, mieszkańcy opisywanej wsi wszystkie plody rolne z pól zebrali, pola zbożem ozimym w niecodzownej części obsiali i orkę ozimą w niezbędnej części pól wykonali.

9. Morderstwa Polaków przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, zdarzeniem dnia codziennego:

a) wydarzenia życia codziennego Polaków w opisywanych okolicach.

Życie bieżące uzupełniane było nowymi zdarzeniami, które coraz bardziej wyraźnie zagęszczają się. Do nich między innymi należały:

- usiłowanie dokonania podstępnie zbiorowego napadu nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, od strony sąsiedniej ukraińskiej wsi Załawie - na Polską wieś Podhajczyki, odległej od opisywanej wsi Zniesienie w kierunku północnym o 9 km i przez którą przejeżdżało się jadąc do powiatowego miasteczka Trembowla. Napad ten został udaremniony dzięki odwadze i przebiegłości kilku mieszkańców wsi Podhajczyki (o czym w dalszej treści) oraz zdecydowanie skutecznego zadziałania samoobronnego. Działo się to w końcu października 1943 roku;

- w początkach listopada 1943 roku w bestialski sposób zamordowano dwóch polskich księży wyznania rzymsko katolickiego wraz z organistą - we wsi Baworewo nieopodal Trembowli;

- w końcu listopada 1943 roku też w bestialski sposób zamordowano kilkunastu mężczyzn we wsi Plebanówka;

- w połowie grudnia 1943 roku w podobny sposób zamordowano mieszkankę opisywanej wsi Zniesienie - Leonardę Szałapata. Kobieta 50 letnią - mieszkającą samotnie, spokojną, nikomu niczym niewadzącą - dla każdego życzliwą. Zamordowano ją w drodze powrotnej z parafialnego kościoła w Janowie, nieopodal wsi Słobutka Janowska pod szutrową skarpą na zamarzniętym lodzie rzeki Seret.

W innych okolicznych miejscach sytuacja Polaków też nie była lepsza - bezpieczniejsza. W tym samym czasie - na przykład: na drodze prowadzącej przez duży plac - łąkę zwaną "Łóg", przed 1939 rokiem był to plac ćwiczeń 9 pułku ułanów małopolskich, podczas mijania się jadących w przeciwnych kierunkach dwóch furmanek konnych - z furmanki jadącej w kierunku Trembowli, bez żadnego powodu, nagle, padły strzały do ludzi jadących na furmance w stronę przeciwną w wyniku czego zginęło czterech Polaków.

Wskutek narastania wyżej opisywanych zdarzeń, Polacy mieszkający we wsiach mieszanych i będący w nich mniejszością, coraz częściej i jako zjawisko narastające, opuszczali skrycie swoje rodzinne domostwa - stosując przy tym różne fartele maskujące - i udawali się na tułaczkę bądź do pobliskich większych wsi polskich, bądź do pobliskich miasteczek. W opisywanej wsi Zniesienie znalazła się, zbiegła z pobliskiej oddalonej o 6 km wsi Mogielnica - między innymi - rodzina Gerżańskich. Ludzi takich, miejscowi, traktowali życzliwie udzielając im nieodzownej pomocy - głównie miejsca mieszkalnego zamieszkania i pożywienia. Takim miejscem schronienia był również, klasztor w pobliskim miasteczku Budzanów. Był to

w dobrym stanie starobawowy zamek obronny z XVI wieku, w którym znajdował się czynny klaszter Sióstr Miłosierdzia i Kościół Rzymsko-Katolicki wraz z prebostwem. Stąd faktycznym gospodarzem całego obiektu był proboszcz kościoła Szczepan Ufryjewicz. Człowiek wielce zatroskany o polskie rodziny w okolicznych miejscowościach. To w tych katastroficznych warunkach przyciągało na zamek przybyszów do ochrony. Te wymagało z kolei wzmocnienia i gromadzenia środków zapotrzenia - żywności na zamku. Ta rola przypadła głównie polskim rodzinom z pobliskich polskich wsi i samego miasteczka Budzanów. Do nich należała również opisywana wieś Zniesienie. W miarę upływu czasu, polacy głównie ze wsi mieszanych, prawie że znikali. Jednych nacjonałiści ukraińscy spod znaku UPA w bestialski sposób wymordowali. Drużdy, którzy ocaleli uciekali do większych skupisk polskich, większych polskich wsi i miasteczek. Stąd też, będąc w stosunku do polaków w nienawistnym morderczym amoku grupy nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, zmierzały też za uciekającymi polakami.

W obronie polaków nikt nie stawał - oficjalne władze policyjne, nie były tym wcale zainteresowane mimo, że były w tych sprawach dobrze zorientowane. Byli to przecież też w przewyższającej większości ukraińcy wspomagający poczynania UPA. Niemcy natomiast, w związku ze zbliżającą się do opisywanych okolic - wycofujących się niemieckich wojsk i linii frontu wschodniego, oprócz bezpańdonowego ściągania kontygentu, a pod pozorem tego, zabieranie również wszystkiego co pod rękę popadnie oraz łapania i wysyłania ludzi na przymusowe roboty, nic ich więcej nie interesowało. Przy czym przybywali do wsi dużą siłą - uzbrojeni po zęby. Działali zdecydowanie i bezwzględnie. Zresztą te bestialskie morderstwa polaków przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA, były im na rękę, ponieważ dezorganizowały i niejako wyciszały polaków w prowadzeniu walki przeciwko niemiecom w tej części państwa polskiego, co w warunkach zbliżającego się frontu wschodniego miało dla nich istotne znaczenie. Wszystko to spowodowało, że większe skupiska polaków nie były wcale bezpieczne i zdane były wyłącznie w tym względzie na własne miejscowe siły. Wokół właśnie takich skupisk, zaczęły się pojawiać różnorakie grupy z pod znaku UPA. Mimo takich nieludzkich i barbarzyńskich zdarzeń, polacy nie podejmowali odwetowych działań. Starali się konsekwentnie bronić przed napadami. Wśród mieszkańców wyczuwało się rozpacz - i dość często stwierdzanie, że tak sobie wzajemnie czynić nie wolno. Ale ani rozpacz, ani *tym bardziej* zwykły ludzki strach nie tu pomógł nie mógł przed morderstwami. Konieczne było tu dobrze przemyślane działanie obronne. Ze strony polaków, oprócz opisanych już wyżej

wzmoczone działanie głównie na przebiegłość i na stosowanie różnych prostych sposobów - forteli - w celu uprzedzającego zastraszenia pojawiających się w pobliżu opisywanej wsi grup niepożądanych przybyszów - przede wszystkim grup nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Takim działaniem - mieszkańcom opisywanej wsi Zniesienie - sprzyjała niejako również i przyroda. Większość przestrzeni ekalającą wieś, pokryta była lasem o drzewostanie mieszanym. W znacznej części grabów, dębów, brzośców - silnie ugałęzionych prawie od pnia. Przy czym w lasach tych, znaczną część stanowiły kilkunastoletnie drzewa tego gatunku. Te gatunki drzew - to drzewa silne, posiadające bardzo dobrą przystość i słabo łamliwe. Poza tym, jak już wspomniano, lasy te rosły na terenie górzystym poprzecinanym różnymi dołami, rowami, jarami, urwiskami, wyrobiskami kamieniołowymi i t.p. Każde dojście - droga, ścieżka - do opisywanej wsi (poza drogą traktową przebiegającą skrajem wschodnim wsi) prowadziła przez taki właśnie jak wspomniano wyżej teren.

Zespół samoobrony wsi, z nieformalnej inicjatywy miejscowego zespołu AK, doprowadził do zbudowania wokół wsi - niejako, można by to tak dziś nazwać - określonego systemu obrony. Przy czym udało się tego dokonać w pełnej tajemnicy przed mieszkańcami wsi, a także z zespołu samoobrony włączani byli do tej pracy tylko kilku poza członkami - żołnierzami zespołu AK. Nieodzwonne to było poprostu dla zapobieżenia wzmagania się krańcowych emocji wśród opisywanej i tak już dość wylęknionej społeczności wiejskiej, z pojawienia się których nic dobrego by nie wynikło, a także dla zapobieżenia przedostania się do przeciwników szczegółów dotyczących sposobu samoobrony wsi.

Wykorzystując z rozmysłem opisane wyżej naturalne warunki otaczające wieś - na każdej drodze, ścieżce lub innym możliwym przejściu, poczynając od oddalonych podejść do wsi urządzono co najmniej kilka przemyślnych i przemyślnie ukrytych różnorodnych, dość jak się okazało skutecznych przeszkód - pułapek. Natomiast mimo różnych usiłowań nie udało się nic prawie uczynić zabezpieczającego dla czterech gospodarstw będących obok młyna wodnego nad potokiem Zgniaka Rudka będących przy i nieopodal drogi przebiegającej wschodnim skrajem wsi ze wsi Słebutka Janowska do Bdzanowa, a także jednego gospodarstwa będącego bezpośrednio przy lesie za potokiem.

Jednocześnie wzmożone zostało działanie patrolowe zalesionej strefy podejść do opisywanej wsi. Patrole te z czasem - stosownie do sytuacji - prowadzone były w sposób ciągły. Nocą - był to kenny zespół ruchomy, który przemierzał całą trasę kilkakrotnie w ciągu

nocy. Natomiast w dzień - były to cztery stałe posterunki obserwacyjne umieszczone w miejscu o dobrym polu obserwacji. Ustalone też były odpowiednie wewnętrzne podstawowe sygnały akustyczne (głównie dzwonem) i głosowe wzajemnego porozumiewania się, ostrzegania, alarmowania i wzywania pomocy. Ruchomy zespół konny był zespołem uzbrojonym. Każdy członek tego zespołu wyposażony był w osobistą broń palną - przeważnie karabin lub szelba - z amunicją oraz dodatkowo poręczne narzędzie do walki wręcz, również i z konia. Powodowało to, że był to zespół stale gotowy do walki, tylko w warunkach dyktowanych bezwzględną koniecznością.

Równocześnie, stosując - różne naturalnie i sytuacyjnie uprawdopodobniające - fortele maskujące, prowadzone było przez wspomnianą już wyżej grupę patrolowo bojową AK rozpoznawanie w okolicznych miejscowościach istniejącej tam sytuacji faktycznej w dziedzinie opisywanych wyżej zagadnień.

Dla uzupełnienia stanu faktycznego, jaki istniał we wsi w związku z koniecznością organizacji samoobrony we wsi - wspomnieć trzeba, że początkowo istniało bardzo niekorzystne zjawisko - ogromna krzątanina, czyniona w skrytości przed innymi, urządzania ukryć (schronów) każda rodzina dla siebie i głównie we własnym domostwie. Były to przeważnie różne wykopy we własnych domach, względnie pod określonym budynkiem własnego domostwa, do których wchodziły przeważnie w sposób przemyślny ukryte. Stąd też początkowo dominowało we wsi przekonanie, że należy przede wszystkim ochraniać własne domostwa - pilnować własnej rodziny, a nie oddalać się od domu. Przekonanie takie panowało nawet jeszcze po najściu we wrześniu 1943 r. na dom Mariana Partyki. Trzeba było włożyć wiele wysiłku, cierpliwości i perswazji, ażeby w miarę właściwie zorganizować ochronę i obronę mieszkańców wsi przed napadem nacjonalistów ukraińskich z pod znakiem UPA.

Poza tym nie ustawały, a w dalszym ciągu pojawiały się "nowe" bardzo przykre i tragiczne dla Polaków zdarzenia powodowane przez te same co wyżej opisywane nacjonalistyczne siły. W opisywanej wsi też zaistniało też zdarzenia, które być może zapobiegły o wiele dotkliwszym tragicznym zdarzeniom. Mianowicie, jeden z żołnierzy miejscowego zespołu AK - mężczyzna wyrośnięty, silny, wysoce sprawny i zaprawiony fizyczną pracą, nielekliwy młody człowiek - będąc chwilowo we wsi, był w odwiedzinach z których wracał do domu w późnych godzinach nocnych. Droga prowadziła - z części wsi, która była na terenie przywyższonym do części położonej znacznie niżej - przez znaczne wgłębienie w zboczu terenu, mając stale obok siebie

z prawa - stromy brzeg zbocza, a z lewa wysoki parkan opłotowania położonego na zboczu sadu i ogrodu. Dalej na dole, wracający do domu wyżej wspomniany, skręcał lekko w prawo przechodząc rozdroże obok publicznej studni i dość solidnego znacznego wymiarami obmurowania figury Matki Boskiej Wniebowziętej. Przedłużeniem, na wprost, drogi będącej we wgłębieniu - była droga prowadząca do odległego od figury około 150 m potoku - miejsca wodopoju bydła - po przejściu którego wchodziło się na powszechnie uczęszczaną ścieżkę leśną prowadzącą skrótowo do pobliskiego Budzanowa. Natomiast na lewo od obmurowania wspomnianej wyżej figury rozpościerał się publiczny plac - łąka zwana "stawem". Była to jesienna, deszczowa, bezksiężycowa noc. Droga gruntowa rozmokła i mocno błotna. Idąc wzdłuż obmurowania figury Matki Boskiej Wniebowziętej, spostrzegł na tle przeciwnego płotu i jaśniejszego odcienia łąki - dwa rzędy postaci ludzkich. Spostrzegł również, że te postacie są od siebie znacznie oddalone i pochyleni przemieszczają się wzdłuż płotów - skrajami drogi, zmierzając w kierunku obmurowania figury. Zauważył także, że większa liczba cieni jest jeszcze dobre kilkanaście metrów od niego - od strony łąki. Natomiast rząd o mniejszej liczbie tych osobników jakby przyspiesza i chce mu przeciąć drogę. Znając dobrze aktualne miejscowe obyczaje i obowiązujące powszechnie ustalenia wyuczul, że są to osobnicy zupełnie obcy i napewno o złych zamiarach. Działo się to wszystko bardzo szybko. Uciekać nie było szans i nie było gdzie. Zdecydował przebić się przez tę mniejszą liczbę cieni - osobników. Miał przy sobie tylko ogrodniczy nóż i latarkę o dość silnym wąskim promieniu światła. Zarówno nóż jak i latarka posiadały pętlikowane oplety umożliwiające zakładanie ich mocującą na rękę. Mając dobrze umocowaną do nadgarstka w lewej dłoni latarkę i do prawej ręki ogrodniczy nóż, trzymając na pełną długość wyciągniętej ręki - po przekątnej - do przodu i w bok przed siebie, zdecydował się zaświecić latarkę. Bezpośrednio na przeciwko niego znajdował się osobnik, który zamachnął się do cięcia szpadlem bądź toporem ciesielskim na wydłużonym sztylisku. Drugi - przyspiesznie - zmierzał do pierwszego. Pozostali byli wyraźnie z tyłu na dobre kilka kroków. Mając przed sobą człowieka atakującego, zwinnie i prawie błyskawicznym pełnym prężności schleniem tułowia, uderzając wpaść atakującemu w krocze i wziął go nagle na swoje ramiona przerzucając go silnie przez siebie do tyłu. Te zniwelowało prawie do zera siłę uderzenia narzędzia ataku. Równocześnie prawie wyrósł przed nim jak z pod ziemi drugi atakujący osobnik, który tak niekorzystnym obrotem sprawy został zaskoczony i niezdecydowanie wahajaco

przybliżył do broniącego się, który od razu z rozmachu zrzucając z siebie poprzednika uderzył go silnie nożem ogrodniczym w okolice twarzy czy szyji i ten nagle się odsunął. Droga przed broniącym się ukazała się pusta, który - czując z tyłu chlapiące w błocie kroki pozostałych zbirów, znając szutrowe miejsca na tej błotnistej drodze - co siłą w nogach uskokczył do pobliskiego wysekiego i odrutowanego kolczaste płotu, oddzielającego sad od drogi jego rodzinnego domostwa. Znając dobrze - prawie wyczuwalnie - rozmieszczenie słupów w tym płocie, bez większych przeszkód z silnego biegu płot przeskoczył, co pozwoliło mu pozostawić za sobą za płotem i oderwać się od tych atakujących go chyba z zamiarem zabicia - osobników. W sadzie tym w przykorzennym otworze dziupli bardzo starej gruszy posiadał ukryty pistolet nagan, a w graniczącej z sadem murku sieczkarni - posiadał również w schowku karabin. Zabierając szybko broń wraz z amunicją, udał się w kierunku domu Stryjów - gdzie po drodze natknął się na Stryja Jakuba, zawiadamiając go co zaistniało. Jakub udał się spiesznie do drugiego Stryja Karola, a zaatakowany udał się odwrotnie do sąsiadującego domu Szwagra Antoniego. Dość szybko i sprawnie - wszyscy odpowiednio uzbrojeni - co trwało najwyżej 5 do 8 minut od chwili ataku koło figury Matki Boskiej na drodze. Razem - wzajemnie odpowiednio do siebie rozstawieni - udali się na poszukiwanie opisanej wyżej grupy osobników. Mimo dość energicznych przeszukiwań terenu - także przez podwórzowe psy duże owczarki - nikogo z obcych nie znaleziono. Za wyjątkiem w miejscu stocznej walki znaczne plamy krwi i szpadel - bardzo dobrze z trzech stron naostrzone. Na poboczu drogi w kierunku potoku - kawałek wyszarpiętego i zakrwawionego kołnierza marynarki oraz śladów przejścia przez potok w miejscu wodopoju była. Po szczegółowym przeanalizowaniu całości zdarzenia, wszystko wskazywało na to, opisane starcie - tak dramatyczną walką - było przypadkowe i dla nieproszonej grupy "przybyszów" było chyba zaskoczeniem. Wszystko też wskazywało na to, że napotkanego przypadkowo człowieka chcieli po prostu zabić. Grupa ta liczyła prawdopodobnie 6 - 8 osobników i przybyła najprawdopodobniej z zadaniem rozeznania ochrony we wsi. Przybyła ona i ubyła przez potok Zgniła Rudka w miejscu wspomnianego już wyżej wodopoju była, prawdopodobnie leśną ścieżką od strony Bażanowa. Wyżej opisane zdarzenie nie było rozpowszechniane z prostej przyczyny, by nie wzmacniać obaw mieszkańców wsi przed napadami. Sprzyjał temu fakt, że zdarzenie to zaistniało w miejscu znacznie oddalonym od domów mieszkalnych, w ciemną wiejską jesienną deszczową i błotnistą noc - oświetlenia tam wówczas nie było żadnego - stąd bardzo mało osób

zdarzenie to słyszało. Przy czym sama akcja tego zdarzenia odbyła się błyskawicznie. Poinformowani zostali o tym żołnierze miejscowego zespołu AK i członkowie grupy samoobrony wykonującej zadania patrolowe zewnętrznej strefy ochrony wsi. Poza tym prowadzono również czuwanie i ochronę wejścia do wsi od strony leśnej ścieżki z kierunku Budzanowa. Wzmocnieniem tej ochrony, było stałe posiadanie przez miejscowy zespół AK w pobliżu tego miejsca dwóch granatów "samoróbek", które wisiały na poddaszu domu Władysława Jędorowicza, bez wiedzy kogokolwiek z domowników tego domu, pod dużą wiązką wyschniętego ziela uwieszoną dość wysoko z zewnątrz przy poddaszu nowo zbudowanego domu. Wiedzieli o tym miejscu określone żołnierze miejscowego plutonu AK.

Innym zdarzeniem w niedługim czasie po wyżej opisanym, było najechanie kilku furmanek z ludźmi - jadących w niewiadomym celu w kierunku opisywanej wsi - na jedną z wcześniej urządzonych, wyżej już opisywanych, pułapek w której zostały nagle uruchomione wszystkie jej elementy zarówno mechaniczne jak i pirotechniczne. Pułapka była zupełnie prosta. Silna i sprężysta rosochata gałąź przydrożnego graba, została przygięta do ziemi i tam uhaczona specjalnym kołkiem zaczepnym. Dla zwolnienia tej gałęzi z zaczepu w poprzek drogi leżało drewno - posiadające możliwość ruchu w dół na wielkość umożliwiającą zwolnienie gałęzi z kołka zaczepnego. Wszystko to było zamaskowane i upodobnione naturalnie do otoczenia. Najście lub najechanie na belkę naciskiem, uwalniało z zaczepu belkę oraz uruchamiało sprężysty i nagły ruch gałęzi w górę uderzając z dużą siłą (chwytanie) we wszystko co na drodze tego ruchu było. Do końca gałęzi umocowany był "granat samoróbka" - w łusce artyleryjskiego pocisku kalibru 40 mm. Tego rodzaju granat w łusce artyleryjskiej (z odpowiednio proporcjonalną ilością prochu wewnątrz), powodował przy wybuchu jedynie silny strumień ognia prochowego, a będące przy nim naczynie z naftą wskutek szarpnięcia gałęzi rozlewało naftę i wzmagало ogień. Sam wybuch nie powodował huk, a jedynie charakterystyczne chłośniecie z szumem, a eksplozja spłonki łuski charakterystyczny trzask. Zdarzenie miało miejsce w dolnej części zjazdu z mogielnickiego kamieniołomu w kierunku wpisywanej wsi Zniesienie. Wszystko to razem wzięte, przy nagłym uruchomieniu jego działania wywróciło będącą w ruchu furmankę, która nań najechała i spowodowała wybuch przy jednoczesnym dużym płomieniu prochowym spotęgowany ogniem rozlanej nafty. To wypłoszyło konie, które poniosły wbrew woli przerażonych i wywróconych pasażerów. Konie następnej furmanki również się wypłoszyły. Silne oświetlenie, w ciemną noc zauważyła grupa bojowo patrolowa AK wracająca z zadania. Przy czym pułapki te

był dziełem właśnie tej grupy. Rozstawiając się odpowiednio rozeznała dokładnie z kim i co się zdarzyło. Cała grupa rozmawiająca w języku ukraińskim osobników, jadących jak się okazało czterema furmankami, w miarę cicho i szybko się pozbierała i odjechała trzema furmankami z powrotem dolną drogą - niezbyt często używanej - podnasydami kamieniołomu, prowadzącej w kierunku wsi Mogielnica. Zbieranie rozproszonych, jak się okazało, osobników opisywanej grupy do wyjazdu, wskazywało że czynili to osobnicy zorganizowani wzajemnym podporządkowaniem. Na miejscu pozostały porozrzucane części rozbitego wozu i spalona słoma siedzeń, a także porozrzucana słoma z fragmentami siedzeń nie spalonych. Wszystko było porozrzucane wzdłuż drogi ucieczki wypłoszonych koni.

Wokół opisywanej wsi, miały tej jesieni 1943 r. jeszcze i inne podobnego charakteru zdarzenia. Między innymi, przypadkowe starcie na polu, położonym wśród lasów, zwanym "kopań". Patrolowa bojowa grupa AK natknęła się tam na posterunek grupy UPA - szkolącej się we wręce przyleśnego zakola wspomnianego pola - na dużym zagłębieniu ścierniska koniczyny. Po nagłym, zdecydowanym i zaskoczenia starciu, grupa UPA ustąpiła w popłochu ostrzeliwując się bezładnie pojedynczymi strzałami. Po tym zachowaniu się, wnioskowano wówczas, że była to nie duża grupa początkowego szkolenia bez broni, szkolących się dopiero w podstawowych zagadnieniach rzemiosła wojskowego nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, mająca jedynie doraźną ochronę z bronią, na którą natknęła się grupa patrolowa bojowa AK. Ta grupa UPA ustępując nie wiedziała nawet kto ich zaatakował. Wynioskowano to z ich wzajemnych nawoływań podczas ustępowania.

Innym zdarzeniem było ostre starcie na skraju lasu zwanym "Broczucha". Również bojowo patrolowa grupa AK wykryła, że z lasu w kierunku rzeki Seret - niopodal brodu - na wysokości położonych po przeciwnej stronie rzeki, wschodniej części lasów zwanych "Budzanowszczazna", które okalają od strony południowej opisywaną wieś Zniesienie, gromadzą się małe grupki nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA - na wysokości i w kierunku wymienionego brodu wspomnianej rzeki. Przedostanie się tych grup przez rzekę, mocno zagroziło by mieszkańcom opisywanej polskiej wsi. Wspomniana wyżej grupa bojowo patrolowa AK, w pośpiechu, lecz jak się okazało później dość skutecznie, wykonała dwie pułapki obok szosy, którą zmierzające do rzeki grupa musiały przechodzić. Poza tym, obok drogi zorganizowano również nocną zasadzkę. Wszystkie te elementy usytuowano tak, by się wzajemnie wzmacniały. Jak się okazało w praktyce, zmierzające w kierunku rzeki trzy grupy natknęły się na wspomniane pułapki i zostały nimi mocno

zaskoczone - na co wskazywała nagła chaotyczna strzelanina z ich strony - nie wiadomo do kogo. Za wspomnianymi trzema grupami, zmierzając w kierunku rzeki następne dwie nieduże grupki, które zostały zaskoczenia dość skutecznie zaatakowane. Nagłość, zaskoczenie i skuteczność zadziałania wspomnianych wyżej pułapek w połączeniu z efektywną bojową aktywnością zasadzki, spowodowało wycofanie się uparców z powrotem do lasów zwanych "Broczucha" i jak się później okazało za niechcianie w ogóle z przejścia w opisywanym miejscu przez bród wymienionej wyżej rzeki. Na marginesie przypomnieć też trzeba, że przy wykonywaniu wyżej opisywanych już pułapek - wykorzystywano łuski pocisków artyleryjskich z których przy eksplozji nie wszystkie rozrywały się, a pozostawały w miejscu wybuchu. Ich znajdowanie w miejscach wybuchu spowodowało pojawienie się w opisywanej okolicy plotki, że ktoś raś ze wsi - najprawdopodobniej polska wieś Zniesienie posiada działko i karabin maszynowy. Przypominano sobie przy tym, że jest to zupełnie niemożliwe, a nawet pewne, ponieważ przez poblizę wsi i przez wieś wycofywali się sowietci rezbici nad rzeką Strypą w okolicach Zarwanicy.

b) podstępne uprowadzenie mieszkańców opisywanej wsi przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA.

Oprócz wyżej opisanych wydarzeń z końcem 1943 roku - lasy i miejscowości opisywanych okolic - zaczęły się dość pośpiesznie zapękniać różnego rodzaju wojskowym sprzętem wojennym, amunicją i wojskimi w dużych ilościach właściwych dla strefy przyfrontowej. Linia frontu bezpośredniej styczności walczących przeciwstawnych sobie stron, Niemców i Sowietów - konsekwentnie przybliżała się do opisywanych okolic. Niemcy się wycofywali, zaciekle jednak walcząc. Walki frontowe przybliżały się i obejmowały opisywane okolice. Wszystko to w niczym nie poprawiło warunków bezpieczeństwa będących tam w znacznej jeszcze wówczas liczbie rodzin polskich.

W ciągle pogarszających się warunkach życie - z różnymi podobnościami do opisanych wyżej, większych lub mniejszych wydarzeniami - mimo, jak by się wydawać mogło, że gorzej być już nie może, trwając powszechnie na granicy ludzkiej wytrzymałości fizycznej i psychicznej, społeczność narodości polskiej zimą roku - z 1943 na 1944 - przeżywała bądź w większych skupiskach wiejskich, bądź miejskich. A wielu w skrytości przed mordercami - stosownie do miejscowych uwarunkowań i możliwości - wyjeżdżało do rejonów bezpieczniejszych, bliższych centralnej polski.

W opisywanej wsi panowało już powszechne przekonanie o konieczności samoobrony jej mieszkańców. W zasadzie wszystko w tym względzie funkcjonowało. Jednak nie rozstrzygnięte było - dla

samoobrony mieszkańców wsi, stan bardzo niekorzystny - co zrobić z wolnym przejazdem przez wieś obcych, zupełnie przygodnych i nieznanymi osobników, drogą publiczną: jedna traktowa, już wyżej wspomniana, przechodząca wschodnim skrajem wsi oraz druga też gruntowa przebiegająca środkiem przez całą wieś i prowadząca przez okoliczny las do granicznej gajówki, a następnie leśniczówki i dalej do wsi - oddalonej o 6 km - Mogielnica. Obawiano się, że zamknięcie tych przejazdów zaalarmuje miejscowe władze okupacyjne, które na pewno wzmogą represje, a nie można też było już wówczas wykluczyć, że z ich strony może zadziałać chęć mściwości. W obawie o dzieci, kobiety, ludzi niedoświadczonych i starych, a także nie mając żadnych środków i sił na otwarte przeciwstawienie się władzy, drogi powyższe pozostawiono jako powszechnie przejezdne dla wszystkich, wzmagając ich stałą obserwację. Wszystkie opisane wyżej poczynania samoobronne wsi, na pewno w jakimś stopniu sygnalizowały morderczym grupom nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, że zespołowy napad na wieś napotka na wielki i bezpardonowy opór, który może się okazać nieopłacalny wcale dla napadających. Częściowym potwierdzeniem takiego rozumowania, że mogło ono polegać na prawdzie, może być fakt pojmania i uprowadzania pojedynczych mieszkańców tej miejscowości.

W jedną z niedziel, a było to 13 lutego 1944r, nie wrócił do domu Julian Bajrakowski. Żona Jego Józefa tak wspomina o tym już drugim we wsi (pierwsze - wyżej opisane już, było nieudane) tak tragicznym zdarzeniu... ianowicie:

"Julek mój zaraz z rana gdzieś poszedł i po niedługim czasie wrócił i ja poszłam do kościoła. Kościółek był w naszej wsi. Julek - mój mąż - został w domu z dziećmi. Ja przychodzę do domu, a mego Julka nie ma. Zostawił małego Zbysia ze starszym Józkiem, który miał 9 lat, a Zbysio dwa i pół roku. Pytam dziecko gdzie tatuś, to dziecko odpowiedziało, że tata poszedł w stronę lasu. Przyszła do nas moja siostra z sąsiedniej wsi - była u nas w kościele. Najstarszy syn Janek miał już 12 lat i czekamy wszyscy, aż przyjdzie tata. Rozmawiamy z siostrą, a Julka nie ma. Już się robi wieczór, siostra poszła do domu, a ja nagle odczułam bardzo silnej tęsknoty i strachu. Pobiegłam po pozostawianych na śniegu śladach Julka w tę samą stronę. Śniegu było dość dużo i można było iść jego śladem. Zbiegłam dość odległy kawałek i tam leśną dróżką jechali saniami i zasypali ślad Julka. Nie wiedziałam już gdzie mam iść i zaczęłam wołać - Julek! Julek!! A tu już zapada noc i robi się ciemno. Krzaki zaczęły szeleścić, a ja dostałam strachu i uciekam co sił do domu. Przyszłam do domu, zastałam pełne mieszkanie chłopów. Stali jak

wryci w ziemię. Nikt nic do siebie nie mówił. Oni już coś wiedzieli, że Julka nie ma, bo jeden z nich - Krzysztof Wasyliak widział, że jacyś ludzie jechali saniami do lasu, że pewno byli to banderowcy co Julka złapali. Całą noc siedzieli u nas ludzie i czekali może skądś nadejdzie Julek. Rano jego brat i ja poszliśmy do lasu, może znajdziemy jego ślad dalej w lesie. Ale dalej w lesie śladu już nie było, bo sanki ślad zasypały. Następnie chłopci całej wsi poszli do lasu szukać choć by jego ciała. Nic nie znaleziono. Na czwarty dzień pojechaliśmy do Mogielnicy - do kuzyna mego męża - może on coś wie za niego. On był sołtysem w Mogielnicy - Dobnia Jań. On był też w gromadzkiej radzie. Jak ja tam przyjechałam ze swymi sąsiadami - Antonim Puchniak i Ireną Jędorowicz - to jego żona poszła do gromadzkiej rady i zawołała go do domu. Jak wszedł do mieszkania i zobaczył mnie i mówi - co jest bratowa? To ja mówię - bracie, Julka mego nie ma, a on chwycił się za głowę i mówi - to nie Karol, a Julko. I powiedział mi - cicho, nie płacz - jak on żyje, to przyjedzie do domu. A tym Karelém to był brat Julka. Pojechaliśmy do domu, a Julka do dziś dnia nie ma."

Mimo tych bardzo niepewnych i trudnych warunków, młyn wodny na potoku Zgniła Rudka nadal był czynny - wprawdzie z przerwami, ale był czynny. Właścicielem tego młyna był Marian Partyka - ten właśnie, którego usiłowali porwać we wrześniu 1943 roku - najprawdopodobniej nacjonaliści ukraińscy z pod znaku UPA. Po pewnym uspokojeniu się - a raczej w wyniku czasowego oddalenia od dnia zaszłości, wyciszenie się - sytuacji związanej z uprowadzeniem mieszkańca opisywanej wsi i członka miejscowego zespołu AK Juliana Bajrakowskiego, przyjaciele - podkomendni - znajomi ostrzegali właściciela młyna Mariana Partykę, ażeby nie przebywał w młynie - ciągle, jak czyni to dotychczas. Młyn stoi na uboczu, jak już wspomniano, a przytym nieopodal drogi publicznej przebiegającej wschodnim skrajem wsi - drogi wprawdzie gruntowej, ale znanej w okolicy jako traktowej przebiegającej przez miejscowości, wówczas zwane, Słobutka Janowska i Budzanów. Przyczym, ten rejon będący na uboczu nie mógł być pod stałym nadzorem całości. Właściciel młyna wyrażał się, że na dniach młyn zamknie. Lecz tego nie czynił. Do młyna jednak nie chodził sam. Poza tym, posiadał stale przy sobie broń - pistolet typu nagan. Był jednak zbyt pewny siebie, co udzielało się również i tym, którzyżnim byli - w rodzaju ubezpieczenia, których zresztą sobie podebrał.

Po niedługim czasie, bo 9 marca 1944r wieczorem, te same co wyżej już opisywane, siły z pod znaku UPA - dokonały napadu na młyn, steroryzowali bronią wszystkich tam obecnych, raniąc 5 osób i upro-

wadzili właściciela Młyna Mariana Partykę. Jan Semkowicz bezpośredni uczestnik - był w młynie i został ciężko ranny - tak wspomina to zdarzenie. "W młynie w czasie napadu byli obecni: - Marian Partyka właściciel młyna, Andrzej Bobryk - młynarz, Michał Sadowy, Ludwik Skokun, Wincenty Skokun, Jan Semkowicz - mieszkańcy wsi Zniesienie i Woriski ze wsi Mogielnica. Wszyscy oni byli w kolejce do mielenia przywiezionego zboża na mąkę. Chciałem w międzyczasie wyjść na zewnątrz młyna, drzwi były zamknięte od wewnątrz. Po otwarciu drzwi natknąłem się na stojących bezpośrednio pod drzwiami obcych, nieznanym mi osobników - z których trzech wypychając mnie z powrotem - weszła do wnętrza. Wszyscy uzbrojeni, jeden z pistoletem maszynowym typu PPSz gotowym do strzału - zatrzymał się przy drzwiach wejściowych, krzyząc - wszyscy stać na miejscu. Dwóch podbiegło dalej i siłą zabrali Mariana Partykę, który stał w tym czasie przy walcach. W trakcie wyprowadzania M. Partyki - stojący przy drzwiach z pistoletem osobnik zapytał - a co z pozostałymi? Wychodzący odpowiedział - wystrzelać. Pytający niezwłocznie otworzył do ludzi ogień. Mnie trafił z boku - w pierś, Michała Sadowego - ranił w przedramię lewej ręki, Ludwikowi Skokunowi przestrzelił szczękę - pocisk przeszedł przez język i podbródek obok krtani. Woriskiego ranił w plecy - pocisk przeszedł obok serca. Wincenty Skokun uciekł pomiędzy walce i rury i wybiegł na poddasze wzywając przez otwory okienne pomocy i ratunku. Na ten krzyk strzelający uciekł z młyna. Po pewnym czasie ranny Ludwik Skokun zaczął uciekać, ja za nim. Uciekając wyszedłem na podwórze Jana Szostopala s. Onufrego. Napotkany Wojciech Szóstopal s. Onufrego zabrał mnie do domu, gdzie zrobili mnie opatrunek. Byliśmy wszyscy czterej ciężko ranni". Wzywanie przez Wincentego Skokuna pomocy i ratunku spowodowało we wsi alarm. Część ludzi samoobrony udała się w kierunku wzywającego pomocy z zamiarem pochycenia napastników. Może, byłoby się to i udało, gdyby nie zachowanie się przejeżdżającego w tym czasie drogą traktową skraju wsi - do dziś nie wyjaśniono, czy to był przejazd przypadkowy, czy też może z góry zaplanowane upozorowane działanie - jak się później okazało gajowego, ukraińca z sąsiedniej wsi, jednego z dość aktywnych złośliwością nacjonalisty, Michała Włosek, który jadąc przez wieś na furmance konnej w kierunku wsi Słobutka Janowska zaczął strzelać z posiadanej przy sobie dubeltówki. Noc była chmurna i ciemna. Oprócz oświetlenia lampami naftowymi lub karbitówkami wewnątrz mieszkań, żadne inne miejsce w owych czasach nie było oświetlane. Grunt był rozmokły, stąd i droga traktowa była błotnista. Pojawienie się furmanki było nagłe. Przejeżdżała ona przez wspomniany już wyżej odcinek drogi traktowej skraju wsi, dość szybko - co koń uszkodziło

z której to furmanki słyhać było strzały znaczone błyskami. Zmyliło to idących na pomoc. Podejrzewano, że właśnie tą furmanką uchodzą sprawcy czynu, który spowodował wzywanie pomocy i ratunku. Idący na pomoc jeszcze nie wiedzieli że uprowadzono właściciela młyna. Czterech z idących na pomoc zdobyło szybko na podorędziu konie z pobliskich gospodarstw i wierzchem - na oklep - na koniach poczęła ścigać "strzelającą" furmankę konną, starając się przeciąć jej drogę. Co się poniekąd udało. Po "dojściu" ściganej furmanki okazało się, że jedzie na tej furmance wymieniony wyżej gajowy, zupełnie pijany. Koźni powozi jego służący. Po odebraniu strzelby i zagrożeniu mu - błagał, że nikt z nim nie jechał, nikogo nie widział, a strzelał ze strachu, bo wjeżdżając do wsi jak by wyczuł, że dzieje się we wsi coś niedobrego. Po udaniu się z powrotem również koźni na oklep w przeciwnym od wsi kierunku - starano się spenetrować teren nad potokiem i drogi leśne wraz z przesieką w lesie przylegającym do opisywanej wsi zwanym Budzanowczyzna. Bez żadnego rezultatu - działo się to już w tym rejonie ze znacznym - około 2 godz. - opóźnieniem. Mylącym było również, w głos przed własnym domem, wzywanie pomocy przez przerażoną zaszokowaną żonę Ludwika Skokuna po ujrzeniu zakrwawionego ciężko rannego męża. Mimo usilnych bezpośrednich przeszukiwań przylegającego do młyna i tej części wsi terenu, Mariana Partyka nie odnaleziono - przepadł bez śladu. Poszukiwania nie ustawały. Ranni w napadzie zostali jak najtroskliwiej opatrzeni przez miejscowych "sanitariuszy".

Możliwości uzyskania pomocy lekarskiej, w ogóle nie mogło być mowy - ponieważ w okolicy lekarza nie było. Najbliżej gdzie można było uzyskać fachową pomoc lekarską było powiatowe miasteczko Trembowla - odległe o 16 km - odległość nasyciona podobnymi tragicznymi dla Polaków przeszkodami, jak ta wynikiem której są opisywani ranni. Bardzo wszechstronnie była rozważona sprawa wyjazdu do lekarza z rannymi. Nie było wcale pewności, że ranni i ci którzy ich powiozą, do lekarza dojadą w sytuacji jaka zapanowała wokół opisywanej wsi. W sytuacji, która zaistniała - wszyscy ranni pozostali na miejscu z wyjątkiem Woriskiego, który zabrany został przez rodzinę do domu w Mogielnicy. A wspomnieć też trzeba, że oprócz wspomnianych już zdarzeń, każda noc końca lutego i marca 1944 roku, to był istny piekielny koszmar. Słyszało się prawie co noc charakterystyczne dzwonienie dzwonów polskich kościołów - wołających pomocy i ratunku - żony pożarów palących polskich domostw. A przy zbliżeniu się z pomocą - słyhać było zgrzyt i łoskot śmiertelnych zmagañ obronnych tych, którzy zaskoczeni nie poddawali się i lamentsy gło-

sów dzieci, kobiet i starców bestialsko mordowanych zupełnie niewinnych istot ludzkich - żyjących tu od niepamiętnych lat licznych miejscowych rodzin polskich. Po uprowadzeniu Mariana Partyki, wzmożła się obawa czy wieś zdoła obronić swoje dzieci, ich matki i ludzi starych. Po porozumieniu się z księdzem proboszczem Szczepanem Ufryjewicz z parafii pobliskiego Budzanowa, którego wieś Zniesienie była jego rodziną wsią, za jego przyzwoleniem z większości rodzin - dzieci, kobiety matki i ludzie starsi wiekiem pozostawili własne domy i udali do klasztoru wyżej już opisanego.

c) drugi napad nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA na - niezbyt odległą od opisywanej - polską wieś Podhajczyki.³

W połowie marca 1944 roku dokonano również, już drugiego napadu na polską wieś Podhajczyki. Nieudany na szczęście napad dokonany na wieś Podhajczyki we wrześniu 1943 roku pozwolił wyciągnąć szereg wniosków i poprawić organizację samoobrony wsi. Zorganizowano okrężnie - od zewnątrz wokół wsi - sześć stałych czujek rozmieszczonych w oddaleniu jedna od drugiej w odległości nie większej jak 200 m. Ze względu na przelotową szosę biegnącą przez wieś, wprowadzono kontrolę osób przejeżdżających przez wieś. Zabroniono i bezwzględnie przestrzegano tego ustalenia - opuszczania wsi komukolwiek i pod jakimkolwiek pozorem. Warty na czujkach pełniono stale dzień i noc. W dzień w składzie pomniejszonym, na noc każdy skład czujki powiększane. Oprócz wymienionych czujek w określonym miejscu wsi istniała wartownia w której przebywała stale w pogotowiu określona liczba mężczyzn uzbrojona w broń palną różnego typu i rodzaju. Poza tym w każdym gospodarstwie wsi istniały przemyślnie wykonane różne kryjówki do których w przypadku napadu skrywać się mieli domownicy danego gospodarstwa - głównie dzieci, kobiety i starcy. W celu niedopuszczenia do powstania zamieszania i chaosu w razie napadu, wprowadzono określone sygnały dźwiękowe obowiązujące w czasie zagrożenia, w tym również obowiązek zachowania we wsi stałej ciszy. Wyłoniono również dowództwo samoobrony - akceptowane przez większość mieszkańców wsi, komendantem której został Józef Berys - zginął jako żołnierz pierwszej armii ludowego wojska polskiego podczas ciężkich walk pod Kołobrzegiem wiosną 1945 roku.

W takich jak wyżej opisano warunkach po różnych drobniejszych incydentach wieś Podhajczyki dotrwała do drugiego totalnego napadu grup nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA w połowie marca 1944 roku.

Jak się okazało, główne siły napadu na opisywaną wieś Podhajczyki przybyły z kierunku majątku zwanego pod Mogiłą (Mogylom) znajdującego się wówczas obok wsi Romanówka i północno zachodniego skraju wsi Mogielnica. Obie wsie zamieszkałe były wówczas w większości przez ludność narodowości ukraińskiej. Napad zorganizowano w nocy

w zasadzie z trzech kierunków: z północno zachodniego - niedużej połaci lasu przylegającego prawie do wkrain wsi; z zachodniego - od strony lasu zwanego ścianka; z południowego - od strony kierunku wsi Dołhe. Napad nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA rozpoczął się od strony lasu przylegającego do okrain wsi w części północno zachodniej - w kierunku gospodarstw będących po obu stronach ulicy przebiegającej obok kościoła. Właśnie tu - około godziny 21⁰⁰ - znajdujący się na czujce mężczyźni powiadomili wartownię, że z pobliskiego lasu dochodzą podejrzane odgłosy wskazujące na to, że do wsi zbliża się ktoś lub coś w większym zespole. Wiadomość ta niestety okazała się prawdziwa. W niedługim czasie nastąpił atak na znajdujące się od tej strony wsi gospodarstwa. Napad wyrażał się w tym, że od strony wspomnianego lasu zaczęły się zbliżać dość pewnie postacie osobników bandy UPA strzelających w zabudowania wsi pociskami zapalającymi. Po zbliżeniu się do pierwszych zabudowań na odległość 50 - 30 m, rozpoczęli również strzelać bezpośrednio do zabudowań rakietami. Tak prowadzony atak również ze strzelających broni pociskami karabinowymi w kierunku zabudowań, dotarł do pierwszych zabudowań, które się już paliły wraz z całym dobytkiem żywym i martwym. W tym czasie odcinek ten broniło dwie czujki, które posiadały dwa karabiny z obciętymi lufami (obcinki) i jedną strzelbę. Czujki te broniły się dzielnie. Mimo tej uporczywości dzielnej obrony, napadająca z tego kierunku grupa w sile około 150 osób dotarła do zabudowań wsi stosunkowo szybko. Po dojściu do ulicy przed kościołem, zaczęli podpalać nie płonące jeszcze przy tej ulicy zabudowania. Mimo, że w płonących zabudowaniach przy tej ulicy nie było ludzi, a tylko cały dobytek żywy i martwy będący w tych gospodarstwach, to jednak wytworzona tu sytuacja stawała się wprost katastrofalna dla całej wsi. Zjawił się jednak w porę w tym rejonie Józef Zajac z ręcznym karabinem maszynowym. Zajął w dość dogodnym miejscu stanowisko ogniowe z którego cała uliczka na której zaczęli się grupować - większość napadających na wieś z tego kierunku nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, którzy najprawdopodobniej zaczęli początkowym powodzeniem poczuli się jeszcze pewniejsi w swoich zbójceckich zamiarach i nie przewidywali chyba żadnej dla siebie groźby. W takim to momencie, zupełnie dla zbójceckiej sfory nieoczekiwanie, Józef Zajac zaatakował ich ze swojego ręcznego karabinu maszynowego bardzo skutecznie. Był to atak druzgocący, ponawiany jeszcze przez Józefa Zajac z kilku kolejnych miejsc. Wśród zbójceckich zbirów rozległy się wrzaski i jęki, a po niedługim czasie dały się słyszeć słowa - bracia uciekajcie bo poginiemy (bratia wtykajty bo pokynym). I rzeczywiście napór zbójceckiej grupy osłabł i nie

był już nie był już z tego kierunku ponawiany. Gospodarstwa jednak płonęły, strzelanina nie ucichła. W płomieniach ginęło żywcem bydło, konie, świnie i inny żywy inwentarz. W tym samym czasie rozpoczęła się dość intensywna strzelanina na dwóch pozostałych kierunkach zbójckiego napadu na wieś. Mianowicie - od strony kierunku wsi Dołhe i od strony kierunku lasu zwanego Scianka. Te zbójckie grupy będące na tych kierunkach, zachęcane powodzeniem atakującej grupy zbójów od strony kościoła - nie wiedząc jeszcze o dotkliwych skutkach tam zaistniałych wskutek przeciwataku broniących się mieszkańców napadniętej wsi, chcąc wzmocnić efekt napadu, wzmogły strzelaninę. Równocześnie - niespodziewanie - pojawiła się, nieznana dla obrońców wsi Podhajczyki, od strony wsi Wybranówka (strony zachod.) grupa jeźców, która napotkawszy grupę zbójów atakujących wieś Podhajczyki, z całą determinacją - od tyłu, z zaskoczenia - skutecznie zaatakowała zbójcką grupę i szybko się wycofała. Wynikiem, jak się okazało, skutecznych ataków - głównie obrońców wsi, jak też tej nieznanej grupy - atak, który był napewno wspomagającym obrońców wsi Podhajczyki, był fakt, iż zbójcka sfera napadająca na wieś Podhajczyki zaczęła się bezładnie wycofywać w kierunku północno zachodnim. Napadu tej nocy na wieś Podhajczyki nie ponawiano. Dzięki nieźle zorganizowanej samoobronie wsi oraz zdecydowanym, uporczywym i sprawnym działaniom jej sił w trakcie napadu, zbójcki napad na wieś - poraż drugi - znacznych liczbowo sił nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, udało się odeprzeć bez śmiertelnych strat ludzkich ze strony obrońców wsi. Częściowemu spaleniu uległo pięć gospodarstw w których zginęła część inwentarza żywego. Po dość długim upływie czasu w zupełnie przypadkowej rozmowie uczestników opisanego wyżej zdarzenia, wyjaśniło się że tą niewiadomą grupą konną, która tak wspomogła obrońców wsi Podhajczyki, była grupa patrolowo bojowa plutonu AK Zniesienie, która będąc na rozpoznaniu w rejonie natknęła się na część sił zbójów dokonujących opisanego wyżej bandyckiego napadu i w wysokim stopniu determinacji dość skutecznie je zaatakowała z zaskoczenia.

Ludzie wsi Podhajczyki, którzy bardzo istotnie i znacząco przyczynili się do sprawnej organizacji i działania praktycznego samoobrony wsi, jej wyposażenia w nieodzowne środki oraz wyróżniali się działaniem w trakcie napadu, byli między innymi następujący jej mieszkańcy. Mianowicie: Borys Józef - komendant samoobrony. Organizator pozyskiwania broni dla samoobrony wsi. Zginął później jako żołnierz pierwszej armii WP podczas ciężkich walk pod Kołobrzegiem wiosną 1945 roku. Szydłowski - organizator zdobywania

broni dla samoobrony wsi. Złota Franciszek, Sobkowiak Michał (drugi).
Zajac Józef - posiadał ręczny karabin maszynowy. Spital Bolesław.
Owsiak Jan. Sobkowiak Michał (pierwszy). Mandziej Kazimierz. Kwiatkowski
Jan. Kuszcza Tadeusz. Sobkowiak Władysław. Haczkiwicz Tadeusz. Tarnawa
Jan - zginął później jako żołnierz pierwszej armii ludowego wojska
polskiego w walkach z Niemcami przed rzeką Łabą, wiosną 1945 roku.
Cybulka Stanisław.

d) napad na pobliską polską połowę wsi Wierzbowce i dokonane tam
spustoszenie bestialskimi morderstwami.

W nocy z 18 na 19 marca 1944 roku nacjonaliści ukraińscy z pod
znaku UPA dokonali bestialskiego napadu na część polską dużej wsi pol
sko ukraińskiej Wierzbowce, zamieszkałą w tej części w zasadzie przez
rodziny polskie w ogólnej liczbie około 350 gospodarstw rolnych i po
dobnej wielkością części zamieszkałej w zasadzie przez rolnicze rodzi
ny ukraińskie. We wczesnych godzinach nocnych pojawiło się prawie jed
nocześnie w różnych miejscach polskiej części wsi szereg grup obcych
osobników. Część z nich była w mundurach wzoru czerwonej armii sowiec
kiej. Część z nich przybyła furmankami konnymi od strony wsi Łaskowce
i jednym lub dwoma samochodami ciężarowymi od strony szosy Budzanów
Czortków. Prawie niezwłocznie z pojawieniem się tych grup zaczęły pło
nąć, początkowo pojedyncze zabudowania na okrajach polskiej części wsi,
a w niedługim czasie wszystkie gospodarstwa w tej części wsi stały w
płomieniach. Wraz z pożarami słychać było strzelanie w różnych miejs
cach polskiej części wsi. Powstał ogromny zamęt, wrzask, lament. Ludzie
jedni zaczęli uciekać całymi rodzinami i pojedynczo w okalające wieś
pola, inni kryli się w uprzednio przygotowanych własnych kryjówkach.
Jeszcze inni starali się jeszcze w tym wszystkim bronić dobytku. Głównie
nie wypuszczali ze stajen i chlewów wszystko co żywe, wyganiając go na
zewnątrz. Nieproszeni "przybysze" zbójceckich grup, przewyższające zorganiz
owaną siłą i uzbrojeniem - metodycznie dom po domu dokonywali bes
tialskiego zbiorowego morderstwa, zbiedzonych długotrwałą niedolą weje
nną prostych niewinnych wieśniaków - dzieci, kobiety, starców, mężczyzn
bezbronnych błagających o darowanie życia istot ludzkich. Żadne błaga
nia o litość nie pomagały. Ciemny motłoch zaureczony mściwym jadem
nacjonalizmu z zimną krwią mordował bezbronne istoty ludzkie narodo
wości polskiej - jako "głównego" wroga w "imię" wcale mu niewyobrażał
nej niepodległej Ukrainy. Mimo że taka ofiara nie była ani niczym real
nym uzasadniona, ani też nikomu nie potrzebna - ponieważ nikt z żyjącej
tam społeczności polskiej w Ukrainie nie zagrażał, ani też nie było to
praktykowane w przeszłości. Jako żniwo tego napadu - bestialsko zamor
dowani zostali niżej wyszczególnieni mieszkańcy wsi Wierzbowce - za
pisani imiennie przez małżeństwo: Ksawera i Stefan Bazylkiewicz;

byłych mieszkańców części polskiej wsi Wierzbowce i bezpośrednich uczestników opisanych wyżej tragicznych zdarzeń w nocy z 18 na 19 marca 1944 roku i którzy oboje przeżyli ten tragizm. Mianowicie podczas omawianego napadu zamordowani zostali:

1. Rozalia Rutko - lat 50.
2. Alojzy Rutko < lat 20.
3. Anna Rutko < lat 16.
4. Maria Rutko < lat 17, znaleziona w piwnicy pod spalonym domem
' nieprzytomna i odratowana.
5. Alojzy Bulak - lat 20.
6. Stefan Bulak < lat 30.
7. Michał Bulak < lat 22.
8. Jan Miśków < lat 18.
9. Aniela Miśków < lat 24.
10. Stefan Polulak' - lat 34.
11. ~~Małgorzata~~ Snieżyk - lat 40.
12. Alojzy Snieżyk < lat 18.
13. Stefania Snieżyk < lat 12.
14. Zofia Snieżyk < lat 8.
15. Jan Olejnik < lat 50.
16. Rozalia Grycan < lat 35.
17. Alojzy Grycan < lat 12.
18. Michał Grycan < lat 9.
19. Stanisław Berbec < lat 31.
20. Maria Pińkowska < lat 60.
21. Stanisław Pińkowski - lat 48.
22. Zdzisław Pińkowski - lat 28.
23. Maciej Bielawski (Byk) - lat 22.
24. ~~Maria~~ Kubaczkowska < lat 40.
25. Tadeusz Kubaczkowski < lat 10.
26. Anna Kubaczkowska < lat 8.
27. Bronisław Byk < lat 40.
28. Michał Byk < lat 14.
29. Rozalia Byk < lat 8.
30. Michał Szmigiel < lat 23.
31. Apolonia Szmigiel < lat 20.
32. Michał Skubicki < lat 25.
33. Zofia Skubicka < lat 22.
34. Michalina skubicka < lat 20.
35. Wawrzyniec Buła < lat 50.

36. Maria Kinal - lat 40, oraz jej troje
dzieci w wieku od 5 do 10 lat:
37. Katarzyna Kinal
38. Jan Kinal
39. Maria Kinal.
40. Grzegorz Bartosiewicz.
41. Antoni Bartosiewicz.

Z 350 gospodarstw w opisywanej wyżej części wsi Wierzbowce, ocalało kilka zaledwie budynków, pozostałe wszystko spłonęło doszczętnie. Całość pozostałych przy życiu mieszkańców wsi częściowo rozproszyła się. Część skryła się w zamku w pobliskim Budzanowie. Część u sióstr zakonnych w Trembowli. Byli w niemałej liczbie i tacy, którzy pozostali na miejscu w spalonych zgliszczach swych domostw. Ciała pomordowanych - wszystkich wymienionych wyżej mieszkańców wsi, pogrzebane zostały w grobach nowozałożonego dla tego celu cmentarza, wokół kościoła - tuż przy kościele - wyznania rzymsko katolickiego tej wsi. Okres lutego i marca 1944 roku przed miejscowymi zespołami polskich grup konspiratorów i bojowców ~~stępolisko~~ ~~środków~~ ~~okolic~~ stawiał wymagania wprost ponad siły. Istniejący zespół AK w opisywanej wsi Zniesienie, wykonawczo skupiony został wokół zadań - zorganizowania, stosownie do realnych możliwości i istniejących warunków, skutecznej samoobrony wsi. I tu wykonanie odpowiadało faktycznym możliwościom i warunkom, lecz dalekie było od faktycznych potrzeb pełnego zabezpieczenia. Skuteczna realizacja tego zadania wymagała zapewnienia dobrego rozeznania stanu bieżącego zagrożenia w zewnętrznej strefie wokół opisywanej wsi. Początkowo zadanie to realizowane było tylko przez patrolowanie terenu wokół wsi w odległości 3 - 5 km oraz ewentualne zakładanie wyżej opisywanych już pułapek w wybranych odpowiednich miejscach. Okazało się to o wiele za mało. Upowscy mordercy chodzili gromadami w określonych kierunkach. Patrolując teren tylko wokół opisywanej wsi, uzyskiwano bardzo mało w odniesieniu do stałego wówczas pytania, czego realnie i skąd można się spodziewać? Dla posiadania nieodzownego bieżąco rozeznania, trzeba było niejako "chodzić" wokół tych rejonów w których ta - rozwydrzona, nasycona jadłem nacjonalizmu i mściwości - sfora UPA-wców grupowała się, "mieć tak zwany kontakt". A to wcale, ani do łatwych ani też bezpiecznych nie należało. Każde wykrycie i schwytywanie takich obcych powyższym grupom UPA-ców ludzi oraz wykrycie, że tymi obcymi łączymi są polacy - groziła, każdemu z takich ludzi, jako pewność okrutna męczeńska bestialstwem śmierć. Mimo tych stale grożących niebezpieczeństw, trzeba było mieć stale w polu widzenia te

morderczo aktywne grupy nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. W okresie lutego i marca zadanie to wykonywano stale. Właśnie wykonywanie tego zadania - dążenie do wiarygodnego rozeznania istniejących bieżąco zagrożeń wokół opisywanej wsi - zaprowadziło siedmio osobową konną bojową grupę patrolową zespołu AK z tej wsi w okolice pastwiskowego wzgórza - ciągnącego się obok szosy i cmentarza - zachodniego skraju wsi Podhajczyki. Stało się to w nocy i to w momencie napadu na tą wieś sfory rozwydrzonych nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Zadanie to choć w swym rezultacie mogło się skończyć wielce tragicznie to jednak w swym przebiegu miało również cechy humorystyczne. Mianowicie - wspomniana grupa patrolowa, wpadła konno z góry i od tyłu w pieszne szeregi rozciągniętych grup ukraińskich idących do napadu i zbliżających się po stoku wzniesienia do opłotków wsi. Z przeciwnej strony wsi widać było palące się budynki i słychać było strzały z broni palnej. Zbliżająca się do wsi wspomniana grupa patrolowa AK - w widocznym ze wzgórza wspomnianym wyżej obrazie wsi, mając przysłonięty nieco krzewami stok wzgórza - nie spodziewała się wcale spotkać od tej strony wsi kogokolwiek. Natomiast ukraińcy, napewno nadjeżdżających od tej strony kilku jeźdźców nie zauważyli i napewno też niespodziewali się, że od tej strony - od tyłu - może im ktoś zagrozić. Konna grupa po zorientowaniu się gdzie się znalazła, z wielką determinacją, też dla własnego ratunku - z okrzykiem "to nasi" - z całym pędem z zaskoczenia i dość skutecznie atakując strzałami i jedną wybuchową "samoróbką", z półkola w pełnym galopie wycofała się bez własnych strat w kierunku lasu zwanego Ścianką. Dalej okrężną drogą polami w granice strefy patrolowania wokół własnej wsi, starając się po drodze wysledzić kierunek odejścia ukraińców od wsi Podhajczyki. W trakcie wychodzenia grupy konnej z ataku, wśród ukraińców wzmogła się bezładna wrzawa i nawoływania w narzeczu miejscowego języka ukraińskiego oraz krzyki i wrzaski - chyba "starszyny". W późniejszym czasie okazało się, że zaskoczenie i skuteczność ataku grupy konnej było na tyle efektowne, że od tej strony banderowcy ataku na wieś Podhajczyki nie wykonali. Obroncy wsi Podhajczyki długie lata głowili się, kto zaatakował banderowców na podejściach do wsi. Wyjaśniło się to po wielu latach podczas przypadkowego spotkania towarzyskiego uczestników obu akcji i przypadkowym wzajemnym opowiadaniu sobie o minionych zaszłościach.

e) ochrona i obrona warownego zamku w Budzanowie - miejsce schronienia znacznej liczby dzieci i matek rodzin polskich, którym udało się uciec z życiem z okolicznych miejscowości.

Schronienie znaczącej liczby kobiet, matek z dziećmi oraz ludzi w starszym wieku w opisywanym już wyżej klasztorze na zamku w pobliskim Budzanowie, w warunkach stale wzrastającego zagrożenia napadu nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA również na zamek, stworzyło niezwłoczną konieczność wzmocnienia samoobrony i samo -

obrony tego bardzo ważko znaczącego obiektu dla ludności polskiej opisywanych okolic. Mimo różnych rozważań, wewnątrz zamku znalazło się ogółem 42 mężczyzn w miarę sprawnych - w tym 16 względnie uzbrojonych. Ta właśnie grupa 42 mężczyzn tworzyła zasadniczą siłę zespołu samoobrony ludzi, którzy schronili się w zamku (klasztór, kościół wyznania rzymsko katolickiego, probostwo). Komendę nad tym zespołem objął Józef Niedzielski - plutonowy rezerwy - zastępca dowódcy miejscowej placówki Armii Krajowej. Staży mieszkaniec zamku. Człowiek rozważny, energiczny i odważny. Konsekwentny w działaniu. Część wymienionego składu samoobrony stanowili - konspiratorzy - żołnierze AK. Byli to głównie ci, którzy posiadali broń. Część z nich przybyła do zamku na wyraźne polecenie przełożonych, do ochrony ludności która tam się schroniła. Niezwłocznie przystąpiono do przygotowania zamku do samoobrony. Wprowadzono stałą służbę ochronną w zamku.

Zamek - była to budowla okolona zewnętrznym kamiennym murem o grubości 4 - 5 metrów i wysokości 10 i nawet w niektórych miejscach dochodzącej do 20 metrów. Od zewnątrz zaokrąglona i bez kantów w kształcie przybliżonym do prostokąta. Budowla położona na cyplu znacznego wzgórza. W kompleksie zabudowy zamku mieściły się: w części zachodniej - kościół; w części północnej - klasztor sióstr miłosierdzia; w części południowej - probostwo. Wewnątrz zamku znajdował się dość okazały wymiarowo dziedziniec i od strony klasztoru, bardzo głęboka i też wiekowa studnia z której wodę pobierano drewnianym wiadrzem uwiązany na łańcuchu, opuszczanym i wyciąganym za pomocą korb kół zamachowych umocowanych na słupach nośnych cembrowiny. Na osi tych kół zamachowych umocowany był około 4 metrowej długości i około 30 - 40 centymetrowej średnicy drewniany wałek na który nawijał się łańcuch przy wyciąganiu wiadra z wodą ze studni. Długość i średnica wałka musiała zapewniać możliwość pełnego nawinięcia na niego całej długości łańcucha, który był co najmniej o 2 metry dłuższy od całkowitej odległości od osi na której wałek się obraca na cembrowinie do lustra wody w studni. Na dziedziniec do wnętrza zamku można się było dostać od zewnątrz tylko trzema wejściami. Jedno dwudrzwiowe, które stanowiło główne wejście do kościoła. Drzwi tego wejścia były silne, wykonane z grubych desek dębowych obitych od zewnątrz - co najmniej pół centymetrowej grubości - żelazną blachą przytwierdzoną kowalskimi gwoździami. Każda połowa drzwi uwieszona na trzech kowalsko kutych zawiasach oraz oprócz zamknięcia na zamek, ryglowane od wewnątrz trzema ryglowymi sztabami. Tym wejściem - przechodząc przez kościół - można było wyjść na dziedziniec przez istniejące od tej strony dwa wyjścia z kościoła -

jedno bezpośrednio na dziedziniec, drugie przez zakrystię. Drugie wejście na dziedziniec wnętrza zamku prowadziło przez bramę wjazdową znajdującą się od strony południowej. Był to otwór w murach zamku na całą ich grubość o szerokości około 4 metrów i wysokości około 5 metrów. Zamykany był dwudrzwiową drewnianą bramą. Brama wykonana była z grubych dopasowanych desek kantówek, umocowanych wzmacniająco kowalskimi okuciami i gwoździami do znajdujących się od wewnątrz w każdej połowie bramy, drewnianych rygli. Każda połowa bramy posiadała cztery solidne kowalskie zawiasy i zawieszana była na cztery - wpuszczone głęboko w mur zamku - grube kowalskie skoble. Brama nie miała blaszanego obicia od zewnątrz, a zamykana była od wewnątrz na dwie żelazne zasuwki i ryglowane dodatkowo trzema drewnianymi ryglami.

Trzecie wejście na dziedziniec zamku, było jednodrzwiowym wejściem do klasztoru - od strony północnej - drzwi którego były wykonane i zamykane podobnie, jak już wyżej opisane, główne wejściowe drzwi do kościoła. Tym wejściem do klasztoru - po przejściu wnętrza korytarza - można było wyjść na dziedziniec zamku tuż w pobliżu studni.

Organizując samoobronę, niezwłocznie przystąpiono do przystosowania całego obiektu - to znaczy zamku - do zapewnienia ludziom w nim będącym możliwości samoobrony przed napaściami i atakami z zewnątrz. Szczególnie zajęto się przygotowaniem ludzi znajdujących się w zamku do samoobrony przed napadem nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Wprowadzono stałą służbę ochronną zamku, która polegała na pełnieniu patrolu obserwacji zewnętrznych przyległości zamku z murów zamku. Wprowadzenie nieodzownego porządku organizacyjnego i dyscypliny wykonawczej przestrzegania ustaleń w tym względzie przez zespół samoobrony zamku, wymagało zasadniczego i szczegółowego omówienia tych zagadnień przez kompetentną osobę. W tym celu Józef Niedzielski przeprowadził w kościele krótkie zebranie całego stanu osobowego zespołu samoobrony zamku. Na tym zebraniu ustalił, że wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni, znajdujący się w zamku, są fizycznymi członkami samoobrony - w której proponuje się, wstępnie, jako obowiązujące następujące ustalenia:

- pod kierownictwem starszego warty - 16 mężczyzn pełni stale służbę obserwacyjno patrolową. Rozliczenie następujące: *kilku* mężczyzn na posterunkach; *kilku* jest w określonym miejscu i czuwa; *kilku* jest w określonym miejscu i odpoczywa, lecz jednocześnie stanowią oni stałe pogotowie. Zmiana następuje co 2 godziny; *kilku* *nastu* mężczyzn posiadających broń - w dzień, stosownie do zewnętrznych uwarunkowań sytuacyjnych, muszą mieć 8 godzin spania - ponieważ w pozostałym okresie doby są patrolowo czynni według oddzielnych

ustaleń.

- pozostali mężczyźni i stosowna liczba kobiet, która się w miarę swoich możliwości (opieka nad dziećmi) zgłosi do pracy - wykonując stale prace przystosowawcze zamku do samoobrony. Mianowicie - między innymi - w trybie nieomal niezwłocznym, obicie bramy wjazdowej na dziedzińiec od zewnątrz blachą; uzbieranie przy murach zamku na zewnątrz maksymalnie możliwej ilości niezbyt dużych obiętościowo kamieni i powozić je w określone miejsca pod mur wewnątrz zamku. Następnie przetransportować je na mury zamku i ułożyć odpowiednio w możliwych i określonych miejscach w pobliżu zewnętrznej krawędzi ściany muru obronnego zamku; Zabarykadować na trwałe od wewnątrz - bramę wjazdową na dziedzińiec i wejście główne do kościoła przy drzwiach wejściowych do klasztoru - od wewnątrz - przygotować silną, lecz szybko odstawianą i szybko zakładaną barykadę. Wszyscy, którzy schronili się w zamku rozmieszczeni są, bezpośrednio na podłodze, w pomieszczeniach poszczególnych kondygnacji klasztoru. Pomieszczenia te i nie tylko te były pełne ludzi, którzy się tu schronili. Wszystkie sprawy bytowania korygują siostry zakonne w uzgodnieniu z księdzem proboszczem Szczepanem Ufryjewiczem.

W zamku schroniło się wiele polskich rodzin, głównie kobiet z dziećmi - którym szczęśliwie udało się tu dotrzeć. Wspomnieć też trzeba, że właśnie taka grupa udająca się do zamku ze wsi Mogielnica - do zamku nie dotarła. Po drodze została wymordowana. Miejsca tego mordu do dziś nie odnaleziono - w grupie tej było prawdopodobnie cztery kobiety i siedmioro dzieci.

Miejscem przebywania - niejako wartownią, składu samoobrony zamku pełniącego służbę patrolowo obserwacyjną (zmiana czuwająca, pogotowie), był korytarz parteru w pobliżu drzwi wejściowych - od wewnątrz - do klasztoru. Zmiana służby odbywała się raz na dobę w godzinach rannych. Na miejsce odpoczynku - grupy samoobrony - posiadającej broń, wydzielono pomieszczenie w części probostwa. Z grupy tej - uzbrojonej - do pełnienia służby na murach, jako pogotowie, włączano jednorazowo nie więcej jak jedną trzecią stanu tej grupy.

Wszystko to co opisano wyżej, zastosowano jako podstawę zespołowego działania na kilka dni przed wkroczeniem wojsk czerwonej armii radzieckiej, jako wynik szalejącego terroru ze strony nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA w stosunku do Polaków w opisywanej okolicy.

Jednocześnie utworzył się oddzielny nieduży zespół, fizycznie w pełni sprawnych, odważnych i zdecydowanych na wszystko młodych ludzi, którzy podjęli się wychodzenia i działania na zewnątrz,

głównie z zamiarem wiarygodnego rozeznania bieżąco faktycznej sytuacji w miasteczku i jego okolicach oraz w pobliskich miejscowościach - przede wszystkim w odniesieniu wzrastających zagrożeń dla ludności polskiej zgromadzonej w zamku. Była to grupa działająca nadal w konspiracji, składająca się z członków - żołnierzy, którzy wezwani zostali, bądź z innych przyczyn znaleźli się w zamku miejscowej placówki AK - uzupełnionej z pośród tych kilku, którzy znajdowali się na terenie miasteczka. Działaniem tej grupy, którą z rodzaju wykonywanych zadań nazwać można dziś - rozpoznawczo dewersyjną - kierował bezpośrednio plut. rez. Józef Niedzielski. Działania tej grupy dostarczyły istotnych danych o ruchach i miejscach skupiania się morderców rodzin polskich - nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, ruchach wojsk niemieckich i zbliżających się za nimi wojsk czerwonej armii radzieckiej, a także pomagali napotykanym uciekinierom - przed mordami UPA - polakom w dotarciu na zamek gdzie się z zasady udawali. Takiej też pomocy udzielili w nocy z 18 na 19 marca 1944 r uciekinierom ze wsi Wierzbowce. Żołnierze tej grupy zadania swoje wykonywali głównie pojedynczo, najwyżej we dwóch - lecz jeżeli we dwóch, to nie razem, a jedynie w urzutowaniu na wzrokową odległość jeden od drugiego. Tą drogą wykryto, że do miasteczka przybywa coraz to więcej obcych osobników, którzy przebywają przeważnie w częściach miasteczka zwanych "kąt" i "Łapajówka" oraz, że miejscowi - głównie ci szczególnie nasyceni jadem nacjonalizmu ukraińskiego z pod znaku UPA i wrogości do polaków, wzmogli zainteresowanie - zaczęli przeważnie pojedynczo przemierzać część miasteczka zwaną "podzamcze" - zamieszkałą przeważnie w zwartych sąsiedzkich zespołach w znacznej części przez polskie rodziny. Tam też w dniu 20 marca 1944 r Józef Niedzielski wracając od znajomego na podzamczu do zamku, zetknął się z prowakacyjnym zachowaniem się wobec niego młodego znajomego ukraińca nacjonalisty, który mając w pewnym oddaleniu innych pojedynczo idących kolegów, zastąpił na chodniku drogę J. Niedzielskiemu ze słowami - "czemu tak się gromadzicie w zamku, to i tak wam nie pomoże, a z tobie panie Niedzielski to przyjdzie się chyba mnie rozliczyć tu na miejscu". Słowa te wypowiedziane do człowieka, który nic złego, ani temu młodemu człowiekowi ani też komukolwiek z jego rodziny, nie uczynił. J. Niedzielski nie czekając końca - trzymając prawą rękę w bocznej kieszeni i ściskając w ręce pistolet, lufa którego wystawała do wewnątrz pod marynarkę, nieznacznym ruchem ukazując lufę pistoletu, stanowczym tonem głosu powiedział - zejść natychmiast

z drogi bo astrzelę i nie czyn żadnego ruchu wożającego pomoc. Ukrainiec widząc w ręku J.Niedzielskiego broń i wystającą z pod poły marynarki lufę pistoletu w jego kierunku, od razu zeskromniał mówiąc - panie Niedzielski idź pan idź. Ja tylko żartowałem. Ustąpił z drogi! J.Niedzielski niezwłocznie skręcił i udał się prawie biegiem przez ogrody pod górę do zamku, pozostawiając całą tą pojedynczo rozrzuconą grupę UPA - wską na pierwszej uliczce podzamcza nieco podał domostwa Gomułkiewiczów. W całym tym dramatycznym zdarzeniu, które o mało co nie zakończyło się tragicznie dla J.Niedzielskiego, humorystycznym było to, że w posiadanym pistolecie nie miał on ani jednego naboju. Uratowała go zimna krew, odwaga i zdecydowane działanie.

Pojawili się też, tych samych co wyżej sił, pojedynczy interesanci - zbyt obfitej częstotliwości jak na ten błotnisty kierunek ruchu - przejeżdżający pojedynczymi furmankami i przechodzący pieszo drogę w kierunku wsi Skomorosze i z powrotem, tuż obok młyna wodnego na rzece Seret w Budzanowie, którego właścicielem był Krukowski - był on też w Budzanowie dowódcą plutonu miejscowego zespołu AK.

W nocy z 20 na 21 marca 1944r - w różnych miejscach, głównie jednak od strony wschodniej i południowej, dwukrotnie podchodziły pod mury zamku - pojedyncze niezbyt liczne grupy nacjonalistów ukraińskich z podznaku UPA. Za każdym razem byli zauważani i po zbliżeniu się bezpośrednio pod mury zamku, zostawali od tych murów wypłoszeni - rzucanymi z murów kamieniami, będących na górnych płaszczyznach tych patroli samoobrony zamku. Wymuszenie - wycofując się z pod murów zamku, robili ogromną wrzawę. Odgłosy tej wrzawy przedostawały się do wnętrza zamku, co bardzo podniecało ludzi będących wewnątrz, głównie kobiety obawiające się o dalsze losy swych dzieci. Szczególną rolę w utrzymaniu spokoju wśród tej zamkowej społeczności odegrali księża, przede wszystkim ksiądz proboszcz Szczepan Ufryjewicz. Utrzymanie względnego spokoju wśród nie małej przecież liczby ludzi, a wśród nich nie małej liczby tych, którzy ledwie uszli z życiem z miejsc dokonywanych rzezi ich najbliższych, sąsiadów i współmieszkańców wsi nie należało do czynności, ani łatwych ani prostych. Jednak dzięki troskliwości i zapobiegliwości księdza proboszcza, względny spokój został utrzymany.

W tą też noc z zamku - w jak największym sekrecie, pojedynczo - dwie trzecie tych, z grupy samoobrony zamku, którzy posiadali broń rozeszli się po terenie miasteczka i pobliskich okolicach wokół

wokół zamku. Każdy z nich otrzymywał zadanie bezpośrednio od J. Niedzielskiego i żaden z nich nie wiedział dokładnie - kto, gdzie poszedł. Był ustalony tylko ogólny sygnał - "jestem w sytuacji bez wyjścia - dwa strzały, jeden po drugim". Był to sygnał wyłącznie dla grupy pojedynczych żołnierzy, która wyszła z zamku i znajduje się w terenie. Był też obowiązujący wszystkich, ogólny sygnał - "dzwonienie sygnaturką wieży kościelnej" - co oznaczało, że na ludzi znajdujących się w zamku dokonano napadu, wołamy o pomoc. Dla wszystkich uzbrojonych, którzy wyszli z zamku był to też sygnał do dokonania dużego zamętu "krzykliwego", przede wszystkim w częściach miasteczka zwanych "kut", "folwarki", "zapajówka".

Wszyscy, którzy wychodzili z zamku, uzbrojeni, na zewnątrz - wychodzili po sznurze - bądź przez okno w kościele, bądź też przez okno w klasztorze.

W tym co wyżej opisywanym czasie również i w opisywanej wsi Zniesienie spokoju nie było. Część mężczyzn musiała odeść dla wzmocnienia ochrony zamku - tam gdzie schroniły się dzieci i matki ze wsi. Odeszła też część z grupy patrolowej zespołu AK. We wsi pełniona była nadal w dzień i w nocy patrolowa służba dyżurna. Było polecenie, aby tych którzy są poza zamkiem wesprzeć bronią, oddając w pewne ręce. Wojciech Pleszczak, który w ramach istniejącego we wsi zespołu AK, pełnił również i funkcję - nazwijmy to - zbrójmistrza i magazyniera broni. Poprzez różne dobrze rozpoznane wypadki i zabiegi "wygospodarował" - jeden pistolet maszynowy typu PPSz wraz z 60-ciomą sztukami amunicji i przekazał Wojciechowi Szostopala s. Wojciecha oraz jeden karabin KBk wraz z 10-ciomą sztukami amunicji, który przekazał Adolfowi Malinowski z pobliskiej wsi Słobutka Janowska, którego ojciec był młynarzem w młynie o napędzie elektrycznym - był to drugi młyn i znajdował się w niedalekim oddaleniu wschodniego skraju wsi. Obydwaj wymienieni wyżej byli to żołnierze plutonu AK Zniesienie - po odbyciu czynnej służby w wojsku polskim przed 1939 rokiem. W opisywanej wsi pozostało około jednej trzeciej jej mieszkańców - głównie mężczyzn, w tym i najstarszych wiekiem, fizycznie sprawnych. Działanie obronne wsi skupiało się w zasadzie w dwóch placówkach:

- zachodniej - w rejonie wykopu, na styku ogrodu S. Gacha i sadu Juliana Bajrakovskiego. Zasadniczą podporą i znaczącą siłą tej placówki byli mieszkańcy tej wsi - Karol Bajrakovski, Józef Zajac s. Grzegorza i Longin Gorzański;

- wschodniej - w rejonie wykopów ogrodu Miachała Pleszczaka. Zasadniczą podporą i znaczącą siłą tej placówki byli mieszkańcy

tej wsi - Michał Słobodzian, Wojciech Szostopal i Stanisław Malarczuk. W okolicach zewnętrznych stref wsi było - jak na opisywane warunki spokojnie - poza pobliskim Budzanowem. Wśród mieszkańców Budzanowa - w części miasteczka od strony opisywane wsi Zniesienie, przez które musiało się przechodzić idąc do Klasztoru i zamku w Budzanowie. Części zwane "Folwarki", "Kut", centrum z rynkiem i "Podzamcze" - na których terenie zaczęło się coś żamać. Pojawiać się zaczęły w tych częściach poczynania dotychczas tutaj niespotykane. Zaczepianie ludzi w biały dzień przez obcych zupełnie nieznanymi osobnikami. Najścia na polskie domostwa w biały dzień. Spotkało to między innymi domostwo Gronka. Przyszli zupełnie obcy ludzie - żadna oficjalna władza okupacyjna - i chcieli schwytać syna. Syn będąc w innym budynku zdołał uciec z domu i na przełaj przez pola, zauważony później przez napastników, dotarł do klasztoru gdzie zdołał się ukryć.

Więści przyniesione przez wysyłanych przez J. Niedzielskiego żołnierzy AK grupy rozpoznawczo szturmowej z obszaru miasta i jego okolic w nocy z 20 na 21 marca 1944r nie były pocieszające. W obszarze takich części miasteczka jak "Kut", częściowo "folwarki" i "Łapajówka" jest znaczna ilość osobników obcych. Zachowujących się wyzywająco i zaczepnie nawet w stosunku do miejscowych ukraińców. Pojawiły się w ciągu dnia 21 marca wieści, że w miasteczku jest około 700 uzbrojonych nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA. Inne dane pozwalały przypuszczać, że może ich być około 200 - 250 osobników. Przyniesione też wiarygodne wieści, które mówiły, że wojska czerwonej armii radzieckiej doszły już do drogi Trembowla - Kopyczyńce oddalonej od Budzanowa około 12 - 15 kilometrów. Zresztą 21 marca - w dzień - grupa radzieckich samolotów bojowych przelatywała na niedużej wysokości, która była dobrze widoczna z murów zamku na horyzoncie, nad lasami kobywłockimi. W nocy też z 20 na 21 słychać było już niezbyt odległe odgłosy kanonady artyleryjskiej. Dzień 21 marca i wczesne godziny nocne z 21 na 22 marca 1944r upłynęły na ogół normalnie - lecz w dużym zatroskaniu i napięciu przed napadem nacjonalistów UPA na zamek. Obawy te niestety po niedługim czasie okazały się uzasadnione.

W późnych godzinach nocnych, ta wyżej wspomniana i rozpoznana liczba będących w miasteczku obcych osobników z pod znaku UPA z zamiarem krwawej rozprawy z niczym nikomu niewadzącymi polskimi rodzinami, dała o sobie znać. Rzucili się jak sfora rozbewstwionych wilków na część miasteczka zwaną "podzamcze" pałac polskie domostwa

i mordując bestialsko - bezżadnych powodów i żadnego przewinienia nikomu i w niczym - zastanych i wykrytych w tych domostwach zupełnie niewinnej istoty ludzkiej. Całe podzamcze stało w ogniu z wołaniem o ratunek, strzelaniną i wrzawą ludzką, a także rykiem przerażonego ogniem bydła, rżeniem koni, piskiem trzody i wszelkich żywych stworów palących się gospodarstw. Wszystko to odbywało się niejako na oczach ludzi - głównie kobiet i dzieci, które schroniły w zamku. Działo się to przecież w niedużym oddaleniu, w części miasta ciągnącej się bezpośrednio u podnóża góry na której stoi zamek - od jej strony południowej ku wschodniej. Płomienie palących się domostw, odbijały cienie poprzez okna kościoła - będącego jednolitą budowlą zamku. Jednocześnie z napadem na opisywaną wyżej część miasta - ta sama co wymieniona wyżej bestialska sfera - usiłowała wejść do wnętrza młyna i domu mieszkalnego właściciela młyna wodnego nad rzeką Seret w Búdzanowie. Właścicielem tego młyna był Krukowski. Młyn ten od centrum miasta i zamku znajdował się na przeciwległym brzegu rz. Seret - na wąskim przesmyku między dość stromym i znacznie zalesionym krzewami wzgórzem, a rzeką Seret - przy drodze gruntowej prowadzącej do wsi skomorosze.

Wszystkie jednak otwory, przez które można by było wejść do wnętrza młyna, jak też i do domu, były dobrze pozamykane i zabezpieczone. Na powórzowym placu przed młynem zauważono znaczną krzątalinę. Przemykało przez ten plac wielu osobników grupujących się pod kamiennymi murami ścian młyna i domu mieszkalnego krytych blachą. Po różnych podstępnych, nieudanych próbach wezwaniach do otwarcia drzwi do młyna, zaczęli się do młyna dobijać. Nie mogąc pokonać otworów i zapór - wejść do młyna i domu - zaczęli bułyńki ostrzeliwać. Będący wewnątrz broniący się zespół pod kierownictwem właściciela młyna - Krukowskiego - bronił się dzielnie, odpowiadając również ogniem z broni palnej, w tym z ręcznego karabinu maszynowego. Mimo usiłowań, ani młyna, ani też domu mieszkalnego napastnicy podpalić nie zdołali.

Opisywanej nocy, od wczesnych godzin zauważono znaczne ożywienie w przemieszczaniu się szeregu grup nie spotykanych uprzednio - tak to można określić - z za rzeki do centrum miasta i w kierunku części miasta zwaną Łapajówka. Z tych właśnie części miasta nastąpił później, wyżej opisany, napad na część miasta zwaną Podzamcze.

Zachowanie się, że tak to można określić, kierownictwa samoobrony ludności będącej w zamku było dostosowane do

uwarunkowań zaistniałych w mieście i stosowne do możliwości. Bezpośrednio pod murami zamku nie zauważono nic podejrzanego. Patrole będące na murach zamku wzmogły czujność. Sprawdzono posiadane środki obrony. Stworzona została w zamku - wprawdzie nieliczna - grupa odwodowa, wzmocniona kilkoma ludźmi z grupy posiadającej broń. Wystawiono również patrole przy oknach wysokiego parteru w klasztorze. Wśród pozostałej ludności będącej w zamku, głównie matek z dziećmi, wskutek słyszalnej w zamku istniejącej wrzawy trądzimu dziejącego się na zewnątrz - przede wszystkim dochodzących głosów i płemieni ognia z podzamcza, dało się wyczuć i zauważyć ogromny niepokój. Mimo późnej pory ksiądz proboszcz zaprosił wszystkich na modlitwę do kościoła. W tym krytycznym momencie zaproponowano odprawienie mszy pogrzebowej nad wszystkimi obecnymi w zamku. Uzasadniając, że może nie będzie komu jej odprawić, jeżeli by osobnicy z pod znaku UPA napadli na zamek i przedostali się do wewnątrz. Ta właśnie msza w poważnym stopniu rozładowała napięcie. Po jej zakończeniu, była już późna noc, a raczej już początkowe godziny 22 marca 1944r. Na podzamczu dopalały się zgliszcza poszczególnych domostw. Udane zadziałanie pojedynczych żołnierzy z grupy kilkunastu wysłanych z zespołu AK posiadających broń, ściągnęły raczej w trybie śpiesznym - z rejonu centrum i podzamcza - do części zwanej kut, folwarki inkapajówka. Skutecznie zostały również ostrzelane niektóre ulice - z zupełnego dla UPA - wów zaskoczenia - w częściach miasta zwanych kapajówka, centrum i folwarki - przez które przejechała w pełnym galopie cokolusko, kilku osobom dobrze uzbrojona konna grupa partyzantów niepełni rozpoznanej przynależności - przemieszczająca się z lasów papierneckich w kierunku zachodnim do lasów zwanych budzanowszczyzna i kosowski.

Wszystkie te obronne przeciwdziałania przeciw tej bestialskiej sforcie - nakarmionym nacjonalistycznym jadłem nienawiści i inności do Polaków - nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, były w znacznej części wynikiem zamierzonego - wprost desperackiego, lecz mimo tych uwarunkowań i liczebnej przewagi - dzielnego i rozważnego działania ze strony tak nielicznej grupy posiadających broń Polaków. Mianowicie J. Niedzielski z nastaniem zmroku, podobnie jak nocy poprzedniej rozesłał pojedynczo tych samych żołnierzy z zespołu uzbrojonych. Z tym, że zasadniczym zadaniem każdego z wysłanych, było - w przypadku napadu na zamek lub na polskie domostwa podzamcza - czy nie wszystko, ażeby odciągnąć od tych miejsc tą rozwydrzoną sforcę,

w inne, do nich istotnie bardzo ważne, miejsca. Sygnałem, że dokonany został napad na zamek miał być sygnał (dzwonienie) sygnaturki na wieży kościelnej. Natomiast na podzamcze, które położone jest na terenie znacznie podwyższonym w stosunku do całego miasta - spodziewać się należało, połączone będzie jak wszędzie z paleniem domostw - będzie widoczne z każdej części miasta, za wyjątkiem zamcza. W przypadku napadu, każdy indywidualnie - stosownie do miejsca gdzie się w tym czasie znajdzie - ma czynić wszystko, co służyło by rozgłosowi przeciwdziałania w nocy - za wyjątkiem zabójstw bezbronych ludzi, gwałtów i palenia domostw. W tych trzech przypadkach kto się tego dopuści grozi mu najwyższy wymiar kary. Takich przypadków w opisywanej zaszłości ze strony Polaków nie było. Wynikiem dość rozległej i jak na warunki przyznać trzeba odważnej akcji - opisywanej nocy - spowodowano kilka pożarów (po rozpoczęciu napadu na podzamcze i młyn Krukowskiego) stert łądek z kukurydzy w części miasta zwanej kut i folwarki - od strony lasu. W tych też częściach miasta u kilku bogatych gospodarzy, wypuszczono też ze stajen wszystko co żywe. Było to wypłoszone w nocy - bezładnie biegało, rżało ryczało i skrzeczało czyniąc zamęt i panikę u ich właścicieli. Natomiast kury nagle porzucane ze swoich nocnych siedzisk, skrzeczały prawie ludzkim silnym głosem - podobnym do głosów dziecka, kobiety co w nocy słyszalne było dość daleko, a nie rozpoznane i nierozeznane wzmagają trwogę. W części miasta zwanej Łapajówka - spowodowane zostały dwa pożary dwóch stojących na uboczu większych kopiec siana - od strony lasów. Jeden z tych, który tego podpalenia dokonał zwany "Kazią" oddalił się na skraj lasu, a stamtąd zamierzał lasem przedostać się dalej - częściowo lasem, a częściowo polami przedostać się w rejon cmentarzy przylegających jedną swoją częścią prawie do zamku. Będąc dość czujnym - w poruszaniu się w lesie - nie spodziewał się, że od chwili zbliżenia się do granicy lasu, był pod stałą obserwacją dwóch uzbrojonych ludzi dążących do jego obezwładnienia w dogodnym miejscu. Po przejściu dość znacznej odległości skrajem lasu i wybraniu dogodnego do obserwacji części miasta Łapajówka, po pewnym niedługim czasie, niejako instyktownie wyczuł, że ktoś tu jest w niedalekim oddaleniu od niego. Chcąc zmienić nagle kierunek poruszania się, przy pomocy napiętego chwytu gałęzi drzewa uskoczył nagle za gęsty i znacznych rozmiarów krzak. Skok był dobry, lecz niefortunny - naskoczył na człowieka z którym się szepili w nagłej walce. Tą walkę na "leżąco" przetrwał dość wyraźny, lecz nieco ściszony głos w miejscowym języku z silnym akcentem rosyjskim - "zachowój się spokojnie nie jesteśmy banderowcami, rzuć broń, wstań, załóż ręce na głowę, nic ci nie grozi".

Zauważył nad sobą człowieka z ręcznym karabinem maszynowym gotowym do strzału. Nie czyniąc żadnego ruchu, zapytał - "czego chcecie" - nie odpowiadając, ten sam głos zapytał, "czy znasz dobrze ten teren czy możesz nas przeprowadzić najkrótszą drogą przez most w kierunku lasów po drugiej stronie miasta - za rzeką, a teraz rzuć broń, wstań i załóż ręce na głowę". Nie sprzeciwił się i wykonał polecenie. Poczując na plecach dotyk lufy i usłyszał słowa "spokojnie nic ci nie grozi". Zauważył przed sobą dwóch ludzi, silnie uzbrojonych. Jeden trzymał ręczny karabin maszynowy w pozycji gotowy do strzału, drugi zaczął go wypytywać kim jest, dlaczego podpalił stogi i dlaczego uciekał do lasu. Po wyjaśnieniu tego wszystkiego oddali mu broń i zaczęli go wypytywać jak duże są siły UPA w poszczególnych częściach miasta i w co są uzbrojeni. Po wyjaśnieniu szeregu spraw, zaproponowano mu, ażeby na koniu na oklep przejechał pełnym galopem - co koń uskoczy, wyprowadzając ich najkrótszą drogą do lasów po przeciwnej stronie miasta - za rzeką. Na zapytanie co się z nim stanie po ich wyprowadzeniu z miasta, stwierdzili, że będzie mógł ich opóścić tam w miejscu w którym uzna dla siebie za dogodny. Wyraził na to zgodę i zaproponował trasę przejazdu. W odpowiedzi usłyszał - rozważymy. Po tej rozmowie powiedzieli mu by szedł z nimi odeszli w miejsce, gdzie znajdowało się: 11 koni - w tym 6 ciężkich koni bawarskich 9 koni było osiodłanych, 7 dobrze uzbrojonych ludzi w broń maszynową, pistolety, granaty. Jeden koń obciążony był 5-cioma skrzyniami. Jeden koń był luzem. Prawie jednocześnie doszli do nich na koniach dwaj inni. Ludzie ci po zejściu z koni przekazywali dane dotyczące rozmieszczenia i działania grup UPA w mieście oraz drogi, które są najbardziej dogodne do przejścia w kierunku masywów leśnych - za rzeką. Dlaczego, wyżej wymienionemu, pozwolono być przy tej rozmowie nie mógł w ogóle zrozumieć. Przypuszczać należy, że z braku czasu chciano w ten sposób dać do zrozumienia, że każde niedopowiedzenie w tym względzie może drogo kosztować niedopowiadającego. Po tych rozmowach "Kazia" otrzymał ostrzeżenie - ma jechać w trójce prowadzącej czujki - w przypadku każdego naruszenia ustalonej trasy i zachowania się, zostanie zastrzelony bez ostrzeżeń i wyjaśnień ze względu na brak czasu. Zadaniem czujki - bez względu na okoliczności i co by się nie stało jest jechać i z biegu oczyścić ustaloną trasę przejazdu przez miasto do masywu leśnego za rzeką. Po tych ustaleniach, czujka ruszyła drogą leśną do drogi gruntowej, następnie z cicha kłusem, a od skraju zabudowań pełnym galopem przez most na rzece Seret, tuż za mostem w prawo w kierunku części miasta zwanej Kut i masywu leśnego. Jak się okazało cała grupa przemieszczała się w trzech częściach: pierwsza - w sile

Wzrost: 1,70 m
Ciężar ciała: 70 kg
Kolor włosów: ciemny
Kolor oczu: ciemny
Kolor skóry: jasna
Wzrost: 1,70 m
Ciężar ciała: 70 kg
Kolor włosów: ciemny
Kolor oczu: ciemny
Kolor skóry: jasna

trzech; druga - w sile siedmiu; trzecia - w sile pięciu. Trzecia część grupy zmuszona była ostrzelać, zagradzającą zupełnie zdezorionowaną - dość liczną - grupę UPA w rejonie domu ludowego, a także bezpośrednio za mostem grupę wypłoszoną z rejonu młyna Krukowskiego. Natomiast czujka prowadząca zmuszona była ostrzeliwując rozpędzać małe grupki w części miasta zwanej Kut - też zupełnie zdezorionowane co się dzieje - i torować drogę, bez przeszkód, dla pozostałych części zespołu przemieszczającego się przez miasto.

Przeciwdziałanie posiadających broń pojedynczych żołnierzy AK z grupy samoobrony zamku, kierowanych przez J. Niedzielskiego z określonymi zadaniami do poszczególnych części miasta i skuteczne naogół wykonanie tych zadań we właściwym czasie oraz przypadkowy przejazd nieokreślonego przynależnościowo, dobrze uzbrojonego, zespołu konnego i ostrzelanie przez oddzielne grupy tego zespołu w trzech miejscach miasta napotykanym na swej drodze przejazdu oddzielnych grup UPA, a także samo pojawienie się tych grup w mieście i szybkość ich przemieszczania się przez miasto, wprowadziły zamieszanie wśród nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, będących w mieście. Z rozpoczętego przez nich działania na podzamczu, przypuszczając należy, że przybyły one z zadaniem wymordowanie rodzin polskich w mieście i przygotowanie przedpola do ostatecznego "rozwiązania sprawy" zgromadzonej ludności polskiej w zamku. Mordercze działania ze strony UPA w mieście ucichły, a ich wykonawcze bestie jak by gdzieś znikły - rozpląnęły się. Jednak dokonane przez nich tragedie pozostały. Dopalały się zgliszcza polskich domostw części miasta zwanego Podzamcze. Nic nie mogło wrócić życia żywym istotom ludzkim. Nikt nie mógł wrócić normalności, spowodowanych tymi tragediami rozpaczom rodzinnym. Nasycona nowym tragizmem rodzin polskich, istot ludzkich, które nic nie zawiniły nikomu - jeszcze jedna noc przeszła.

R o z d z i a ł piąty. Wkręcenie czerwonej armii radzieckiej - jednego z 3-ich głównych koalicjantów antyhitlerowskich Niemiec.
XXIV. Wkręcenie czerwonej armii sowieckiej i działania będące tego następstwem.

Oprócz opisywanych wyżej zaszłości, nastający świt ukazał w pełni ożywiony bezładem ruch wycofujących się w dużym pośpiechu przez miasto małych grup rozbitych wojsk niemieckich i resztek wszystkiego co z ich okupacyjną władzą było związane. Znikać zaczęły też z miasta obcy osobnicy, którzy z takim zagrożeniem, butni i pewni siebie, przechadzali się - w ciągu dnia - po części miasta zwanej podzamcze, śródmieście i po drodze prowadzącej obok młyna Krukowskiego do Skomorosza, a także demonstracyjnie przechadzali się obok domostw co znaczniejszych rodzin polskich w okresie kilku kolejnych dni poprzedza-

jących wyżej opisaną noc - z 21 na 22 marca 1944 roku. Poza tym zauważono przemykających się obcych osobników - w lasach papierniczych i kocsowskim.

Około godzin południowych 22 marca 1944 roku - w ślad za wycofującymi się wojskami niemieckimi - do miasta wjechało kilkanaście czołgów czerwonej armii radzieckiej. Część czołgów wjechała od strony wschodniej - lasów kobywłockich, część natomiast szosą od strony Janowa. Czołgi, które zatrzymały się w mieście rozstawione zostały w zasadniczych niewrażliwych punktach miasta - w tym cztery wokół zamku, bezpośrednio w pobliżu murów zamku, bądź w dogodnym miejscu przy murach. Obiektywnie stwierdzić dziś należy, że w warunkach nienawiści nacjonalistycznej wyżej opisanych grup z pod znaku UPA i wykonywanych na masową skalę bestialskich morderstw na niewinnej ludności polskiej - wkroczenie wojsk czerwonej armii radzieckiej w dniu 22 marca 1944 roku napewno uratowało życie tych Polaków, którzy się ukryli w zamku i nie tylko w zamku od bestialskiej śmierci. Po ustawieniu czołgów w okół murów zamku, do wnętrza zamku przybyła grupa miejscowej starszyny tego wojska. W roli gospodarza wystąpił oczywiście ksiądz proboszcz Szczepan Ufryjewicz, któremu towarzyszył J. Niedzielski i kilka innych osób. Po zapoznaniu się z istniejącym tu stanem faktycznym - beznadzieją warunków bytowania tak licznej grupy ludzi, która się tu schroniła - głównie dzieci i kobiety matek. Nieliczni zaś mężczyźni przede wszystkim nieodzownych dla ochrony i obrony zgromadzonych w zamku ludzi, utworzyli w części pomieszczeń klasztoru polowy szpital - częścią chorych którego stały się wynędzniałe, nierzadko poparzone i ranne dzieci i kobiety. Po udzieleniu w niezbędnym zakresie lekarskiej tych chorych zwalniano do domu. Szpital ten przeniesiony został z zamku do, nowo wybudowanego tuż przed wojną 1939r, obszernego domu ludowego. Powyżsi przybysze bardzo zainteresowali się też nielicznymi mężczyznami poruszającymi się wewnątrz zamku z bronią. Wyjaśniono im, że są to obrońcy zamku przed napadem grup UPA, tych którzy minionej nocy uczynili spustoszenie w mieście, rezultatem czego są dopalające się jeszcze zgliszcza.

Poza tym, proponowali ażeby mężczyźni będący z bronią weszli w skład milicji, która tworzyć się będzie w mieście. Chociażby do czasu mobilizacji, która w niedługim czasie będzie przeprowadzona. Występujący w roli gospodarzy zamku, uzasadnili, że mężczyźni z bronią powinni nadal pozostać w zamku dla bezpośredniej ochrony znajdujących się tam ludzi do czasu zorganizowania w mieście i pobliskich gminach posterunków milicji, a także rozejścia się do swoich rodzinnych domostw w okolicznych miejscowościach, ludności która schroniła się

w zamku. Przybyli wyrazili zgodę na pozostawienie uzbrojonych mężczyzn dla spełniania nadal bezpośredniej ochrony ludności polskiej będącej w zamku. Rezultatem tej zgody było wydanie dla 16 uzbrojonych członków samoobrony zamku, imiennych zezwoleń na noszenie broni w strefie frontowej czerwonej armii radzieckiej.

W przeciągu następnego dnia w wyniku otrzymywanych bieżąco wiadomości z poszczególnych miejscowości, potwierdzających o znacznym uspokojeniu się sytuacji, wszystkie rodziny których domy nie zostały spalone, udały się do swoich domostw - zarówno w mieście Budzanów, jak też okolicznych miejscowości. W okolicznych polskich miejscowościach nadal nie zrezygnowano z działania istniejących tam uprzednio zespołów samoobrony.

Żona Juliana Bajrakowskiego, który uprowadzony został przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, o czym wspominało i opisało już wyżej, i mimo poszukiwań przepadł bez wieści - wspomina wydarzenie powrotu następująco. Miánowicie - "Wróciliśmy do domu i ja poszłam do lasu z dwoma moimi koleżankami - Polką Gitler i Milką Bejcar - szukać zwłok mego Julka. Bo już nie bałyśmy się banderowców bo było ruskie wojsko. Jaki grób znaleźliśmy to odkrywaliśmy - może to Julek. Ale w żadnym grobie jego nie było. Groby były tak przykryte że my rękoma je odkrywałyśmy - ziemi było na grubość z pięć centymetrów. Szliśmy dalej, ja idąc zachwiałam się i mimo woli - instyktownie chwyciłam się za krzak. Krzak się wyrwał z korzeniami, a ja upadłam. Wstałam i zaczęłyśmy chwytać podobnie inne sąsiadujące krzaki i okazało się, że też bardzo lekko dają się wyciągnąć z korzeniami. Z nami był jeden ruski żołnierz. Zameldował o tym odkryciu swoim władzom. Na drugi dzień dali nam kilku ruskich żołnierzy i ja znów poszłam na to samo miejsce. Poszedł też z nami sołtys ze wsi Mogielnica. W miejscu tych wrywających - w poprzednim dniu krzaków - odkryli całą mogiłę trupów. Po robili duże paczki i wybierali tych trupów - każde poznawało swego. Jedną rodzinę nieboszczyków kładziono do jednej paczki. Wybierali i zabierali tych trupów przez dwa dni. Ja byłam jeden dzień, bo myślałam że może poznam Julka, ale jego nie było. Były różne dzieci i starsze i i panienki i chłopcy. Mieli powybierane oczy, osmalone kolana, powyćcinane języki, zdartą z pleców skórę - straszna była i okropna tortura, barbarzyństwo - i aż zachorowałam. Na drugi dzień poszła tam moja teściowa i też Julka tam nie było. Wszystkich nieboszczyków - ciała których wskazywały na przeogromnie męczeńską śmierć - wybrano i pochowano na cmentarzu we wsi Mogielnica."

Wzmogły się teraz również nowe bieżące zagrożenie całej ludności cywilnej - wynikające z walk frontowych przeciwstawnych sobie stron - wycofujących się wojsk niemieckich i nacierających wojsk radzieckich. W niedługim czasie okazało się, że opisywane okolice stanowią strefę frontową, a nawet określając to ściślej, stanowią strefę między frontową - niczyją. Stało się to z przyczyn następujących. Mianowicie - w rejonie i w samym Tarnopolu, okrążone zostało duże zgrupowanie wojsk niemieckich - jak podają materiały źródłowe - ogółem 21 dywizji wojsk niemieckich, w tym 10 dywizji pancernych. Praktycznie oznaczało to, że na wschód od rzeki Seret znajdowały się - stale przemieszczające się walką - okrążone wojska niemieckie oraz na zachód od rzeki Strypa również znajdowały się wojska niemieckie na ukształtowanej niejako stałej linii obrony tych wojsk. Natomiast teren między rzeką Seret i rzeką Strypą o szerokości od 25 do 45 kilometrów, zajęty był przez wojska czerwonej armii radzieckiej, które w kierunku wschodnim prowadziły ciężkie walki w rozbiciu wojsk okrążonego przeciwnika, a w kierunku zachodnim prowadziły walki o utrzymanie linii frontu na rzece Strypa i zdobycie dogodnych rejonów dla rozwijania dalszego działania na zachód. Wytworzona sytuacja frontowa spowodowała, że znaczna część wszelkich miejscowych żywo-~~tych~~ *środków* na terenie zaję-~~tych~~ przez wojska czerwonej armii radzieckiej, zostały nakazem tych nowych władz zaangażowane w działania frontowe bez względu na narodowość. Głównie tyczyło to właścicieli środków transportowych, w tym głównie chłopskich wozów i ~~prz~~przęg konnego - czyli koni, wraz z ich gospodarzami w roli woźnicy. Zaangażowano je do dowożenia amunicji i wszelakiego rodzaju środków walki.

Poszczególne miejscowości w dość znacznym obszarze trwających walk okrążonych wojsk, przechodziły z rąk do rąk przeciwstawnych sobie walczących stron - nie rzadko też będąc między tymi stronami, stanowiąc niejako ziemię niczyją.

Wspomnieć przy tym należy też, że w tym rejonie w czasie tych walk znajdowała się cała miejscowa ludność, która wbrew swojej woli była bezwolnym uczestnikiem tych zaciętych walk frontowych. Ludności tej żadna ze stron nie ewakuowała. W ramach tych

walk w opisywanej wsi Zniésienie rozmieszczony został batalion rozpoznawczy i punkt rozdziału oficerów przybywających na front dla uzupełnienia. Po okresie miesięcznych zmagani i pustoszeniu terenu walki, wojska niemieckie będące w okrążeniu zostały rozbite i okrążenie to zostało zlikwidowane. W opisywanych okolicach ustabilizowała się niejako linia frontu na rzece Strypa, na wschód od której terytorium zostało w zasadzie oczyszczone od wojsk niemieckich.

XXV. Powszechna mobilizacja mężczyzn 32 roczników, od 1894 do 1926, do wojska (Polaków do armii polskiej zwanej Berlingowcami):

1. Następstwa odejścia do wojska prawie wszystkich mężczyzn z opisywanej wsi.

Na oczyszczonym od wojsk niemieckich obszarze, zarządzono powszechną mobilizację - do wojska - mężczyzn 32 roczników (rok urodzenia od 1894 do 1926). Mianowicie: mężczyzn narodowości polskiej do organizowanej na terytorium związku radzieckiego armii polskiej zwanej Berlingowcami; natomiast mężczyzn narodowości ukraińskiej i pozostałych - do czerwonej armii związku radzieckiego.

To nagłe zetknięcie się z nowym tak drastycznym problemem całej społeczności opisywanych okolic, w postaci odejścia wszystkich mężczyzn na wojnę, było nowym szokiem. I w tym przypadku Polacy znaleźli się w szczególnej sytuacji. Ponieważ - bestialskie mordy Polaków nie ustawały - wprawdzie w mniejszej skali i nie tak częste, ale nie ustawały. Rodziny polskie pozostawały zupełnie same. Stąd dzień odejścia mężczyzn na punkt zborny do pobliskiego Budzanowa był dniem powszechnego smutku i głębokiej zadumy - tak odchodzących, jak i pozostających na miejscu, którzy musieli układać swoje życie prawie na nowo, a warunki którego było nie przewidywalne. Mobilizację dla mężczyzn narodowości polskiej zarządzono na dzień 29 kwietnia 1944 r., grożąc równocześnie bardzo srogimi karami w przypadku nie stawienia się w punkcie zbornym - nie pójścia do wojska. Ponieważ miejscowa ludność została już w tym względzie przez tę samą władzę radziecką "dobrze" przetrenowana w latach 1939 - 1941, stąd zarządzenie zostało w zasadzie wykonane. Polskim rodzinom obiecano właściwą opiekę przed powtarzającymi się w okolicy napadami i morderstwami. Pozwolono nawet na utworzenie we wsi uzbrojonej grupy samoobrony z miejscowych młodzików. Po dniu mobilizacji w opisywanej wsi Zniésienie pozostały same kobiety i dzieci oraz niżej wymienieni starsi mężczyźni nie podlegający mobilizacji ze względu na wiek. Mianowicie:

1. Marcin Osowski.
2. Jan Bejcar.
3. Grzegorz Zajac.

4. Józef Muzyka.
5. Józef Gitler.
6. Kazimierz Mazur.
7. Stanisław Dysiewicz.
8. Jan Szostopał s. Onufrego.
9. Wojciech Szostopał s. Onufrego.
10. Ludwik Duplak.
11. Szczepan Skokun.
12. Franciszek Fedorowicz

Pośród dzieci była też we wsi niezbyt liczna, acz w opisywanych wojennych warunkach wiejskich - odejścia ojców i braci na wojnę - bardzo znacząca liczba płci męskiej w wieku między 11 a 17 lat. Byli to:

1. Stanisław Bejcar.
2. Egeniusz Wasylik.
3. Józef Pleszczak.
4. Franciszek Gomułka.
5. Michał Bejcar.
6. Władysław Bejcar.
7. Józef Bajrakowski.
8. Bronisław Bajrakowski.
9. Julian Gitler.
10. Władysław Gitler.
11. Tadeusz Gitler.
12. Jan Bajrakowski.
13. Ludwik Gitler.
14. Grzegorz Konar.
15. Stanisław Jędorowicz.
16. Jan Witomski.
17. Marian Bulak.
18. Michał Zając.
19. Michał Bajrakowski.
20. Michał Mazur.
21. Tadeusz Pleszczak.
22. Stanisław Senkowicz.
23. Piotr Bejcar.
24. Piotr Dysiewicz.
25. Jan Dysiewicz.
26. Stefan Olejnik.
27. Piotr Bobryk.
28. Michał Bobryk.
29. Alfons Jędorowicz.
30. Józef Słobodzian.
31. Maciej Słobodzian.
32. Tadeusz Bejcar.
33. Ferdynand Bajrakowski.
34. Michał Skokun.
35. Stanisław Szostopał.
36. Sławomir Pirożyk.

Właśnie te dzieciaki były zasadniczą "męską" podporą matek i sióstr będących głównymi organizatorami bytowania wsi pod nieobecność ojców, mężów i braci.

Wspomnieć też należy, że całość wyżej opisanych zaszłości dokonywała się w okresie dla społeczności wiejskiej, a nie tylko wiejskiej, bardzo ważkim ze względu na porę roku. Była wiosna - pola uprawne musiały być obsiane i zagospodarowane uprawami jarym. Uprawa i zbiór plodów rolnych tej społeczności wiejskiej w opisywanym okresie, była jedynym i wyłącznym źródłem utrzymania. Poza tym przyszłe zbiory miały zapewnić, jak się w niedługim czasie okazało - czego się powszechnie spodziewano, możliwość oddania nie małego w liczbach jednostkowych kontygentu, którego to kontygent władza radziecka nałożyła na każdego kto tylko posiadał jakikolwiek kawałek ziemi uprawnej. Przypomnieć należy, że oddawanie tych kontygentów egzekwowane było z całą bezwzględnością. Mimo smutku, a nawet rozpaczy, i osamotnienia będącego wynikiem odejścia mężów i ojców, którzy w drodze mobilizacji powołani zostali do wojska - na wojnę, oraz grożącego nadal dla rodzin polskich niebezpieczeństwa ze strony nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, ta potostała we wsi społeczność kobiet, głównie kobiet - matek przy pomocy tej pozostałej garstki starszych mężczyzn, tych którzy byli jeszcze fizycznie sprawni i tej w pracach bardzo znaczącej, niezbyt licznej liczby dzieci w wieku lat od 11 do 17 chłopaków, zmuszona była podjąć te tak trudne działania. Kobiety - matki zmuszone zostały przejąć w pełni rolę głowy własnej rodziny i w utrzymywaniu nieodzownych wzajemnych układów w codziennym bytowaniu sąsiedzkim, jak i w społeczności wiejskiej. Młodzi chłopcy 11 - 17 letni włączeni zostali prawie w pełni do prac, głównie we własnym gospodarstwie z końmi. Obsługa koni i praca nimi przy uprawie i zbiorach z pól uprawnych. W znacznej części właśnie nieletni chłopcy pełnili patroli ochronne i obronne w ramach samoobrony wsi. Posiadali także broń, bądź pozostawioną im, po uprzednim nauczaniu ich jak się nią posługiwać, przez ojców lub starszych braci, którzy w drodze mobilizacji odeszli na wojnę - bądź też broń uzyskaną innymi dostępnymi kanałami. Ta właśnie grupa młodzików samoobrony ochraniała miejscowe kobiety w wykonywaniu przez nie nieodzownych prac przy wiosennej uprawie posiadanych pól. Wzorowali się oni na stosowanych już sposobach i wyżej opisywanych, wykonywania tego rodzaju zadań. Jednak stosowali zasadę - jako podstawową - grupowego działania. A że ochrona taka była nieodzowna **świadczy** między innymi następujące zdarzenie. W normalny dzień pracy na polu - przy dość licznych zagęszczeniu wykonywania podobnych prac na sąsiednich kawałkach pól - każdy właściciel na swoim polu -

polak, Jan Kapnik w sąsiedniej wsi Słobutka Janowska, właśnie starszy wiekiem który nie podlegał już mobilizacji, pojechał sadzić ziemniaki córce swojej kuzynki, której mąż został zmobilizowany i poszedł na wojnę. Wykonując tą wraz z córką kuzynki i jej sąsiadkami, które poprosiła o pomoc w wykonaniu tej pracy, został zaatakowany przez uzbrojonych nacjonalistów z pod znaku UPA. Chcieli zabrać Jana Kapnika. Córka kuzynki na polu której sadził ziemniaki, prosiła i błagała napastników ażeby go zostawili - przecież to stary człowiek - jednocześnie usiłowała zasłonić sobą J. Kapnika, stając między nim a napastnikami. Została z zimną krwią zastrzelona. Zdarzenie miało przebieg wrzaskliwy z wzywaniem pomocy i ratunku. Jak na warunki i okoliczności, zjawiała się dość szybko właśnie taka jak wyżej już wspomnianą uzbrojona grupa samoobrony młodzików. Wywiązała się ostra strzelanina z napastnikami, pośród wielu cywilnych bezbronnych ludzi pracujących w polu. Napastnicy - mordercy, którzy przybyli od strony folwarku zwanego Pod Mogiłą, dość śpiesznie się wycofali w kierunku skąd przybyli. W wyniku tego zdarzenia na polu zwanym Długi Zagon, nieopodal złamanego krzyża - zresztą nie pierwszego i nie ostatniego - nastąpił ogólny bezładny pośluch. Ludzie uciekali, po krótkim czasie pola wokoło zupełnie opustoszały. W bezwzględny sposób pozbawiona została życia zupełnie niewinna i nikomu w niczym nie wadząca kobieta polka - Józefa Zajęc. Na jej to polu ten tragizm się rozegrał. Matka - pozostawiła pełnymi sierotami 4 małe córeczki - najstarsza 10 lat, ojciec których zginął jako żołnierz 1-szej armii ludowego wojska polskiego w czasie walk o zdobycie prawobrzeżnej Warszawy - Pragi 1944r.

2. Ewakuacja mieszkańców wsi Zniesienie, i nie tylko, do oddalonych miejscowości na wschód za rzekę Seret.

Wspomnieć też trzeba, że opisywane okolice ze względu na utrzymywanie się linii frontu na rzece Strypa, prawie do końca lipca 1944r. były terenem bezpośrednio przyfrontowym. A co to oznaczało w praktyce życia codziennego prostego człowieka cywilnego, tu będącego, a tym bardziej kobiety? Było znaczne zagęszczenie ilości wojska, częste przemieszczanie się tych ilości w różnych kierunkach i w różny sposób bez względu na porę dnia czy nocy. Spotykało się to prawie codziennie w najmniej spodziewanych miejscach i okolicznościach. Ruchy różnego rodzaju środków walki i transportu - zaprzęgi konne, samochody, czołgi, działa artyleryjskie, radiostacje, sanitarki, szpitale - namioty ranni, ubytki polowe operacyjne. Lotniska polowe w pobliżu i latające z nich samoloty. W niektórych pobliskich miejscach, z zasady w lasach pod gołym niebem, składy amunicji bojowej różnego rodzaju i przeznaczenia. Stąd też duże stałe narażenie przeciwdziałania przeciwnika na te obecne tu środki i obiekty, co też miało

miejsce. W takich jak wyżej uwarunkowaniach bytowali prości ludzie, w większości kobiety - matki i gospodarze w swoich zagrodach i działało się też to wszystko co wyżej już wspomiano.

Oddalenie od linii frontu opisywanej wsi Zniesienie wynosiło od 12 do 18 km. W końcowej fazie trwających w pełni wiosennych prac polowych, władze radzieckie, ze względu - jak informowano - na zagrożenie wycofywania się na tym odcinku wojsk radzieckich i przybliżeniu walk frontowych, zarządziły w trybie bardzo pilnym ewakuację całej wsi na wschodnią część rzeki Seret - do wsi Młyniska i Kobylówki oddalonej około 10 - 12 km. Ewakuowano też szereg innych miejscowości. Zabrano co żywe, oraz co niezbędne do bytowania i każdy ewakuowany został skierowany do uprzednio wyznaczonej kwatery (określonego domostwa) w wymienionych wyżej wsiach. Ścisłego wykonania ewakuacji pilnowała milicja i wojsko. Zezwalano także - za odpowiednią przepustką - wracać na kilka godzin w ciągu dnia, co pewien okres czasu - w celu sprawdzenia stanu w pozostawionym gospodarstwie. Po ewakuowaniu ludzi z opisywanej wsi cały dobytek był pod nadzorem milicji i wojska.

Bytowanie każdej prawie rodziny ani do przyjemnych, ani też do łatwych nie należało. Oprócz ogólnie powszechnych braków w zaopatrzeniu podstawowych środków produkcji przemysłowej, doszły braki produktów nieodzownych do życia ludzi i żywego inwentarza - który z sobą zabrano (konie, bydło i t.p.), a dla których w krótkim czasie, wystarczającego zaopatrzenia zabrać ze sobą nie było możliwe. Wszystko to co wyżej, we własnym domu, załatwiane było przyjętymi w każdej rodzinie ustalonymi na własny użytek sposobami. Poza tym środowiska obce, niekiedy też nie wyrozumiałe. Przy czym wieś Kobylówki - w większości ukraińska, w której w trakcie dnia nawet osobników nieukrywających nawet zbytnio, że są banderowcami z pod znaku UPA. Obawiała się ich nawet miejscowa ludność ukraińska, nie wspominając - jak w tych warunkach czuły się rodziny polskie po tak wielu doczasowych doświadczeniach. Poza tym w miejscowościach do których ewakuowana została ludność z innych miejscowości, chodzili specjaliści rejestratorzy z organów władzy. Spisywali oni - nie mówiąc w jakim czynią to celu - młode dziewczyny i młode bezdzietne mężatki. Po niedługim czasie, każda z dziewczyn która nie uniknęła powyższego zapisu - po prostu nie ukryła się przed tym zapisem - otrzymała kartę mobilizacyjną powołania do wojska i nie było od tego odwołania. Taki los spotkał następujące dziewczęta i mężatki z opisywanej wsi. Mianowicie: Elżbieta Fedorowicz, Łucja Duplak, Maria Szostopał, Maria Zadorożna - Pirożyk. Maria Szostopał po pewnym czasie została zwolniona ze względu na stan zdrowia - złamana ręka. Zwolniona została również na stan zdrowia Łucja Duplak. Marię Zadorożną - Pirożyk

wykraść z jednostki wojskowej zrezygnowana matka, której pozostała tylko ta jedna córka - jedyne jej dziecko. Po wykrażeniu i ucieczce, Maria ukrąwała się w rodzinnych stengah, aż do wyjazdu w 1945 roku. Elżbieta Fedorowicz, służyła w wojsku do końca wojny. Pracowała w szpitalu polowym 1-szej armii lw, z nim przeszła cały jego wojenny szlak. Zdemobilizowana z wojska w stopniu kaprala - jesienią 1945 roku.

Cała ludność opisywanej wsi przebywała w miejscach ewakuacji około dwóch miesięcy. Powrót z ewakuacji odbywał się różnie, jak kto mógł, aby szybciej dotrzeć do własnego domu. Poza tym w każdym gospodarstwie pozostał cały żywy inwentarz w postaci kur, kaczek, gęsi i tp., który zdany był żywieniowo sam na siebie, co pośród obsianych ogrodów nie było zbyt trudne. Jeżeli nie było zagrożenia ze strony istot żywych - ludzie, bezpańskie psy, lisy - to z wyżywieniem ten rodzaj ptactwa dawał sobie radę. Po powrocie straty w tym inwentarzu były jednak znaczne. Wspomnieć też trzeba, że żadnych strat z tego i żadnego innego tytułu nikt nie spisywał, nie oszacowywał, ani też nie wyrównywał. Sprawa straty z tytułu ewakuacji była sprawą osobistą tego człowieka, którego ona dotknęła. Należy również wspomnieć o stratach, które powstały w zbiorach z pól uprawnych na wskutek nie wykonania nieodzownych uprawowych zabiegów pielęgnacyjnych w określonych, wegetacją roślin uprawowych, terminach (hakanie, przerywka, walka z chwastami, plewienie i tp.

3. Powrót z ewakuacji do rodzinnej wsi i epizody z warunków bieżącego życia mieszkańców opisywanej wsi - i nie tylko - Polaków:
a) odwożenie mleka z miejscowej zlewni na punkt zborny.

Tak się z tą ewakuacją ułożyło, że prawie niezwłocznie po powrocie trzeba było przystępować do zbiorów zbóż. Przy czym zagrożenia w stosunku do rodzin polskich ze strony nacjonalistów z pod znaku UPA nadal nie ustawały, mimo pewnego już upływu czasu od zmiany władzy z okupacyjnej niemieckiej na radziecką. Różne grupy nacjonalistów z pod znaku UPA kryły się latem również w okolicznych lasach. Grupy te zwalczane były przez miejscowe organy milicyjne i wojsko. Walką tą zagrożona była stale miejscowa ludność w jej codziennym życiu. Na czym to zagrożenie polegało może posłużyć jeden z wielu przypadków, nieco odmiennego od wyżej opisywanych, które zdarzały się codziennie w tych okolicach. Jak już wyżej wspomniano zarówno za Niemca, jak władzy radzieckiej obowiązywał kontygent. Nakładany był również obowiązek oddawania kontygentu również w postaci mleka od każdej posiadanej krowy. Dla zbierania tego mleka prawie w każdej wsi istniała zlewnia. Z tej zlewni - zebrane mleko w konwiach - trzeba było odwozić co -

dziennie do nakazanego punktu zbornego, a stamtąd tego samego dnia do mleczarni. Władze miejscowe ustaliły, że mleko będzie odwożone do punktu zbornego nieodpłatnie, konną furmanką - na zasadzie szarwarku - kolejno gospodarzy wsi posiadających konie. W owym czasie dla opisywanej wsi punktem zbornym był określony punkt zlewni mleka w pobliskim Budzanowie. W jednym z kolejnych dni przypadło odwieźć mleko wdowie (przyczym inwalidą) A. Bajrakowskiej. Ponieważ w rodzenie tej zasadnicze prace koniem wykonywała córka wymienionej - zaradna, młoda, zdrowa 19 letnia Józefa - po zamążpójściu Pleszczak - w sytuacji, która wówczas zaistniała z konieczności "wyróbnik" rodziny. Ona też pojechała z mlekiem, a ponieważ w tak niespokojnej sytuacji - poprostu bała się sama jechać - poprosiła swoją rówieśnicę, kuzynkę i koleżankę przyjaciółkę Franciszkę Jędorowicz - po zamążpójściu Tokarska, by pojechała razem z nią. Ta mimo, że nie bardzo jej to czasowo odpowiadało, wyraziła zgodę i powieźli to mleko razem na punkt zborny do Budzanowa. Dojeżdżając polną drogą do Budzanowa, usłyszały strzelaninę z broni maszynowej nieopodal za rzeką. Przy wjeździe do śródmieścia miasteczka uwi docz niło się pewne podniecenie ludzi idących, a raczej przebiegających przez ulice - zauważalna nerwowość i sły chać było jakaś wrzawę od strony budynków policyjno sądowych. Po przybyciu na punkt zborny zlewu mleka okazało się, że jest on nieczynny - mimo że czas jego otwarcia jeszcze nie upłynął. Po chwili zjawiła się kierowniczką tego punktu i oświadczyła, że ona mleka dziś nie przyjmuje, ponieważ ma inne zadanie, ma brać udział w akcji. Mleko natomiast trzeba jak najszybciej dostarczyć do oddalonego o 6 km Janowa. Mimo, próśb i nalegań nic nie pomogło - mleko trzeba było odstawić do Janowa. W przeciwnym przypadku groziła wysoka kara. Po wjechaniu na szosę prowadzącą do Janowa, mijając ostatnie domy miasteczka - jego części zwanej Zazamcze natknęli się na rząd furmanek konnych, jadących w tym samym co one kierunku, załadowanych pełno milicjantami i czerwonarmistami od których to furmanek dochodziła głośna wrzawa i hałas. Dojeżdżając nieopodal leśniczówki - przed wojną 1939 roku zwanej Załanowskiego - odezwały się od strony okolic tej leśniczówki strzały w kierunku jadących drogą furmanek z milicją i wojskiem, a ponieważ na drodze była ta jedna cywilna furmanka - strzelano również i do niej. Na lekkim łuku drogi ukazał się żołnierz, który przepuszczając furmanki jadące w przedzie, zatrzymał tą jedną furmankę cywilną z konwiami mleka i oświadczył, że dalej dla cywilnych pojazdów droga jest zamknięta. Kazał dziewczętom czym prędzej ~~xxxx~~ zawracać i uciekać stąd do miasta z powrotem. Droga zbyt wąska, zbyt

trudno szybko zawrócić konnym wozem o 180° - czyli w stronę przeciwną do kierunku dotychczasowej jazdy, konie wystraszone trwającą z obu stron strzelaniną. W dużej trwodze i przestraszeniu udało się zawrócić furmankę, lecz od strony Budzanowa nadjechała następna grupa uzbrojonych ludzi i zajęli prawie całą szerokość jezdni, a przy tym zaczęli strzelać z broni maszynowej w kierunku lasu. W odpowiedzi z lasu zaczęli strzelać w kierunku furmanek. Przedzierając się przez tę płaciznę furmanek w kierunku śródmieścia, przedzierali się równocześnie przez grad kul - nie zdając sobie nawet z tego faktu sprawy. To wracanie zakończyłoby się chyba tragicznie, gdyby nie nagłe zjechanie furmanki z konwiami mleka z pola ostrzału grupy strzelającej z lasu. Wystraszone, wręcz przerażone dziewczyny - wróciły na punkt zborny zlewu mleka w Budzanowie i zostawiły tam wiezione konwie z mlekiem wraz z kartką informacyjną stwierdzającą, że przywieźli mleko przed czasem, mleka nie przyjęto i kazano im zawieźć go do Janowa. Z drogi do Janowa zostali zawróceni przez żołnierzy, którzy oświadczyli, że dalsza droga do Janowa jest zamknięta. Z tej przyczyny wrócili z drogi, zostawiając konwie mleka i powiadomili o tym biuro. Wracając do domu, będąc już za miastem na gruntowej drodze do rodzinnej wsi, napotkali jednego z uczestników walki - w której obydwie przypadkowo uczestniczyły w sposób wyżej opisany - który ich rozpoznał, i poinformował, że walka była ciężka - część z nich musiała się wycofać za rzekę, a on wrócił do swoich. Wróciły obydwie szczęśliwie do domu zadowolone, że mimo tylu tak nagłych zdarzeń są żywe i całe wśród swoich. Nie był to ani jedyny, ani ostatni przypadek z tego okresu w tak zwanym "domowym" życiu kobiet.

W niedługim czasie od dnia mobilizacji i odejściu mężczyzn do wojska i na front, zaczęły nadchodzić do każdej z rodzin listy - od mężów, ojców, synów, braci - nieco później również od córek i sióstr. Z treści każdego z tych listów przemawiało głębokie zatroskanie piszących o pozostawionych w domu swoich najbliższych i to w warunkach bardzo niekorzystnych i niebezpiecznych, głównie ze względu na napady i morderstwa. Piszący te listy, przeważnie nie wspominając wiele o sobie, bardzo prosili o szczegółowe wieści o pozostawionych domownikach - o stanie ich zdrowia i bezpieczeństwa oraz o radzeniu sobie z pracami przy uprawie i zbiorach płodów rolnych. Prosząc też wieści o sąsiadach i kolegach. Powyższe wieści od najbliższych były wielkim pokrzepieniem dla każdej prawie osoby we wsi. Tak zresztą było do końca wojny.

*Wracanie
z domu*

Każda osoba otrzymująca list od swoich z frontu, wszelkimi wieściami tego listu - niejako z ukształtowanego się we wsi obowiązku obywatelstwa - dzieliła się ze wszystkimi we wsi.

W połowie roku 1944 z nadchodzących listów można się było zorientować, że znaczna część z tych, którzy odeszli na wojnę to artylerzyści, druga dość liczna grupa to piechurzy, pozostali - część jest w kawalerii, mimo że ten rodzaj wojska prawie że zanikał, część - przeważnie starsi wiekiem - znaleźli się w polowych piekarniach wojskowych, część znalazła się w obsłudze szpitali polowych.

Poza tym z nadchodzących listów wiadomo też było, że jednostki wojskowe w których pełnią służbę przemieszczają się na zachód - do linii frontu i coraz bliżej polskiej granicy.

Pisali też, że służą w polskich jednostkach wojskowych - noszą polskie mundury drelichowe z orzełkiem bez korony. Część oficerów jest polskich, ale znaczna też część jest oficerów radzieckich.

Obowiązują polskie komendy. Spiewają na apelu porannym "Kiedy ranne wstają zerze", a po apelu wieczornym "Wszystkie nasze dzienne sprawy"

b). samoobrona mieszkańców wsi

Mieszkańców wsi absorbowały mocno istniejące bieżąco sprawy na miejscu. Po powrocie z ewakuacji, stała się również z powrotem aktualną sprawa samoobrony wsi i bezpośredniej ochrony mieszkańców wsi podczas wykonywanych prac polowych przy zbiorach płodów rolnych. Wyjednano u władz radzieckich zezwolenie i utworzona została we wsi uzbrojona grupa z 15 - 17 letnich młodzików. Grupa ta działała aż do wyjazdu mieszkańców ze wsi na koczowisko do Trembowli w październiku 1945 roku, a do Polski dopiero w końcu listopada 1945r. Wpominieć też należy, że latem 1944r - od czasu mobilizacji, wróciło do wsi kilku mężczyzn z powrotem, jako nie zdolni do służby wojskowej.

Samoobrona o ochrona mieszkańców wsi prowadzona była nadal według opisywanych już wyżej sposobów działania. Dominowała jednak u młodzików zasada grupowego działania. Jednak wspomnieć też trzeba z wielką zadumą, że oddanie w ręce młodzików broni, bez dobrego ich przygotowania do bezpiecznego posługiwania się tą bronią, drogo ta młodzież za to zapłaciła. Właśnie wskutek nieumiejętnego posługiwania się bronią zginęło dwoje bardzo młodziutkich z pośród nich.

Mianowicie - Zofia Szostopal lat 16 i Michał Mazur Lat 17

c) kontygenty, ich odwożenie do magazynów zbożowych oraz rekwirowanie pustych furmank do przetransportowywania bojowych min i amunicji artyleryjskiej.

Wraz ze zbiorami plodów rolnych, w codziennym bytowaniu wsi pojawił się niejako "nowy", lecz nieodłączny w opisywanym okresie czasu, element - czyli kontygent zbożowy. Na zasadzie stosownie do ilości posiadanych gruntów uprawnych, nowoprzybyła władza radziecka nie zapomniała wcale nałożyć na każdego rolnika, odpowiednią ilość kontygentu - w zbożu. Zarówno ilość, jak też terminy zdawania tych kontygentów były przez tą władzę w sposób bezwzględny egzekwowany. Oddawany kontygent odwożony był, tak jak w czasie okupacji niemieckiej, do magazynów zbożowych w Trembowli. Oczywiście dla całej wsi, kontygent ten odwozili nieodpłatnie ci gospodarze - przeważnie kobiety, którzy posiadali konie. Właśnie te konne furmanki, gdy wracały puste z powrotem do domu, były przez oficjalnych przedstawicieli tejże samej władzy radzieckiej - miejscowej - które ich wysłała z kontygentem, bez pardonowo zatrzymywane i pod przymusem zatrudniane do wykonania co najmniej jednego kursu - przywiezienia, pełnego załadunku furmanki, niemieckich bojowych pocisków artyleryjskich z polowych składowisk w pobliskim lesie, na stację kolejową w Trembowli. Przy zatrzymaniu nic nie było uwzględniane, ani też żadne dokumenty przez zatrzymujących nie były respektowane. Podróż po wyżej wspomnianą amunicję, była podróżą w pełnym napięciu grożącym na każdym kroku niebezpieczeństwem. Mianowicie - wjeżdżało się do lasu, gdzie Niemcy zgromadzili pod gołym niebem nieobliczalne ilości różnych rodzajów, przeznaczenia i kalibrów bojowej amunicji, teren którego to lasu w znacznej części był jeszcze zaminowany. Drogę jazdy w lesie wyznaczało dwóch ludzi - saperów - idących bezpośrednio w przodzie przed zaprzęgiem (koźmi) furmanki. Jeżeli furmanka szczęśliwie dojechała do miejsca załadunku, na furmankę ładowano bojowe pociski artyleryjskie jak kloce pociętego drewna. Z takim ładunkiem wjeżdżało się z lasu na bitą drogę o "kociach łbach". Długość takiej drogi do stacji kolejowej wynosiła 5 - 6 kilometrów. Rozładunek na stacji do bezpiecznych też nie należał. Przewóz takiego ładunku w opisywanych wyżej warunkach, przysparzał każdego woźnicę, którego przewoził nie o jeden siwy włos, a tętno bicia serca równe było, granicznie możliwemu wysiłkowi fizycznemu człowieka. A ponieważ w opisywanym okresie woźnicami były przeważnie kobiety (mężczyźni odeszli na wojnę), ich to głównie udział był w tych przeżyciach. Wszystko to wykonywane było bez żadnego wynagrodzenia chociażby w jakiegokolwiek postaci. Każdy posiadacz koni (furmanki konnej) opisywanej wsi i nie tylko tej - takich jak wyżej i podobnych wrażeń

przeżył nie jeden raz. Były też przypadki, odbierania furmanki wraz z lepszymi końmi, w powrotnej drodze po odwiezieniu kontygentu. Czynili to nacjonaliści ukraińscy z pod znaku UPA. Spotkało to w opisywanej wsi Katarzynę Gitler i Michała Pleszczak, każde mając po jednym koniu sprzęgali się. Jadąc razem z kontygentem, jako woźnica córka K. Gitler - Anna i Michał Pleszczak, w powrotnej drodze z Trembowli - dojeżdżając do sąsiedniej wsi Słobutka Janowska - zostali zatrzymani. Woźnicom pod groźbą użycia broni kazano szybciotko opuścić furmankę i nie oglądając się jak najszybciej uciekać. Furmanka wraz z końmi przepadła bez śladu. Woźnice wrócili żywi i cali, pieszo.

4. Nasilające się ponownie bestialskie morderstwa Polaków, a także wszelakiego rodzaju różne działania uniemożliwiające życie ~~Polaków~~

W coraz większym stopniu wówczas, niejako równoległe ze wszystkimi wyżej opisanymi wydarzeniami w stosunku do Polaków, nasiliły się również - rady dla Polaków, wypowiedzi na ich temat, pogróżki pod ich adresem, ulotki o treści antypolskiej podrzucane Polakom - wszystko zmierzało ku temu, że miejscem właściwym dla Polaków jest Polska. Stąd Polacy niech stąd wyjeżdżają, ponieważ spokoju i tak tu mieć nie będą. Nie było też widać skutecznego działania ze strony "nowo przybyłej" władzy radzieckiej w zapewnieniu bezpieczeństwa życia rodzinom polskim, głównie przewanie dokonywania na tych rodzinach morderstw.

W nocy 9 września 1944 roku w sąsiedniej wsi Słobutka Janowska dokonano napadu i w bestialski sposób nacjonaliści ukraińscy z pod znaku UPA zamordowali 9 osób z polskich rodzin. Między innymi: Anielę Pindera - lat ok. 42, Stanisława Pindera - lat ok. 25, dzieci w wieku 9 i 10 lat, - Jan i Julian Słobodzian, Stanisław Kapnik - lat ok. 17, Aniela Polakowska - lat ok. 30, Stanisław Amurgowicz - lat ok. 55, oraz kobietę w bardzo już zaawansowanej ciąży o przydomku "Siworisicha" - której żywcem rozcięli brzuch i tak z żywym już dzieckiem bez żadnej pomocy oboje skonały w obecności bandytów, za to tylko, że jako Ukrainka powiedziała, że wiedziała i była we wsi banderowcy. Wszystko to się wydarzyło już po wkroczeniu czerwonej armii i działaniu powstałych tam władz sowieckich. Spowodowało to wzrost obaw i napięcia wśród Polaków, co było szczególnie dotkliwe ponieważ nie było mężczyzn w rodzinach polskich - poszli na front. Mimo wzrastającego napięcia, zbiór płodów rolnych dokonany został w całości. Również zasiewy jesienne zbóż ozimych i orkiszowych wykonane zostały w nieodzownym zakresie. Zima, pod względem bezpieczeństwa mieszkańców wsi, niczym się nie poprawiła - podobna była raczej do roku ubiegłego. Bieżące dni przynosiły różne wydarzenia - ludzie musieli żyć. Trzeba było zaopatrywać domostwa w co najmniej minimum podstawowych potrzeb, w tym też opału. Z tego też względu kobiety udawały

UPA
zabijał
mieszkańców

się w różne miejsca także dla pozyskania również opału, a więc i do lasu. Przez lasy otaczające wieś prowadziła najkrótsza droga na pola uprawne znacznej części mieszkańców wsi. Mimo niebezpieczeństw - ludzie do lasu i przez las - chodzili. Ponieważ gospodarzami, wykonawcami wszelkich prac - pod nieobecność mężczyzn, którzy zostali zmobilizowani do wojska - głównymi postaciami były w omawianym czasie kobiety, one też niósły na sobie główny ciężar prowadzenia gospodarstw rodzinnych. Chodząc do lasu po drzewo na opał lub przechodząc przez las w pole, bądź z pola - niektóre z nich natknęły się na banderowców, lecz nie jako kobiety-polki, ale jako kobiety pobliskich miejscowości. Znając natomiast miejscowe obyczaje i władając bardzo dobrze językiem ukraińskim o miejscowym narzeczu, nie znając ich osobiście nie można było ich odróżnić od ukraińców. Banderowcy jednak korzystali z każdej sytuacji i starali się wywierać nacisk na Polaków w różny sposób. Także i przez przestroch przypadkowo napotykanymi zupełnie nieznanymi kobietami.

Te kobiety, których takie spotkania z banderowcami dotknęły, były tak wystraszone, że z zasady w niedługim czasie zabierały rodziny i opuszczały wieś - niczego z rozmowy nie zdradzając. Takie nieprzewidziane spotkania niektórych kobiet uwidoczniły się dopiero wiosną 1945 roku i z tych głównie przyczyn wyjechało ze wsi w niedługim czasie cztery rodziny do polski i jedna do Trembowli.

Nacjonaliści ukraińscy - głównie z pod znaku UPA rozpowszechniali różnego rodzaju niekorzystne i antypolskie stwierdzenia, groźby - wprost nakazy dla Polaków wyjazdu do polski z tych odwiecznie rodzinnych terenów. Czynili to w formie przekazywania słownie w postaci niejako poufnej wiadomości, bądź podobnych stwierdzeń podrzucanych w ulotkach o obraźliwej antypolskiej treści do miejsc skupiania się Polaków, bądź wrzucanie do poczty, względnie podrzucanie na podwórza Polaków (były to z zasady piśmiętka odręczne pisane jakoby koślawą ręką - lecz w treści związane). Zatrzymywali też w ustronnych miejscach, przeważnie udających się do pracy w polu i wracających do domu, którym bezpośrednio grożono, że jeżeli nie wyjadą stąd to czeka ich wraz z całą rodziną niechybnie śmierć. Wszystko to połączone z nieustającymi nadal napadami i dokonywanymi bestialskimi morderstwami, przy jednoczesnej małej efektywności przeciwdziałania tym morderstwom ze strony władz radzieckich, dawało, wprawdzie z wielkimi oporami wewnętrznymi, efekty w postaci coraz częstszych wyjazdów - ucieczek przed morderstwami - z tych terenów rodzin polskich do polski. Poza tym władze radzieckie wróciły do dobrze znanych tutaj praktyk z lat 1939 - 41. Obowiązkowy kontyngent, prawie ze wszystkiego w ilościach prawie całkowitych uzysków i bezwzględne jego ściąganie. Lansowanie nadal

bardzo niekorzystnego stosunku władzy do indywidualnych gospodarzy i wogóle do prywatnej własności. Powróciło nadal bardzo groźne w warunkach wiejskich w związku radzieckim określenie "Kułak", co oznaczało jednocześnie w praktyce - wróg narodu radzieckiego, a to z kolei oznaczało - w niedługim czasie przymusową zsyłkę w głąb związku radzieckiego. Był to wzmagający się nacisk władzy radzieckiej na opuszczanie swoich ojcowizn przez Polaków i wyjazd ich do polski w obecnych granicach.

R o z d z i a ł szósty.

XXVI. Wieści od mieszkańców wsi z frontu walki z Niemcami.

Frontowa droga mężczyzn, których w kwietniu 1944 roku w drodze powszechnej mobilizacji powołano z opisywanej wsi do wojska i na wojnę, związana była bezpośrednio z drogą tych bojowych ugrupowań wojskowych do których zostali przydzieleni. Po mobilizacji i przebyciu pieszo w bezpośredniej strefie frontowej około 70 km do kolejowej stacji załadowczej Maksymówka oraz po różnych przyfrontowych perypetjach wojennych - w niektórych miejscach i dniach - nawet dość groźnych, wszyscy zmobilizowani dotarli do miejscowości Sumy na Ukrainie, gdzie znajdował się wówczas ośrodek formowania jednostek wojskowych wojska polskiego zwanych Berlingowcami. Wszystkich przybywających tam Polaków witały polskie narodowe flagi i kilka kotków gorącego kapuśniaku. Od tych kotków i spożycia zupy w dowolnej ilości; każdy tam przybywający rozpoczynał swój pobyt w tym ośrodku. Był to duży starodawny obiekt koszarowy położony na wzgórzu na uboczu miasta Sumy nad rzeką Psieł. Po odpoczynku i załatwieniu różnych nieodzownych czynności wykonawczych przy poborze do wojska - na dużym placu koszarowym, gdzie zgromadzono przybyłych - dokonano imiennego przydziału do poszczególnych rodzajów broni i jednostek wojskowych.

Wspomnieć też należy, że zarówno w Sumach jak też w jednostkach wojskowych do których zostali przydzieleni nowo zmobilizowani w omawianym czasie - Polacy pochodzący głównie ze wschodniej i centralnej części województw: wołyńskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego; w granicach polski z 1 września 1939 roku - zetknęli się z żołnierzami polskimi, którzy przybyli głównie z pośród Polaków będących w różnych rejonach związku radzieckiego na przymusowym zesłaniu i w znacznej części tych, którzy nie dotarli do armii polskiej wyprowadzonej do Iranu - zwanej potocznie armią W. Andersa. Znacznie później dowiedziano się też, że części zesłańcom - opisywanej wsi Zniesienie - udało się na przełomie lat 1941/1942 znaleźć się nie w szeregach tej armii, która w tych latach była organizowana z zesłańców, przez emigracyjny rząd polski w Londynie, na terenie związku radzieckiego. Na dowódcę tej armii wyznaczony został generał

Władysław Anders. Zdążyła tam dotrzeć tylko znikoma część tych, którzy od 17 września 1939 roku do 21 czerwca 1941 roku wywiezieni zostali przymusowo - na zsyłkę i do łagrów (więzień) - w głąb związku radzieckiego z terenów polski w granicach 1. września 1939 roku, zajętych siłką przez związek radziecki 17 września 1939 roku. Właśnie dalsza droga tych ludzi i ich wojenne losy, związane były bezpośrednio z drogą tych wojsk. A więc - wyjście do Iranu. Następnie - Irak, Palestyna, Egipt i przetransportowanie do Włoch - tam ciężkie walki o Monte Casino i wkroczenie walką z Niemcami do Ankony.

Zmobilizowani z opisywanej wsi do wojska polskiego zwanego Berlingowcami, przydzieleni zostali głównie do następujących związków taktycznych:

- nowoorganizowanej 2 samodzielnej brygady artylerii haubic;
 - na uzupełnienie 1 dywizji piechoty im. T. Kościuszki;
 - nowoorganizowanej 4 dywizji piechoty;
 - nowoorganizowanej 1 brygady kawalerii; oraz
- do nowoorganizowanych jednostek lotniczych (a raczej do szkół lotniczych).

Stąd też droga frontowa każdego żołnierza (każdego ze zmobilizowanych) była bezpośrednio związana z drogą jednostki wojskowej do której otrzymał przydział i w szeregach której pełnił służbę. A droga ta, jak się w niedługim czasie okazało, była przeogromnie ciężka. Po przeszkoleniu podstawowym w żołnierskim rzemiośle, które w czasie wojny - wbrew obiegowym opiniom - wymaga ogromnej znajomości rzeczy i praktycznych umiejętności, a także odwagi, sprytu, przebiegłości i stale dużego wysiłku, skompletowane jednostki wojskowe skierowane zostały na front. W ten sposób, jednostki nowoorganizowanego wojska polskiego zwanego Berlingowcami - oficjalnie pierwszą armią - zgrupowano w rejonie Kiwerc. Stamtąd droga prowadziła poprzez - udział w bezpośrednich walkach z Niemcami o przeprawę przez rzekę Bug, walki obronne na odnieku Puławy - Dęblin, a także walki o zdobycie prawobrzeżnej Warszawy - Pragi. Udział we wsparciu walk Powstańców Warszawskich - ostrzałem artyleryjskim i usiłowaną dokonaniem przeprawą wojsk przez Wisłę. Przeprawa przez Wisłę i walki o lewobrzeżną Warszawę. Dalej to w mroźną, śnieżną zimę - udział w walkach o Bydgoszcz, ciężkie boje o zdobycie pomorza (Złotów, Jastrów, stałe betonowe i silnie bronione umocnienia wału pomorskiego, Kołobrzeg, Szczecin). Następnie przeprawa przez rzekę Odra i udział w ciężkich bojach na kierunku rz. Odra - Alt Medec - Berlin, w tym na ulicach w samym Berlinie. W miarę upływu czasu przychodziły do opisywanej wsi - też bardzo tragiczne wieści z frontu. Mianowicie - żołnierską śmiercią w walce z wrogiem - pod Warszawą zginął Egieniúsz Konar.

W walkach na pomorzu zginęli - Jan Osowski, Piotr Jędorowicz s. Jaku
ba, Szczepan Matwijew. Od ran wojennych zmarł Stanisław Gitler.

W walkach o przeprawę przez rzekę Odra zginął Józef Zajac. s. Władysław.
Podczas powrotu wojsk polskich z Niemiec do kraju - po zakończeniu
wojny - zginął Józef Gitler.

Jako żołnierze czerwonej armii radzieckiej - zginęli następujący
mieszkańcy opisywanej wsi - Marek Kaszcida, Piotr Jaremczuk, Andrzej
Bobrek, Paweł Włosek.

Ranni zostali - Tomasz Jędorowicz, Stanisław Zajac. s. Władysław.

Kontuzjowani i ranni zostali - Antoni Pleszczak, Jan Semkowicz

XXVII. Osobiste wspomnienia wojenne lat 1944-45 byłych żołnierzy
1-szej armii ludowego wojska polskiego zwanych Berlingowcami.

Bezpośredni uczestnicy - jako jedni z wielu, jak też i jedni
z wielu tych wszystkich zmobilizowanych opisywanej wsi Zniesienie -
którzy przebyli całą tą frontową drogę w ciągłej walce z przeciwni-
kiem, tak ją wspominają:

Antoni Pleszczak. Po przybyciu do Sum przydzielony zostałem do 2 Sa-
modzielnej brygady artylerii haubic - wraz z wielu innymi z naszej
wsi. Otrzymałem przydział do tej brygady również między innymi: Jan
Semkowicz, Józef Semkowicz, Szczepan Osowski, Wojciech Szostopał i inni.
Z Sum odtransportowano nas do koszar w miasteczku Burynia. Tam skie-
rowany zostałem do szkoły podoficerskiej. W czerwcu 1944r - w ramach
przegrupowania jednostek armii polskiej w lasy wołyńskie - szkoła
podoficerska w której byłem znalazła się w pobliżu miasteczka Kliwa
na Wołyniu, gdzie nocami znów "stykaliśmy się" z banderowcami. W po-
czątkach lipca przygrupowywano nas coraz bliżej bezpośrednich walk
frontowych, tak że nasi artylerzyści brali już udział w bojach, a w
nieodległym czasie przesunęli nas pod rzekę Bug i tam braliśmy już
bezpośredni udział w przygotowaniu i forsowaniu rzeki Bug. Pamiętam,
jak nie mając jeszcze przydziału, skierowano mnie na punkt obserwa-
cyjny. Idąc na ten punkt obserwacyjny naliczyłem 14 linii stanowisk
ogniowych artylerii przed rzeką Bug. Wszystkie one wzięły udział w
artyleryjskim przygotowaniu przeprawy. Jak to wszystko zaczęło strze-
lać to jak by się świat walił. Ale za to, za około trzy godziny byliś-
my już po swersowaniu rzeki Bug i zmierzaliśmy do Chełma walką.

W Chełmie mieliśmy chwilowy odpoczynek i dalej ruszyliśmy na Lublin.
W Lublinie uczyniono nam również krótki odpoczynek. Następnie ruszy-
liśmy w kierunku Puław - Dęblin. W Puławach zajęliśmy stanowiska
ogniowe ciągle je zmieniając. Stać po nieodległym czasie - w walce -
skierowano nas w kierunku prawobrzeżnej Warszawy - Pragi. Dotarliśmy
w walce z krótkimi przerwami - przez Otwock na Gróchów. Ciągle zmie-
nialiśmy swoje miejsca postojów i stanowiska ogniowe (przerzucano
nas) - Otwock, Wawer, Rembertów, Jabłonna, Praga - z większości tych

miejsce wspieraliśmy walkę wojsk z przeciwnikiem. Następnie skierowano nas na krótki odpoczynek do Mińska Mazowieckiego. Z Mińska Mazowieckiego z powrotem do Otwocka i tak aż do połowy stycznia 1945r - czasu uderzenia na lewobrzeżną Warszawę, do której wkroczyliśmy walką 17 stycznia 1945 roku. Mimo przeogromnych zniszczeń - wyrażających się wyłącznie widokiem napotykanym gruzowisk - pozostała w lewobrzeżnej Warszawie, po upadku powstania, ludność przyjmowała nas bardzo ciepło i spontaniczną radością. Mieliśmy w Warszawie chwilowy odpoczynek. Ja i obsługa mojego działka (byłem działonowym) - jak nas zatrzymano na chwilowy odpoczynek - byliśmy mocno spoceni. Ludzie mimo zimy przynieśli nam kwiaty - wiedząc, że ocieramy pot z czoła rękawami płaszczy, rzucali nam okusieczki. Ruszyliśmy dalej w kierunku Bydgoszczy, gdzie zdobyliśmy dużo żywności, której odczuwaliśmy istotny niedostatek, a także znaczne ilości odzieży - co było też istotnym dobytkiem, ponieważ była zima, a my mieliśmy mundu-
V drelichowe, i przy tym mocno sfatygowane i już połatanne. Z Bydgoszczy ruszyliśmy dalej - walką - wkroczyliśmy do Złotowa. Następnie poszliśmy na Jastrów, gdzie zostaliśmy okrążeni przez Niemców. Ten niemiecki pierścień naszego okrążenia, okrążyli z kolei Ruscy. W ten sposób - walką od wewnątrz i z zewnątrz - pierścień niemiecki został przerwany. Walka była bardzo ciężka, znaczną część Niemców wzięto do niewoli. Po rozbiciu pierścienia okrążenia, wspieraliśmy bardzo ciężkie walki wojsk naszej armii o przełamanie wału pomorskiego (betonowe umocnienia stałe, silnie bronione przez Niemców). Po przełamaniu wału pomorskiego skierowano nas do Kokobrzegu, którego Niemcy też silnie bronili - będąc tam silnie umocnionymi. Na przedmieściach Kokobrzegu musieliśmy zająć stanowiska ogniowe na otwartym polu i prowadzić ogień bezpośredni - "strzelaniem na wprost". Po rozbiciu niemieckich stanowisk ogniowych znajdujących się w dogodnych miejscach zabudowy i w wieży kościelnej. Następnie - pamiętam, że było to w nocy z 17 na 18 marca 1945r przez telefon dowódca baterii przekazał mi rozkaz, że mam zabrać nasz pierwszy działon i udać się w określone miejsce i rozbić ratusz z dużą wieżą w którym bronią się silnie umocnieni tam Niemcy. Jak się okazało później - nie bardzo dokładnie zrozumiałem oznaczenia drogi jak do nakazanego miejsca dojść. Była późna noc. Zabrałem działko wraz z obsługą i poprowadziłem samochód-ciągnik do nakazanego miejsca. W odległości około 500 m. przed miejscem na stanowiska ogniowe działka, odczepiliśmy działko i dalszą drogę popychaliśmy działko siłą mięśni całej załogi działka. Ponieważ nie mogłem dokładnie odnaleźć nakazanego miejsca - po prostu zbłądziłem - zaprowadziłem działko za najbliższy budynek i nakazałem załodze pozostać w tym miejscu, a sam udałem się na poszukiwanie miejsca nakazanego przez dowódcę baterii. Noc była ciemna. Oświetlone

były tylko miejsca powstałych pożarów. Wszedłem na mostek przez głęboki rów i natknąłem się na polskiego żołnierza - obserwatora, który z tego rowu obserwował Niemców i który ostrzegł mnie, że idę na stronę zajęta przez Niemców. Jak by nie to przypadkowe ostrzeżenie, byłbym wpadł najprawdopodobniej w ręce Niemców. Wróciłem czym prędzej do załogi dział, gdzie był już zastępca dowódcy baterii do spraw politycznych - porucznik - któremu zameldowałem o zaistniałej sytuacji (że zszedłem). W odpowiedzi nakazał, ażeby szybko zabierać dział i cicho przepychać w kierunku gdzie on wskaże - na miejsce nakazane przez dowódcę baterii. Zajęliśmy stanowisko ogniowe na otwartym polu w odległości około 100 m. od nakazanego ratusza. Prawie już świtało. Wspierając piechotę, po kilku artyleryjskich wystrzałach dość skutecznych, Niemcy będący w ratuszu poddali się. Wyszli przez otwory okienne i wszelkie inne, białe flagi i na wezwanie z naszej strony zaczęli wychodzić z podniesionymi do góry rękoma na plac przed ratuszem. Było ich tam kilka dziesiątek - sami esesmani, cała władza administracyjna, getapo i t.p. Wokół tego placu, zjawili się niewiadomo skąd również robotnicy różnych narodowości będący w tym mieście na przymusowych robotach. Cała ta grupa była tak rozwścieczona, że trzeba było jeszcze ochraniać tych zbirów przed samosądem ze strony robotników za doznane krzywdy.

Z Kołobrzegu skierowano naszą brygadę w kierunku Odry, gdzie toczyły się ciężkie boje. Po przeprawieniu się przez Odrę ruszyliśmy walką w kierunku zachodnim. Dotarliśmy do miasteczka Alt Medec. Tuż za miasteczkiem przebiegał wysoki wał w którym i za którym umocnili się silnie Niemcy. W nocy zajęliśmy stanowiska ogniowe i okopaliśmy się. Ruszyła do natarcia piechota. Natarcie się nie udało. Trzeba było szybko i bliżej podciągać dział naszej baterii. Trzy dział po wykopaniu dla nich stanowisk ogniowych udało się wciągnąć. Natomiast ja z załogą swojego dział nie mogliśmy szybko wciągnąć ponieważ przeszkadzał nam silny żelazny parkan. Zaczęliśmy ten parkan przerywać, a już zaczęło się robić zupełnie widno - dzień. Dział nasze stoi na drodze. Przybiegł do nas nasz pułkownik Parchanowski i krzyknął - chłopcy - nie ma już czasu pchać dział na stanowisko, bo atakują nas już czołgi niemieckie. Przygotować dział natychmiast do strzelania tutaj na drodze, bo zginiemy. Pomógł nam jeszcze ustawić dział i rozpoczęliśmy prowadzić ogień na wprost (bezpośredni) do niemieckich czołgów - które się ukazały - idących na nas do kontrataku. Zdążyliśmy oddać tylko kilka wystrzałów, ale jak się później okazało dość skutecznych, i załoga naszego dział poniosła duże straty. W wyniku trafienia - pociskiem z osługu niemieckie 80 - w nasze dział: 2 członków załogi naszego dział zostało zabitych i jeden ciężko ranny, pozostałych 2 kortuzjowanych. Dział nasze -

stanik i lufa roztrzaskane, tarcza ochronna zwinięta. Czołgi niemieckie - dwa ~~w~~ozbite, a reszta wycofała się wraz z piechotą za wał. Działania na tym odcinku ucichły. Dopiero na trzeci dzień ponowiono z naszej strony, dobrze przygotowany atak - również przy użyciu lotnictwa. Silne przygotowanie artyleryjskie, następnie silne działanie lotnictwa i atak piechoty z prawie jednoczesnym rozsuwaniem wału. Po obu stronach były znaczne straty. Wzięto również znaczną część Niemców do niewoli, a dość liczna część z nich także po prostu uciekła. Po chwilowym odpoczynku, i ukończeniu działania, skierowani zostaliśmy do Berlina. Zatrzymano nas na przeprawie przez kanał - zwany wówczas kanałem Geringa. Tam Niemcy wykonali na nas silny nalot. Zginęło tam wówczas kilku naszych ludzi. Został tam zabity również mój kolega ze wsi Młyniska - nazwiskiem Szkwarek. Po przeprawie skierowani zostaliśmy do walk ulicznych w Berlinie. Walki były ciężkie - przez dzień i noc - bardzo ciężkie i zażarte. Stosowano różne sposoby prowadzenia tej walki. My na przykład - załoga naszego działka - w przedostatnim dniu zdobycia Berlina, bardzo szybko - swoje 3 tonowe działko częściami wynieśliśmy na drugie piętro budynku o silnej konstrukcji, tam złożyliśmy go i prowadziliśmy z tamąd dość skuteczny ogień do określonych celów - do których z poziomu ulicy strzelać nie było możliwym, ponieważ nie były widoczne.

2 maja 1945 roku nad ranem - dowódca naszego dywizjonu 8 pahl ogłosił nam nowinę, że wojska niemieckie w Berlinie skapitulowały, a Hitler powiesił się.

Rano ruszyliśmy w kierunku rzeki Elby. Po przybyciu w nakazany rejon, udziału tam w walkach już nie braliśmy. 8-go maja Niemcy skapitulowały. Wspomnieć też trzeba - gwoli prawdzie - na całej tej przebytej przez nas drodze ciężkiej walki - huku dział, bomb, min, broni maszynowej, jękach rannych i pozostawianiu na tej drodze żegnając zabitych przyjaciół i kolegów towarzyszy tej walki - z żałowaniem broniącym się i opornie ustępującym nieprzyjacielem, czasu na odpoczynek i zabiegi higieniczne. Było bardzo mało, a raczej prawie nie było go wcale. Przebywało się stale w chłodzie i pod gołym niebem bez względu na porę dnia i roku - w znacznej części również w chłodzie w warunkach ciągłego ogromnego wysiłku fizycznego i wysokiego napięcia psychicznego.

Piotr Osowski - byłem w 23 pułku artylerii lekkiej w 3 dywizjonie w 8 baterii - kpt Łojewskiego. Po ciężkich bojach o Wał Pomorski dostaliśmy rozkaz szybkiego marszu w kierunku północnym. Po 20-to godzinnej forsownej jeździe konnej dotarliśmy do dnia pod miasto. Po zajęciu natychmiast stanowisk ogniowych, Niemcy przywitani nas

ogniem z moździerzy. Z prowadzonych przez Niemców tych moździerzowych wystrzałów, zorientowaliśmy się że mają dobre punkty obserwacyjne, mimo tego że my byliśmy dobrze okopani tuż obok fabryki wina niedaleko pierwszych koszar. Po lewej stronie na skarpie była okopana 9 bateria haubic, a jeszcze dalej stała 7 bateria - czyli cały 3 dywizjon kpt. Dubowika. Na pierwszy ogień poleciały niemieckie punkty obserwacyjne. Później próbowaliśmy skrajne zabudowania Kołobrzegu, gdzie też piechota 14, 16 i 18 pułku próbowała kilkakrotnie atakować, lecz Niemcy mieli dobre pole ostrzału i niepozwolali poderwać się naszym. Tak zeszło do wieczora. Pod wieczór nasz kapitan Łojewski - nakazał jeźdźcom - ażeby koniom kopyta poowijać w szmaty lub rozkucie (odczepić żelazne podkowy od końskich kopyt) ponieważ pojedziemy do miasta. Gdy zapadły dobrze nocne ciemności, nakazał sprzęt mocno poprzywiązywać tak ażeby nie było żadnego hałasu, ponieważ każdy zgrzyt groził wykryciem przez Niemców całej naszej baterii. Po czym ruszyliśmy działem jedno za drugim w odstępach około 20 metrów i rzeczywiście jechaliśmy do miasta. Wyminęliśmy rozbitą naszą kuchnię - dwa konie leżało. Minęliśmy nasze ciężkie karabiny maszynowe i niedaleko koszar skręciliśmy w prawo. Były tu podmiejskie domki. Zaczęliśmy ustawiać działko na prosty strzał w koszarę i w barykadę, która broniła wejścia do miasta. Lecz szosa w tej części była obsadzona na swych poboczach prawdopodobnie już dość wysokimi i grubymi kasztanami i naszemu działu przeszkadzał właśnie taki jeden z nich. Poszliśmy we dwóch z celowniczym Zalewskim i zaczęliśmy piłowić to przeszkadzające nam drzewo przy szosie. Jednak Niemcy nie spali. Zaraz wystrzelona rakietą, a później w naszym kierunku smuga pocisków. Widząc to nasz dowódca, kazał zrezygnować z dalszego piłowania, a działko przy pomocy również drugiej załogi przesunęliśmy nieco w prawo, tak że mieliśmy pole ostrzału. Całą noc nikt nie zadrzemał. Czyściliśmy amunicję i stale myśleliśmy - kto? kogo? wyprzedzi. Ja byłem w trzecim działku jako ładowniczy. W pierwszym był działonowym - sierżant Ziembicki, w drugim - plutonowy Brogecki, w trzecim plutonowy Pietruszka, a w czwartym - plutonowy Rytwiński. Noc marcowa była ku końcowi, gdy nagle padł rozkaz ognia i 40 pocisków rzuciliśmy tak huraganowo, iż zdawało się że jest to jeden wystrzał. Działa te były dobre w obsłudze i działały automatycznie - tak mogły szybko strzelać jak ręczny karabin bez ładowania. Mimo wszystko, my byliśmy pierwsi i prędzej zrobiliśmy Niemcom pobudkę. W tym momencie ruszyła piechota, której już nikt nie wstrzymał - przez wyrwy w murach wdarli się do wnętrza. My zaprzestaliśmy chwilowo prowadzić ogień. Tylko pierwsze działko biło nadal -

ogniem bezpośrednim na wprost w barykadę. Po pewnym czasie i barykada uległa. Resztę budulca i kamieni usunęli saperzy. Wdarliśmy się do miasta w którym - jak mi się wydawało - że nocy nie będzie nigdy. Tak później i było - gazetę przeczytać; czy list lub inne pismo - w nocy czy w dzień to było jednakowo. Wszędzie ogromne pożary i od nich jasność nocy. Wszystko się prawie paliło. Przejeżdżając barykadę na dziedziniec koszar, widziałem rozbitą niemiecką baterię ciężkich moździerzy i kilku nieżywych żołnierzy z obsługi. W mieście walka była trudna, trzeba było zdobywać dom po domu - często go również niszczyć. W niektórych przypadkach było tak, że nasi zajęli w budynku piwnicę, a my artylerzyści - na prosty strzał, do tego samego budynku - biliśmy w wyższe kondygnacje (piętra). O przerzucaniu dział i podpychaniu stale na świeże stanowiska - końmi - nie mogło być mowy. Zostały tylko ręce i plecy obsługi dział. A obsługa też się nam wykruszyła. Został celowniczy Zalwski, ja i plutonowy Pietruszka. Składaliśmy stanowiska w połączenie do marszu, rączki uchwytu poddawali mnie na plecy, jeden biegł szybko na lufę aby ulżyć temu z tyłu, jeden za tarczę - i tak nie raz w dymach i w gorąco po cegłach rozwalonych budynków podpychaliśmy wciąż naprzód. Któregoś dnia wreszcie dotarliśmy nad kanał - przed nami był most. Po lewej stronie przed mostem był dość wysoki budynek - na dole była niemiecka apteka w której nawet jakaś stara niemka kręciła się za ladą. W podwórzu czyli dziedzińcu tego budynku ustawiona była bateria ciężkich moździerzy. Na budynku były punkty obserwacyjne różnych jednostek, byłem tam nie raz. Nasze działa były ustawione wzdłuż kanału. Po drugiej stronie znajdowała się fabryka kabli czy magazyny. Po kilkunastu pociskach wykwitły tam płomienie, a z nimi dymy palącej się gumy i izolacji. Wyglądało to tak w pierwszej chwili - że Niemcy użyli gazów trujących. Na drugi dzień przerzuciliśmy się przez most na drugą stronę i skręciliśmy zaraz w lewo obok łaźni. Tu dostaliśmy uzupełnienie baterii - do nas świeżo przybył, był Marian Zwazany - podobno był rodem od Przemysła. Okazał się też odważny i pracowity. Po kilku wreszcie dniach ciężkiej i uciążliwej walki dotarliśmy do basenu morskiego, gdzie na wzgórzu - nad ranem pojawiły się polskie flagi. Zrozumieliśmy, że miasto Kołobrzeg zostało zdobyte. Był 18 marca 1945r

R o z d z i a ł siódmy.
Ewakuacja Polaków i mieszkańców opisywanej wsi do polski
w granicach pojałtańskich.
XXVIII. Bieżące warunki życia Polaków opisywanych okolic bezpośrednio
po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Dla miejscowych Polaków, którzy od wieków związani byli z tą ziemią, bieżące życie zarówno w opisywanej wsi Zniesienie, jak też w okolicznych miejscowościach i w całym regionie stawało się z każdym dniem coraz niebezpieczniejsze. Polak nigdzie nie mógł się czuć bezpiecznie. W rodzinach polskich mężczyzn prawie nie było, byli jeszcze w wojsku. Całość codziennego ciężaru bytowania rodzin spoczywała na barkach kobiet - matek. Wytworzona sytuacja stawała się dla nich nie do wytrzymania. Znikąd nie było żadnej skutecznej pomocy stwarzającej chociażby nikłą, ale realną nadzieję na zmianę na lepsze, przede wszystkim chociażby w zapewnieniu pełnego bezpieczeństwa dla życia ludzkiego każdej polskiej rodziny, jak również tych Ukraińców którzy sprzyjali Polakom i stawali w ich obronie. Mimo wieści o zakończeniu wojny i pilnych żniwnych pracach przy zbiorach plodów rolnych, napięcie wśród miejscowych Polaków rosło. Siłą zwyczaju, mimo ogromnych wewnętrznych rozterek, przeciwności i sporów część plodów rolnych, głównie zbóż, zdołano zebrać. Jednak w wyniku utrzymującego się dużego nacisku moralnego, administracyjnego i fizycznego, począwszy od drugiej połowy roku 1945 zaczęły się zwiększać wyjazdy Polaków ze swoich ojcowizn do polski w obecnych granicach, była to po prostu ucieczka dla zachowania życia ponieważ bestialskie morderstwa nie ustawały. Latem 1945 roku zamordowano w bestialski sposób rodzinę współwłaściciela młyna wodnego na rz. Seret w sąsiedniej wsi Słobutka Janowska, spokojnego i rozważnego człowieka, Ukraińca - Kornel Łuciów lat ok. 53, żona jego lat ok. 45, córka lat ok. 23. Natomiast syn w wieku ok. 5 lat, znaleziony w stanie ogromnego szoku pod łożkiem w kąciaku, ranny. W tejże samej miejscowości w miesiącu wrześniu 1945r. w podstępny sposób uprowadzono dwóch 14 letnich chłopaków z rodzin polskich, którymi byli Józef Powszek s. Jana i Józef Kapnik s. Józefa. Wszelki, mimo poszukiwań, ślad po nich zaginął, ich ciała również nie znaleziono.

XXIX. Przygotowanie się polskich rodzin opisywanej wsi do ewakuacji.

Wskutek stale wzrastających zagrożeń życiu polskich rodzin i braku realnych widoków skutecznej poprawy stanu w tym względzie, co potwierdzały stale powtarzające się, wyżej opisane bieżące fakty dnia codziennego w miesiącu wrześniu 1945 roku wszystkie polskie rodziny opisywanej wsi zdecydowały, że w warunkach stale wzrastającego nacisku psychicznego, fizycznego i administracyjnego bezpośrednio zagrażających życiu członków każdej polskiej rodziny, dla ochrony własnego życia, zmuszeni są pozostawić cały swój wielowiekowy

rodzinny dorobek i opuścić rodzinną wieś, wyjeżdżając w trybie niezwłocznym - w nieznaną - do polski w jej granicach ukształtowanych w wyniku drugiej wojny światowej 1939 - 1945r. Od tego czasu wszystkie rodziny rozpoczęły intensywnie przygotowywać się do opuszczenia na stałe swoich rodzinnych domostw i wyjazdu do polski. Polegało to na wystaraniu się nieodzownych dokumentów miejscowych władz państwowych radzieckich potwierdzających faktyczny stan majątkowy, stanowiący własność hipoteczną, środków trwałych i nieruchomości pozostawianych na miejscu przez każdego właściciela (pola uprawne, gospodarstwa, budynki i tp.). Dokument ten nosił nazwę "Opis mienia pozostawionego" i wydawany był przez Pełnomocnika Rejonowego dla Ewakuacji. Przy tych staraniach, radzieckie władze, wydanie tych dokumentów uzależniły od uregulowania (oddania) wszystkich należonych kontygentów zbożowych i opłaty wszelkich należności podatkowych i innych.

Oprócz tego uzyskanie imiennej karty wyjazdu - zwanej "Karta Ewakuacyjna" - w treści której wpisana była osoba pełnoletnia, z zasady głowa rodziny, której kartę wydana oraz wyszczególnione wszystkie inne osoby razem wyjeżdżające, a także mienie, które wraz z sobą wywożą. Kartę tą wydawał ten sam - wymieniony wyżej już organ. Jednocześnie rozpoczęło się przetransportowywanie na stację kolejową mienia zabieranego ze sobą. Ze względu na pewniejsze bezpieczeństwo, jak się wydawało ewakuowanym, wybrano na stację załadowczą - stację kolejową Trembowla (stacja pośród dość zabudowanego obszaru, w pobliżu ruchliwej - na przelotowej tracie : Tarnopol, Kopyczyńce, Czorków, ulicy). Stacja ta oddalona była od opisywanej wsi Zniesienie o 16 km Wprawdzie była również inna stacja - oddalona tylko o 6 km od opisywanej wsi, lecz położona prawie w szczerym polu, wokół oprócz zabudowań stacji kolejowej były tylko uprawne pola i w oddaleniu ok. 2 km od stacji była wieś w przewyższającej większości zamieszkała przez ukraińców.

Przetransportowywanego przez ewakuowanych do stacji mienia nie było gdzie składować. Miejscowe władze radzieckie nie przejawiały żadnego zainteresowania tymi sprawami. Przywożone mienie - z braku wydzielonych miejsc lub krytych chociażby wagonów, mimo zgłaszania takiej potrzeby - każdy składał tymczasowo pod gołym niebem w przypadkowo wybranym dla siebie miejscu na niedużej wolnej przestrzeni wokół stacji kolejowej. Ponieważ zabierane mienie, przywożone było przez każdą rodzinę częściami, stąd powstała nieodzowna konieczność stałego pilnowania tego mienia, a także chociażby prowizorycznie zabezpieczenia tego mienia przed zamoczeniem - opadami atmosferycznymi i tp. Stąd wokół stacji zaczęły powstawać prowizorycznie budowane szałasowe małe budki w których od czasu ich pojawienia się tam, stale przebywa-

li ludzie, chociażby jedna osoba, pilnujące przywożone przez własną rodzinę mienie. Dla zwiększenia bezpieczeństwa, mieszkańcy opisywanej wsi, łączyli się w odpowiednio większe grupy i w takich większych zespołach furmanek konnych przewoziły swoje mienie do stacji kolejowej Trembowla. Od rozpoczęcia przewożenia mienia na stację, mieszkańcy opisywanej wsi podzieleni zostali niejako na trzy części: jedna, ochraniająca mienie na stacji w Trembowli; druga, pozostaje w rodzinnych domostwach i uczestniczy, na wyżej opisywanych zasadach, w ochronie przed napadami; trzecia część przebywała w większości czasu w podróży - między stacją kolejową a rodzinną wsią - przewożąc własne mienie zabierane ze sobą przez ewakuowanych. Wspomnieć trzeba też, że wszystko to co wyżej czyniono przygotowując się do wyjazdu, odbywało się w bardzo przygnębiającym nastroju, indywidualnie - ciągle - odczuwanym i przeżywanym ogromnym smutku, żalu i płaczem, wręcz rozpaczem każdego członka polskiej rodziny, którzy z przyczyny niemożliwej do zrozumienia i pojęcia - mimo, że nikomu nie zlego nie czynili, mimo że ojciec (mąż, brat, sąsiad i inni) poszli na wojnę, jak głoszone bronić własnej ziemi - oni, oczekując na powrót swych bliskich obrotów, zmuszani są opuścić na zawsze swe rodzinne strony i posiadany na tej ziemi od wieków rodzinny dobytek - własne rodzinne gospodarstwo. Równocześnie każdy z Polaków musiał ten ogromny smutek stłumić w sobie i zewnątrz, być zwarty i czujny, ażeby móc stąd uciec wraz ze swoimi bliskimi z życiem w miarę szczęśliwie.

XXX. Katorżnicze warunki przewożenia i gromadzenia zabieranego ze sobą własnego mienia przez poszczególne polskie rodziny opisywanej wsi do i na - załadowczej dla ewakuowanych stacji kolejowej Trembowla.

Mimo opuszczenia przez rodziny polskie - rodowitych od wieków mieszkańców tych ziem - swoich rodzinnych gospodarstw na zawsze i pozostawiania na miejscu bez żadnej rekompensaty całego dorobku swoich rodzin każdy Polak był nadal ogromnie zagrożony ze strony nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, przy zupełnie biernej postawie zastraszonej pozostałej części ludności ukraińskiej do tych poczynań, a także zupełnie niechętniej postawie miejscowych (i nie tylko) władz rządkowych w skutecznym przeciwdziałaniu tym nadal trwającym, wielce dolegliwym i tragicznym wydarzeniom, które miały miejsce także i w trakcie opisywanych wyżej przewozów. Między innymi takie jak - dwie stare kobiety, mieszkanki opisywanej wsi - 70 i 50 letnia (matka z córką) wraz z 16 letnim synem Michałem Bajrakowskim - jadąc samotnie jednokonną furmanką załadowaną sianem do stacji Trembowla, przed wsią Podhajczyki - na odcinku leśnym zwanym Sołanką - bez żadnego powodu zostali zatrzymani przez dwoje nieznajomych (kobietę i mężczyznę) młodych ludzi, jadących w przeciwnym kierunku dwukonnym powozem (bryczką).

Mężczyzna podchodząc do furmanki ze słomą zapytał dołąd kobiety wiozą ten ładunek, gdy otrzymał odpowiedź że do stacji Trembowla, nakazał chłopcu będącemu wraz kobietami na furmance, zejść z furmanki. Gdy chłopiec tego nie uczynił, wyjął z kieszeni zapalniczkę i zaczął podpalać słomę będącą na furmance. Kobiety będące na furmance płacząc zaczęły prosić by tego nie czynił - nie usłuchał. Kobieta będąca w drukonnym powozie (bryczce) widząc co się dzieje zaczęła go również prosić, by tego nie czynił i żeby zostawił furmankę i ludzi. Na tę prośbę wstrzymał się, przygasił tłącą się już słomę, chwilę postak przy furmance następnie odszedł nie mówiąc siadł do powozu i odjechali. Tak zbiegiem okoliczności i dobrej woli kobiety, która jechała razem w powozie drukonnym, troje ludzi - polaków - uniknęli tragedii osobistej, a nie można wykluczyć że i spalenia żywcem na furmance ze słomą.

Innym wydarzeniem było następujące - wywołując już resztę zabieranego mienia na stację do Trembowli w końcu października, polki - dwie panny - Józefa Bajrakowska c. Ludwika i Franciszka Jędorowicz c. Władysława, a wraz z nimi Józefa Bajrakowska - matka trojga dzieci, której młota Juliana banderowej wprowadzili w lutym 1944r, jadąc samotnie własną drabiniastą furmanką parokonną załadowaną w drabiny snopkami wyłóconej słomy żyta i kilku workami zboża, bez żadnej przyczyny zostały zatrzymane, w biały dzień w sąsiedniej wsi Skobutka Janowska, przez kilku uzbrojonych młodzieńców ukraińców przy aplauzie i śmiechach stojących nieopodal licznej grupy osobników. Młodzieńcy, którzy zatrzymali furmankę, bez pardonowo sikę wyładowali wszystko z furmanki arzucając obok na ziemię. Odnawiając porostawie nia nawet chociażby kilka snopków, ażeby można było na co usiąść jadąc dalej. Wydarzenie miało miejsce nieopodal kryża, naprzeciwko wjazdu na gospodarstwo właścicielki zwanej "Sniehurka".

W listopadzie mieszkające także samej sąsiedniej wsi Skobutka Janowska - polak - Michał Kęziferowicz wracając drukonną furmanką ze stacji Trembowla, gdzie odwiedził swoje rodzinne mienie zabierane ze sobą, dojeżdżając do wymienionej wsi drogą prowadzącą obok omer-tarza - został napadnięty, w miejscu ogólnie zwanym, na górze i bestialskó zamordowany. Na miejscu napadu i morderstwa pozostała jedynie święta głowa zamordowanego. Pozostałych części ciała zamordowanego nie odnaleziono. Zabrane zostały para bardzo dobrych koni pociągowych i furmanka. Córka zamordowanego Janina uratowała się przez ucieczkę.

Od dnia dokonania powyższego morderstwa, wyjazdów ze stacji Trembowla ewakuowanych polaków do rodzinnych domostw, ustały zupełnie.

Wokół stacji powstało swoiste skupisko koczowników - bytujących w prymitywnych szałasach - budkach w których każda z rodzin z gromadziła swoje mienie zabiérane ze sobą. Było to przede wszystkim - zboże, słoma i siano - jako karma dla koni i krów, konie pociągowe, krowy, a także pewna ilość produktów żywnościowych dla życia członków rodziny. Poza tym rolnicy wieźli ze sobą sprzęt i urządzenia nieodzowne do uprawy roli - pług, brona, wóz konny i t.p.

Życie w szałasach prowizorycznych i tymczasowych było bardzo trudne i prymitywne. Była późna deszczowa i zimna jesień. Mimo starań - żadnego zabezpieczenia z zewnątrz nie było. Również mimo usilnych i długotrwałych starań, władze radzieckie nie podstawiły żadnego transportu kolejowego. W wyniku tego, mimo tych skandalicznych wręcz trudności, stan taki trwał niezmiennie aż do początku grudnia 1945r. W pierwszych dniach grudnia podstawiono dla ludzi wagony towarowe kryte w ilości o wiele za mało. Stąd w jednym wagonie sadowało się dwie, a to nawet i trzy rodziny wraz z całym swoim nieruchomym dobytkiem. Odbywało się to na zasadzie wzajemnych uzgodnień. Natomiast było, konie i pozostały inwentarz żywy - w znacznej części umieszczane były w wagonach odkrytych przeważnie w węglarkach, zadaszanych (wykonanie dachu) dla ochrony zwierząt we własnym zakresie przez bezpośrednich zainteresowanych. Było to warunki - wręcz, jak cała wytworzona sytuacja dla ewakuowanych w opisywanym czasie rodzin polskich ~~tych~~ **okolic** - tragiczne.

Wyjazd uformowanego transportu ewakuowanych polaków z opisywanej wsi - w nieznaną - do polski nastąpił w pierwszej dekadzie grudnia 1945 roku.

Spis Treści

R o z d z i a ł pierwszy

Życie mieszkańców wsi Zniesienie w latach poprzedzających drugą wojnę światową.

I. Wstęp	str	2.
II. Zapiski historyczne o okolicznych miejscowościach wokół i w pobliżu wsi Zniesienie	str	4
III. Opis przyległości i usytuowania wsi Zniesienie	str	5.
IV. Warunki życia mieszkańców wsi	str	7.
V. Praca w kanieniołomach	str	9.
VI. Podstawowe zajęcia w poszczególnych porach roku	str	11.
VII. Wiejskie dzieci - warunki ich dorastania:	str	18.
1. Włączanie dziecka wiejskiego w bieżące życie rodziny	str	18.
2. Pasanie żywych stworów domowych i szkoła	str	19.
3. Pasanie bydła	str	25.
4. Polany pastwiskowe	str	31.
5. Spór o pastwiskowe polany	str	34.
6. Strajk o pastwisko	str	37.
VIII. Spór o drogi dojazdowe do chłopskich pól uprawnych	str	39.
IX. Zarobkowa emigracja mieszkańców wsi za granicę	str	40.
X. Organizacje polityczne, społeczne i paramilitarne jakie istniały w opisywanej wsi:			
1. Stronctwo chłopskie i Witosowskie stronctwo ludowe	str	41.
2. Komitet budowy kościoła wyznania rzymsko katolickiego	str	41.
3. Amatorski zespół teatralny	str	46.
4. Ochotnicza straż pożarna	str	47.
5. Drużyna organizacji strzelec	str	48.
XI. Obrzędy religijne	str	50.
XII. Wesela	str	54.
XIII. Potanćówki, zabawy i inne rozrywki wiejskie, w tym także spory i nieporozumienia	str	56.

R o z d z i a ł drugi
rok 1939

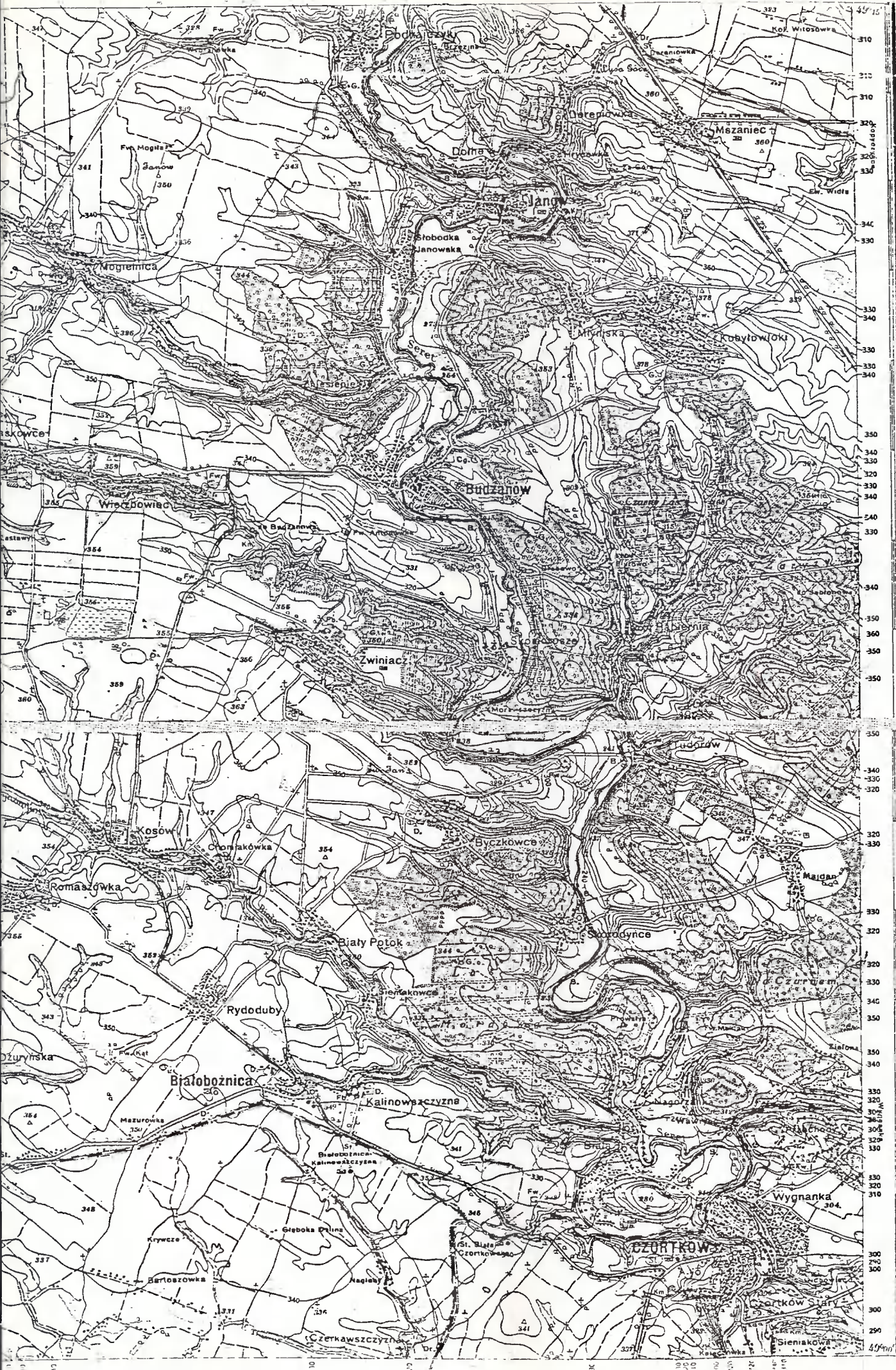
XIV. Niepokoje zbliżającej się wojny	str	63.
XV. Nieoczekiwane pojawienie się "turystów" niemieckich	str	64.
XVI. Powszechna mobilizacja do wojska polskiego	str	67.
XVII. Echa wybuchu wojny niemiecko polskiej (wybuch drugiej wojny światowej - 1.09.1939r) o wybuchu wojny niemiecko polskiej o wybuchu wojny niemiecko polskiej	str	68.
1. Bombardowanie przez niemieckie samoloty okolicznych obiektów i stacji kolejowych Trembowla, Kopyczyńce i innych	str	72.
2. Uciekinierzy	str	72.
3. Bojowe starcie z czołowym oddziałem wkraczającej do polski wrogiej czerwonej armii związku radzieckiego	str	73.

5. Bieżące życie ludzi opisywanej wsi w warunkach nowo powstałych	str	...114
6. Emisariusze Związku Walki Zbrojnej - Armii Krajowej	str	...117
XXII. R o k 1942 - okupacji niemieckiej:		
1. Inne nakazy wyjazdu na roboty do Niemiec	str	...119
2. Likwidacja getta żydowskiego w pobliskim Budzanowie	str	...121
3. Powódź na wschodnim Podkarpaciu, głód i oddawanie należonych przez Niemców kontyngentów	str	...122
4. Wzmocnienie organizacyjne powstałego zespołu ZWZ - AK w opisywanej wsi (i nie tylko)	str	...127
XXIII. R o k 1943 - okupacji niemieckiej:		
1. Wejście mieszkańców wsi w 1943 rok	str	...130
2. Obławy i łapanie ludzi oraz wysyłanie na przymusowe roboty do Niemiec	str	...132
3. Groźne objawy nacjonalizmu ukraińskiego	str	...135
4. Nieoczekiwane najścia policyjne i rekwirowanie wszystkiego co popadnie policjantom pod rękę	str	...136
5. Działanie miejscowej grupy Armii Krajowej	str	...137
6. Partyzanci w pobliskich lasach i miejscowościach	str	...140
7. Gromadzenie sił i wzmocnienie groźnych poczynań w stosunku do Polaków przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA	str	...144
8. Samobrona mieszkańców opisywanej wsi przed napadami nacjonalistów ukraińskich oraz sytuacja Polaków w miejscowościach w których stanowili oni mniejszość	str	...147
9. Morderstwa Polaków przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA - zdarzeniem dnia codziennego:	str	...154
a) wydarzenia codziennego bytowania Polaków w opisywanych okolicach	str	...154
b) podstępne uprowadzenie mieszkańców opisywanej wsi przez nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA	str	...162
c) drugi napad nacjonalistów ukraińskich z pod znaku UPA, na niezbyt odległą od opisywanej, polską wieś Póchajczyki	str	...167
d) napad na polską część - pobliskiej wsi Wierzbowce i dokonane tam bestialskimi morderstwami spustoszenie	str	...170
e) ochrona i obrona warownego zamku (kościół i klasztor) w Budzanowie - miejsce schronienia znacznej liczby dzieci i matek rodzin polskich, którym udało się uciec z życiem z okolicznych miejscowości	str	...173

5

pow. Trembowla, woj. Tarnopol - według stanu z miesiąca sierpnia 1939 roku w kolejności domostw licząc od kierunku zachodniego ku wschodniemu oraz udział członków poszczególnych rodzin w walce - W latach 1939 - 1945 - o odzyskanie niepodległości polski i poniesione straty ludzkie w wyniku tych zaszczości wojennych	str	216
XXXII. Zdjęcia ogólnego widoku wsi i niektórych mieszkańc-ów - tych którym udało uzyskać oraz szkice urzędu wsi	str	237
XXXIII. Mapa opisywanych okolic - obszaru tarnopilszczyzny w skali 1 : 100.000 z lat 1937 - 1932	str	253
XXXVI. Materiały źródłowe uzupełniające	str	254

Zdjęcia ogólnego widoku wsi i niektórych jej mieszkańców,
tych których udało się uzyskać oraz szkic układu wsi



Kopirytina
Paś 63 Słup 42



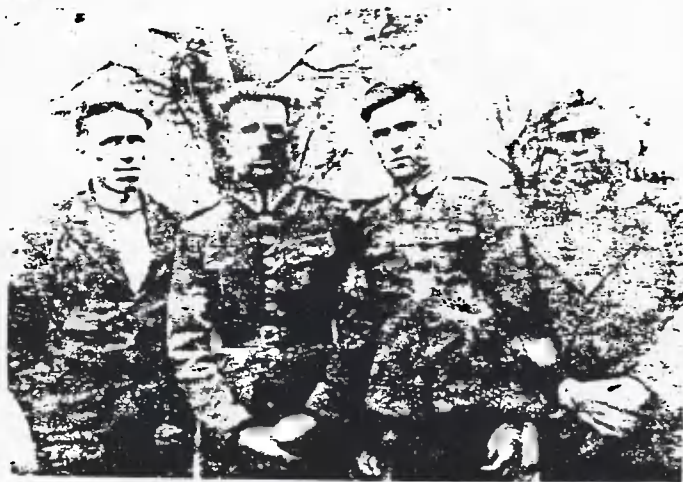
Maszyny
 P. 02, 03, 04, 05, 06, 07, 08, 09, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100



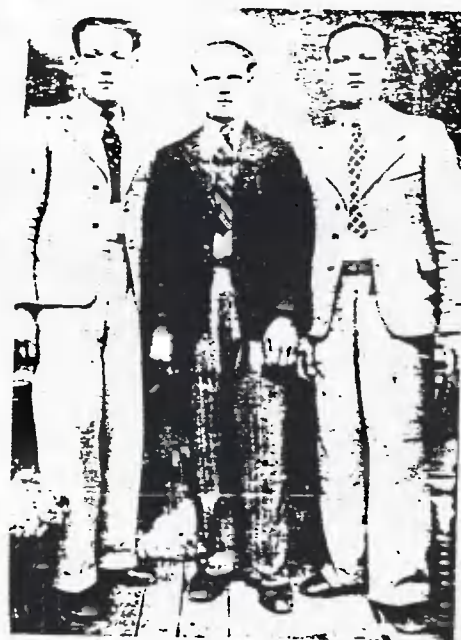
Od lewej:
Jan Sadowy
Stanisław Słobodzian
Józef Gitler



Rok 1936 - zdjęcie weselne.
Siedzą państwo młodzi:
Emilia i Stanisław Bejcar
Stoją w pierwszym rzędzie od lewej:
Genowefa Pleszczak
Katarzyna Bejcar
Wanda Partyka
Kazimiera Partyka
Stoją w ostatnim rzędzie od lewej:
Genowefa Bejcar - Wiśniowska
Marek Skokun
Maria Gitler - Gomiżka
Piotr Wiśniowski
Józefa Wasylik
Józef Wiśniowski
Katarzyna Włosek



Rok 1933
Od lewej: Wojciech Szostopal
Piotr Jędorowicz
Michał Słobodzian
Józef Szostopal



Rok 1939
Od lewej:
Wojciech Pleszczak
Tomasz Gitler
Jan Gemkowicz



Lipiec 1939 rok.m.Janów pow.Trembowla.
Od lewa: Siedzą: Tomasz Gitlar
Stanisław Bejcar s.Jana
Stoją: Józef Gitlar
Jan Sadowy
Szczepań Osowski
Wojciech Pleszczak



Od lewej:
Michał Zając
Michał Bajrakowski
Bronisław Pindera



Po odszkaniu się po wojnie
byli bliscy sasiedzi ze wsi
Zniesienie. Rok 1947.



Od lewej:
Ludwik Gitlar
Józefa Bejcar
Tadeusz Gitlar



Kazimiera Partyka



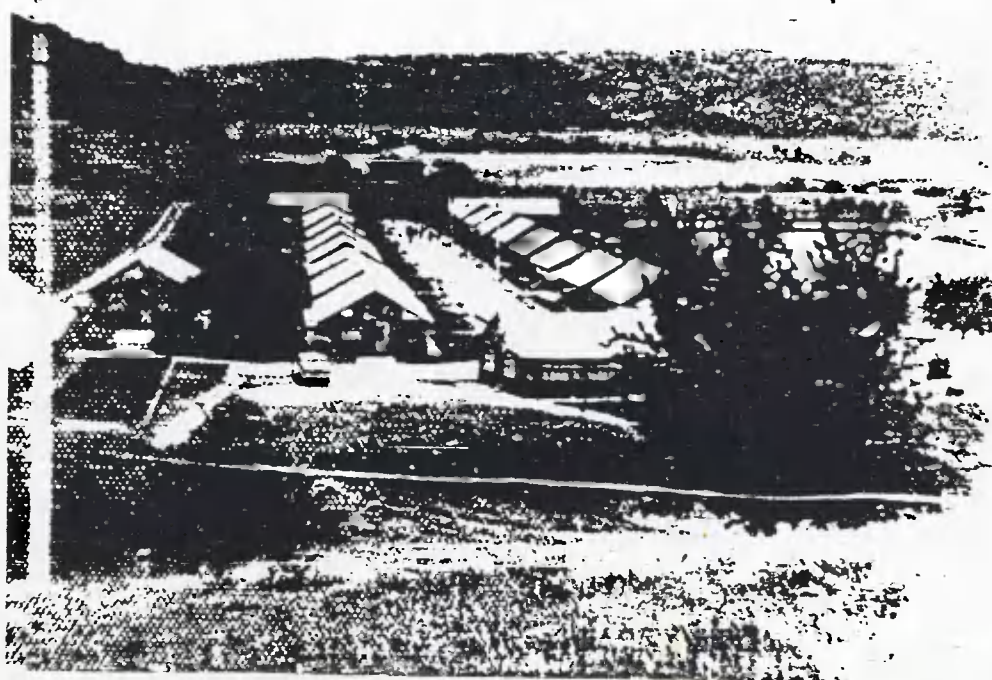
Od lewej:
drugi - Tadeusz Gitlar
trzeci - Jan Bejcar

Zdjęcie ogólnego widoku wsi Zniesienie z roku 1939



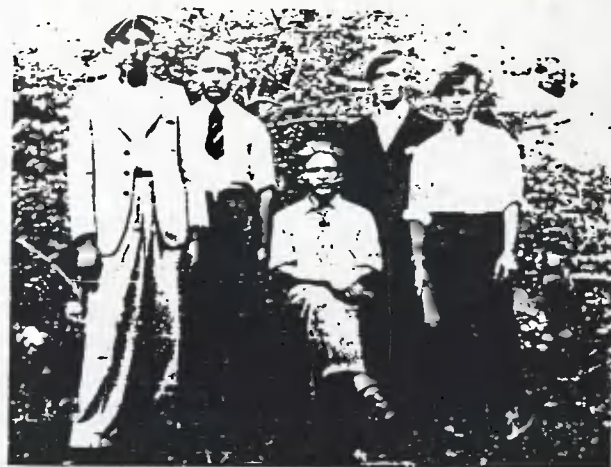
O R A Z

Ogólny widok - tegoż samego co wyżej miejsca wsi - Zniesienie
z roku 1971





Rok 1929
Wociek Jędorowicz
jako żołnierz
wojska polskiego



Rok 1940
Od lewej:

- Piotr Csowski
- Józef Senkowicz
- Tomasz Gitlar
- Tadeusz Szostopal
- Józef Duplak



Od lewej:
siedzą:
Jan Szostopal
Piotr Paralusz
stoją:
Jan Bejcar
Michał Sadowy



Rok 1939
od lewej:
Maria Dysiewicz
Anna Gitlar



Rok 1931
Maria i Wojciech
Jędorowicz



Od lewej:

siedzą:

Jan Jędorowicz
Tomasz Gitlar
Sławomir

stoją:

Ludwik Gitlar
s. Józefa
Helena Kril
Jan Szostopal



Rok 1939. Od lewej:
siedzą:

Józef Duplak
Jan Sadowy
Krzysztof Bejcar
Tadeusz Szostopal
Józef Gitlar

stoją: mężczyźni

Stanisław Słobodzian
Piotr Paralusz
Józef Semkowicz
Michał Sadowy



Rok 1943.

Grupa polaków - gdzieś
daleko w Niemczech -
gdzie zostali wywiezieni
na przymusowe roboty.
Trzecia od lewej -
Józefa Jędorowicz.



Maria i Jan
Pleszczak



Trzecia od lewej -
Anna Powszek



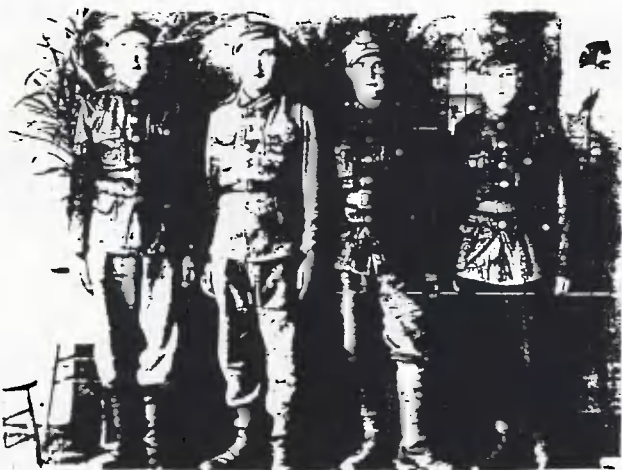
Od lewej:
Michał Sadowy
Wiktor Dysiewicz



Od lewej siedzą:
Krzysztof Wasylik
Krzysztof Skokun



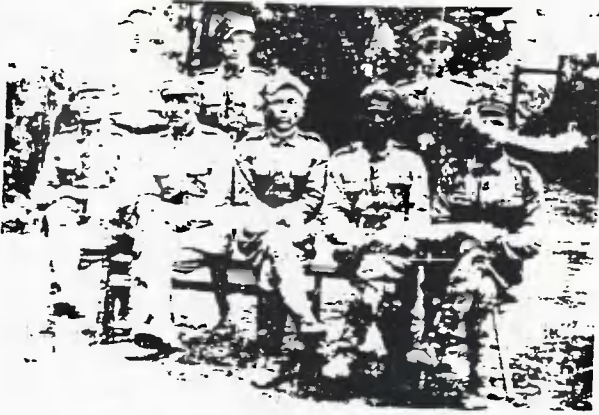
Jan Osowski



Trzeci od lewej
Józef Wiśniowski



Od lewej:
Piotr Wiśniowski
Kazimierz Ostrowski



Żołnierze 1 armii LWP. Rok 1944

Warszawa - Saska Kępa

od lewej - siedzą:

Antoni Fleszczak

Krzysztof Wasylik

Piotr Jędorowicz

syn Augusta

Piotr Sadlak

Jan Semkowicz

stoją:

Szczepan Osowski

Krzysztof Bejcar

Jan Bejcar



Rok 1944 - żołnierze
1 armii LWP.

Drugi od lewej -

Stanisław Gitlar -

w szpitalu wojskowym po
ciężkim ranieniu



Rok 1944 m. Sumy

Jakub Fleszczak



Libia - rok 1945

Wincenty Fleszczak

żołnierz wojsk polskich

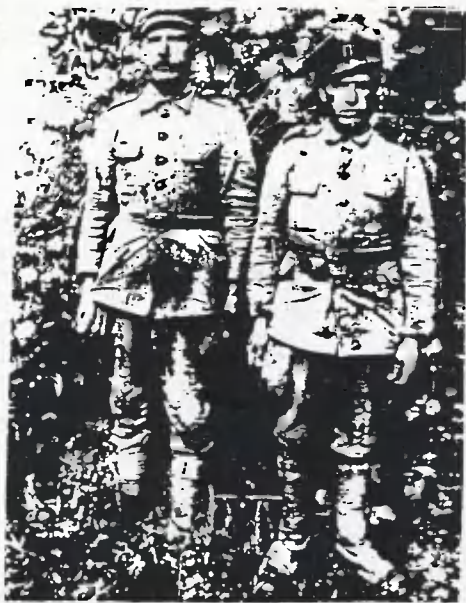
na zachodzie



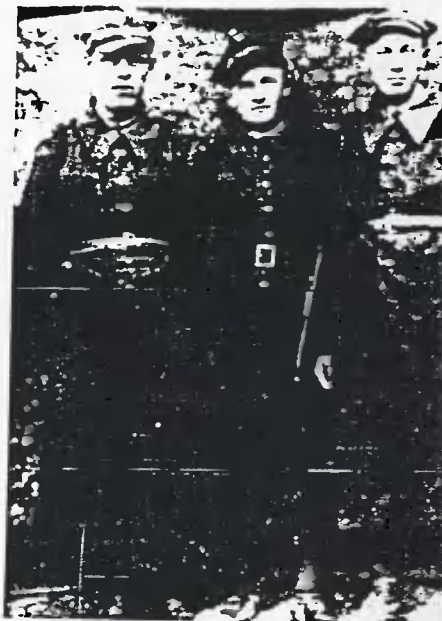
Od lewej w pierwszym rzędzie:

trzeci - Władysław Jędorowicz

czwarty - Wiktor Dysiewicz



Pierwszy od lewej:
Wiktor Dysiewicz



Trzeci od lewej -
Piotr Osowski



Rok 1945.
Franciszek Pleszczak -
po wyjściu ze szpitala
w którym przebywał
z powodu ciężkiego
ranienia



Od lewej:
Józef Zając
Wojciech Jędorowicz



Od lewej pierwszy -
Jan Osowski



Rok 1945. Od lewej:
drugi - Władysław Jędorowicz
czwarty - Tadeusz Szostopal



Rok 1949. Wrocław
Józefa i Wojciech Pleszczak



Od lewej:
Tomasz Jędorowicz
Józefa Pleszczak
Wojciech Pleszczak



Od lewej:
Stanisław Semkowicz
Leon Pleszczak
Józef Pleszczak



Jakub Pleszczak wraz
z rodziną:
żona - Stefania Pleszczak
córkę - Czesława
 Józefa
 Wanda
syn - Tadeusz (na rękach ojca Jakuba Pleszczaka)



Siedzi na trawie dziecko - to Janusz Pleszczak
leżą - od lewa: Piotr Pleszczak i Józef Pleszczak
siedzą - od lewa: Maria Pleszczak i trzyma na kolanach
dziewczynkę - Czesławę Semkowicz
Jan Pleszczak i trzyma na kolanach
chłopczyka - Stefana Semkowicz
stoją - od lewa: Piotr Osowski
Jan Semkowicz
Anna Semkowicz
Wojciech Pleszczak
Józefa Pleszczak
Szczepan Osowski



Jan Bajrakowski s. Juliana



Józef Bajrakowski s. Juliana
wraz z żoną Katarzyną i córeczką

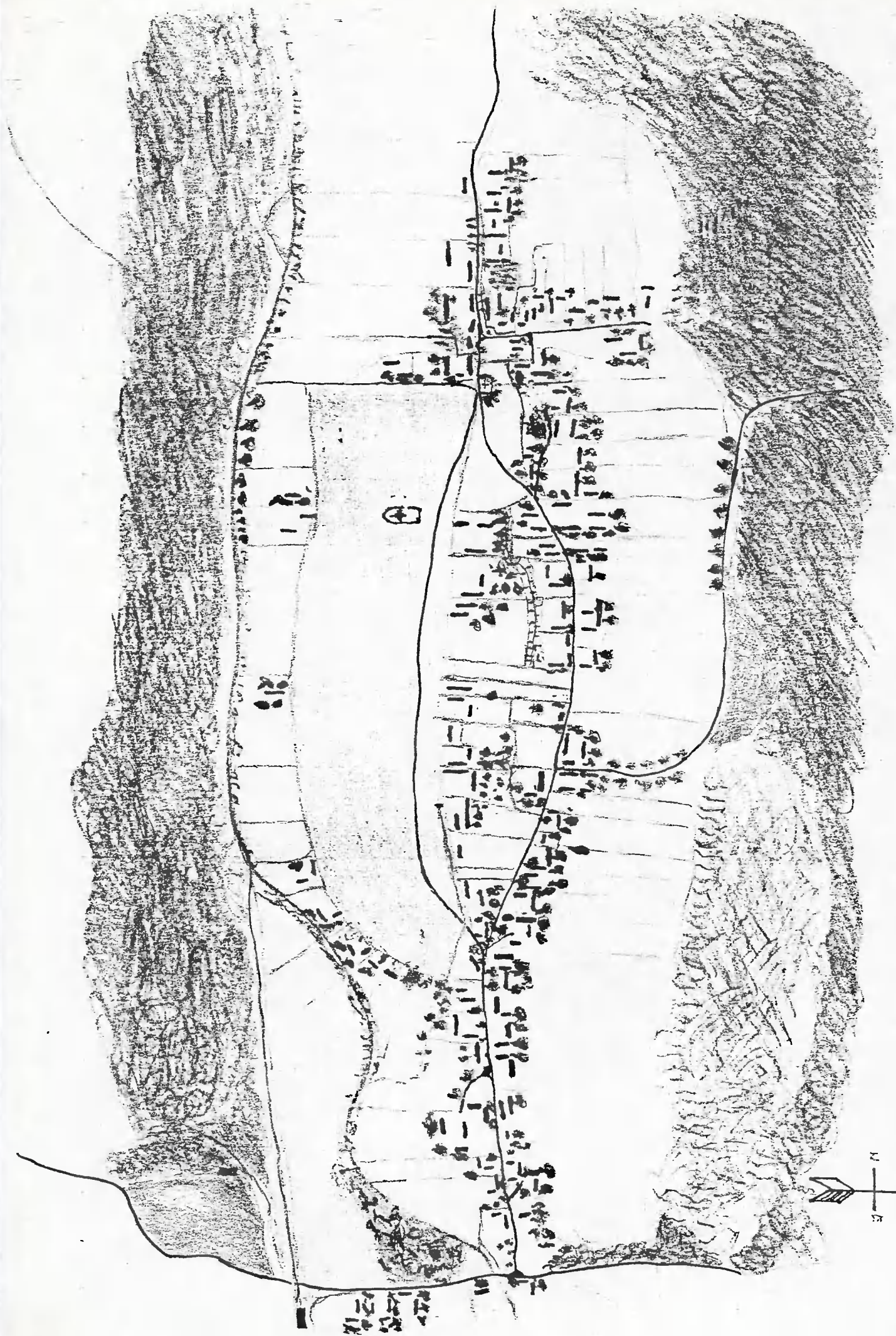


Cd lewej:
Stanisław Semkowicz
Józef Pleszczak
Piotr Pleszczak



Cd lewej: z przodu przykucnęli - Piotr Wiśniowski i Wojciech Pleszczak
stoją: Jan Pleszczak -
Elżbieta Pleszczak
Sławomir Peczyrycia
Katarzyna Peczyrycia
Józefa Pleszczak
Maria Wiśniowska
Junina Miśkiewicz
Bronisław Miśkiewicz
żona Zbigniewa Wiśniowskiego
Zbigniew Wiśniowski

Szkic wsi Zniesienie



XXVI. Materiały źródłowe uzupełniające.

1. Strona 158 - wiersze 16,17,18 od dołu. Opracowanie: Józef Turowski i Władysław Siemaszko - pod tytułem:
" Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich - Instytut Pamięci Narodowej. Środowisko 37 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Warszawie.
Zbrodnie Nacjonalistów Ukraińskich Dokonane na Ludności Polakiej na Wołyniu 1939 - 1945. Warszawa 1990 ".
2. Strony nr nr 70 - 72 oraz 111 - 118 wydawnictwa - Aleksander Czołowski i Bogdan Janusz - pod tytułem:
" Przeszłość i Zbytki Województwa Tarnopolskiego
Tarnopol 1926. Nakładem Powiatowej organizacji Narodowej ".
3. Osobiste relacje, spisane w części w roku 1949, bezpośrednich uczestników tych wydarzeń - byłych mieszkańców wsi Podhajczyki napotkanych w kilku w domu Józefa Gołębiowskiego. Poszerzone i uszczegółowione również przez kilku mieszkańców tejże wsi i bezpośrednich uczestników tych wydarzeń, którzy pod warunkiem (w tym czasie uzasadnionym) nie ujawniania ich nazwisk wyraził zgodę na odtworzenie tych zaszłości w osobistych relacjach i zebrali się w tym celu w domu Stanisława Gołębiowskiego s. Józefa we wsi Szybowice - w jedną z niedziel we wrześniu 1972 roku. Tam też relacje te zostały spisane.